

OPINIA

KWARTALNIK SPOŁECZNY I NAUKOWY

Redaguje zespół:

*Zbigniew Adamczyk, Marek Albinia, Andrzej Anusz (redaktor naczelny),
Karol Chylak, Andrzej Chylek, Michał Janiszewski (sekretarz redakcji), Jan
Józef Kasprzyk, Adam Lewandowski (sekretarz naukowy), Marek Michalik,
Mariusz Olszewski, Zbigniew Śniadecki, Jerzy Wawrowski, Kazimierz Wilk,
Piotr Wójcik*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:

Instytut Historyczny NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

e-mail: ihoo@o2.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery kwartalnika dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:

Akces, Warszawa



SPIS TREŚCI

Michał Janiszewski	7
Ks dr Stanisław Tylus Homilia wygłoszona podczas Mszy świętej pogrzebowej śp. Michała Janiszewskiego (Katedra polowa, 22 stycznia 2025)	14
Zbigniew Andrzej Adamczyk Dzień ostatniego pożegnania z Michałem Janiszewskim	19
Łukasz Perzyna „Misiek” był solidną marką i firmą	30
Włodzimierz Kuligowski List do Sigmy	36
Uroczystość w Belwederze	40
Łukasz Perzyna Scenarzysta polityki, rzecznik pamięci, przyjaciel kombatanów. Wszystkie role społeczne Andrzeja Anusza	42
Opinia ta sama, choć nie taka sama	53
Łukasz Perzyna Fenomen „Opinii”	63
Takich jak on polityków teraz nam brakuje. Pożegnanie Andrzeja Potockiego (1964–2025)	69
Piłsudczyk, konserwatysta, szef młodzieży z KPN. Pożegnanie Wojciecha Gawkowskiego (1966–2025)	74
Andrzej Janusz Nidek 1946–2025	82
Porozumienie Klubu DiKKWiS z IPN	88
Zbigniew Andrzej Adamczyk Narodowy Dzień Żołnierzy Wyklętych. Powązki 1/2 marca 2025	90
Relacja z obchodów Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” w Otwocku	97
Zbigniew Andrzej Adamczyk Kongres Pamięci Żołnierzy Wyklętych.	103
Zapomniany polski patriota śp. Leszek Zubik (29.03.1960–20.10.2004)	108
Łukasz Perzyna 40 Lat Ruchu Wolność i Pokój	109

SPIS TREŚCI

Jarosław Nowak

Cenzura internetu – nowa era ideologicznej kontroli? 121

Wojciech Parzyński

Eugeniusz Małaczewski 1897–1922. Pisarz przypomniany 133

Eugeniusz Małaczewski

Koń na wzgórzu. Reprint z 1945 r. Cz. 1 143

Marek Michalik

Nota informacyjna na temat historii opublikowania w II obiegu książki pt.:
Więźniowie polityczni w PRL 1981–1983. Zakład Karny Hrubieszów i inne . . 239

Ryszard Czarnecki

Czas przełomu 1989–91. Wspomnienia. 242

Piotr Wójcik

Osobista Historia Porozumienia Centrum Andrzeja Anusza –
„o antykomunizmie skutecznym” – drobna głoś wspomnieniowa
„obserwatora współuczestniczącego” 251

Łukasz Perzyna

Noblista, co patriotyzmu nie musiał udawać. O książce Krzysztofa Kłoca
„Białorusin, który udaje Litwiną” 277

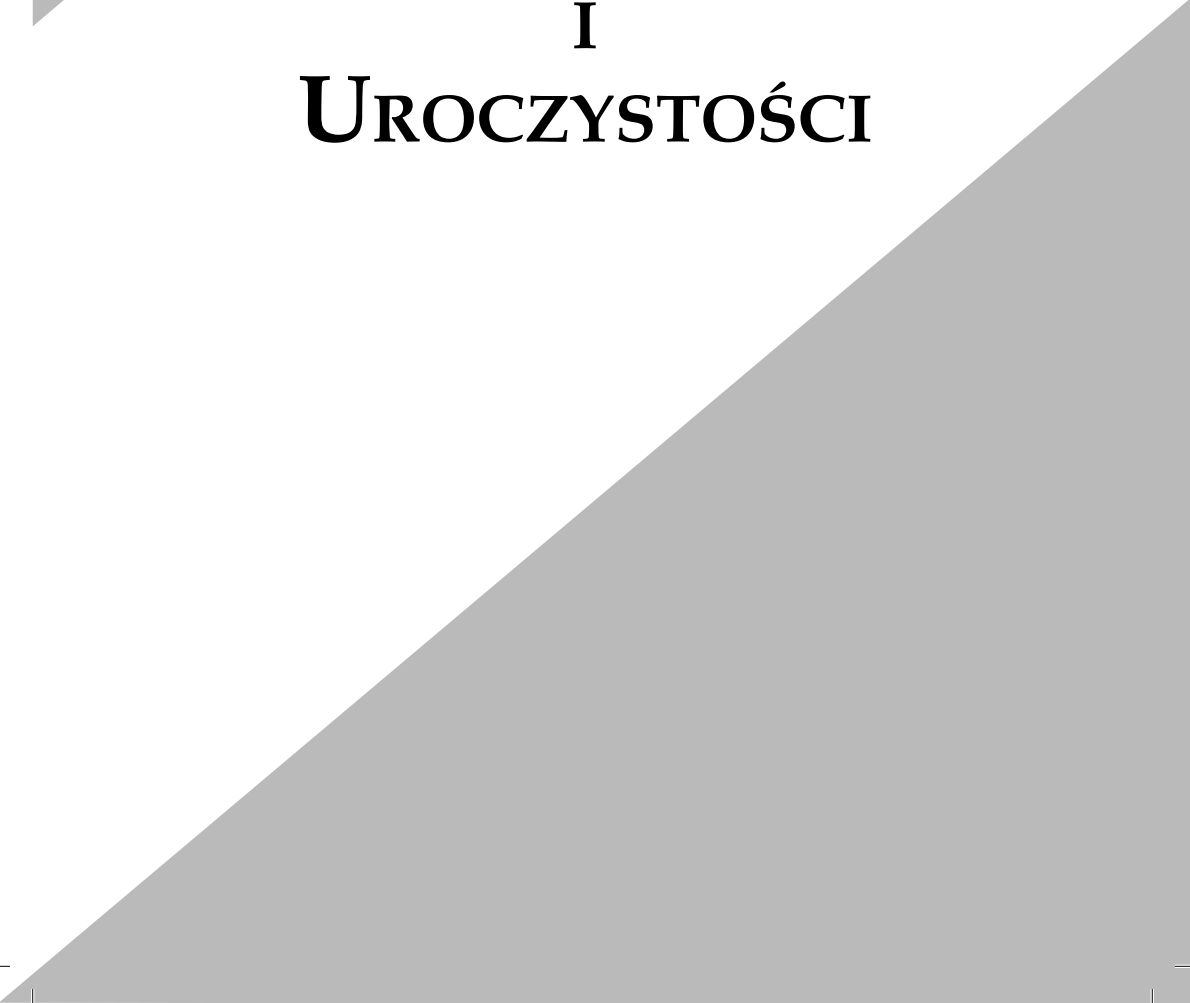
Włodzimierz Kuligowski

Wiersze 300

Instrukcja wydawnicza pisma „Opinia” 307

Dr Krzysztof Langowski

Ochotnicy z Ameryki w I Brygadzie Legionów Polskich 322



WYDARZENIA I UROCZYSTOŚCI



MICHAŁ JANISZEWSKI



Michał urodził się 26.09.1954 roku.

Swoje dzieciństwo i młodość spędził w swojej rodzinnej wsi Zambrzyniec razem z dziadkami, rodzicami i rodzeństwem.

Już wtedy postanowił przenieść się do Warszawy. Tam podjął pracę w Przedsiębiorstwie Gospodarki Maszynami Budownictwa Warszawa. Zdobył uprawnienia na obsługę żurawi wieżowych i w tym zawodzie pracował. Założył rodzinę i doczekał się potomstwa.

Nadszedł rok 1980., który zmienił w życiu Michała i wielu innych Polaków spojrzenie na rzeczywistość polityczną. Krąg znajomych współdziałających przy powstawaniu NSZZ Solidar-

MICHAŁ JANISZEWSKI



ność realizowała swoją misję dziejową nie zdając sobie jeszcze wtedy sprawy z tego jak wiele zmieni to działanie w życiu każdego z nich. Nie było nic ważniejszego niż budowa społeczeństwa obywatelskiego i powolne dochodzenie do rzeczywistej wolności. Entuzjazm nie trwał jednak zbyt długo ponieważ 13.12.1981 roku komunistyczne władze PRL wprowadziły nielegalny stan wojenny.

Wtedy też już od 13.12.1981 roku rozpoczęliśmy wspólnie naszą drogę polityczną, sprzeciwiając się nielegalnym działaniom junty wojskowej. Nasze działanie doprowadziło do powstania zorganizowanej grupy związkowej, która przyjęła nazwę Międzyzakładowego Porozumienia Solidarności UNIA. Nasze działania najpierw mało zauważalne w kolejnych miesiącach i latach doprowadziły do połączenia wielu zakładów pracy. To oczywiście niosło za sobą ryzyko aresztowań i do takich oczywiście doszło. Jedną z osób, która nie miała szczęścia był Michał. Został aresztowany dwukrotnie za działalność opozycyjną. Po drugim aresztowaniu kiedy jego żona Wiesława pseudonim „Magda” była w ciąży nie załamał się a jego ciężarna żona wspomagała go jak mogła zarówno



podczas odwiedzin w więzieniu jak również podczas rozpraw sądowych. Siedząc drugi raz w więzieniu poznał Darka Wójcika bardzo wówczas młodego lubelskiego działacza Konfederacji Polski Niepodległej, który w bezpośrednich rozmowach wielogodzinnych przekonał Michała do włączenia się w działania polityczne. W konsekwencji tych rozmów Michał po wyjściu z więzienia przekonał kierownictwo MPS UNIA do rozpoczęcia działalności politycznej. Przekształciliśmy MPS UNIA w Grupę Polityczną Niezawisłość i po kilku miesiącach samodzielnego działania postanowiliśmy przystąpić do Konfederacji Polski Niepodległej. To był rok 1987. Władze PRL już poluźniły rygory i przestały nagminnie wsadzać do więzień. Rozpoczęły się przygotowania do zawarcia porozumienia z opozycją.

W tym też mieliśmy swój udział prowadząc działania, które w konsekwencji doprowadziły do wolnych i demokratycznych wyborów Prezydenckich i Parlamentarnych. Osiągnęliśmy swój cel główny. Michał został wybrany do nowego Sejmu pierwszej kadencji i kolejny raz trzeciej kadencji.





Tej kolejnej kadencji nie doczekała niestety jego żona „Magda”. Zmarła na chorobę nowotworową 1.01.1994 roku. Michał znów został sam z dziećmi. Umiał pogodzić się ze swoim losem i już na zawsze pozostał wdowcem.

Życie nie szczędziło mu przykrych zdarzeń ale zawsze potrafił wychodzić na prostą i wychować dzieci na porządnym ludzi.

Był dla nas wszystkich wzorem do naśladowania. Jego zdolności organizacyjne były przez nas bardzo doceniane i dlatego po różnych burzliwych wydarzeniach politycznych, postanowiliśmy utworzyć stowarzyszenie pod nazwą Instytut Historyczny Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsińskiego. Michał od początku jego powstania w 2008 roku został jego sekretarzem i jednocześnie mózgiem organizacyjnym. Jego zaangażowanie i coraz to nowe pomysły pozwoliły na dużą rozpoznawalność naszych działań w społeczeństwie. To moim zdaniem głównie jego zasługa.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej docenił poświęcenie Michała i odznaczył go: Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Wolności i Solidarności

MICHAŁ JANISZEWSKI



oraz Medalem 100 lecia odzyskania przez Polskę Niepodległości.

Był również odznaczany przez Szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Ministra Kultury.

Odnaczenia środowiskowe Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej oraz Formacji Nie-



podległościowej dopełniły jego dokonania realizowane przez całe dorosłe życie.

Dzisiaj stajemy przed jego trumną i musimy odpowiedzieć sobie na pytanie czy podejmiemy wspólnie działania, które spowodują dalszy rozwój Instytutu jako organizacji budującej prawdziwy wizerunek działaczy niepodległościowych jako tych którzy przez kolejne pokolenia stawiali swoje życie na szali odzyskania i utrzymania niepodległości przez naszą kochaną Ojczyznę.

Każdy musi indywidualnie podjąć takie zobowiązanie i co ważniejsze jeśli je podejmie, dotrzymać go.

Niech dobry Bóg przyjmie naszego przyjaciela do swojego Królestwa i pozwoli mu przygotować je organizacyjnie do naszego przyjsia.

Cześć Jego Pamięci



Prezes Zarządu Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
Andrzej Chyłek

KS DR STANISŁAW TYLUS

**HOMILIA WYGŁOSZONA PODCZAS MSZY ŚWIĘTEJ
POGRZEBOWEJ ŚP. MICHAŁA JANISZEWSKIEGO
(KATEDRA POŁOWA, 22 STYCZNIA 2025)**

... „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele”...

Droga Rodzino śp. Michała Janiszewskiego, Szanowni Przedstawiciele Instytucji Państwowych, Instytutu Historycznego Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego, Księżę Karolu!

Żegnamy dzisiaj śp. Michała, który odszedł do Pana rankiem 14 stycznia 2025 o godz. 06.00. Przeżył 70 lat, trzy miesiące i 19 dni. Pozostawił pograżonych w smutku, to jest: najbliższą Rodzinę, bliższych i dalszych Krewnych, Przyjaciół, Znajomych, nas Wszystkich.

Po odejściu Michała jeden z jego przyjaciół napisał o Nim na swoim serwisie społecznościowym: „Człowiek-instytucja, wielki patriota, działacz niepodległościowy, członek KPN. W 80. latach dwukrotnie skazywany na więzienie za działalność na rzecz NSZZ „Solidarność” (FB; Zbigniew Andrzej Adamczyk).

Michał był parlamentarzystą: posłem na Sejm I i III Kadencji, członkiem Komitetu Doradczego przy MSW (1992-96), zasiadał w Radzie miasta stołecznego Warszawy (1994-98).

„Przez ostatnie kilkanaście lat pełnił funkcję sekretarza Zarządu Instytutu Historycznego Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego. To pomysłodawca i realizator wielu inicjatyw; pozostawił trwałe ślady w historii Polski. Michał był odznaczony wieloma wysokimi odznaczeniami państwowymi, w tym Krzyżem Komandorskim” (cyt. jak wyżej).

Przeczytałem tu niektóre, te najistotniejsze dokonania z Jego bogatego życiorysu. I choć mówią one o wielu wielkich rzeczach, których dokonał, to jednak brzmią bardzo sucho, bardzo surowo. Można powiedzieć, że fakty te,

HOMILIA WYGŁOSZONA PODCZAS MSZY ŚWIĘTEJ POGRZEBOWEJ...

dla tych, którzy Go znali, naprawdę nie oddają tego, jakim był Człowiekiem. Gdybyśmy przez chwilę pozostali w milczeniu i gdyby każdy z nas przywołał jakieś wspomnienia z Nim związane, z pewnością wyłoniłaby się nam postać Człowieka niezwykle ciepłego, uśmiechniętego, rozumnego, pełnego mądrości, ale też człowieka nader obowiązkowego.

Pozwólcie, że powrócę jeszcze raz do świadectwa, które pozostawił nam wzmiankowany już przeze mnie jego przyjaciel, który napisał: „Wspaniały Kolega i Przyjaciel, zawsze pamiętający o innych, dla których uczynił wiele dobrego. Olbrzymie znaczenie miała dla Niego Rodzina” (cyt. jak wyżej).

Faktycznie, był niezwykle dumny ze swojej Rodziny i cieszył się z każdych jej osiągnięć. Michał kochał nie tylko swoich najbliższych, ale On darzył szacunkiem wszystkich ludzi, bo uważał, że każdy ma swoje miejsce i swoje zadania do spełnienia w społeczeństwie, państwie czy w Kościele. Obserwując Go, zauważałem, że w dyskusjach z ludźmi raczej nie narzucał gotowych rozwiązań, ale słuchał i dawał możliwość dochodzenia do podejmowania różnych decyzji poprzez dialog, który ubogacał obie strony.

* * *

Wspomniałem już, że śp. Michał przeżył 70 lat. Gdyby tę księgę Jego życia próbować nazwać jednym słowem, to nie ma innego, nie ma piękniejszego słowa, jak „Moja Ojczyzna”. Śp. Michał pokazuje nam dziś swoim życiem, że tymi najważniejszymi wartościami, jakie go ukształtowały: „Bóg, Honor, Ojczyzna”, podporządkował cały swój czas, całe swoje życie.

Był zatem wierny idei polskiej niepodległości, wolności, honoru i sprawiedliwości, i choć słowa te traciły może nieraz moc prawdy..., to On był im wierny.

* * *

Drodzy Bracia i Siostry, uczestnicy tej żałobnej uroczystości. Z całą pewnością odejście Michała pozostawiły w nas szok i niedowierzanie, ból i żal, smutek, cierpienie, gorycz, a może też strach czy przygnębienie. „Trudno pogodzić

się myślą, że już nigdy nie będziemy mogli się z Nim przywitać, pogadać, pośmiać się i współpracować” (cyt. jak wyżej).

Każda śmierć sprawia, że pojawia się tak wiele pytań związanych ze zmianami, które łączą się z odejściem kochanej Osoby. Pewnie z wieloma sprawami sobie poradzimy, pewnie wiele rzeczy będziemy musieli na nowo poukładać. Ale bez Niego nie będzie już nigdy tak samo. Będzie inaczej.

W Ewangelii dzisiejszej czytaliśmy: „Niechaj się nie trwoży serce wasze; wiercie w Boga i we mnie wiercie! W domu Ojca mego wiele jest mieszkań; gdyby było inaczej, byłbym wam powiedział. Idę przygotować wam miejsce”. Tak, nasze serca trwożą się, ale przecież mamy Mu zaufać. Mamy wierzyć nie tylko wtedy, gdy spotykają nas same radosne chwile, ale również wtedy, gdy dotykają nas nieszczęścia.

Słowa, które czytamy dziś w Ewangelii są szczególnymi słowami. Wypowiedział je bowiem Pan Jezus, aby pocieszyć swoich uczniów, bo zapowiedział im, że odchodzi, zapowiedział swoją śmierć, zapowiedział im, że pozostaną sami. I dlatego zwracał ich uwagę na właściwą perspektywę, z którą i my również godzimy się, którą akceptujemy naszym umysłem, naszą wiarą, ale którą czasami tak trudno jest nam realizować ją w życiu.

Tutaj na ziemi jesteśmy tylko przechodniami. Tutaj na ziemi nie mamy miejsca stałego. To trwałe miejsce otrzymamy w domu Ojca. „W domu Ojca mego wiele jest mieszkań; gdyby było inaczej, byłbym wam powiedział. Idę przygotować wam miejsce”. To jest ta perspektywa, o której wiemy, którą znamy, w którą wierzymy, ale którą chyba powinniśmy sobie często przypominać.

Dlaczego dziś wybrałem ten fragment z Ewangelii według św. Jana? Dlaczego? Bo mówi on o domu Ojca naszego. Bo daje nam obietnicę, że Chrystus poszedł przygotować nam mieszkania. I dlatego też, bo budowanie domu było pasją Michała. Nie chodzi mi tu tylko o fizyczne stawianie budowli, choć i takie elementy można widzieć patrząc na Jego dom i posesję w Karczewiźnie, ale chodzi mi przede wszystkim o tworzenie atmosfery, tworzenie przestrzeni, w której wielu, wielu z nas, odczuwało akceptację, bezpieczeństwo, czuliśmy się zauważeni, potrzebni, po prostu czuliśmy się kochani. Z Waszych relacji

o Michale, których wysłuchałem, wynika, że właśnie taki Dom udało Mu się zbudować tu na ziemi.

Drodzy, dom, który każdy z nas buduje tu na ziemi, a który jest bardzo mocno związany z naszą ziemską egzystencją, powinien jednocześnie kierować nasze myśli i działania w stronę Niebieskiego Domu Ojca.

Żyjąc tutaj na ziemi możemy czuć się dobrze, albo też możemy znosić różnego rodzaju uciążliwości, ale nie jest to nasz cel życia. My, wierzący w Chrystusa, bierzemy sobie do serca to wskazanie Mistrza, że prawdziwy skarb mamy gromadzić sobie nie tutaj, ale w niebie. To do nas kierowane są słowa Pana Jezusa: «Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą i gdzie złodzieje nie włamują się i nie kradną».

Najbliższa Rodzino Michała, Krewni, Przyjaciele, Znajomi i nie tylko. Dziś jest czas pożegnania, czas płaczu. Żadne słowa nie są w stanie nas doskonale pocieszyć. Tylko Bóg może ująć nas za ręce i sam poprowadzić. Tylko Bóg może przeprowadzić nas przez tę „dolinę cienia śmierci”. Ale przez tę próbę przechodzimy nie w pojedynkę, lecz razem z innymi ludźmi. Obecność drugiej osoby, która podobnie czuje, może tak naprawdę dodawać siły, wzmacniać, posilać. Nie dziwi nas w takich sytuacjach widok, gdy ludzie składając kondolencje przytulają się mocniej do siebie, wypłakują się na ramieniu drugiego człowieka. W ostatnim tygodniu wielu z Was pokazało, że potraficie być razem z najbliższymi śp. Michała, że potraficie być blisko siebie.

Gdzie jest Bóg? – to pytanie, które często pada przy śmierci kochanej osoby. I odpowiedź – jest On blisko człowieka, jest blisko nas, otacza nas swoją opieką, miłością, a używa do tego drugiej osoby. Czasem ludzie zadają to pytanie, jednocześnie nie będąc świadomi, że Bóg używa ich samych do tego, aby Jego słowa stały się dla innych realne.

Dziś przy pożegnaniu Michała towarzyszy nam wiele znaków w liturgii. Jednym z nich jest zapalony paschał – symbol zmartwychwstałego Chrystusa. Ta wielkanocna świeca daje światło na drogę do wieczności, wskazuje na Tego, za którym powinniśmy podążać – na Chrystusa. Jezus, który jest drogą, praw-

dą i życiem, który pokonał śmierć przez swoje zmartwychwstanie, daje nam nadzieję nie tylko na to, że wejdziemy do domu Ojca, ale też na to, że i my kiedyś zmartwychwstanimy. On rozświećla drogę naszego życia, którą idziemy i jest tym światłem, które pomaga w ufności kroczyć w stronę wieczności.

Po Mszy będziemy iść w procesji na cmentarz, aby odprowadzić ciało naszego drogiego Brata na miejsce wiecznego spoczynku. To też piękny symbol drogi – drogi pełnej szacunku dla Zmarłego i pełnej nadziei na życie wieczne. Tak jak naród wybrany kroczył kiedyś do Ziemi Obiecanej, tak i my teraz kroczymy przez życie, które też prowadzi do Ziemi Obiecanej, jaką jest mieszkanie w Domu Boga Ojca.

„W domu Ojca mego jest mieszkań wiele... Niechaj się nie trwoży serce wasze; wierzcie w Boga i we mnie wierzcie!” – mówi Jezus Chrystus. I dalej: „A gdy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem”. Panie prosimy Cię, wprowadź naszego brata Michała do mieszkania w domu Ojca i udziel Mu pełni radości w społeczności Twoich świętych. Amen!

ZBIGNIEW ANDRZEJ ADAMCZYK

DZIEŃ OSTATNIEGO POŻEGNANIA
Z MICHAŁEM JANISZEWSKIM

14 stycznia 2025 roku zmarł przeżywszy 70 lat

Ś. P.

**MICHAŁ
JANISZEWSKI**

Nabożeństwo żałobne odbędzie się **22 stycznia 2025 roku o godzinie 11:30**
w **Katedrze Polowej Wojska Polskiego przy ul. Długiej 13/15 w Warszawie**, po którym
nastąpi odprowadzenie Zmarłego do grobu rodzinnego na **Cmentarz Stare Powązki**.
Kondukt wyruszy o godz. 13:30 od bramy VI (ul. Ostroroga).

O czym zawiadamia
pogrążona w głębokim smutku
Rodzina

CEREMONIA PRZYGOTOWANA PRZEZ: **PRUSZYŃSKI** WWW.PRUSZYŃSKI.WAW.PL

Chyba nigdy równie niechętnie usiadłem przed klawiaturą laptopa jak teraz, pisząc ten tekst.

Poprosił mnie o to dr. Andrzej Anusz, naczelny redaktor OPINII. Chciał, abym napisał tekst o Michale.

Najpierw zdecydowanie odmówiłem nie czując się na siłach w realizacji takiej prośby.

Michał był moim przyjacielem od 1980 roku, przeszliśmy razem trudny okres stanu wojennego działając w strukturach jawnej i podziemnej Solidar-

ności oraz Konfederacji Polski Niepodległej, bywaliśmy na spotkaniach w naszych mieszkaniach, bawiliśmy się na Sylwestrach, wyjeżdżaliśmy na wędkarskie wypadki oraz na saksy do Szwecji...

Widzieliśmy jak rosła nasza dzieci, pijaliśmy wódeczkę lub bimber na imieninach, często pomagaliśmy sobie w sytuacjach, kiedy to wsparcie było potrzebne, wzajemnie się rozumieliśmy nieraz mając nieco inne zdania na dany temat. Nigdy jednak się nie poróżniliśmy, nie było pomiędzy nami konfliktów przez te 45 lat przyjaźni.

Dlatego uważam, że jestem ostatnią osobą, która podołałaby prośbie Andrzeja Anusza tym bardziej, że cokolwiek bym nie napisał o Michale byłoby to zbyt płytkie, płaskie i mało obiektywne.

Michał zasłużył na materiał będący analizą Jego życia, działalności społecznej, związkowej i politycznej, zasłużył na taki tekst napisany przez osobę doświadczoną, mającą dostęp do akt IPN i wielu innych źródeł. Są tacy i jestem pewien, że na innych stronach obecnego numeru OPINII będzie można takie materiały znaleźć.

Zgodziłem się jednak, że napiszę krótki tekst dotyczący ostatniego pożegnania Michała.

Wyleję także sporo żalu na istniejące patologiczne procedury występujące w ochronie zdrowia.

Żeby nie one być może nie musiałbym pisać poniższego tekstu.

Michał Janiszewski zmarł 14 stycznia 2025 r. nie tylko za wcześnie ale i nieoczekiwanie. Zaledwie kilka dni wcześniej 9 stycznia spotkaliśmy się z Jego inicjatywy w gronie kilku osób w siedzibie Instytutu Historycznego Nurtu Niepodległościowego przy Nowym Świecie. Już wtedy źle wyglądał i tak się czuł, jednak poczucie obowiązku w realizacji kilku zadań stojących przez zarządem Instytutu były ważniejsze.

Wtedy, w krótkiej rozmowie w cztery oczy przyznał mi się, że od 18 grudnia 2024 ma skierowanie w trybie cito na oddział kardiologiczny i szpitalu, do których drzwi „pukał” odmawiały mu przyjęcia. Brak miejsc, problemy z kontraktami z NFZ, procedury, okres świąteczny i urlopowy, przyjmują tylko w stanie zagrożenia życia itp.

DZIEŃ OSTATNIEGO POŻEGNANIA Z MICHAŁEM JANISZEWSKIM



Ponieważ nie miał przy sobie tego skierowania poprosiłem Go o przysłanie skanu pocztą e mail. Przysłał je wieczorem, ja natychmiast to wysłałem do mojego kolegi – obecnego przewodniczącego KZ NSZZ Solidarność w Instytucie Kardiologii w Aninie dr. Jerzego Piwońskiego, będącego w dawnych latach moim kolegą i związkowym zastępcą.

Pomimo faktu, że był już późny wieczór zadzwoniłem do Alka przedstawiając mu problem i uzyskałem zapewnienie, że szybko się tym zajmie. Przy okazji wspomniał, że nie będzie to łatwe gdyż procedury NFZ znacząco utrudniają konsultacje i leczenie w jednostkach o najwyższym stopniu referencyjnym. Po drodze był weekend, więc mogłem spodziewać się odpowiedzi nie wcześniej niż w poniedziałek 13 stycznia.

Tego dnia wieczorem Michał był już w szpitalu na Szaserów. Wtedy się uspokoiłem, gdyż jest tam oddział kardiologii, w tym inwazyjnej na najwyższym poziomie.

Tym bardziej, że jako elektroradiolog przepracowałem w Zakładzie Hemodynamiki Instytutu Kardiologii 29 lat i pomimo tego, że nie jestem lekarzem uczestniczyłem w zabiegach diagnostycznych i leczniczych ratujących życie tysiącom chorych, potrafię więc ocenić działania zespołów pracowni hemodynamicznych.

Odważam się na podstawie posiadanych dokumentów i wiedzy uznać, że tamtejszy zespół zrobił wszystko, a nawet więcej w celu uratowania Michała.



DZIEŃ OSTATNIEGO POŻEGNANIA Z MICHAŁEM JANISZEWSKIM

Niestety, po wielu nocnych godzinach ratowania Jego życia, po kilkakrotnych reanimacjach i udrożnieniu kilku gałęzi tętnic wieńcowych Michał zmarł o 6.00 rano 14 stycznia 2024.

Skutki postępującego od kilku tygodni rozległego zawału serca okazały się nieodwracalne.

Czytałem obszerną kartę informacyjną zawartą na 14 stronach, gdzie szczegółowo opisano wysiłki lekarzy.

Nieco wcześniej Michał, na kilka dni przed Świętami Bożego Narodzenia z powodu krwawienia z układu pokarmowego został w trybie pilnym przyjęty na oddział gastroenterologii. Zrobiono Mu niezbędne badania diagnostyczne, udzielono pomocy i wskazówek w zakresie leczenia tej choroby w trybie ambulatoryjnym.

Podczas kilkudniowego pobytu w szpitalu pokazywał lekarzom posiadane skierowanie na oddział kardiologii, co zostało odnotowane w epikryzie Jego karty wypisowej z oddziału!!!

Nie zdecydowano o niezbędnej i pilnej konsultacji kardiologicznej lub przeniesieniu pacjenta na ten specjalistyczny oddział.

Dano Mu wypis do ręki i wigilię, święta oraz Nowy Rok spędził w domu.

Nie działo się to w jakimś prowincjonalnym szpitaliku, lecz w wielo-



zrobiono przy użyciu moto g54 5G
Zbigniew Andrzej Adamczyk

specjalistycznym szpitalu MSWiA w Warszawie przy ul. Wołoskiej, mającym w swojej strukturze bardzo dobrze wyposażony w sprzęt i specjalistów oddział kardiologii, w tym zakład hemodynamiki oraz kardiochirurgię!!!

Może się myłę, ale jestem przekonany, że gdyby wtedy podjęto te działania, które kilka tygodni później wykonano w szpitalu na Szaserów Michał miałby szansę na przeżycie jeszcze wielu lat będąc pod stałą, specjalistyczną opieką kardiologiczną.

Podczas pobytu w tym szpitalu chodził, kontaktowaliśmy się telefonicznie, po wypisie wielokrotnie przyjeżdżał do Warszawy, jak wyżej wspomniałem to On zwołał spotkanie 9 stycznia...

Nic nie wskazywało na tak znaczne skutki zawału (ów), z którymi „walczono” na Szaserów.

W mojej ocenie doszło do dramatycznego zaniechania obowiązków przez lekarzy w szpitalu MSWiA. **Nie powinni wypisać pacjenta bez niezbędnych konsultacji!!!**

22 stycznia 2025 o godz. 10.00 przy ulicy Powązkowskiej w Warszawie Rodzina, grono przyjaciół i bliskich znajomych spotkaliśmy się, aby jeszcze przed uroczystościami pogrzebowymi mieć okazję do ostatniego pożegnania z **Michałem**. Przy otwartej trumnie zmówiliśmy różaniec, który poprowadził kapelan Instytutu Historycznego NN ks. Stanisław Tylus.

Kolejnym etapem pożegnania Michała była Msza Święta o 11.30, która odby-



DZIEŃ OSTATNIEGO POŻEGNANIA Z MICHAŁEM JANISZEWSKIM



ła się w wypełnionej po brzegi Katedrze Polowej Wojska Polskiego, w asyście Warty Honorowej WP, licznych pocztów sztandarowych, wieńców i kwiatów (wśród wielu wieńców były między innymi od Prezydenta RP oraz Marszałka Sejmu), podczas której ks. Stanisław Tylus wzruszająco wspominał o zasługach Michała.

Pani Anna Krakowiak odczytała list od szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych p. Lecha Parella.

Świetne wystąpienie w imieniu Instytutu Historycznego NN miał Mariusz Olszewski, które niżej cytuję:

*„Miejmy nadzieję!... nie tę lichą, marną,
Co rdzeń spróchniały w wątlły kwiat ubiera,
Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.*

*Miejmy nadzieję!... nie tę chciwą złudzeń,
Ślepego szczęścia płochą zalotnicę,
Lecz tę, co w grobach czeka dnia przebudzeń,
I przechowuje oręż i przyłbicę”.*

.....

*A jednak jakieś niedowierzanie,
Myśl szeptem podpowiada,
że może jednak jeszcze się spotkamy,
że przyjdiesz na Zarząd Instytutu Historycznego Nurtu Niepodległo-
ściowego,
że przywitamy się serdecznie na kolejnej konferencji w Górach Święto-
krzyskich,
że kolejny raz upamiętnimy tych z 13 pułku, co polegli w Puszczy Białej,
pod Pecynką,
a może przy kolejnym zrzucie Zapory,

Może się jeszcze spotkamy...*

*tam pod Ostrą Bramą Matki Miłosierdzia,
albo tam na wałach Jasnej Góry Zwycięstwa,
albo tam w krypcie Marszałka na Wawelu?*

Michale !

*Kiedyś rozpoczęłeś swój marsz z Oleandrów
marsz ku marzeniu o wolności.
To była Twoja Kadrówka.*

*Pozostał mi jeszcze w imieniu tak licznych przyjaciół
z pierwszej Solidarności, z Konfederacji Polski Niepodległej, z Wolnego
Związku Zawodowego Sierpień 80, ze Światowego Związku Żołnierzy Ar-
mii Krajowej ...*

Pozostał mi do odczytania ostatni meldunek.

Uroczyście melduję:

*Idealom wierności dochowałeś,
W trudach podziemia, więzień, w pracy i bez pracy,
W Sejmie czy w opozycji sztandar Niepodległości
Zawsze wysoko niosłeś, złamać się nie dałeś.
Polska Ci była Matką,
Jej Niepodległość drogą.*

.....

*„Lecz nie przestajmy czcić świętości swoje,
I przechowywać ideałów czystość:
Do nas należy dać im moc i zbroję,
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość”.*

*Dziś powierzamy Twoją duszę Michale
Bogu Wszechmogącemu za pośrednictwem
Matki Bożej Królowej Polski Wniebowziętej.*



Po uroczystej Mszy Świętej zebrani w Katedrze Polowej WP udali się na cmentarz Stare Powązki aby towarzyszyć Michałowi w ostatniej drodze do miejsca pochówku, gdzie spoczął w grobie rodzinnym obok swojej małżonki Madzi nazywanej przez Niego i wielu przyjaciół „Żabą”.

Po salwie honorowej odśpiewano Marsz I Brygady. Przyznam, że mnie łamał się głos ze wzruszenia i żalu. Na ulokowaną w grobie trumnę sypano płatki róż.

Wśród żegnających Michała osób można było zauważyć wiele znanych twarzy, licznych byłych i obecnych posłów z różnych stron polskiej sceny politycznej, polityków, działaczy związkowych i samorządowych. Były osoby związane z Instytutem Historycznym Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego, który z powodzeniem działa i się rozwija dzięki wielu Jego inicjatywom i pilnowaniu realizacji.

To dzięki Niemu dołączyła do pięknego Bursztynowego Ołtarza w Bazylice w Gdańsku znacznych rozmiarów replika Krzyża Wolności i Solidarności.

To On doprowadził do powstania Stowarzyszenia Klubu Dam i Kawalerów

DZIEŃ OSTATNIEGO POŻEGNANIA Z MICHAŁEM JANISZEWSKIM

Krzyża Wolności i Solidarności, które już zostało zarejestrowane i niebawem rozpocznie przy współpracy z IPN swoją działalność. Wiele z tych inicjatyw można by jeszcze wymienić...

Z wielu stron kraju przyjechali liczni działacze Konfederacji Polski Niepodległej, partii której Michał poświęcił wiele lat życia, partii w której był powszechnie znany i lubiany.

Niespełna miesiąc później (20 lutego 2025) w licznym gronie uczestniczyliśmy w mszy świętej w intencji zmarłego Michała Janiszewskiego. Ta uroczysta msza także odbyła się w Katedrze Polowej WP.

ŻEGNAJ PRZYJACIELU...

„MISIEK” BYŁ SOLIDNĄ MARKĄ I FIRMĄ

O Michale Janiszewskim (1954–2025) wspomnienie młodszego kolegi z Konfederacji Polski Niepodległej

Słowa „u Miśka na Tarchominie” wiele razy przewijały się w naszych rozmowach, kiedy jeszcze w pomieszczeniach zamkniętych nie wymieniano się nazwisk, bo ściany mogły mieć uszy. Wszyscy jednak wiedzieli, że właśnie w tamtej lokalizacji dzieją się rzeczy ważne nie tylko dla KPN ale całego środowiska antykomunistycznej opozycji niepodległościowej.

Kiedy nieco później, choć grubo przed przełomem ustrojowym, poznałem osobiście Michała Janiszewskiego – okazało się, że mir, jakim się cieszy, jest całkiem zasłużony. Z czasem okazał się znakomitym organizatorem mnóstwa kolejnych dobrych spraw: od zwycięskiej kampanii Konfederacji Polski Niepodległej przed pierwszymi wolnymi wyborami do Sejmu (jesienią 1991 r.), które dała jej trzecią tam reprezentację, po przez niego współtworzony w kilkanaście lat później Instytut Historyczny Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoi – Owsianego, teraz prężnie zawiadywany przez Andrzeja Chyłka i pozostający niezawodnym mecenasem prawdy o dziejach najnowszych. Tej, którą chronić trzeba nie przed przekłamaniami nawet, lecz tym zapomnieniem, przed którym zasadnie przestrzegał nas wielki pisarz Praskiej Wiosny Milan Kundera.

Dzisiaj wszystkim, może poza zawodowymi historykami wyspecjalizowanymi w międzywojniu, „Gazeta Polska” kojarzy się jak najgorzej, bo z niewybred-

na propagandą obozu dawnej władzy (tej z lat 2005-7 i 2015-23), zasłużenie odgonionej od złobu przez demokratyczną większość Polaków – ale wtedy, w pięknych latach osiemdziesiątych, był to dumny tytuł flagowego pisma KPN. W ferworze przełomu ustrojowego wydawcy zapomnieli go zastrzec, więc występujący w roli piratów Piotr Wierzbicki i Tomasz Sakiewicz kolejno i bezkarnie wydają pod tym samym brandem propagandową gadzinówkę Prawa i Sprawiedliwości. W latach 80. tytuł wzbudzał jednak inne, pozytywne emocje. I nadzieję.

Jak opisaliśmy wspólnie z redaktorem naczelnym „Opinii” Andrzejem Anuszem w wydanej na trzydziestolecie powołania pierwszej między Łabą a Władystokiem antykomunistycznej partii książce „Konfederacja. Rzecz o KPN”:

„KPN-owska »Gazeta Polska« tytułem nawiązuje do Ignacego Matuszewskiego i Adama Koca, również winietę ma przedwojenną, jako adres redakcji podaje mieszkanie Krzysztofa Króla przy Lumumby. Zadowolona pozostaje oczywiście poligrafia. Za technikę odpowiada Michał Janiszewski. Lokal »u Miśka na Tarchominie« staje się KPN-owską instytucją. Z tajemniczą miną mówią o nim nawet ci, którzy nie znają adresu ani nazwiska i gospodarza, wyklejaniem gazety na matryce zajmuje się jego żona Magda. Zaś Jurek ps. Wkrętak kopiuje matryce na blachy offsetowe. Konspirację stosuje się tylko tam, gdzie jej reguły okażą się naprawdę konieczne» [1].

Czasem jednak wciąż pozostają niezbędne, dlatego z tym kultowym adresem „u Miśka na Tarchominie” będzie kłopot, bo i dziś niełatwo tam trafić, zwłaszcza odkąd zaniedbujący Warszawę podobnie jak kiedyś Lech Kaczyński w imię ogólnopolskich ambicji politycznych jej nieudolny prezydent Rafał Trzaskowski złośliwie skrócił trasę autobusu 518 z Placu Trzech Krzyży tylko do Bielańskiej, żeby mieszkańcy musieli się przesiadać i nabijali kabzę miejską, płacąc więcej za bilety.

Wtedy za komuny też diabeł mówił tam dobranoc, a wrony kojarzone wtedy ze skrótem powołanej przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego wojskowej rady ocalenia narodowego zawracały...

Kiedy wraz z Katarzyną Pietrzyk, wówczas studentką prawa i autorką zajmującej pracy magisterskiej oczywiście o Józefie Piłsudskim, później posłanką KPN w pierwszej wolnej kadencji 1991-93, pracujemy u mnie na Kopernika nad makietą pisma organizacji akademickiej: „Orzeł Biały”, nagle okazuje się, że Kasia – choć naczelna tytułu – zapomniała adresu, pod który ma gotowy produkt zawieźć. Dzwoni więc ode mnie do Wojciecha Gawkowskiego, dziś cenionego mecenasa, wtedy szefa organizacji akademickiej a potem warszawskiej. Ten ze względów konspiracyjnych dokładnych danych przez telefon podać nie chce. Chociaż wcześniej stanowili parę – a może właśnie dlatego – handryczą się strasznie. Wreszcie wspólnie jakiś szyfr uzgadniają. Katarzyna, wtedy też poetka, a nie tylko działaczka, co jej roztrzępianie tłumaczy – trafi, dokąd trzeba i kolejny numer „Orla Białego” w przewidzianym terminie znajdzie się w kolportażu.

Nie muszę chyba dodawać raz jeszcze, że mogło chodzić wyłącznie o jeden adres: „u Miśka na Tarchominie”. Bo niby o jaki inny... Przecież już Państwo to wiecie.

Ktoś musiał poświęcić się i ryzykować, aby zgrabne myśli młodych opozycyjnych intelektualistów – zawarte w szkicach późniejszego wiceministra kultury w trzech rządach wolnej już Polski Tomasza Merty, co nie wrócił z delegacji do Smoleńska w kwietniu 2010 r, a wtedy na łamach biuły lat 80. zajmował się ideami Leopolda Tyrmanda ale także Dalajlamy, czy moje eseje o Zygmuncie Krasińskim i Maurycym Mochnackim jako pisarzach politycznych a nie tylko literatach – docierały do środowisk studenckich. czytających „Orla Białego”. Tym kimś był niezawodny Misiek.

Doceniałiśmy go już wtedy, czytani w literaturze neoromantycznej, odkrywający innego niż ten znany ze szkolnych akademii zalkoholizowany i rozczarowany celebryta komunistyczny, Władysława Broniewskiego: legionistę i żołnierza wojny obronnej z bolszewikami w 1920 r, co pisał także:

*„Gdzieś w górze, krzykliwy i czarny
rój ptactwa rozsypał się w szereg
jak czcionki w podziemnej drukarni
gdy nocą składali we czterech” [2].*

O wronach była już mowa. Na tym, że ich krakanie nie zdominowało na trwałe obrazu polskich lat osiemdziesiątych ani wolnych myśli nie zagłuszyło – polega zasługa takich robotników jak Michał Janiszewski, którzy zgodnie z marzeniem wielkich wizjonerów romantycznych a potem działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej w tym samego towarzysza Wiktora czyli Józefa Piłsudskiego a z czasem i legionowego poety Władysława Broniewskiego, tego co wiersze patriotyczne umiał pisać również w „marmrze sowieckim”, choć nie miał pewności, że tam nie „zgnije” – przeszli od skromniejszej działalności związkowej do partii niepodległościowej. Zaś ich uniwersytetami – niczym Maksyma Gorkiego – stały się więzienia. To nie ozdobnik żaden. Tylko fakt. Potwierdzają go liczne relacje.

Robotnik Michał Janiszewski, wtedy pracownik fabryki sprzętu medycznego Farum ulokowanej, to znak czasu, przy warszawskiej Alei Stalingradzkiej, do KPN przekonał się „pod celą” na Rakowieckiej, dokąd trafił za drukowanie „Tygodnika Mazowsze”, a musiał to czynić skutecznie, skoro zamiast zwykłej bezpieki zatrzymywała go grupa specjalna z WSW, podobnie jak Józefa Pinióra czy Bogdana Borusewicza.

Przekonał się za sprawą późniejszego wicemarszałka Sejmu Dariusza Wójcika i wiceprzewodniczącego Akcji Wyborczej Solidarność w nieco ponad dekadę później Adama Słomki. Na tyle, że po jego wyjściu na wolność weszli do Konfederacji Polski Niepodległej większą grupą: wraz ze Zbigniewem Adamczykiem, Andrzejem Chyłkiem wtedy z Mostostalu i lekarzem Michałem Tokarzewskim. Pierwszy i trzeci podobnie jak Janiszewski zostali później posłami, w wolnych już, jak przystało, wyborach. Zaś Chyłek szefem Instytutu im. Ostoi-Owsianego.

Sam zaś Janiszewski po dwóch sejmowych kadencjach (1991-93 z KPN oraz 1997-2001 z listy AWS ale potem w barwach KPN-Ojczyzna) stanie się przedsiębiorcą. Zachowa też wrażliwość społeczną, próbuje ze zmiennym szczęściem budować Polską Partię Pracy. Siedzibę ma ona przy Placu Zbawiciela, chociaż Janiszewski hipsterem nie zostanie. Zachowa powierzchowność i maniery sarmaty. Biznesmeński status nie rzuci mu się na dekiel.

Całkiem odwrotnie: w nowej roli Michał Janiszewski osobiście stara się robić jak najwięcej. I zachowuje poczucie humoru także na własnym punkcie. Żartuje, że ma za grube paluchy do wysyłania sms-ów.

Michał Janiszewski. Nasze pokolenie ma wobec niego dług wdzięczności. Podobnie jak licealiści czy młodzi robotnicy z podziemnych komisji zakładowych zdelegalizowanego związku zawodowego Solidarność, przeglądający wtedy „Gazetę Polską”, mniej może prestiżową, ale niosącą szeroko wolne słowo. I czytelnicy opublikowanych przez Wydawnictwo Polskie, którym Janiszewski kierował, szkiców Leszka Moczulskiego ze słynną „Rewolucją bez rewolucji”, wspomnień kombatantów takich jak płk Józef Szostak czy wreszcie pism samego Komendanta i Naczelnika Państwa, z których komuna zezwalała wtedy w latach osiemdziesiątych wyłącznie na dwa tomy („O państwie” i „O armii”), a z reszty wystarczyć musiały skromne cytaty zawarte w książkach nadzorującego wtedy pamięć zbiorową oficjalnego historyka Andrzeja Garlickiego, po latach zdemaskowanego przez Andrzeja Anusza jako konfident służby bezpieczeństwa pod kryptonimem Pedagog – a Michał Janiszewski poza zasięgiem cenzury wydawał wszystko, co Marszałek napisał.

W końcu to patron KPN Józef Piłsudski stał się wynalazcą zastosowania słowa „bibuła” w odniesieniu do nielegalnych publikacji. I sam został przez ochranę carską zatrzymany przy drukowaniu „Robotnika” w Łodzi. Dziś w miejscu, gdzie to się stało przed 125 laty – wmurowana została tablica. Umieszczona tam staraniem Andrzeja Ostoi-Owsianego. Opozycjonisty od lat 40. (nastoletni łącznik konspiracji Warszycy – Stanisława Sojczyńskiego, przedwojennego nauczyciela i działacza Strzelca) i pięćdziesiątych (filar studenckiego Związku

Młodych Demokratów). O jego z kolei upamiętnienie zadbał Michał Janiszewski, wraz z Andrzejem Chyłkiem tworząc Instytut Historii Nurtu Niepodległościowego jego imienia, a u mnie zamawiając biografię patrona, wydaną u Roberta Nowickiego i Andrzeja Anusza, również bohaterów opozycji antykomunistycznej, tyle, że z najmłodszego ale i najskuteczniejszego jej pokolenia, w wydawnictwie Akces [3].

Dbaj o pamięć o innych, sam z pewnością nie będzie zapomniany.

[1] Andrzej Anusz, Łukasz Perzyna. Konfederacja. Rzecz o KPN. Akces, Warszawa 2009, s. 81.

[2] Władysław Broniewski. Elegja o śmierci Ludwika Waryńskiego [w:] Adam Galiński. Poezja Polski Odrodzonej. Obraz twórczości poetyckiej doby współczesnej 1913-1930. Nakładem Księgarni K. Neumillera, Łódź 1931, s. 135.

[3] por. Łukasz Perzyna. Jak z Pierwszej Brygady, Opowieść o Andrzeju Ostoi-Owsianym. Akces, Warszawa 2011.

WŁODZIMIERZ KULIGOWSKI

LIST DO SIGMY

Śp. Michałowi Janiszewskiemu, Rycerzowi Polski Niepodległej

1

Topór czasu, kret nieznanego wiatru,
nie uznaje praw na prostokątnej kulce
ani ważności chorób czy kalendarzy.
Lubi atakować o świcie,
gdy wojownicy nakrywają się snami,
niczym żołnierze kocem w okopie.
Przyjmij to z godnością
starego tygrysa,
który tylko z nudów liże blizny przeszłości.

2

Przyjmij ciosy jakby to były orzechy,
rzucane z wysokiego nieba,
przez wrednego kruka,
albo sopte lodu, co spadły z warowni rycerzy pamięci
Marii Magdaleny.
Podobno Bóg mówi do człowieka tylko raz,
nim go stworzy,
lecz daje znaki i prostuje ścieżki.

LIST DO SIGMY

3

Poświęta już w dolinie i wzgórzach koczuje;
plamami ruchliwymi i mglistymi,
niby rozbrykane dziecko.
W lesie spadł pierwszy śnieg -
pejzaż wygląda jak z bajki Andersena,
widzisz to, Miśku z Tarchomina

4

Uciekaj od rechatliwej tłuszczy,
odoru trucizny z nerek, krtani, płuc;
od tej rasy nizinnej,
co zazdrości Ci nawet wojskowych salw.
Uciekaj od płatnych urzędników,
zdrajców o małych twarzach,
jak oranżada w proszku;
sław wysłanych w smrodzie zdrady.
Biegnij, ile masz sił, od głodnych trzewi -
sług Fausta, bankierów, i opieki społecznej.

5

Pamiętaj: wojownicy nie mają schowków
ani przyjaznej zatoki,
z flotyllą pod pełnymi żaglami.
Mają tylko błoto i wertepy,
ciągle głodny piec węglowy,
zamiast pejzażu Chełmońskiego;
stary plecak,
z urzędowymi pismami i „Opinią”,
niby garb niechciany.
Kiedyś skrytką zakazanych liter -

wrogów niewoli, krwawej gwiazdy
i teorii Darwina

6

Twój spirit jest gotowy do odjazdu.
Kontrolerzy czarnych dziur i mierniczy
nieznanych wielkości,
ustalili trajektorie lotu,
przystanki na rejestr przewin,
karę i date przeznaczenia.
Owocem ziarenka wiedzy
jest głównie niewiara -
ona nawet wątpi,
gdy zobaczy wstające słońce.

7

Nie lękaj się tych z lat minionych,
co odjechali bez pożegnania,
z kneblem albo gipsem w ustach,
by nikt nie usłyszał krzyku prawdy,
buntu ani wiary Pana.
Niech Cię prowadzą niebieskie kule,
opiekunki nawróconych i przyszłych świętych,
gdy trawisz poniżej linii śniegu
i wiecznego lodu,
a później do gniazd jaskółek,
ufnych synogarlic,
kwitnących sadów i winnic.

8

Nie bój się.
Czarne ptactwo nie dręczy krzywdzonych.

LIST DO SIGMY

Już nie grożą skrzeczeniem
ani łopotem skrzydeł,
choć oni wciąż pamiętają huk kluczy w zamku celi
karcer ze szczurami,
ślady kul na murze ...,
to wszystko pamiętają,
choć z ich katów została tylko szufelka
popiołu i chemii.

9

Niech światło kandelabra załśni
w podwójnym lustrze,
w gabinecie Marszałka,
niczym cięcie ułańskiej szabli;
wskrzesi dumne rozkazy, tętent koni,
śpiew Pierwszej Brygady,
kręcący się powielacz, oddech fortepianu,
wiersze Słowackiego...

10

Podnieś w górę wskazujący palec.
Niech czas obróci w proch
gwoździe w ciele Pana;
wyprostuje plecy, nogi, ręce,
ostudzi głowę, uzdrowi serce.
Niech zwątpienia gorzki absynt,
stanie się tylko pomyłką
w tasowanych kartach;
później granitem i światłością.

Styczeń 2025

UROCZYSTOŚĆ W BELWEDERZE



27 stycznia 2025 r. w Belwederze odbyła się uroczystość wręczenia nadanych przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudę odznaczeń państwowych. W imieniu Prezydenta odznaczenia wręczał minister Andrzej Dera. Wśród odznaczonych znaleźli się: redaktor naczelny „Opinii” dr Andrzej

UROCZYSTOŚĆ W BELWEDERZE

Anusz, który odznaczony został „za wybitne zasługi w upowszechnianiu prawdy o najnowszej historii Polski, za działalność w obronie wolności słowa w PRL oraz zaangażowanie w działalności państwowej i publicznej” Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz członek redakcji „Opinii” Jan Józef Kasprzyk, który odznaczony został „za wybitne zasługi na rzecz pielęgnowania pamięci o najnowszej historii Polski i kształtowania postaw patriotycznych, za działalność na rzecz środowisk kombatanckich” Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

ŁUKASZ PERZYNA

SCENARZYSTA POLITYKI, RZECZNIK PAMIĘCI, PRZYJACIEL
KOMBATANTÓW
WSZYSTKIE ROLE SPOŁECZNE ANDRZEJA ANUSZA



W przyznaniu właśnie Andrzejowi Anuszowi wysokiego odznaczenia państwowego zawiera się pewna sprawiedliwość, skoro przez tyle lat on sam dbał skutecznie o to, żeby orderzy nie omijały innych zasłużonych. Kiedy jednak prezentuje się jego sylwetkę, to chociaż pozostaje naczelnym "Opinii" i sekretarzem "Niepodległości" oraz animatorem Instytutu im. Andrzeja Ostoi-Owsianego, pełnił też rozliczne funkcje w zajmujących się kombatanckimi organizacjach – trudno ograniczyć się wyłącznie do jego roli kustosa.

Nie jest bowiem Anusz starszym panem z brodą, jak niegdyś wspomnia-

ny już Ostoja-Owsiany czy niezapomniany Bohdan Urbankowski. Tylko niespełna sześćdziesięciolatkiem o sportowej sylwetce, którą zawdzięcza regularnej wciąż grze w tenisa (znajomości z kortu przydały się "Opinii", gdy wspólnie przeprowadziliśmy dla niej rozmowę z odkrywcą talentu Igi Świątek, Bernardem Rejniakiem [1]) oraz treningom szczypiorniaka w młodości: gry nazwanej zresztą tym mianem od miejsca internowania legionistów, co akurat dla tej historii nie ma większego znaczenia, chociaż ten szczegół ją ubarwia.

Sztuka ocalania świadectw

Fotoreporter Mirosław Mikulski, wtedy student polonistyki ale z maturą z technikum, co miało spore znaczenie dla niezbędnych mu w pracy manualnych zdolności, odznaczał się w latach 80. niezwykłym instynktem. Wyskakiwał z szeregu demonstrantów, robił z bliska zdjęcie zomowcom, tak, że dawało się później rozpoznać ich twarze – i po chwili na powrót znajdował się znów między ludźmi. Jego fotografie trafiały do różnych tytułów prasy drugiego obiegu. Po latach zdjęcia, których nie wykorzystał, trzymał w piwnicy bloku na Woli, dzielnicy, gdzie się wychował. Z pewnością mama pana Mirka wyrzuciłaby te niepozorne pudła przy kolejnych wielkanocnych porządkach.

Zadzwoił jednak wtedy do Mikulskiego Andrzej Anusz. I dzięki ich rozmowie ocalone fotogramy zilustrowały popularną historię Konfederacji Polski Niepodległej opublikowaną na 30-lecie jej powołania przez mieszczący się wtedy na Żoliborzu Akces [2]. Wydawnictwo nawiązuje do tradycji drugiego obiegu, prowadzi je z niespożytą energią dawny uczestnik antykomunistycznej opozycji Robert Nowicki, stanowi też wciąż miejsce pracy samego Anusza.

Ten ostatni w opisaney historii wystąpił więc nawet nie jako kustosz, lecz ratownik, niczym strażak gaszący pożar w archiwum lub muzeum, ocalający świadectwa historii.

Najpierw współtworzy historię, później dba o jej bohaterów

Nie wymaga zapewne długiego uzasadnienia przyznanie orderu Polonia Restituta społecznikowi, który przez wiele lat działalności w organizacjach służących kombatantom towarzyszył weteranom w podróżach na Monte Cassino i do Gibraltaru, w trakcie niezliczonych obchodów rocznicowych w miejscach wydarzeń czy opłatków w historycznym gmachu Pasty, ale przede wszystkim w prostowaniu ich codziennych problemów. Z iście pozytywistyczną ofiarnością i cierpliwością.

Na szczególną uwagę zasługuje wieloletnia współpraca Anusza z szefem Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Janem Józefem Kasprzykiem, którego na własny użytek – sceptyczny wobec tamtej władzy – zwykłem nazywać jedynym dobrym ministrem pisowskich rządów z lat 2015-23. Zaslugą UdsKiOR w tym czasie pozostaje zagwarantowanie kombatantom z pokolenia Solidarności czy KPN comiesięcznych świadczeń, dla wielu – o czym mówili publicznie na spotkaniach – otwierające możliwość wykupienia przepisanych lekarstw. Dla innych zaś – stanowiące mocny dowód, że wolna Polska o nich pamięta. Wielu z nich o własnym uhonorowaniu dowiedziało się właśnie za sprawą Anusza. Stał się swego rodzaju łącznikiem między urzędnikami a środowiskami dawnego Niezależnego Zrzeszenia Studentów (gdzie Anusz jako członek słynnej "dziesiątki", kierownictwa z 1988 r. powołanego dla uczelni warszawskich – był jednym z przywódców) i Konfederacji Polski Niepodległej (z której wywodzili się partnerzy takich przedsięwzięć jak wznowiona po wielu latach "Opinia" oraz działający prężnie pod prezesurą Andrzeja Chyłka Instytut Historii Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoi-Owsianego).

Wymieniony już Akces, którego animatorami pozostają Robert Nowicki i Andrzej Anusz wydał przez ponad trzydzieści lat istnienia m.in. dziesięciotomową edycję pism Józefa Piłsudskiego, kolejne eseje Bohdana Urbankowskiego ale także prozę nowych na rynku autorów jak powieściową "Trylogię Mazurską" Jerzego Woźniaka. Nowicki i Anusz uczynili Ak-

ces poważaną nie tylko przez miłośników historii marką, kojarzoną z jakością i nieprzypadkowym doбором oferty przeznaczoną dla skłonnych do refleksji czytelników.

A nie wszyscy przecież na rynku wydawniczym w trudnym czasie polskich przemian podejmowali ryzyko publikowania książek ambitnych. Wedle wielu koncepcji dotychczasowa inteligencja, adresatka poważniejszej niż kryminały czy arlekinów i podobne im wyciskacze łez, wydawniczej oferty, miała się przecież rozpaść na aspirującą klasę średnią i walczącą o byt sferę budżetową. Dopiero Literacka Nagroda Nobla dla Olgi Tokarczuk zmieniła nieco postrzeganie tej sytuacji.

Zimna krew, wytrenowana przez lata działań w opozycji antykomunistycznej, w której Nowicki i Anusz reprezentowali najmłodsze aktywne pokolenie, pozwoliła im również w zmiennych warunkach nowej wolnej Polski robić swoje bez oglądania się na innych.

Cechuje ona również Anusza w roli badacza historii najnowszej. Od czasu stanu wojennego, kiedy jako licealista z dobrej szkoły im. Dobiszewskiego na Mokotowie zaczyna karierę w roli kolportera GNOM-u ("Gazeta Niezależnej Organizacji Młodzieżowej"), nie tylko interesuje się życiem publicznym ale pragnie w nim uczestniczyć, aż znajdzie z czasem własny format utrwalenia doświadczeń i obserwacji.

To strategia "widza i uczestnika", nawiązująca do koncepcji francuskiego filozofa Raymonda Arona, niewątpliwie jednego z największych umysłów XX wieku. Wiąże się z uznawaną w socjologii od kilkudziesięciu lat postawą obserwacji uczestniczącej. Historykowi przyjęcie podobnej zasady pozwala na zobiektywizowanie własnego doświadczenia i poparcie go analizą dokumentów. Taką formułę wybierze właśnie Andrzej Anusz, studiujący najpierw historię w "czasach burzy i naporu" na Uniwersytecie Warszawskim (nawet tematy prac semestralnych wybiera niebanalne, jak myśl św. Tomasza z Akwinu), a później nauki społeczne na UKSW. W kolejnych jego książkach i artykułach przewija się uogólnienie wniosków, płynących z publicznej aktywności, wzbogaconych

o przegląd stanu badań i zestawienie pojawiających się w nich poglądów. Także o historię rodzinną w tym zakresie, w jakim pozostaje istotna dla ogółu: Andrzej Anusz opublikuje więc wybór pism swojego stryjecznego pradziadka Antoniego Anusza, bohatera z Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej, zesłańca syberyjskiego, bliskiego współpracownika samego Józefa Piłsudskiego i twórcy kluczowego dla myśli i praktyki działań Naczelnika Państwa pojęcia imponderabiliów. A także wspomnienia ojca Zbigniewa Anusza, podczas wojny konspiratora z Kedywu Armii Krajowej i podziemną gazetkę jednoosobowo w stanie wojennym przez niego, wówczas profesora epidemiologii i weterynarii, redagowaną i rozpowszechnianą w standardzie "samizdatu".

Niebywale cennym autentykiem tak socjologicznym jak historycznym okaże się włączone do książki Andrzeja Anusza "Nielegalna polityka" świadectwo... jego własnego autorstwa: pochodzący z lat 80. "Zielony kalendarz", rodzaj dziennika lektur własnych dwudziestoletniego opozycjonisty, laureata olimpiady przedmiotowej w licealnych czasach, studenta pochodzącego z profesorskiej rodziny. Naprowadza nas na kanon lektur pokolenia.

Jak precyzyjnie wyłuszcza Anusz: "Zapiski prowadziłem w kalendarzu książkowym z logo firmy "Rybex", w zielonej okładce z roku 1981, a więc czasu "solidarnościowego karnawału". Notatki prowadziłem w latach 1984-89; pochodzą z książek wydanych w drugim obiegu. Myślę, że dobrze oddają moje ówczesne zainteresowania (..)" [3]. Wynika z nich, że młody intelektualista z akademickiej opozycji pochylał się wtedy nie tylko nad "Archipelagiem Gułag" Aleksandra Solżenicyna i "Rokiem 1984" George'a Orwella, ale też sporo wynotował z broszury poznańskiego profesora Leszka Nowaka, oryginalnie i finezyjnie używającego metodologii marksistowskiej do krytykowania realnego socjalizmu w PRL ("Liczą się tylko masy") oraz z niełatwego w odbiorze eseju nowofalowego poety Leszka Szarugi "Kultura niezależna a struktury oficjalnie". Józef Piłsudski ("Bibuła") sąsiaduje na kartach tego dziennika lektur z Adamem Michnikiem (artykuł "O oporze" z "Krytyki" nr 13-14 z 1983 r.).

Prace Andrzeja Anusza przyczyniły się wydatnie do zrozumienia drugiego obiegu wydawniczo-literackiego w kategoriach fenomenu kulturowego i społecznego, a z czasem rozszerzenia tego pojęcia na całą "nielegalną politykę", czyli ogół zwalczanych przez władze przed 1989 r. działań niezależnych.

Autor nie tylko książek, ale wielu pożytecznych rozstrzygnięć

Wieloletnia aktywność polityczna Anusza to rola scenarzysty wydarzeń, jaką przyszło mu odegrać w przełomowych momentach najnowszej historii Polski. W polityce po 1989 r. działało wielu aktywistów podziemnego Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Sporo z nich zasiadało w Sejmie dwie kadencje jak Anusz, albo nawet i dłużej. Przeważnie jednak – z wyjątkiem oczywiście Donalda Tuska jako autora apelu założycielskiego o powołanie ogólnopolskiej organizacji studenckiej ogłoszonego w Sierpniu 1980 r. pod bramą Stoczni Gdańskiej z udziałem m.in. przyszłego pisarza Pawła Huelle – nie odegrali jednak podobnie sprawczej roli. Silnie wprowadzić zaznaczyli swoją obecność w polityce tacy dawni działacze NZS jak Grzegorz Schetyna, Mariusz Kamiński czy Ryszard Czarnecki, jednak byli oni parlamentarzystami przez lat kilkadziesiąt a nie sześć tylko jak Andrzej Anusz, od chwili zakończenia swej drugiej kadencji funkcjonujący w życiu publicznym jako socjolog i socjolog.

Przed 4 czerwca 1989 r. Andrzej Anusz poprowadził na Żoliborzu zwycięską, jak się okazało, kampanię kandydata Komitetu Obywatelskiego Solidarność Jacka Kuronia. W całej Polsce odbywał się wtedy plebiscyt, a tylko w dawnej dzielnicy ks. Jerzego Popiełuszki – wybory prawdziwe. Rywalem Kuronia, niegdyś głównej postaci Komitetu Obrony Robotników, został bowiem mec. Władysław Siła-Nowicki, postać posagowa, znany jako obrońca w procesach politycznych PRL. I to właśnie Anusz nowoczesnymi metodami kampanii (przeprowadzano nawet zaimprovizowane badania opinii publicznej) z grupką młodych jak on sam współpracowników-studenciaków (Piotr Wójcik czy Tomasz Jakubiak) doprowadził do wygranej Kuronia w tej prestiżowej walce.

W której druga strona nie przebierała w środkach, skoro Sewerynowi Jaworskiemu zdarzyło się nawet przewrócić postawiony przez chłopaków pod kościołem Św. Stanisława Kostki stolik z materiałami wyborczymi.

W rok później podobnie nie przebierała w środkach reprezentowana m.in. przez Kuronia "frakcja etosowa", wywodząca się z tradycji korowskiej i zmierzająca do przejęcia ruchu komitetów obywatelskich oraz całej Solidarności, w celu zbudowania na ich bazie nowej monopartii w zamierzeniu centrolewicowej, skłonnej też do współpracy z postkomunistami. Zamiarowi temu przeciwstawił się skutecznie Lech Wałęsa, jednak autorem technologii przeciwdziałania planowi Kuronia, Bronisława Geremka i Adama Michnika – okazał się raptem 25-letni wtedy Andrzej Anusz, w czym doświadczenia zdobyte zarówno w podziemnej działalności w NZS, jak w pamiętnej kampanii żoliborskiej z pewnością okazały się pomocne.

To Anusz wpadł na pomysł, żeby Wałęsa zwołał zebranie Komitetów Obywatelskich dzień wcześniej niż planowali je ludzie Geremka, zmierzający do przejęcia całej puli.

Jak opisywał po latach sam autor tego wariantu, po którego wprowadzeniu w życie Krajowa Konferencja Komitetów Obywatelskich odbyła się już w sobotę 30 czerwca 1990 r. zamiast w planowanym przez zwolenników jednolitej "partii etosowej" terminie 1 lipca, co nazwano nawet uderzeniem wyprzedzającym: "Podczas tego spotkania działacze komitetów obywatelskich zadeklarowali lojalność wobec przewodniczącego Solidarności. Pamiętam, jak po tej decyzji obecna na sali obrad ówczesna posłanka OKP Barbara Labuda płakała i krzyczała: "Coście zrobili!". 17 września 1990 roku Lech Wałęsa oficjalnie zadeklarował swój udział w wyborach prezydenckich" [4].

Tym samym pierwsza bitwa "wojny na górze" zakończyła się zwycięstwem przewodniczącego NSZZ "Solidarność" i laureata Pokojowej Nagrody Nobla Lecha Wałęsy a nie premiera Tadeusza Mazowieckiego. Podobnie, jak kolejna – rozstrzygająca – w jesiennych wyborach prezydenckich tego samego 1990

roku. Tak jak poprzedni, kluczowego dla polskiej demokracji. Pojawić się też miała dodatkowa komplikacja, ponieważ w pierwszej turze Mazowiecki przegrał nie tylko z Wałęsą, co zważywszy, że premiera przeżywano wtedy złotwem, doskonale dawało się przewidzieć – ale również z zagadkowym "przybyszem znikąd" (wedle własnej wersji: z Kanady i Peru) Stanisławem Tymińskim, którego w sztabie otaczali dawni konfidenci (Józef Kossecki) i propagandziści "Trybuny Ludu" znani z zagadkowych misji w Ameryce Łacińskiej (Roman Samsel). Kiedy Mazowiecki odpadł już z gry, właśnie pracujący wtedy dla Wałęsy Anusz załatwił, że zwolennicy ustępującego premiera pomimo rozżalenia przekazali jednak sztabowcom przewodniczącego NSZZ "S" pożyteczne w dalszej kampanii materiały o kontrkandydacie Tymińskim. Co w nich było – kiedyś może opowie a raczej napisze jako historyk i dokumentalista sam Anusz. Wiemy, że w polityce jest człowiekiem nader powściągliwym. Zgadywać zaś nie ma po co. Wedle moich wiadomości, ich zawartość nie pozostała bez wpływu na wynik wyborczy, za którego sprawą Polska uniknęła wtedy najgorszego.

Da się oczywiście zarzucić Anuszowi, przynajmniej w jego roli polityka – choć podkreślić wypada, że nigdy nie wyczerpywała ona jego aktywności – przejście na drugą stronę barykady politycznego konfliktu. Nie dziwił się jednak wcale sam Jacek Kuroń, że postąpili tak wykonawcy jego żoliborskiej kampanii sprzed 4 czerwca 1989 r. Andrzej Anusz i Piotr Wójcik. Co więcej – właśnie Kuroń samego siebie o ich woltę obwinił, podkreślając zarazem bezinteresowność swoich młodych pomocników: "(...) Zaproponowałem jakieś wynagrodzenie Andrzejowi Anuszowi – stanowczo odmówił (...). Andrzej i Piotrek pracowali 24 godziny na dobę (...). Potem ich porzuciłem, można nawet powiedzieć – zdradziłem (...). Gdybym umiał znaleźć czas na rozmowę z nimi, wyznaczył zadania wciągające ich w przemiany. Nie chodziło o stanowiska, oni ich nie chcieli. Szło o udział w budowie nowego" [5]. Jak widać jednak, obaj swoją drogę do wielkiej polityki i bez pomocy "druha Jacka" skutecznie odnaleźli.

Obaj zostali wybrani, tyleż realnie co symbolicznie, do pierwszego Sejmu pochodzącego z całkowicie wolnych wyborów jesienią 1991 r. W klubie Po-

rozumienia Centrum Andrzej Anusz skupił wokół siebie grupę posłów, domagających się od Jarosława Kaczyńskiego szczerego a nie tylko taktycznego poparcia dla "rządu przełomu" jaki tworzył wówczas mec. Jan Olszewski. Prezes Kaczyński liczył jednak już na kolejne rozdanie: przyszlą koalicję z Unią Demokratyczną, która miała go wprowadzić na salony.

Na okładce cytowanej już tu raz "Osobistej historii Porozumienia Centrum" widnieje zdjęcie pos. Anusza, jak pokazuje Kaczyńskiemu cyferblat własnego zegarka:

– Już czas, panie prezesie.

Symbolika fotografii pozostaje oczywista.

Kiedy w maju 1992 r. szedłem do Belwederu do Lecha Wałęsy, w drzwiach minąłem się z wychodzącym od niego Anuszem: właśnie zakończyło się ich spotkanie ostatniej szansy, bo poseł PC do końca próbował zbudować pomost między prezydentem a premierem Olszewskim, pozwalający chociaż "rządowi przełomu" na dalszą pracę.

Przedstawiciele grupy "chadecko-komitetowej" jak nazywano posłów stojących wówczas za Olszewskim i Anuszem (ze względu na chrześcijańsko-demokratyczne przekonania i wcześniejszą aktywność w ruchu komitetów obywatelskich) odeszli ostatecznie z klubu Porozumienia Centrum.

Wywiady i wypowiedzi Andrzeja Anusza dla mediów, zwłaszcza dziennika "Obserwator Codzienny" pokazują, że jako pierwszy rozpoznał niemal bezbłędnie negatywne cechy charakteru Jarosława Kaczyńskiego, które w ćwierć wieku później stać się miały... jednym z głównych i stałych tematów polskiej polityki [6].

Kiedy formowała się jednocząca sporą część centroprawicy (z wyłączeniem tylko Ruchu Odbudowy Polski mec. Jana Olszewskiego) Akcja Wyborcza Solidarność, współtworząca ją grupa "spółdzielni" skupiona wokół Anusza skutecznie zablokowała wybór Jarosława Kaczyńskiego na wiceprzewodniczącego

AWS. Obrażony prezes wystartował więc z konkurencyjnej listy ROP. Jeśli zna się kłótniowość Kaczyńskiego, uznać można, że manewr Anusza pozwolił Akcji na odłożenie wewnętrznych swarów, co przyczyniło się wprowadzenia wielkich reform społecznych, z których najtrwalsza okazała się administracyjno-samorządowa. Nie tylko oznaczająca nowy podział kraju (16 województw zamiast dotychczasowych 49, plus przywrócenie powiatów) ale również ułatwiająca przyszłe pozyskiwanie przez samorządy środków pomocowych z Unii Europejskiej, do której wtedy dopiero zmierzaliśmy. Reforma samorządowa, w której przeforsowaniu Anusz miał znaczny udział jako sekretarz klubu parlamentarnego AWS (funkcję tę pełnił w latach 1997-99) stała się z czasem fundamentem rozwoju i dobrobytu coraz sprawniej zarządzanych "małych Ojczyzn" a władza lokalna w badaniach opinii publicznej oceniana jest nawet dwa razy lepiej od rządu czy parlamentu.

Pomysły polityczne Anusza, również te, co nie zostały do końca zrealizowane – jak zaangażowanie Zygmunta Solorza w ratowanie Stoczni Gdańskiej, do czego zdążył już przekonać zarówno Wałęsę jak samego właściciela Polsatu, a także projekt przekształcenia AWS w jednolitą partię przed rozstrzygającymi dla niej wyborami z 2001 r. (gdyby go wtedy posłuchano, Akcja weszłaby do Sejmu kolejnej kadencji), czy wreszcie zbudowania nowej formacji centrowej wokół kampanii prezydenckiej prof. Zbigniewa Religi (2005 r.) jako autorytetu społecznego – z pewnością nie najgorzej świadczą o ich autorze. Chociaż oczywiście znane porzekadło głosi, że w polityce nie wystarczy mieć rację, trzeba jeszcze umieć ją przeforsować.

Na laudację za wcześniej

Oprócz inwencji, pozwalającej wymyślać rozwiązania, na które wcześniej nikt nie wpadł, chociaż gdy już je poznajemy, wydają się całkiem proste – Anusz od lat przejawia dar skupiania innych wokół dobrych i wartych zapamiętania inicjatyw.

Za wcześnie jednak na laudację, rzecz by można, nawet jeśli okazja się nadarzy. Brak pilnej potrzeby podsumowania aktywności politycznej Andrzeja Anusza, bo nie da się wykluczyć, że kiedyś jeszcze do ław parlamentarnych wróci. Nie zaprzestał też doktor Anusz żadnej z licznych form swojej naukowej i społecznej aktywności. Za to wychodząc naprzeciw powszechnie znanej skromności bohatera tego szkicu, zauważyć wypada, że przyznanie Andrzejowi Anuszowi wysokiego odznaczenia państwowego oznacza również uhonorowanie uczestników rozlicznych inicjatyw, które przez te wszystkie lata współtworzył: wydawnictwa Akces, Instytutu im. Andrzeja Ostoi-Owsianego, redakcji "Opinii" i "Niepodległości" czy cyklicznych Konferencji Świętokrzyskich, w trakcie których debatuje się co rok o tradycji demokratycznej i antykomunistycznej. A także książek, których został autorem, od historii NZS poczynawszy poprzez "Samotnie wśród wiernych" (napisane wspólnie z żoną Anną) o polskim Kościele aż po "Osobistą historię Porozumienia Centrum", "Wokół Marszałka", "Kościół obywatelski" i kultową już "Nielegalną politykę".

Człowiek realizuje się przecież poprzez swoje dzieła i przez ich pryzmat jest oceniany, biografia Andrzeja Anusza pozostaje doskonałym tego przykładem.

[1] por. W tenisie decyduje instynkt gry. Rozmowa z Bernardem Rejniakiem. "Opinia" nr 47 (145) lato 2024.

[2] Andrzej Anusz, Łukasz Perzyna. Konfederacja. Rzecz o KPN. Akces, Warszawa 2009.

[3] Andrzej Anusz. Nielegalna polityka. Akces, Warszawa 2019, s. 359.

[4] Andrzej Anusz. Osobista historia Porozumienia Centrum. Akces, Warszawa 2021, s. 326.

[5] Jacek Kuroń. Autobiografia. Wyd. Krytyka Polityczna, Warszawa 2009, s. 829-856.

[6] por. "Obserwator Codzienny", luty-maj 1992.

OPINIA TA SAMA, CHOĆ NIE TAKA SAMA

Z Andrzejem Anuszem, redaktorem naczelnym "Opinii", dawnym działaczem Niezależnego Zrzeszenia Studentów, posłem 1991-93 (Porozumienie Centrum) i 1997-2001 (Akcja Wyborcza Solidarność) rozmawia Łukasz Perzyna

Pismo "Opinia" świętuje, ale zanim złożymy życzenia, uściślijmy numerologię, która się z tym wiąże: jak to się dzieje, że w niedługim czasie wydajecie aż dwa jubileuszowe numery: 50 i 150? Chociaż bez wątpienia dla czytelnika, naszego i Waszego, czasem zaś pewnie wspólnego, bez porównania istotniejszy okazuje się fakt, że pismo, którego pierwszy numer pojawił się z datą 30 kwietnia 1977 r. a więc w heroicznym czy jeśli ktoś woli pionierskim okresie opozycji demokratycznej i drugiego obiegu wydawniczego w Polsce – ukazuje się również teraz nieprzerwanie od kilkunastu lat?

Nie ukrywam, że stanowi to dla nas powód do satysfakcji. Skoro oznacza żywotność zapisanego w historii tytułu. Zaś od podwójnej numerację, która Pana niepokoi, wkrótce odejdziemy.. Wprowadziliśmy ją przed laty, żeby pewną ciągłość podkreślić. 50. numer "Opinii" odnosi się do obecnych czasów, kiedy ukazuje się ona jako kwartalnik społeczno-naukowy, bo taka jest nasza obecna formuła. Ale zarazem jest to również numer 148, gdy liczy się także pierwszą edycję, kiedy "Opinia" wydawana była nielegalnie w latach 1977-81 oraz drugą, gdy powróciła już jako tygodnik trafiający do kiosków w roku 1990. Od kolejnego numeru wprowadzamy zmianę, jak już mówiłem. Za-

miast numeru 51 wydamy więc 149. Na tę liczbę składa się ponad 40 numerów opublikowanych poza zasięgiem cenzury w czasach opozycji antykomunistycznej, około pięćdziesięciu w formacie tygodnika w pierwszym pełnym roku wolności słowa w Polsce i pięćdziesiąt w formacie obecnym. To wciąż to samo pismo, chociaż nie takie same.

Jak rozumiem, o ciągłości tytułu świadczy nie tylko wspólnota ideowa: mam na myśli fakt, że "Opinia" od początku stanowiła głos środowisk stawiających postulat niepodległości Polski, w 1990 roku stanowiła otwarty na inne środowiska tygodnik KPN, teraz zaś zajmuje się w znacznej mierze historią nurtu niepodległościowego, chociaż to oczywiście nie jedyny obecny na jej łamach temat?

Oprócz tożsamości ideowej istotna pozostaje ciągłość personalna, zwłaszcza, że dotyczy autorów naprawdę wybitnych. Leszek Moczulski, pierwszy redaktor naczelny "Opinii" oraz Bohdan Urbankowski, poeta, eseista i znawca postaci Józefa Piłsudskiego, pisywali do wszystkich trzech wcieleń "Opinii". Staramy się podążać ich drogą, gdy odeszli na wieczną wartę, co akurat w wypadku piłsudczyków nie jest sloganem tylko, bo obaj większość życia poświęcili walce o wolną i lepszą Polskę. Ich tradycja nas zobowiązuje.

Wróćmy do momentu pojawienia się "Opinii": starsze od niej były tylko wywodzące się ze środowiska Komitetu Obrony Robotników "Kommunikat" i "Biuletyn Informacyjny" oraz wydawane przez Adama Wojciechowskiego pismo "U Progu". Już po niej pojawiły się: lubelskie pismo młodych katolików "Spotkania", korowski "Robotnik" we wrześniu 1977 roku, "Głos" reprezentujący środowisko Antoniego Macierewicza, z czasem także studencki "Bratniak" i powołana przez intelektualistów "Res Publica". Różnica okazuje się jedna i fundamentalna: tamte pisma już się nie ukazują, "Opinia" tak?

Rzeczywiście w nowej Polsce pojawiały się różne pomysły na odrodzenie tamtych tytułów, jak w wypadku "Spotkań" w postaci kolorowego tygodnika wydawanego wspólnie z Francuzami czy na przykład "Res Publica Nowa". Z kolei tytułem "Biuletyn Informacyjny", nawiązującym do tradycji AK,

z sukcesem posługuje się dziś Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej ale oczywiście już inni ludzie niż przed laty wydają obecne pismo. Co do tytułów, które Pan wymienił, jako starsze od "Opinii", podkreślić warto, że w jej redakcji udzielał się wcześniej twórca "U Progu" Adam Wojciechowski. "Opinia" stała się pismem środowiska, które zbudowało Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Nielegalnym w tym sensie, że drukarze i kolporterzy kryć się musieli przed komunistyczną służbą bezpieczeństwa, bo inaczej ich działalność zostałaby zaraz storpedowana droga represji, ale zarazem pismo podawało skład redakcji – naczelnym był Leszek Moczulski i jej adres, w mieszkaniu Kazimierza Janusza. Przy tym redaktorzy "Opinii" nie bez racji utrzymywali, że to represyjne działania władzy są w istocie nielegalne, ponieważ PRL ratyfikowała Międzynarodowe Pakty Praw Człowieka, jej władze były sygnatariuszem porozumień helsińskich zwartych jeszcze w 1975 r. w trakcie Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Dwa pierwsze ich koszyki, jak wtedy mawiano w dyplomatycznym slangu, dotyczyły współpracy politycznej i gospodarczej, krajom bloku wschodniego, zapóźnionym pod względem technologicznym i inwestycyjnym, najbardziej zależało na tej drugiej, która oznaczała dostęp do kredytów i licencji. Dlatego przystały na trzeci koszyk, dotyczący swobodnego przepływu idei, wolności słowa po prostu. Do tych zapisów odwołały się środowiska niezależne w Polsce, pokazując, że zobowiązania nie muszą pozostawać martwą literą.

"Opinia" nr 1 z 30 kwietnia 1977 [art. sygn:] Od Redakcji:

"Korzystanie z prawa wolności prasy wymaga (..) tylko jednego: woli, aby z tego prawa skorzystać – oraz własnego działania. Upowszechnienie tej wolności – powszechnego zrozumienia i poparcia dla tych inicjatyw, które z prawa wolności prasy chcą skorzystać".

Czy "Opinia", reprezentująca środowiska ROPCiO, z których z czasem wyłoniła się Konfederacja Polski Niepodległej jako pierwsza niezależna od komunistycznej władzy partia polityczna między Łabą a Władystokiem, powołana w 1979 r. – od początku istnienia, czyli od 1977 roku, różniła się od pism środowiska korowskiego?

Tak, nawet jeśli wizualnie prezentowała się podobnie: wtedy powróciło przecież wprowadzone 70 lat wcześniej przez Józefa Piłsudskiego pojęcie "bibuły" odnoszące się do podziemnych publikacji. Pisma związane z KOR na początku unikały publicystyki. Skupiały się na informowaniu o wydarzeniach, głównie represjach, jakim władza poddawała protestujących robotników Radomia i Ursusa z czasem organizatorów niezależnej działalności opozycyjnej.

Dlaczego tak się działo, że tytuły korowskie wystrzegały się publicystyki?

Liczono się zapewne z pokutującym w społeczeństwie przekonaniem, że polityka pozostaje czymś brudnym. Obrona praw człowieka – to coś innego, szczytne zadanie, w ten sposób rozumowano. W kręgu KOR podkreślano: nie uprawiamy polityki. Sarkano na publicystykę. Dominowały więc lapidarnie redagowane wiadomości. Pisarka Anka Kowalska ówczesny styl oświadczeń i prasy związanej z tym kręgiem nazwała "korkowcem". Rzeczywiście pozostawał charakterystyczny i niepowtarzalny. Za to pisma z kręgu ROPCIO, chociaż formacja też miała w nazwie obronę praw człowieka, żadnego tematu nie unikały. Oczywiście pojawienie się publicystyki na rozmaite tematy, w tym tak wtedy wizjonerskie, jak zjednoczenie Niemiec, na co autorzy pisma gotowi byli przystać pod warunkiem zagwarantowania trwałości polskiej granicy zachodniej – nie oznaczało, że "Opinia" nie zamieszczała wiadomości. Często cennych i niebanalnych.

"Opinia" nr 4 z 1 sierpnia 1977 [art. pt:] "Jabłoński tłumaczy się przed przedstawicielami Polonii" [z rubryki:] "Ostatnie Wiadomości":

"1 sierpnia Przewodniczący Rady Państwa H[enryk] Jabłoński przyjął reprezentantów Polonii Zagranicznej. W sprawozdaniach z tego spotkania zamieszczonych w prasie rządowej pominięty został m.in. zasadniczy fragment. Otóż Jabłońskiemu zadano pytanie, czemu w spotkaniu zabrakło przedstawicieli Polonii w ZSRR. Zdenerwowany Przewodniczący Rady Państwa PRL długo tłumaczył, że Polonia radziecka cieszy się wszelkimi prawami i wolnościami, powołując się na przykład swojej żony, pochodzą-



cej z Litwy, która nigdy nie miała kłopotów ani z wyjazdem do rodzinnego Wilna, ani z powrotem do Warszawy".

Symbolicznym ale i realnym sukcesem "Opinii" okazał się wywiad z prezydentem Stanów Zjednoczonych Jimmy'm Carterem, udzielony piśmu w trakcie jego wizyty w Polsce?

To prawdziwy majstersztyk. Zwłaszcza, że był to zarówno pierwszy rok prezydentury Cartera ale i ukazywania się "Opinii". Stanowi to dowód, że środowisko ja wydające żadnych kompleksów nie miało. Tak po raz pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych udzielił wtedy w 1977 roku wywiadu niezależnemu piśmu zza żelaznej kurtyny. Skorzystały na tym nie tylko ROPCiO ale także KOR i czechosłowacka Karta 77 z Vaclavem Havlem wśród sygnatariuszy, skoro ten fakt z pewnością utrudnił represjonowanie redaktorów piśm wydawanych poza zasięgiem cenzury. Wywiad z Carterem stanowił wspólne dzieło Leszka Moczulskiego i Wojciecha Ziemińskiego. Od lat starających się integrować środowiska patriotyczne, m.in. kombatanów Armii Krajowej. W kręgu "Opinii" pojawili się jednak także młodzi redaktorzy i autorzy, jak Jan Dworak, późniejszy prezes telewizji w wolnej już Polsce.

Z czasem jednak redakcję "Opinii" przejął Andrzej Czuma, uprzednio oskarżając Moczulskiego o współpracę z SB?

Leszek Moczulski zbyt mocno o zachowanie pisma nie walczył, ponieważ przygotowywał już wtedy powołanie Konfederacji Polski Niepodległej. Niebawem zaczął wydawać "Drogę", nawiązując tytułem do sanacyjnego pisma z międzywojnia. Zaś Andrzej Czuma uzyskał ze środowiska KOR dotację czy pożyczkę na dalsze wydawanie "Opinii". Z rozmaitą regularnością wychodziła do końca 1981 r, kiedy to, jak wiemy, w Polsce zmieniło się wszystko.

Aż po ośmiu latach w nowej rzeczywistości doszło do spotkania dawnych redaktorów podziemnych pism KPN z lat 80, takich jak "Gazeta Polska", "Orzeł Biały" czy "Świt Niepodległości". Termin akurat był przypadkowy, w Barbórkę 1989 r, ale lokalizacja symboliczna: rozmowa z udziałem Leszka Moczulskiego i Krzysztofa Króla odbyła się bowiem w Pałacu Kultury, bo tam, niegdyś symbolu dominacji radzieckiej wersji socjalizmu nad Polską, mieściło się pierwsze oficjalne biuro KPN?

Zdecydowano wtedy o wznowieniu "Opinii" ale już jako tygodnika, trafiającego do kiosków. Stało się to możliwe w 1990 r. Naczelnym pisma został Krzysztof Król. W redakcji pracował m.in. Marek Cichocki, późniejszy negocjator traktatów europejskich przezywany "Szerpą", bo uchodził za przewodnika prezydenta Lecha Kaczyńskiego w sprawach polityki międzynarodowej. A także Tomasz Merta, który potem został wiceministrem kultury w trzech rządach, aż nie wrócił z delegacji do Smoleńska. W "Opinii" o kulturze pisali więc: zarówno Bohdan Urbankowski (rocznik 1943), podobnie jak w tej z lat 70, jak Merta, z rocznika 1965, który wtedy dopiero co ukończył polonistykę.

"Opinia" nr 9 z 6 maja 1990. Tomasz Merta. Być tam, gdzie coś się dzieje. Rzecz o Ryszardzie Kapuścińskim:

"Pamiętam moje zaskoczenie, gdy w małej księgarni w Kathmandu znalazłem na półce "Szachinszacha" Kapuścińskiego. Nikt chyba z polskich pisarzy z wyjątkiem Stanisława Lema – nie zdobył takiej popularności, nie trzymał się tak długo na listach bestsellerów (...). W sierpniu 1990 r.

jest w Stoczni – powstają "Notatki z Wybrzeża". Teraz w Związku Sowieckim (..)".

"Opinia" jako tygodnik niedługo jednak utrzymała się na rynku prasowym?

Całość historii tej formuły pisma zamyka się datą 1990 r, bo w kampanii prezydenckiej Leszka Moczulskiego zapadła decyzja, że tygodnik będzie się rozdawać, zamiast sprzedawać. Wiadomo, że budżet żadnej redakcji by tego nie wytrzymał. Warto jednak pamiętać, że wtedy z pism po latach reaktywowanych nie utrzymało się nawet legendarne "Po Prostu", kojarzone z przełomem październikowym z 1956 r, pomimo udziału w tym przedsięwzięciu członków tej pierwszej redakcji. "Opinia" nie stała się więc wyjątkiem. Na szczęście nie był to koniec tytułu.

Znalazł się Pan w grupie, która postanowiła "Opinię" reaktywować. Czym się wtedy kierowaliście?

Potrzebą takiego pisma i utrzymania ciągłości. Środowisko, które przed laty wydawało "Opinię" na szczęście nie przestało istnieć. Nie rozproszyło się. Postanowiliśmy się do niego odwołać. Najpierw powstał Instytut Historyczny Nurtu Niepodległościowego. Nosi imię Andrzeja Ostoi-Owsianego, który publikował w pierwszej "Opinii" artykuły o Bitwie Warszawskiej zaś we wznowionej jako tygodnik – o sposobach uzdrowienia wymiaru sprawiedliwości po czasach PRL. Powołanie Instytutu stanowiło zasługę nieżyjącego już Michała Janiszewskiego oraz Andrzeja Chyłka, który dziś nim kieruje. Od początku zakładaliśmy, że powrócimy do wydawania "Opinii". Tytuł został zarejestrowany oficjalnie i legalnie, a Leszek Moczulski nam do niego prawa przekazał. Sam oczywiście również w odrodzonej "Opinii" publikował. Chociaż nie tylko teksty historyczne w niej się ukazują.

"Opinia" nr 46 (144), wiosna 2024. Wojciech Błasiak. Początek rozpadu "układu okrągłego stołu":

"(..) Już wyniesieni na scenę polityczną politycy wybierają i dobierają kolejnych polityków. 'Swoi wybierają swoich' i dzięki temu mamy nie-

ustanną samoreprodukcję "swoich". Wyborcy głosują na już wybranych kandydatów na listach partyjnych. Sami zaś nie mogą kandydować. Ordynacja proporcjonalna nie tylko czyni bowiem czynne prawo wyborcze fasadowym, ale odbiera obywatelom bierne prawo wyborcze, gdyż nie mogą oni kandydować jako obywatele. Muszą być wybrani przez kierownictwa partii. To powoduje, że w Polsce przez ponad 30 lat nie było i nie ma wolności kandydowania. Polacy nie mogą kandydować do Sejmu. I dlatego ostatecznie nie można wyrzucić z polskiej sceny politycznej od trzech dekad Jarosława Kaczyńskiego, Donalda Tuska czy Włodzimierza Czarzastego, a trzeba godzić się na kolejnych nominatów układu nie wiadomo skąd i dlaczego oraz przez kogo wyniesionych na scenę polityczną jak Władysław Kosiniak-Kamysz czy Szymon Hołownia".

Niedawno otrzymał Pan Krzyż Komandorski Polonia Restituta, to kolejny powód do gratulacji, podobnie jak jubileuszowe numery "Opinii" – 50, co już się ukazał i 150, który przeczytamy niebawem. Czy czuje się Pan uhonorowany właśnie za odrodzenie tego pisma?

Za gratulacje serdecznie dziękuję, rzeczywiście w uzasadnieniu przyznania mi Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski znalazły się słowa o zasługach na rzecz upowszechniania prawdy historycznej, a w tych kategoriach traktuję swoją działalność od początku mojej pracy w redakcji "Opinii", gdzie z czasem objąłem po Marku Albinia funkcję redaktora naczelnego. Wieloletnie ukazywanie się odrodzonej "Opinii" stanowi jednak zasługę wielu osób. I spotkania trzech środowisk: Instytutu Historycznego Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoi-Owsianego, samej redakcji oraz wydawnictwa "Akces", kierowanego przez Roberta Nowickiego, który w latach 80. bez wpadki drukował pisma drugiego obiegu w tym "Wiadomości". Bez "Akcesu", od lat publikującego liczne książki, głównie historyczne ale także i powieści, nie byłoby "Opinii". Bez tego zaplecza byśmy nie ruszyli.

Czym "Opinia" w swojej formie obecnej kieruje się w doborze autorów i tematów?

Tradycją, która zobowiązuje, ale zarazem wymaga odtwarzania i potwierdzania. Ale również chęcią zmierzenia się z tematami ważkimi społecznie, istotnymi. Zamieszczamy w "Opinii" reprinty dawnych publikacji, jak pierwszego wydania napisanych w okopach "Piłsudczyków" Juliusza Kadena-Bandrowskiego. To ta książka upowszechniła nazwę formacji. Pojawił się na łamach "Opinii" reprint numeru "Drogi" z 1935 r. wydanego po śmierci Marszałka, w całości poświęconemu jego dorobkowi. A także broszur Antoniego Anusza, współpracownika Piłsudskiego z czasów Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej a później w międzywojniu posła wolnej Polski. To mój stryjeczny pradziadek stworzył kluczowe dla myśli piłsudczykowskiej pojęcie imponderabiliów. W "Opinii" znalazły się wywiady, jakie Krzysztof Turkowski przeprowadził w trakcie pobytu w Londynie z sędziwymi już wtedy politykami i generałami z czasów Dwudziestolecia ale też z wyjątkowym świadkiem i uczestnikiem historii Tadeuszem Żenczykowskim. Ale również wspomnienia Ryszarda Czarneckiego z czasów jego działalności we wrocławskim Niezależnym Zrzeszeniu Studentów w latach 80. I analizy Piotra Wójcika, który podobnie jak ja był posłem PC a potem AWS, poświęcone wykorzystanym ale i utraconym szansom wolnej już Polski lat 90.

Zaznacza Pan jednak, że do historii się "Opinia" nie ogranicza?

Staramy się, żeby pismo pozostawało żywe, odnosiło się do współczesności. Wśród autorów znajdują się dawni działacze KPN, NZS czy Solidarności, ale również przedstawiciele młodszego pokolenia, jak historyk Karol Chylak, współautor – wraz z naszym kolegą redakcyjnym Markiem Michalikiem – książki o łódzkiej KPN. Publikujemy teksty literackie, jak chwalone przez czytelników opowiadania Ewy Różyckiej, wiersze Danuty Bolikowskiej czy Włodzimierza Kuligowskiego, wreszcie fragment powieści "Śmierć na ulicy Foksal" Roberta Bombały, dopiero powstającej, która skończy się wprawdzie znanym z historii zabójstwem ministra Bronisława Pierackiego dokonanym w 1934 roku przez nacjonalistów ukraińskich ale poza tym zawierać będzie fikcyjną, sensacyjną intrygę, wpisaną w realia Dwudziestolecia. Rozmawialiśmy o historii najnowszej z ks. Jerzym Waławem Błaszczakiem, który w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. skutecznie ukrył w Gdańsku Zbigniewa Bujaka i z Andrzejem

Machalskim, który przed 4 czerwca 1989 r. skutecznie poprowadził zwycięską kampanię Solidarności. Także z Marianem Banasiem, prezesem NIK wywodzącym się z nurtu niepodległościowego. Interesują nas nowe odczytania autorów dla naszego pokolenia kultowych, stąd szkic Mirosława Reszewicza, niebanalnie odnoszący się do twórczości Józefa Mackiewicza, który drukowaliśmy w odcinkach. Nie unikamy kontrowersji, ale szanujemy dorobek poprzednich pokoleń, wiemy, ile im zawdzięczamy: dotyczy to piłsudczyków, akowców, żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, naszych starszych kolegów z opozycji demokratycznej z czasów PRL. Staramy się zawsze tworzyć takie pismo, które szanuje wrażliwość czytelnika niezależnie od istniejących współcześnie emocji politycznych. Pod tym względem, jak sądzę, niewiele jest pism nie tyle nawet pozostających ponad podziałami, co uznających – jak "Opinia" – że istnieją liczne sprawy, które Polaków skutecznie łączą.

FENOMEN „OPINII”

Starsze od niej w gronie niezależnych pism wydawanych poza zasięgiem cenzury w kraju były tylko „Komunikat” i „Biuletyn Informacyjny”, wywodzące się ze środowiska Komitetu Obrony Robotników. Jednak dziś oba tytuły interesują wyłącznie badaczy historii.

Za to „Opinia”, której pierwszy numer pojawił się w kwietniu 1977 roku, pismo powołane w kręgu Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, nadal się ukazuje.

W odróżnieniu od młodszych od niej, chociaż również legendarnych: „Robotnika”, „Głosu”, „Spotkań”, „Bratniaka”, „Ucznia Polskiego” czy „Res Publik”.

Jak zaczynać, to od wywiadu z prezydentem Carterem

Kiedy „Opinia” wchodziła na rodzący się dopiero rynek wolnej prasy w Polsce – krajem rządził Edward Gierek, zaś niezmiennie wtedy dominującym nad całym blokiem wschodnim Związkiem Radzieckim Leonid Breżniew. Za to w Stanach Zjednoczonych rozpoczynał swoją jedyną kadencję demokratą Jimmy Carter, który jeszcze w tym samym roku podczas pobytu w Polsce udzielił „Opinii” wywiadu, pierwszego, jaki z prezydentem USA przeprowadziło jakiekolwiek wydawane poza cenzurą pismo ze Wschodu. Utrudniło to w sposób oczywisty służbom bezpieczeństwa represjonowanie niezależnych wydawnictw. Autorem pytań do Cartera pozostawał wprawdzie naczelny „Opinii” Leszek

Moczulski, ale podzielił się tym splendorem z innym członkiem redakcji Wojciechem Ziemińskim ze względu na zasługi i ambicje tego ostatniego.

Pismo, oprócz zabiegania o respekt dla praw człowieka w kraju, upominało się również o Polaków mieszkających w ZSRR oraz zastanawiało nad przyszłym zjednoczeniem Niemiec, przystając na to pod warunkiem respektowania granic Polski.

Z czasem Moczulskiego, który zresztą zajmował się już głównie przygotowaniem do powołania Konfederacji Polski Niepodległej, po swoistym przewrocie w redakcji zastąpił Andrzej Czuma. Kierował „Opinią”, wydając ją aż do wprowadzenia stanu wojennego, co stało się możliwe dzięki kroplówce finansowej pozyskanej z KOR (środowisko to nie cierpiało Moczulskiego, za to Czumę tolerowało). Po 13 grudnia 1981 r. pismo na czas dłuższy przestało się ukazywać.

Jak dawna *bibuła* do kiosków trafiła, czyli namacalny dowód zwycięstwa wolnego słowa

„Opinia” powróciła i to jako tygodnik trafiający do kiosków „Ruchu” po zmianie ustrojowej, do której wcześniej się tak mocno przyczyniła.

Jej redaktorem naczelnym został w 1990 r. Krzysztof Król. Na łamach „Opinii” publikowali wtedy także: późniejszy wiceminister kultury w trzech rządach, który nie wrócił z delegacji do Smoleńska - Tomasz Merta, przyszły negocjator traktatów europejskich Marek Cichocki, Mirosław Harasim – potem jeden z czołowych redaktorów Polskiej Agencji Prasowej oraz Bartosz Węglarczyk. Pismo zamieszczało przy winiecie aktualny stopień poparcia KPN dla rządu, zwykle nie przekraczający kilkunastu procent.

W reportażach „Opinia” pokazywała zarówno nędzę towarzyszącą początkom transformacji ustrojowej (żebrzące dzieci na Międzynarodowych Targach Poznańskich) jak możliwości przez ten sam moment dziejowy Polakom stwarza-

ne (relacja Joanny Biernat-Pogorzelskiej ze szkolenia dla stewardess PanAmu na Florydzie, w którym autorka uczestniczyła jako pierwsza z naszej części Europy, chociaż po ukończeniu kursu wolą zostać dziennikarką niż roznosić kawę pasażerom). Upomniwała się również skutecznie – piórem a raczej klawiaturą maszyny do pisania późniejszego dyrektora PAP Mirosława Harasima – o stypendystów z Laosu, którym po zmianie władzy u nas groziło odesłanie do „bambusowego gułagu” w ojczyźnie, więc dopóki nie zapadła zbawienna dla nich decyzja polskiego rządu, skośnoocy studenci koczowali w warszawskiej siedzibie KPN, traktowani zgodnie z zasadą staropolskiej gościnności, jak w ponad trzydzieści lat później uchodźcy z napadniętej przez armię Władimira Putina Ukrainy.

Kilkusetstronicowa, naukowa, ale wciąż ta sama

Jako tygodnik „Opinia” nie przetrwała wprawdzie długo, ale po latach powróciła w nowej formule kwartalnika społeczno-naukowego, najpierw z Markiem Albinakiem jako redaktorem naczelnym, później z Andrzejem Anuszem w tej samej roli.

„Opinia” zamieszcza m.in. reprinty: pierwszego wydania napisanych w okopach legionowych „Piłsudczyków” Juliusza Kadena-Bandrowskiego, numeru pisma „Droga” po śmierci Józefa Piłsudskiego oraz broszur Antoniego Anusza, wieloletniego towarzysza walki Józefa Piłsudskiego w Organizacji Bojowej PPS, posła II RP oraz twórcy kluczowego dla myśli politycznej samego Marszałka i całego obozu sanacyjnego pojęcia imponderabiliów, zresztą stryjecznego pradziadka obecnego naczelnego „Opinii”.

Drukuje też wspomnienia Stanisława Likiernika, który jako żołnierz Kedywu Armii Krajowej stał się pierwowzorem tytułowego bohatera „Kolumbów” Romana Bratnego. Przeprowadza wywiady z uczestnikami dawnej opozycji antykomunistycznej z różnych pokoleń, m.in. z ks. Jerzym Wacławem Błazczakiem, który 13 grudnia 1981 r. skutecznie ukrył w Trójmieście przed służbami bezpieczeństwa późniejszego przywódcę podziemnej Solidarności Zbigniewa Bujaka. I z Andrzejem Machalskim, który z kolei przed 4 czerwca 1989 r.

poprowadził pamiętną zwycięską kampanię Solidarności. A także z bohaterami opozycji z różnych roczników: Andrzejem Sadowskim i Mariuszem Ambroziankiem czy Jerzym Surdykowskim i Tadeuszem Stańskim.

Recenzuje niebanalne powieści autorów, na co dzień nie żyjących z pióra, a wyróżniających się oryginalnością, jak twórca „Trylogii mazurskiej” traktującej o dramatycznych dziejach pogranicza polsko-niemieckiego Jerzy Woźniak, czy niewiele ponad dwudziestoletni ale już obiecujący adept prozy fantasy Maksymilian Jakubiak, wreszcie zaś wieloletni producent telewizyjny Robert Bombała, pracujący teraz nad powieścią „Śmierć na ulicy Foksal”, sensacyjną i fikcyjną wprawdzie, ale kończącą się znanym z historii zabójstwem międzywojennego ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego, której fragmenty, choć całości jeszcze nie ukończono, „Opinia” już wydrukowała.

Nie ogranicza się jednak tylko do historii, zajmując się również nowymi technologiami, zmianami w prawie i kryminologią a nawet weterynarią i sportem (wywiad z odkrywcą talentu Igi Świątek – Bernardem Rejniakiem) .

Nieżyjący już: Leszek Moczulski oraz Bohdan Urbankowski, eseista, poeta i znawca postaci Józefa Piłsudskiego – publikowali swoje artykuły we wszystkich trzech wcieleniach „Opinii”.

Moczulski do pierwszych jej numerów pisywał o erozji komunizmu radzieckiego, zaś do tych całkiem niedawnych – o geopolitycznych zamierzeniach Władimira Putina. W obu wypadkach przewidział bieg wydarzeń. Z kolei Urbankowski w „Opinii” z lat 70 zajmował się wpływem polskiego romantyzmu na piłsudczyków, zaś w numerze sprzed trzech lat zamieścił własnego autorstwa wiersz napisany na gorąco pod wrażeniem kremlowskiej napaści na Ukrainę.

Stanowi to dobitny dowód ciągłości tytułu, nie znajdującej precedensu we współczesnej historii wolnej prasy w Polsce.

Fenomen „Opinii” nie polega jednak wcale na jej długowieczności, ale na tym, że to wciąż żywe pismo. Aktualne i – zgodnie ze zobowiązaniem zawartym w samym tytule – opiniotwórcze.

Tytuł wymyślił w 1977 roku Andrzej Szomański, w dziewięć lat później również za to sądzony w drugim procesie kierownictwa Konfederacji Polski Niepodległej.

**Pierwsza w Polsce zamieszczała swobodną publicystkę,
robi to również dzisiaj**

To „Opinia” jako pierwsza w polskiej wolnej prasie w kraju zaczęła zamieszczać artykuły publicystyczne – poprzedzając ją historycznie oba tytuły korowskie ograniczały się do powiadamiania o wydarzeniach, głównie naruszeniach praw człowieka przez władze PRL, bo ich redaktorzy obawiali się oskarżeń, że uprawiają politykę. Założyciel „Opinii” Leszek Moczulski nie ukrywał, że jego celem pozostaje niepodległość, a przekonanie to podzielali pracujący z nim w redakcji Jan Dworak (późniejszy szef telewizji w wolnej już Polsce) i ekonomista Stefan Kurowski, już wtedy uznający, że socjalizmu zreformować się nie da.

Teraz „Opinia” właśnie wydała swój 50. numer w aktualnej wersji, zaś 148, jeśli policzyć wszystkie trzy fazy pisma (bibułę, trafiający do kiosków tygodnik oraz kwartalnik społeczno -naukowy o kilkusetstronicowej objętości). Ponieważ numeracja pozostaje z tego względu podwójna, wkrótce redakcję czeka kolejna okazja: numer 150. od początku pojawienia się pisma. Ale znów podkreślić można, że wcale nie o numerologię tu chodzi, lecz o wolność słowa w Polsce. Kiedyś o nią walczyła, teraz wciąż z niej korzysta.

Poza wszystkim innym – to pismo niezmiernie ciekawe. W obu tego słowa znaczeniach: wnikliwie wobec zakrętów życia społecznego ale też zajmujące dla odbiorcy I jak się wydaje, jedyne na polskim rynku prasowym, które bez zgrzytania zębami czytać mogą zarówno zwolennicy Koalicji Obywatelskiej jak Prawa i Sprawiedliwości, ale też i wszystkich innych ugrupowań. Ci, co w ogóle nie głosują, zapewne też. Przywołaną tu wcześniej formułę można więc rozszerzyć:

Obecni redaktorzy „Opinii” nie tylko kiedyś walczyli o demokrację (głównie w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, Konfederacji Polski Niepodległej i podziemnej Solidarności) ale również teraz potrafią korzystać z niej na tyle umiejętnie i roztropnie, żeby nikogo do niej nie zrażać. Gdy innym zdarza się palić za sobą mosty, „Opinia” stara się je budować. Także ten *między dawnymi a nowymi laty*, chociaż pismo swoich zainteresowań do samej historii nie ogranicza. Niezmiennie znajdujemy w nim również tematykę związaną z samorządem. W tym rzetelną ocenę dokonanej przed ponad ćwierćwieczem przez rząd Jerzego Buzka reformy samorządowej, która – jako najbardziej udana ze wszystkich po zmianie ustroju przeprowadzonych – poskutkowała bujnym i harmonijnym rozwojem tysięcy lokalnych Małych Ojczyzn w Polsce, najlepszą dziś wizytówką powodzenia polskich przemian demokratycznych.

TAKICH JAK ON POLITYKÓW TERAZ NAM BRAKUJE POŻEGNANIE ANDRZEJA POTOCKIEGO (1964-2025)

Wywodził się z Konfederacji Polski Niepodległej, był absolwentem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, zaś mandat poselski sprawował przez trzy kadencje (1991-2001 r.) z ramienia Unii Demokratycznej a potem Unii Wolności (przy czym zastrzec wypada, że to partia zmieniła nazwę, a nie on przynależność). Skutecznie rzecznikował całej swojej formacji, zarówno profesorowi Bronisławowi Geremkowi jako specjalście od etosu, jak Leszkowi Balcerowiczowi jako symbolowi rynkowych reform. Liberałowi Pawłowi Piskorskiemu i dawnemu działaczowi Komitetu Obrony Robotników Henrykowi Wujcowi. Wszystkie życiowe role i zadania łączył harmonijnie. Reklamował w mediach nie tylko polityków własnej partii ale i systemowe reformy, jak samorządowa, przeprowadzona przez rząd Jerzego Buzka, w którym jego szef z UW Balcerowicz pozostawał wicepremierem. Zawsze czynił to z ogromną elegancją, kulturą i swadą.

Pamiętam, jak siedzieliśmy w Nowym Domu Poselskim w Barze Za Kratą, miejscu teraz już dla dziennikarzy niedostępnym i rozmawialiśmy o bieżącej polityce. W pewnej chwili zasiadająca przy sąsiednim stoliku Aleksandra Jakubowska wzięła do ręki telefon komórkowy i zaczęła się do niego strasznie wydzierać.

- Halo! Tu Jakubowska! Mogę mówić z prezydentem? – wykrzykiwała na cały lokal, żeby nikt nie miał wątpliwości, do kogo dzwoni. Tym ostatnim pozostawał jeszcze wtedy Aleksander Kwaśniewski.

- Boże święty... – siedzący ze mną przy stoliku Andrzej Potocki, wówczas rzecznik Unii Wolności, współtworzącej koalicję rządową z Akcją Wyborczą Solidarność, wzniósł tylko łagodnie oczy do nieba. Wiedzieliśmy, że obaj myślimy podobnie. Na

przejawy buty, chamstwa i arogancji zwykle reagował w ten sposób. Z dystansem zamiast złości i łagodnie okazywaną wyższością, godną rzecznika partii, którą zwolennicy nazywali profesorską zaś nienawistnicy żyzymali się, że „elity” skupia, co w ich ustach brzmiało jak wyzwisko.

Z nerwów wyprowadził go tylko raz Mariusz Kamiński, który gdy Potocki też w Sejmie prowadził konferencję prasową, zaczął mu z boku dogadywać i przerywać, co wtedy jeszcze, inaczej niż obecnie, normy nie stanowiło:

- To kłamstwo...

- Co to ma znaczyć? – rzucił groźnie Potocki i przerywając opowieść do kamer, ruszył ku oponentowi. Kamiński, o głowę niższy, zaraz pole oddał.

W złożonym naprędce komentarzu, o jaki na użytek „Życia” (wtedy jeszcze pod wodzą charyzmatycznego Tomasza Wołka a nie jego anemicznego następcy Pawła Fąfary, co dziennik ten później doprowadził do upadku własną niezułowatością) rzecznika poprosilem zgrabnie wyluszczył, że Mariusz Kamiński nie miał czego się bać, bo jemu, Potockiemu, nigdy nie zdarzyło się uderzyć nikogo mniejszego od siebie.

Jadę do redakcji. Już kiedy siedzę przy komputerze i składam artykuł, na telefonie komórkowym wyświetla mi się numer, który wszyscy dziennikarze polityczni znają na pamięć. Rzadko korzystający z prawa do autoryzacji rzecznik UW prosi jeszcze tylko o dodanie, że nigdy w życiu nikogo pierwszy by nie uderzył, niezależnie od wzrostu oponenta. Postulat ten spełniam nie tylko z uwagi na jego oczywistą zgodność z prawem prasowym.

Zadymiona kanciapa jako instytucja życia publicznego

Jego zadymiona kanciapa w sejmowym gmachu, gdzie pomimo nikłego metrażu siedziało jeszcze zwykle dwoje czy troje biuralistów Unii Wolności – stanowiła jedno z miejsc, w którym naprawdę pozyskiwano informacje. Dopiero po Potockim nadeszła pora rzeczników, z których żurnaliści się śmieją, że takie z nich *głupole* - jak z Adama Bielana z PiS czy Piotra Żaka z Solidarności. Z Potockim rozmawiało się grzecznie ale i rzeczowo, w inteligenckim kodzie kulturowym, czasem w odwołaniu do filmów i lektur. Wprawdzie SMS-ów

i maili wysyłało się wtedy więcej niż teraz, ale przekazów dnia jeszcze nie było, bo inwencja dobrego rzecznika prasowego skutecznie je zastępowała.

Andrzej Potocki, obojętne czy jego partia współrządziła czy pozostała w opozycji, nie dzielił dziennikarzy na swoich i obcych, jak czynią to teraz, zapewne ze zgubą dla siebie, służby prasowe marszałka Sejmu Szymona Hołowni. Gdy AWS i UW współrządziły, drzwi do jego pokoiku stały otworem również dla Jakuba Rzekanowskiego z „Trybuny” czy Małgorzaty Tańskiej z „Przeglądu”, zaś aby ostentacyjnie pokazać, że nikogo nie wyróżnia, czasem w jednym terminie zapraszał do siebie na pogawędkę Agnieszkę Kublik („Gazeta Wyborcza”) i moją skromną osobę (wtedy „Życie”).

W trakcie spotkania w gmachu Sejmu w obronie kultury za rządów Prawa i Sprawiedliwości Andrzej Potocki oznajmia: „Jestem wnukiem żołnierza wyklętego, który spędził kilkanaście lat na Syberii”. Mówi wtedy o pochodzącym ze Lwowa pułkowniku Armii Krajowej Władysławie Szczepańskim, co walczył przeciwko Niemcom w partyzancie w Lasach Janowskich. Wcześniej zaś konspirował wraz z Szymonem Wiesenthalem, którego żonę Cecylię – zresztą blondynkę o niebieskich oczach, zupełnie jak piękna pani Seidenman z „Początku” Andrzeja Szczypiorskiego – skutecznie ukryła i uratowała przed Holocaustem babcia Andrzeja Potockiego. A po wojnie dziadek nie złożył broni i w 1946 r. trafił do Gułagu z dwudziestoletnim wyrokiem. I po odcierpieniu połowy wrócił do Polski na fali odwilży w obu krajach: w Ojczyźnie i w ZSRR. O dziadku wcześniej A. Potocki wiele nie mówił, przywołał go publicznie nie w kolejnej kampanii wyborczej – chociaż trzy z nich okazały się udane i dały mu mandat poselski – lecz dopiero wówczas, kiedy rządzące PiS w sposób gorszący zaczęło zawłaszczać tradycję „żołnierzy wyklętych”.

Dziadek z AK a potem syberyjskich łagrów okazał się dla rozwoju przekonań Andrzeja Potockiego ważną postacią: „Miał kontakty paryskie poprzez przyjaciół. Za ich sprawą jako dwunastolatek w rodzinnych Gliwicach zetknąłem się po raz pierwszy z „Kulturą”. Wielkie wrażenie wywarła na mnie książka Jakuba Karpińskiego „Płonie komitet”. Karpiński, którego poznałem osobiście dopiero wiele lat później, opisywał 1956 r. z perspektywy nastolatka przeżywa-

jącego wielkie historyczne wydarzenia, co przemawiało do mnie szczególnie, bo sam jako czytelnik miałem wtedy... tyle samo lat. Nieco później przeżyłem równo głęboko jego „Taternictwo nizinne”. Powiem nawet, że trochę się wzorowałem na Jakubie Karpińskim, gdy siadałem już nad własnymi artykułami, starałem się zachować właściwy mu chłodny styl pisania” – opowiadał nam przed kilku laty w wywiadzie dla „Opinii” [1].

Pisarzem ani publicystą, socjologiem ani historykiem jak Karpiński, Andrzej Potocki jednak nie został. Lecz posłem i aktywistą organizacji międzynarodowych znanych m.in. z działań na obszarze b. Jugosławii.

Kochał piłkę nożną, a politykę pojmował jako służbę i misję

Droga do tego prowadziła przez Konfederację Polski Niepodległej, z którą związał się jeszcze jako licealista w rodzinnych Gliwicach. Wydawał wraz z innymi młodzieżowy opozycyjny biuletyn. W stanie wojennym ukryty pod płaszczem plik bibuły rozsypał mu się w tramwaju. Ale Potocki, zamiast przyskać z wozu na najbliższym przystanku, spokojnie pobierał z podłogi kartki tych druków ulotnych. Potem pojechał studiować filozofię na KUL do Lublina, bo ten sam wydział na bliższym topograficznie Uniwersytecie Śląskim uznawał w latach 80. za zdominowany przez „beton” PZPR.

Kochał piłkę nożną, jeszcze jako poseł ratował Piasta Gliwice; został wtedy prezesem przeżywającego kryzys klubu. I z pewnością miał dużo satysfakcji – chociaż wtedy od dawna nie pełnił już tej funkcji – gdy jego ukochany zespół po latach wywalczył po raz pierwszy mistrzostwo Polski i zagrał w europejskich pucharach. Z dumą podkreślał, że jego dziadek, studiując na Politechnice Lwowskiej mieszkał na stacji z samym Kazimierzem Górskim, późniejszym selekcjonerem i twórcą sukcesów narodowej reprezentacji.

Wszystkie wyniki meczów doskonale pamiętał, dotyczyło to zarówno ostatniej kolejki Ekstraklasy, jak czasów, gdy Wisła z Cracovią rozgrywały pierw-

sze zawody na krakowskich Błoniach, niedaleko od ćwiczących tam wtedy „padnij-powstań” strzelców Józefa Piłsudskiego. Ostatni wywiad z nim przeprowadziłem nie o polityce, lecz o planach wielkich klubów powołania rozgrywek konkurencyjnych wobec Ligi Mistrzów UEFA. I tym razem trafnie diagnozował, że nic z tego nie wyjdzie. Znow miał rację. Podobnie jak wtedy, gdy przewidział – i dawał tylko do zrozumienia, bo z racji funkcji otwarcie powiedzieć tego nie mógł – że decyzja Unii Wolności, by nie wystawiać kandydata w wyborach prezydenckich w 2000 r. okaże się dla jego partii na dłuższą metę samobójcza. Jak pamiętamy, w wolne miejsce wszedł wówczas Andrzej Olechowski jako „kandydat Tygodnika Powszechnego”, a w kolejnych wyborach – do Sejmu w rok później – UW podobnie jak AWS nie pokonała progu, wypchnięta z polityki przez powołaną przez sztabowców Olechowskiego, dawnych unijnych liberałów oraz zwolenników marszałka Sejmu Macieja Płażyńskiego, Platformę Obywatelską. Sam Potocki, chociaż ziściło się wtedy to, przed czym daremnie przestrzegał, pozostał na pokładzie i nie skorzystał z żadnej z możliwych szalup ratunkowych.

Co więcej, do historii przeszło jego przenikliwe powiedzenie, że Platforma Obywatelska wprawdzie przejęła gorsze cechy Unii Wolności ale zapomniała o tych lepszych.

Nie był cyborgiem, jak wielu zawodowych polityków. Dało się z nim porozmawiać na każdy temat. Kochał życie. Odszedł przedwcześnie. Będzie nam go brakowało.

[1] Heroizm nie jest obowiązkiem. Przyzwyczajenie tak. Z Andrzejem Potockim rozmawia Łukasz Perzyna. „Opinia” nr 14, wiosna 2017, s. 232 i nast.

PIŁSUDCZYK, KONSERWATYSTA, SZEF MŁODZIEŻY Z KPN POŻEGNANIE WOJCIECHA GAWKOWSKIEGO (1966-2025)

W wolnej Polsce nie został posłem ani ministrem, chociaż niewątpliwie miał odpowiedni ku temu talent i charyzmę. Objawił je w czasach poprzedzających zmianę ustrojową skutecznie kierując Organizacją Akademicką Konfederacji Polski Niepodległej oraz redagując „Orla Białego”, bezsprzecznie jedno z najciekawszych pism młodej antykomunistycznej opozycji, promieniujące również poza jej nurt niepodległościowy.

Żegnamy Wojciecha Gawkowskiego, w czasach przełomu studenta prawa Uniwersytetu Warszawskiego, później adwokata, prowadzącego własną kancelarię. Zaś zawsze piłsudczyka i konserwatystę, a przy tym dobrego, pełnego empatii człowieka.

W jednym z numerów podziemnego „Orla Białego” Wojciech Gawkowski opublikował tekst „Piekło i raj”. Pierwsze słowa artykułu układają się w pytanie: „czy w Polsce są jeszcze konserwatyści?” [1]. Dalej zaś następuje m.in. polemika z Marcinem Królem, dowodząca sporej niezależności myślowej i czuorności publicysty, bo szef niedawno wówczas zalegalizowanej (jako pierwsze pismo drugiego obiegu) „Res Publiki” pozostawał dla młodzieży z nurtu niepodległościowego postacią bez przesady kultową jako autor nieźrównanej i dosłownie zaczytywanej broszury „Józef Piłsudski: ewolucja myśli politycznej” [2], łatwiej z pewnością dostępną niż obszerna emigracyjna biografia Marszałka, pióra Wacława Jędrzejewicza [3].

Tempo wydarzeń zaś okazało się tak zawrotne, że w niespełna dwa lata później Wojciech Gawkowski sam trafił na łamy „Res Publiki” wcale nie jako polemista jej redaktora naczelnego, lecz bohater reportażu o „politycznym uniwersytecie” poświęconego młodym działaczom antykomunistycznej opozycji, z których niektórzy – chociaż akurat nie student prawa Gawkowski – obejmowali już w chwili publikacji artykułu rządowe posady, jak Paweł Piskorski z NZS, na cześć którego ukuto porzekadło: „Najpierw minister, potem magister”. Z tekstu w „Res Publice” dowiedzieliśmy się, że „Wojtek, nie będąc jeszcze członkiem KPN, trzymał na pielgrzymce do Częstochowy transparent Konfederacji. Akcentuje dużą rolę przypadku: nie było kontaktów. Przed wstąpieniem przestudiował program, ale zadecydowała jednak osobowość Leszka Moczulskiego. Istotna była tradycja rodzinna, kult Marszałka Piłsudskiego (do domu dziadka do 1952 przychodzili partyzanci, a babcia była łączniczką ostatniego dowódcy Polski Podziemnej) [4].

Jak student prawa swoją akcją biuro dla KPN załatwił

Rolę przypadku podkreślałem również wtedy, gdy do siedziby KPN – pierwszej, w której działaczy nie nachodziła milicja, bo wcześniej tę rolę pełniły mieszkania Moczulskiego i Króla, nie Marcina oczywiście lecz Krzysztofa – ty-leż symbolicznie co jak najbardziej realnie umiejscowionej w Pałacu Kultury i Nauki – wybitny socjolog Ireneusz Krzemiński przyprowadził grupę swoich studentów, a my wystąpiliśmy w roli królików doświadczalnych w badaniu społeczności młodych działaczy.

– Podczas wojny chłop szedł do tej partyzantki, która działała najbliżej jego wsi – opowiadałem wtedy, wzbudzając spore zgorszenie podkreślających raczej ideowe motywacje kolegów. Jednak z tego co wtedy powiedziałem, ważny komplement dla Gawkowskiego wynika: Organizacja Akademicka KPN działała na uczelni realnie, nie zajmowała się jak weterani pierwszego NZS organizowaniem opłatkowych spotkań z konserwatywną profesurą na wydziale (co tymże nie utrudniało na pewno uzyskania zaległych, bo zaniedbanych w walce o wolną Polskę zaliczeń). Nie trzeba było jej szukać, spotkaliśmy się w pół drogi. Mogę wskazać miejsce gdzie to nastąpiło: do dziś tam stojąca cho-

ciaż nie ta sama ławka między Biblioteką Uniwersytecką a gmachem wydziału prawa. Ponieważ zimno było wtedy nieprzeciętnie, szybko przenieśliśmy się do kultowej nie tylko dla młodych opozycjonistów kawiarni „Harenda” w Domu Turysty PTTK przy Oboźnej. Przy stoliku siedzieliśmy wtedy we czworo: Katarzyna Pietrzyk – potem posłanka KPN z lat 1991-93 wybrana do Sejmu w pierwszych wolnych wyborach, Tomasz Markowski – w kilka lat później szef młodzieżówki Ruchu Odbudowy Polski Jana Olszewskiego, Wojciech Gawkowski i ja. Wszyscy oni studiowali prawo, ja jeden polonistykę, a dogadaliśmy się błyskawicznie, skoro już w parę dni później w mieszkaniu Gawkowskiego w bloku przy Skrajnej na Bródnie złożyłem przysięgę konfederacką.

W tym zaś, że działacze KPN z ławek i kawiarni mogli przenieść swoje miejsce spotkań do oficjalnego biura, Wojciech Gawkowski miał bezsprzeczną zasługę. W pierwszych tygodniach funkcjonowania rządu Tadeusza Mazowieckiego odebrałem telefon od szefa organizacji akademickiej. Poprosił mnie, żebym poszedł do Leszka Moczulskiego i powiadomił go, że KPN-owcy właśnie zaczęli okupację gmachu Komitetu Warszawskiego PZPR na rogu Chopina i Alej Ujazdowskich. Sam się do przewodniczącego Wojtek dodzwonić stamtąd nie mógł z całkiem oczywistych względów: zastępcą Mazowieckiego w rządzie i ministrem spraw wewnętrznych pozostawał wtedy gen. Czesław Kiszczak, główny autor logistyki stanu wojennego sprzed ośmiu lat.

W kwadrans byłem u Moczulskiego. Już w przedpokoju mieszkania na Jaracza przekazałem przewodniczącemu to, czego dowiedziałem się do Wojtka: budynek KW PZPR udało się zająć, ale otoczyły go siły milicji gotowe do interwencji.

– Niech ten rząd pokaże swoją siłę na KPN, skoro nie potrafi na komunistach – powiedział wtedy Leszek Moczulski [5].

Jednak powtarzające się w różnych miastach podobne akcje, w tym najbardziej spektakularna w Lublinie pod wodzą Dariusza Wójcika – KPN żądała biur dla siebie w imię zasady równości szans partii politycznych – doprowadziły do przydzielenia również jej przez władze odpowiednich pomieszczeń.

Szczupły chłopak w okularach, który nie bał się milicji

Do odbijania siłą komitetu PZPR z rąk KPN na rozkaz pierwszego po wojnie niekomunistycznego premiera na szczęście wtedy nie doszło, bo jednak ktoś wśród rządzących po rozum do głowy poszedł – ale gdyby podobna konfrontacja nastąpiła, Wojciech Gawkowski z pewnością jako szef grupy okupujących stanąłby na wysokości zadania.

Rok wcześniej spektakularnie udowodnił, że nie boi się szturmowych oddziałów Milicji Obywatelskiej. Wychodziliśmy zwartą grupą z Uniwersytetu Warszawskiego po jednym z akademickich mityngów na terenie uczelni, ku wielkiemu oburzeniu działaczy Niezależnego Zrzeszenia Studentów, że KPN znowu wyprowadza ludzi za bramę, na ulice. My wtedy liderów NZS uznawaliśmy za maminsynków a ich organizację za taki „trochę lepszy zsyg”, jak określano działające oficjalnie Zrzeszenie Studentów Polskich do którego zresztą u mnie na roku na polonistyce należały trzy osoby z grona dwustu studiujących. Dopiero z czasem oceny złagodniały. Z tamtej strony również, zwłaszcza, że znawcy tematu wśród historyków zaświadczały, że uliczne akcje KPN po koniec 1988 roku nie tylko nie zaszkodziły rozmowom toczonym bez jej udziału z władzą przez część opozycji ale jeszcze wzmocniły „stronę społeczną” w tych pertraktacjach.

W każdym razie za bramę i na ulicę jak najdosłowniej ludzi wtedy wyprowadziliśmy i to całkiem sporą grupę. Dla zmylenia sił porządku – bocznym wejściem od ul. Oboźnej. Zmusiło to ZOMO do przegrupowania się przed atakiem. Uderzyli na nas dopiero pod pomnikiem Mikołaja Kopernika. Idący na czele pochodu student prawa Wojciech Gawkowski dzierżył drzewce ogromnego transparentu z napisem „Konfederacja Polski Niepodległej”. I długo tego drąga z rąk nie wypuścił, również gdy milicjanci przewrócili go na asfalt Krakowskiego Przedmieścia (nawierzchnie bardziej ekologiczne nie śniły się jeszcze wtedy nawet Rafałowi Trzaskowskiemu, który już w kolejnym roku jako nastolatek pomagać będzie w kampanii Komitetu Obywatelskiego Solidarności) i deptali ile wlezie służbowymi buciorami.

Niepozorna powierzchowność Wojciecha Gawkowskiego zwykle ułatwiała mu kontakt z ludźmi, zwłaszcza, że pozostawał ujmujący, a maniery miał doskonałe, co wśród konserwatystów wcale nie jest regułą – ale niekiedy stwarzała problem, bo... nieco inaczej wyobrażano sobie szefa akademickiej struktury radykalnie niepodległościowej partii. Tak było, gdy umówiłem go ze studentką polonistyki, która zamierzała dołączyć do redakcji „Orla Białego”, a ja z kolei pełnej rekomendacji jej udzieliłem, bo czytała mnóstwo, pióro miała lekkie, komuny szczerze nie znosiła i w dodatku, co nieczęste w tamtych czasach, była tytanem pracowitości. Spotkać się mieli oboje przed modną wtedy „Gwiazdeczką” przy Piwnej na Starówce, na jakieś hasło, bo reguły konspiracji jeszcze wtedy w 1988 r. utrzymywaliśmy – choć nie wszystkie, nauczeni doświadczeniem z 1981, bo pamiętnego 13 grudnia dziećmi już nie byliśmy. Jednak moja protegowana parokrotnie na chodniku tej Piwnej obojętnie minęła szczupłego studenciaka w pinglach o wyglądzie cherubinka, bo spodziewała się raczej, że organizacją akademicką kieruje jakiś brodaczkę słusznej postury. Odnaleźli się jednak tak dosłownie jak i w przenośni.

Zaś Gawkowski, który czytał najchętniej książki o historii i polityce, jako szef OA KPN wykazał zrozumienie dla prezentowania na łamach jej pisma „Orzeł Biały” rozmaitej tematyki, z korzyścią dla poszerzania kręgu odbiorców gazetki. Drukowaliśmy wiersze Tomasza Merty, który później jako wiceminister kultury w trzech rządach wolnej już Polski nie wrócił z pamiętnej delegacji do Smoleńska. Również jego eseje o Dalajlamie, Normanie Podhoretzu i publicystyce Leopolda Tyrmanda z ostatniego amerykańskiego okresu życia. A także artykuł Krzysztofa Jaszczołta (z czasem został prawą ręką Michała Boniego) o relacjach między samorządem studenckim a młodzieżówkami partyjnymi, w który publicysta zręcznie wplótł entuzjastyczną ocenę „Siły bezsilnych” Václava Havla. I szkice różnych autorów od analiz myśli politycznej Zygmunta Krasińskiego i Maurycego Mochnackiego po recenzje najnowszych publikacji drugoobiegowych Marka Nowakowskiego, Ryszarda Reiffa czy Tomasza Jastruna.

Prywatka z czasów prohibicji

Na imprezie u mnie w mieszkaniu dla uczczenia świeżo obronionej przeze mnie pracy magisterskiej, pomimo czerwcowych upałów – o tej porze roku będzie jeszcze mowa – Wojciech Gawkowski pojawił się jak zwykle w garniturze i starannie do niego dobranych butach. Wśród osiemnastu uczestników tylko on i ja jako gospodarz we dwóch piliśmy wino, cała reszta wódkę, co najwyżej w wersji *soft* rozcieńczoną coca colą. Dziewczyny z polonistyki i prawa dawno już zrzuciły buty i tańczyły boso, jak w późniejszej o parę lat piosence Wilków o Grochowie, do rytmu jakiejś lambady a może to już była macarena. Tymczasem Wojtek ze stoickim spokojem wdał się gdzieś w kącie w długą pogawędkę o życiu politycznym a nie towarzyskim z moim kolegą z polonistyki Andrzejem Szozdą, zawiadującym wtedy NZS na wydziale.

Chwalony byłem wtedy powszechnie za to, że niczego nikomu nie zabrakło i nie trzeba było zasobów na żadnej mecie uzupełniać, bo wprawdzie nocne sklepy z alkoholem już wtedy istniały (najznacniejszy z nich przy Placu Zbawiciela stanowił instytucję życia towarzyskiego stolicy), ale akurat obowiązywała tamtej soboty prohibicja, bo rzecz działa się w przeddzień drugiej tury pamiętnych wyborów czerwcowych. Wszyscy zapamiętali datę 4 czerwca 1989 r. a mało kto dziś wie, że również w dwa tygodnie później ta część Polaków, których jeszcze to obchodziło, poszła zagłosować, by rozstrzygnąć o losach tych mandatów do Sejmu, które przy Okrągłym Stole zarezerwowano dla PZPR i jej satelitów: Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego, których wspólny rokosz już w trzy miesiące później miał przesądzić o powołaniu rządu Mazowieckiego.

Dla Wojciecha Gawkowskiego z oczywistych względów liczyła się pierwsza tura, w której sam walczył o mandat poselski z okręgu obejmującego jego rodzinną Pragę Północ z listy KPN, przeciwko kandydatowi Komitetu Obywatelskiego i jak łatwo się domyślić uzyskał wynik mierzony w procentach takich, co zwykle interesują aptekarzy nie politologów.

Kiedy w dwadzieścia lat później odwiedzę mecenasa Wojciecha Gawkowskiego w jego kancelarii adwokackiej na Powiślu, jej ścianę zdobi portret Marszałka Józefa Piłsudskiego. Zaś gospodarz powie mi, że starał się również o konterfekt Romana Dmowskiego, ale nie mógł go nigdzie dostać [6].

Wiadomo, że akces do KPN zawdzięczał Gawkowski kontaktom też już niestety dziś nieżyjącego Stanisława Mazurkiewicza, rodzzonego wnuka Jana ps. Radosław, bohatera Powstania Warszawskiego. Jako studenci pierwszego roku prawa zastanawiali się nad powołaniem własnej organizacji opartej właśnie na tradycjach akowskich. Kiedy jednak Stanisław Mazurkiewicz dostarczył Wojciechowi Gawkowskiemu egzemplarz „Rewolucji bez rewolucji” – logika wywodu Leszka Moczulskiego przekonała przyszłego mecenasa do wyboru formuły partii politycznej. To był ten przypadek co rozstrzygnął, skoro o przypadkach mowa już była w pierwszej części tego skromnego szkicu.

Niebawem Gawkowski i Mazurkiewicz wraz z Krzysztofem Zalewskim złożą konfederacką przysięgę w mieszkaniu Krzysztofa Króla przy Lumumby [7]. Jest rok 1986.

Formalnie Gawkowski przestanie być członkiem Konfederacji Polski Niepodległej w 1990 roku, już po zmianie ustrojowej, kiedy wraz z Ryszardem Bocianem bez efektu powoła osobną strukturę: KPN-Frakcja Demokratyczna w akcie sprzeciwu przeciwko kursowi Moczulskiego i Króla w nowych czasach. Życiem publicznym nie przestanie się jednak interesować. Później jako adwokat w wielu sprawach reprezentuje Tomasza Sakiewicza i to w czasach o dziesięciolecia poprzedzających okres prosperity tego ostatniego. Pozostanie też cenionym komentatorem wydarzeń, nie tylko związanych z jego domeną zawodową. Gdy się zadzwoniło, zawsze mówił tak, jakby się przygotował.

Oryginał w dobrym tego słowa znaczeniu, zawsze życzliwy ludziom i nieobojętny, Wojciech Gawkowski odszedł przedwcześnie. Brakuje go nam bardzo.

[1] Wojciech Gawkowski. Piekło i raj. „Orzeł Biały”. Pismo akademickie KPN, 20 II 1989, Warszawa nr 11.

[2] por. Marcin Król. Józef Piłsudski: ewolucja myśli politycznej. Wyd. Towarzystwo Kursów Naukowych, Warszawa 1980.

[3] por. Wacław Jędrzejewicz. Józef Piłsudski 1867–1935. Życiorys. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1985.

[4] Łukasz Perzyna. Idź się uczyć! „Res Publica” nr 1 z 1991, s. 72.

[5] zob. też. Łukasz Perzyna. Wszystko, co zawdzięczamy Moczulskiemu. „Opinia” nr 50 (148) zima 2024.

[6] por. Andrzej Anusz. Łukasz Perzyna. Konfederacja. Rzecz o KPN. Akces, Warszawa 2009, s. 80.

[7] por. ibidem.

ANDRZEJ JANUSZ NIEDEK 1946–2025

Św. p. Andrzej Janusz Niedeck (18 lutego 1946 – 29 stycznia 2025 r., 79 lat)



Syn Czesławy i Wacława, ukochany: mąż, ojciec, dziadek i przyjaciel. Bardzo lubił pomagać innym.

Urodził się w Chylicach na Mazowszu, a dzieciństwo spędził w Grodzisku Mazowieckim. Andrzej przejawiał wielorakie uzdolnienia i zainteresowania. Maturę uzyskał w zawodzie ceramika. Studiował geologię i geografę, którą ukończył na uniwersytecie łódzkim. Przez 20 lat pracował na Wydziale Geologii Uniwersytetu Warszawskiego, prowadząc

pracownię fotograficzną wykonując profesjonalną dokumentację fotograficzną do wielu prac naukowych. Jego zdjęcia były wykorzystywane w wydawanych pod-

ręcznikach i opracowaniach Wydziału Geologii UW i Instytutu Geologicznego. Samodzielnie prowadził pracownię fotograficzną na Wydziale Geologii UE. Był wybitnym fotografem. W wolnym czasie uprawiał sztuki walki i prowadził treningi Karate. Uwielbiał jeździć na rowerze, którym przejechał tysiące kilometrów.

W latach 1981–1989 był organizatorem oraz dowodzącym akcjami ulicznymi organizowanymi przez Grupy Oporu „Solidarni”. Zajmował się m.in. ochroną demonstracji antykomunistycznych, akcjami ulotkowymi, plakatowaniem, wieszaniem transparentów i ustawianiem tzw. gadał w wielu miejscach Warszawy. W 1983 r. był jednym z organizatorów procesu wydawniczego, a następnie kolporterem publikacji wydawanych przez Oficynę Wydawniczą „Rytm”. Zajmował się również organizacją odbioru transportów z pomocą dla osób internowanych. Za działalność w podziemiu został odznaczony: przez IPN Krzyżem Wolności i Solidarności w 2018 r.; medalem 40-lecia Grup Oporu Solidarni w 2022 r.; krzyżem Bóg-Honor-Ojczyzna-Solidarność.

W latach 90-tych prowadził Stowarzyszenie społeczno-kulturalne Solidarność i organizował wyjazdy kolonijne dla dzieci i młodzieży tzw. LATO SOLIDARNOSTCI, na których organizował młodzieży długie wycieczki rowerowe. Młodzież układała piosenki, które śpiewała przy ogniskach. W ostatnich 20 latach działał aktywnie na północno-wschodnim Mazowszu, rozwijając lokalną grupę działania „Ciuchcia Krasińskich”, którą założył w ramach programu LEADER. Działał w szesnastu gminach i prowadził wiele projektów prospołecznych. Jeździł też często na Suwalszczyznę. W październiku ubiegłego roku zdiagnozowano u niego ostrą białaczkę szpikową. Zmagał się dzielnie z nieuleczalną chorobą i wieloma bólami, ostatnie miesiące życia już bardzo cierpiał, w szpitalu w Suwałkach i w Augustowie, gdzie zmarł 29 stycznia o godz. 18. Cześć jego pamięci!

Współzałożyciel, w grudniu 1981 r., Grup Specjalnych RKW nazwanych potem Grupami Oporu „Solidarni”. Do końca 1989 r. z Teodorem Klincewiczem w ścisłym kierownictwie Grup. Organizował i kierował prawie wszystkimi akcjami ulicznymi w Warszawie, takimi jak: ochrona demonstracji, ulotkowanie, plakatowanie, wieszanie transparentów, ustawianie tzw. „gadałek”, w tym 1.05.1982 r. dla Rakowieckiej i 1.08.1982r. w Dolince Katyńskiej na Wojskowych Powązkach, biorąc w nich aktywny udział. Przygotował i przeprowadził 27.09.1982 r.

wmurowanie, w Mury Starego Miasta w Warszawie, tablicy poświęconej zabitym górnikom z „Wujka”, bez strat w ludziach i sprzęcie. Współtwórca, z Bolesławem Jabłońskim i Teodorem Klincewiczem, Oficyny Wydawniczej „Rytm” i jej kolporter na Warszawę i kraj. Organizował i przewoził ludzi zagrożonych aresztowaniem. Nawiązał współpracę Grup z przedstawicielami dużych zakładów pracy, pomagając im tworzyć i trenując grupy samoobrony i oporu, z których powstało później wiele Grup Specjalnych. Odbierał transporty z Włoch, Szwecji i Francji. Po przymusowym ujawnieniu i „zniknięciu” w Warszawie, organizator struktur GO”S” w Płocku i na Mazowszu. Nawiązywał również kontakty w innych miastach Polski i pomagał tam tworzyć i organizować struktury Grup Oporu „Solidarni”.

Moje wspomnienie o Andrzeju Niedku – jednym z z niezłomnych

Andrzej Niedeck to Kawaler Krzyża Wolności i Solidarności, najważniejszego odznaczenia dla ludzi Solidarności, bo odnoszącego się do najbliższych nam wartości.

Żadna encyklopedyczna nota nie jest w stanie opisać tego, co dla Solidarności Regionu Mazowsze zrobił Andrzej Niedeck, a są to obszerne historie zasługujące na to, by je opisać.

Andrzej walczył i pracował dla Solidarności, umiał i walczyć, i pracować; lepiej niż inni radził sobie z trudnościami i je pokonywać.

W tej walce i pracy dla Solidarności był zawsze tam, gdzie był potrzebny.

Był dzielny, silny i rycerski. **Wzór niezłomności wykształcony w pokoleniu żołnierzy Armii Krajowej przeniósł do naszego pokolenia**, pokolenia JP2, pokolenia ludzi Solidarności.

Tylko Ci, którzy z Nim współpracowali znają Jego wyczyny i zasługi. Na Niech, na Mnie, spoczywa powinność zachowania solidarnościowej pamięci o Andrzeju.

Żegnaj Przyjacielu!!!

Zbigniew Jacek Jackiewicz
Solidarność Regionu Mazowsze

Wspomnienie o śp. Andrzeju Niedku AGATY NIEDEK ŻONY:

Andrzej – nasz kochany Mąż, Ojciec, Dziadek. Człowiek wielkiego serca, który swoją dobrocią, życzliwością przyciągał wielu ludzi ku sobie. Poświęcał znajomym wiele czasu, często nawet zaniedbując własną rodzinę, ale nie mamy oczywiście za to żalu do Niego, gdyż to było Jego charakteru – działania pro publico bono.

Najbardziej zaangażował się w działania dla zachowania suwerenności Polski – zarówno za czasów późnego PRLu, kiedy rodziła się Solidarność, stanu wojennego, jak i po wejściu Polski do UE – czemu oboje byliśmy przeciwni – wiedząc, że to powolna utrata suwerenności. O tym wiedzą najlepiej jego koledzy z Grup Oporu „Solidarni” z którymi organizował wiele akcji sabotujących stan wojenny, a dodających otuchy ludziom więzionym, a społeczeństwu dostarczając w konspiracji drukowane książki i ulotki.

Zawsze utożsamialiśmy się w rodzinie z opcją patriotyczną zarówno rządu Jana Olszewskiego i konserwatywną prawicą republikańską. Bardzo Andrzeja niepokoiły losy Polski po ostatniej utracie władzy przez prawicowych polityków i nieuprawnione powstanie koalicji z ugrupowań, które faktycznie przegrały wybory. Według nas oni nie mają mandatu od społeczeństwa do sprawowania władzy.

W latach 90-tych bardzo wartościowe były organizowane przez fundację Lato Solidarności kolonie letnie dla dzieci i młodzieży. Dokumentują je liczne fotografie, pokazują piosenki śpiewane przy ogniskach, skecze, które młodzież sama tworzyła. Warto zapytać tej młodzieży, jaki wpływ miały na nich te wakacje spędzone na rowerowych długich wycieczkach krajoznawczych pod kierownictwem Andrzeja, który tworzył na nich atmosferę zaufania, a nie rozrabiania. Andrzej był niemal zrośnięty z rowerem, jeździł nim przez kilkadziesiąt lat, niezależnie od pór roku. W sumie przejechał co najmniej trzy równiki. W Warszawie razem stworzyliśmy podwaliny do Atoksycznego Podsystemu Komunikacji Rowerowej (APKR) już w latach osiemdziesiątych XX wieku. Poprzez Polski Klub Ekologiczny Okręgu Mazowieckiego promowaliśmy ten ekologiczny środek komunikacji.

Mamy w swoim rodzinnym archiwum tysiące fotografii, ponieważ to na-

sze pierwsza profesja, którą szczególnie Andrzej wykorzystywał przez wiele lat pracy na Wydziale Geologii Uniwersytetu Warszawskiego. Wspecjalizował się zarówno w fotografii zdjęć katalogowych skał, map wielkowymiarowych, reprodukcjach czarno – białych, a później w kolorze, do czego sam umiał robić odczynniki do wywoływania przeźroczy. Andrzej bardzo często jeździł z geologami i hydrogeologami w teren, w wiele regionów Polski gdyż był bardzo sprawny i fizycznie wytrzymały. Wykonywał w terenie również fotograficzną dokumentację zarówno do celów zawodowych, jak i artystycznych. Umiłowanie piękna krajobrazu okolic Warszawy i Suwalszczyzny Andrzej odkrył pisząc pracę magisterską z geomorfologii na obszarze Suwalskiego Parku Krajobrazowego, poznał ten przepiękny region Polski i rozpromował wśród wielu znajomych. Coroczne wakacje spędzane nad jeziorami, grzybobranie, wędkowanie, pływanie, wiosłowanie, rowerowe wycieczki z rodziną i znajomymi zostawiły nam piękne wspomnienia, dodatkowo wzbogacone one były ciekawymi kontaktami z miejscową, bardzo życzliwą i mądrą społecznością tych okolic wiejskich.

Jego zaangażowanie w Ekorozwój terenów Wiejskich w ramach projektów UE – LIDER dzięki założonej Fundacji „Ciuchcia Krasińskich” dla obszaru pñ. Mazowska dało bardzo dobre efekty. Andrzej opracował wiele strategii dla kolejnych gmin, które przyłączyły się do tej grupy lokalnego działania. W jej wyniku mogli rolnicy i kadra gospodyń wiejskich realizować szereg przedsięwzięć ekorozwojowych z pożytkiem dla lokalnej społeczności i środowiska przyrodniczego. Wraz z samorządem zostaje utworzony ośrodek dla dzieci nie w pełni sprawnych odciążając matki i rodziny, a stymulujące rozwój tych dzieci poprzez terapie zajęciowe. Szereg rolników brało również udział w warsztatach rolnictwa ekologicznego i zwiedzało te gospodarstwa. Andrzej bardzo zaangażował się e tę pracę dla ekorozwoju terenów wiejskich, miał bardzo dobry kontakt z miejscowymi rolnikami i samorządami, a dla Kościoła św. Stanisława Kostki w Rostkowie ułatwił realizację projektu osuszenia fundamentów.

Pracując i mieszkając częściowo na obszarze, gdzie realizował projekt LIDER mógł na własnym przykładzie pokazać, jak można proekologicznie hodować kury, które znosiły doskonałe jajka, które sam bardzo lubił. Przez lato w rodzinie i dla wielu znajomych Andrzej dostarczał te wspaniałe jajeczka

o niepowtarzalnych walorach smakowych i zdrowotnych. Przez całe lata delektowaliśmy się sami.

Andrzej bardzo lubił pracę na wsi, gdyż mając doświadczenie wyniesione z dzieciństwa, gdy w latach 60-tych pomagał w gospodarstwie swego stryja -prawdziwego, tradycyjnego rolnika o dużej wiedzy i kulturze rolnej. To były wspaniałe opowieści jak ciekawe to było ówczesne gospodarowanie bez chemizacji, ingerencji i degradacji środowiska przyrodniczego. Suwalszczyzna stała się jego kolejnym domem, gdyż sprzedając mieszkanie po rodzicach mogliśmy w rodzinie wybudować tutaj dom z bala, w którym tak dobrze nam się mieszało. Niestety zaniedbania własnego zdrowia, zarówno czasach działalności opozycyjnej, stanu wojennego i późniejszych dały o sobie znać w ostatnich latach. W ostatnich miesiącach niestety już bardzo cierpiał zmagając się z ostrą białaczką szpikową.

Miał jeszcze wiele planów. Pozostawił naszą rodzinę w wielkim żalu i na pewno będzie nam go bardzo brakowało, ale tak piękne i ciekawe wspomnienia naszego wspólnego życia, tak bliskie natury są dla nas pociechą, tak, jak e tysiące fotografii w wielu albumach.

Pożegnanie w Bazylice Wilanowskiej w gronie rodziny i przyjaciół było naprawdę godne. Dziękujemy wszystkim, którzy tam byliście i co teraz czynicie dla zachowania pamięci o Andrzeju. . Odpoczywaj w spokoju nasz Andrzeju. Zawsze zostaniesz w naszej pamięci i sercach.

Agata z całą Rodziną i Przyjaciółmi.

POROZUMIENIE KLUBU DIKKWiS z IPN

Porozumienie o współpracy

zawarte w dniu 13 grudnia 2024 r. w Warszawie pomiędzy:

Skarbem Państwa - Instytutem Pamięci Narodowej - Komisją Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, z siedzibą w Warszawie 02-676, przy ul. Janusza Kurtyki 1, NIP: 525-21-80-487, reprezentowanym przez:

dr. Karola Nawrockiego – Prezesa IPN

zwanym dalej: „Instytutem”

a

Stowarzyszeniem Klub Dam i Kawalerów Krzyża Wolności i Solidarności, z siedzibą w Warszawie, ul. Nowy Świat 48 lok. 11, 00-363 Warszawa, NIP: 5253017281, Nr w ewidencji stowarzyszeń 1181 (prowadzonej przez Prezydenta m.st. Warszawy) reprezentowanym przez: **Piotra Wójcika – Prezesa Zarządu i Andrzeja Chylka – Wiceprezesa Zarządu** zwanym dalej: „Stowarzyszeniem”

Działając w przekonaniu o wielkiej wadze świadomości historycznej społeczeństwa i jej fundamentalnym znaczeniu w kształtowaniu postaw obywatelskich i patriotycznych oraz mając na uwadze cele ustawowe i statutowe obu instytucji, Stowarzyszenie Klub Dam i Kawalerów Krzyża Wolności i Solidarności i Instytut Pamięci Narodowej deklarują wolę współpracy w zakresie upowszechniania wiedzy historycznej

§ 1

1. Współpraca Instytutu i Stowarzyszenia obejmować będzie:
 - 1) wspólne przedsięwzięcia o charakterze edukacyjnym;
 - 2) wspólne organizowanie:
 - a) sympozjów, seminariów i konferencji naukowych;
 - b) wystaw;
 - 3) inne działania uprzednio uzgodnione przez obydwie umawiające się Strony.
2. Zasady współpracy przy realizacji wspólnych przedsięwzięć każdorazowo będą określały odrębne umowy.
3. Za zobowiązania jednej ze Stron wobec osób trzecich wynikłe podczas realizacji postanowień umów, o których mowa w ust. 2, druga Strona nie ponosi odpowiedzialności.

POROZUMIENIE KLUBU DiKKWiS z IPN

§ 2

1. Osobą wyznaczoną do kontaktu ze strony Instytutu jest: **Pani Renata Brzozowska** – Archiwum IPN, tel. **22 581-86-22**.
2. Osobą wyznaczoną do kontaktu ze strony Stowarzyszenia jest **Piotr Wójcik** – Prezes Zarządu, tel. **601 662 318**.
3. Strony zobowiązują się do wzajemnego informowania się o zdarzeniach i okolicznościach istotnych ze względu na przedmiot i zakres porozumienia.

§ 3

1. Zmiany lub rozwiązanie porozumienia wymagają formy pisemnej pod rygorem nieważności.
2. Strony porozumienia zobowiązują się rozwiązywać spory wynikające z realizacji niniejszej porozumienia w sposób polubowny.
3. Jeżeli w ciągu jednego miesiąca od przedstawienia kwestii spornej Strony nie dojdą do porozumienia, sądem powszechnym rozpatrującym spory będzie sąd właściwy ze względu na siedzibę Instytutu.

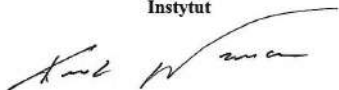
§ 4

1. Porozumienie wchodzi w życie z dniem podpisania.
2. Porozumienie zostaje zawarte na czas nieokreślony z możliwością rozwiązania przez każdą ze stron z zachowaniem 6 miesięcznego okresu wypowiedzenia.

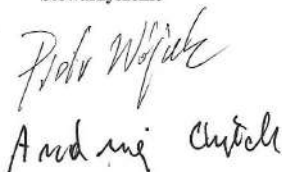
§ 5

Porozumienie sporządzono w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach, po jednym dla każdej ze Stron.

Instytut



Stowarzyszenie



ZBIGNIEW ANDRZEJ ADAMCZYK

NARODOWY DZIEŃ ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH POWĄZKI 1/2 MARCA 2025

Podobnie jak w latach poprzednich przedstawiciele **Instytutu Historycznego NN** wzięli udział w uroczystościach poświęconych pamięci o tych niezwykłych Bohaterach.

Tradycyjnie zebraliśmy się w południe 1 marca w gronie kilkuset osób z wielu patriotycznych środowisk w pobliżu słynnej kwatery „Ł” na warszawskim Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Na uroczystość przybył **prezydent RP Andrzej Duda**, był obecny obywatelski kandydat do pełnienia tej zaszczytnej funkcji pan **Karol Nawrocki**, wielu posłów, europosłów, przedstawiciele organizacji kombatanckich, politycznych i społecznych. Nie zabrakło wśród nich delegacji Okręgu Opoczniń Światowego Związku Żołnierzy AK.

Rozpoczęliśmy od odśpiewania Hymnu Narodowego, po czym głos zabrał **prezydent Andrzej Duda**.



W swoim wystąpieniu podkreślił rolę historyczną Bohaterów i znaczenie polityczne ich działalności i wagi wydarzeń, za które przyszło Im zapłacić najwyższą cenę – życiem.



Wielu „tylko” wieloletnim uwięzieniem. Wymienił kilku z nazwiska np: generał Fieldorf „Nil”, płk. Łukasz Ciepliński, rtm. Witold Pilecki podkreślając, że lista bohaterów jest długa. W imieniu Rzeczypospolitej oddał im cześć.

Nie mniej ciekawe były kolejne przemówienia, w tym: dr. Karola Nawrockiego, Tadeusza Płuzańskiego i Antoniego Macierewicza.

Wzruszający wiersz odczytał Jan Józef Kasprzyk.

Ze wszystkich przemówień można było wysnuć łączący je wniosek – te potworne komunistyczne i ubeckie zbrodnie nigdy nie zostały dostatecznie wyjaśnione a winni osądzeni!

Setki zabitych i zamordowanych do dzisiaj nie mają grobów! Oprawcy, kaci, sędziowie i prokuratorzy jeszcze po upadku PRL dożywali w dostatku swoich lat pobierając wysokie emerytury przez nikogo niepokojeni!

Także przez polskie prawo!

Nie do przecenienia są zatem wysiłki IPN, w tym **prof. Krzysztofa Szwa-grzyka** i ludzi pracujących pod jego kierownictwem zmierzające do odnalezienia miejsc zakopania (to nie były pochówki) zwłok pomordowanych i identyfikacji szczątków. Pan profesor także był obecny na tych uroczystościach.



Po złożeniu wieńców przez liczne delegacje dobiegły one końca, ale spore grono osób związanych z Instytutem Historycznym NN udało się na grób **Krzysztofa Lancmana** zmarłego 21 czerwca 2023. Grób Krzysia położony jest tuż obok „Łączki”. Zapaliliśmy znicze, była chwila zadumy i modlitwy, po czym przemieściliśmy się na nieodległy cmentarz Stare Powązki, gdzie spoczywa zmarły 14 stycznia 2025 **Michał Janiszewski**.

Tam także pochyliliśmy czoła. Wspominając w ciszy i modlitwie **Miśka**, po czym pozostawiliśmy kilka zapalonych zniczy. Nie tylko w Jego intencji. Spoczywa bowiem wraz z Madzią (Żabą), Jego ukochaną żoną.



Pod koniec lat 80-ych i później często na zaproszenie tamtejszego Okręgu KPN bywałem w Łomży.

W pobliskiej Piątnicy jest grób **Niezlomnego Stanisława Marchewki ps. Ryba**.

Po mszy poświęconej Jego pamięci na położonym w pobliżu cmentarzu przy Jego grobie zbierało się wielu okolicznych mieszkańców.

Wcześniej w latach 1960/70/80 ukradkiem składane kwiaty i zapalone znicze świadczyły o pamięci lokalnej społeczności.

Wtedy jeszcze, przed 89 poza mną, nikt nad grobem nie przemawiał. Za kilka lat owszem. Pojawiali się przedstawiciele władz miejskich, związkowych, OSP i kilku partii. Jednak dopiero po 1991.

Pamiętam też Jana Parysa, który pojawił się tam już po zaprzestaniu pełnienia funkcji Ministra Obrony Narodowej w rządzie Jana Olszewskiego.

Stanisław Marchewka „Ryba” zginął z bronią w rękę 4 marca 1957 roku. Dłużej od niego nie dał się pokonać UB, bolszewikom odzianym w polskie mundury tylko Józef Franczak ps. Luluś. Ten zginął w 1963.

Pamiętam niezwykłą gościnność rodziny Ryby, która dwukrotnie zaprosiła mnie i osoby mi towarzyszące na domowy obiad w domu w jednej z pobliskich wsi. Nazwy nie jestem pewny, ale chyba Jeziorka lub Jeziorki. W trakcie i po posiłku zdobyłem o Rybie o wiele więcej wiedzy, niż przedstawiają to dostępne obecnie podręczniki i strony internetowe. Do dzisiaj zdarza mi się w drodze na Mazury zrobić krótki przystanek w Piątnicy.

Przepraszam za ten długi, może zbyt osobisty wtret niezwiązany z tegorocznymi uroczystościami, ale musiałem to zrobić.

Następnego dnia, czyli 2 marca w kościele pw. Bł. Władysława z Gielniowa na warszawskim Ursynowie odbyła się Msza Święta za Ojczyznę, po której zakończeniu odbył się wspólny koncert pt. **PATRIOTA** poświęcony Żołnierzom Wyklętym, głównie rtm. Witoldowi Pileckiemu. Wykonawcami byli: **Barbara Górczewska i Leszek Czajkowski**, wspólny duet potrafiący w godzinnej inscenizacji poetyczno – muzycznej wycisnąć ze słuchacza łzy z oczu.

Mnie wzruszyli do tego stopnia, że tuż po koncercie składając Im gratulacje nadal miałem ściśnięte gardło.

To był występ nasycony patriotyzmem, świetną muzyką, śpiewem, narracją z muzyką w tle i okraszony obrazami na dużym ekranie. Do tego wspaniałą lekcją historii.

Słowo wstępne wygłosił **prof. Jan Żaryn, obecny był pan Andrzej Ostrowski – siostrzeniec Rotmistrza oraz historyk pan Tadeusz Płuzański.**

Wielokrotnie bywałem w tym kościele, ale tak wypełnionego, dosłownie do ostatniego miejsca jeszcze nie widziałem. To wielka świątynia i sądzę, że nie popełnię dużego błędu oceniając frekwencję na około 1000 osób.

Wśród nich nie zabrakło tych związanych z Instytutem Historycznym NN.

CHWAŁA BOHATEROM!

CHWAŁA ŻOŁNIERZOM WYKLĘTYM!

Tadeusz Ludwik Płuzański

Z innego świata

*Słońce jeszcze nie wyjrzało
wstał dzień
wychodzić!
jeden przygląda się moim butom
drugi rozbiera mnie wzrokiem
z wytartego więzieniem ubrania
trzeci się wbija okiem
w mój kark ...
ten będzie strzelał...
chwytają pod rękę
choć idę spokojnie
prawą stopę uwiera mi przyciasny but
dlaczego temu z lewej*

*tak zadrżało ramię ... ?
przecież we mnie już cisza ...
jak on to robi
ten trzeci ... ?
żeby celował dobrze
z pół metra nie może chybić ...
jeszcze trzech dołącza
jeden to naczelnik
drugi lekarz
weźmie mego trupa za rękę
i stwierdzi zgon
trzeci z plikiem papierów
kto to...?
w imieniu Rzeczypospolitej ...
... na mocy wyroku ...
kłamlive kule słów
jeszcze kilka metrów życia
dlaczego tyle ... ?
jakiś budynek ze schodami w dół
twarde uderzenie pod prawą łopatką
u wylotu niemieckiego pocisku
to jeszcze nie to ...
szczęk pistoletowego zamka
ułamek sekundy
żeby celował dobrze ...
rozwali mi głowę u nasady czaszki ...
suchy trzask !!
parzy ... jak strasznie parzy ...*

Tadeusz Ludwik Płuzański ps. *Tadeusz Radwan*, rocznik 1920

Podporucznik Wojska Polskiego, ochotnik w wojnie obronnej września 1939 r.
żołnierz Tajnej Armii Polskiej Witolda Pileckiego, pięć lat więziony w niemiec-

kim KL Stutthof, od grudnia 1945 do aresztowania w maju 1947 r. wywiadowca rotmistrza Witolda Pileckiego, kurier do generała Władysława Andersa. Przeszedł ciężkie śledztwo w katowni przy ul. Rakowieckiej 37, skazany na karę śmierci, 73 dni czekał na wykonanie wyroku w celi śmierci, po czym Bierut zmienił mu wyrok na dożywotnie więzienie, na wolność wyszedł w 1956 r. Historyk filozofii, pisarz, pedagog.

*Wiersz odczytany przez Jana Józefa Kasprzyka podczas uroczystości
1 marca na warszawskich Powązkach*

RELACJA Z OBCHODÓW NARODOWEGO DNIA PAMIĘCI „ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH” W OTWOCKU

W dniu 2 marca o godz.11: 15 w Muzeum Ziemi Otwockiej odbyła się uroczystość poświęcona pamięci Niezlomnych Żołnierzy podziemia antykomunistycznego, której główną częścią był Bieg Pamięci Żołnierzy Wyklętych – „Tropem Wilczym”.



RELACJA Z OBCHODÓW NARODOWEGO DNIA PAMIĘCI „ŻOŁNIERZY WYKŁĘTYCH”...



RELACJA Z OBCHODÓW NARODOWEGO DNIA PAMIĘCI „ŻOŁNIERZY WYKŁĘTYCH”...

Wydarzenie rozpoczęło odśpiewanie Hymnu Narodowego oraz wystąpienie okolicznościowe Prezydenta Otwocka Pana Jarosława Margielskiego i Prezesa Klubu Dam i Kawalerów Krzyża Wolności i Solidarności Pana Piotra Wójcika, który zabrał głos w imieniu gości honorowych reprezentujących Stowarzyszenie „Formacja Niepodległościowa” oraz Kapitułę Krzyża Służby Niepodległości.

W wydarzeniu udział brali: Przewodnicząca Rady Miasta Pani Monika Kwiek i Radni m.in. Pani Joanna Chmielewska, Pan Wojciech Sierpiński, Pan Michał Słupski, Pan Marcin Kwaśniewski, duchowni, przedstawiciele szkół podstawowych i ponadpodstawowych oraz klubów sportowych a także stowarzyszeń otwockich. Przede wszystkim dopisały rodziny z dziećmi z Otwocka i okolicznych miejscowości.

W imieniu Kapituły, Pani Grażyna Rudnik – Prezes Okręgu „Opocznik” Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej wraz z Panem Mirosławem Widlickim – Prezesem Okręgu Warszawa-Wschód ŚZŻAK, w uznaniu dokonania i zasług odznaczyli Pana Prezydenta Jarosława Margielskiego Krzyżem Służby Niepodległości:



„Za ofiarną służbę dla społeczności lokalnej, która buduje podstawy pomyślności i dynamicznego rozwoju polskich „Małych Ojczyzn”, za utrwalanie społecznych więzi Polskiej Wspólnoty Narodowej poprzez poświęcenie w pracy dla upamiętnia-

nia dziedzictwa narodowego i tradycji niepodległościowej w procesie kształtowania oraz propagowania postaw patriotycznych.”

Następnie zaprezentowana została inscenizacja walki Żołnierzy Niezłomnych z posterunkiem UB – w wykonaniu grupy rekonstrukcji historycznej.

Głównym punktem programu był Bieg Pamięci Żołnierzy Wyklętych – „Tropem Wilczym”, w którym wzięła udział bardzo liczna grupa uczestników licząca ponad 1600 osób, w tym aż ok. 600 dzieci i młodzieży, rywalizujących w różnych grupach wiekowych – od dzieci kilkuletnich po dorosłych – na dystansach 200, 400, 600, 800 i Bieg honorowy na 1963 metrów – data śmierci ostatniego Wyklętego Józef Franczak ps. „Lalek”. Bieg główny na dystansie 5 kilometrów pokonywali zarówno dorośli, młodzież oraz seniorzy z Otwocka i okolic. Wszyscy zwycięzcy i zawodnicy zajmujący drugie i trzecie miejsca otrzymali nagrody, każdy z uczestników otrzymał także od organizatorów i gości honorowych okazały, pamiątkowy medal z wizerunkiem Danuty Siedzikówny „Inki”.



RELACJA Z OBCHODÓW NARODOWEGO DNIA PAMIĘCI „ŻOŁNIERZY WYKŁĘTYCH”...





Przez ponad 6 godzin trwał gorący doping uczestników biegu, a także organizatorzy stworzyli możliwość nabycia pamiątek, flag i tematycznych publikacji IPN oraz spotkań z żołnierzami 6. Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej i Wojskowego Ośrodka Farmacji i Techniki Medycznej w Celestynowie, którzy prezentowali na stoisku wojskowy sprzęt bojowy. Ponadto, OSP Otwock Jabłonna i OSP Wólka Młudzka uczyli pierwszej pomocy przedmedycznej i rozmawiali z uczestnikami o bezpieczeństwie. Czas oczekiwania na start umilały treningi na strzelnicy laserowej i zabawy podczas animacji dla dzieci. Otwartą przestrzeń wypełniły pojazdy i sprzęt wojskowy.

Mimo chłodu i surowej aury w wydarzeniu wzięło udział niezwykle liczne grono mieszkańców Otwocka i gości w liczbie przekraczającej 1600 osób, całe rodziny, w tym szczególnie okazała reprezentowana była młodzież i dzieci.

Przez cały czas trwał równolegle piknik, podczas którego goście częstowani byli tradycyjnym bigosem, grochówką i kielbaskami.

To bardzo udane, radosne spotkanie zakończyło się po godz. 17-ej.

ZBIGNIEW ANDRZEJ ADAMCZYK

KONGRES PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH



W dniach 7/8 marca 2025 z inicjatywy Instytutu Pamięci Narodowej po raz pierwszy został zorganizowany kongres poświęcony **Żołnierzom Wyklętym**.

Wzięło w nim udział kilkaset osób z wielu stron kraju, reprezentujących liczne stowarzyszenia i fundacje patriotyczne.

Wśród zebranych można było zauważyć wielu znamienitych gości, prezydenta RP reprezentował pan minister **Andrzej Dera**.

Nie mogło zatem zabraknąć przedstawicieli **Instytutu Historycznego Nurtu Niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego** z prezesem **Andrzejem Chyłkiem** na czele i kilkoma członkami zarządu.

Po odśpiewaniu Hymnu Narodowego głos zabrało kilku mówców. Po prze-

Wielu mówców to podkreślało skarżąc się brak pomocy na terenie

KONGRES PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

ich działań, mogących obecnie w większości przypadków liczyć wyłącznie na współpracę z IPN.

Wielu nauczycieli krytkowało brak w programach nauczania akcentów dotyczących głębszej wiedzy czym była Armia Krajowa i żołnierze w niej walczący z dwoma okupantami.



Przebieg dwudniowego Kongresu podzielono na kilka paneli dyskusyjnych. Oto kilka z tematów:

Budowa Tożsamości wokół Żołnierzy Wyklętych, Pamięć o Żołnierzach Wyklętych – początki, Żołnierze Wyklęci bohaterami młodego pokolenia czy Poszukiwanie i upamiętnienie Żołnierzy Wyklętych.

Świetni paneliści, wśród nich prof. Krzysztof Szwagrzyk i dr. hab. Karol Polejewski, dobrzy prowadzący wśród których był red. Tadeusz Płużański, wiele ciekawych głosów w dyskusjach z sali.



Pierwszego dnia mieliśmy okazję wysłuchać koncertu w wykonaniu uznanych bardów: **Leszka Czajkowskiego i Andrzeja Kołakowskiego**.

Chętni mogli wraz z przewodnikiem zwiedzić teren i budynki byłego osnutego złą historią więzienia przy Rakowieckiej. Mogli zobaczyć na własne oczy w jakich warunkach musieli przebywać osadzeni, jak wyglądał pokój przesłuchań, gdzie i jak byli mordowani przez komunistycznych oprawców.

Polecam wszystkim odwiedzenie tego miejsca. Jest to możliwe po wcześniejszym uzgodnieniu i podaniu liczby osób. Szczegóły na stronie **Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL**.

Pierwszy dzień zakończyły Msza Święta w intencji **Hieronima Dekutowskiego „Zapory” oraz Apel Pamięci w rocznicę Jego śmierci**.

Drugiego dnia po udziałach w panelach i ciekawych dyskusjach pokazano spektakl „Przez Ścianę” i wyświetlono film „Zapora”.

Wymieniając tego niezwykłego Bohatera nie mogę nie wspomnieć o **Barbarze Rejniewicz**, mojej przyjaciółce z KPN. Bowiem dla Basi był on jej ojcem chrzestnym. Ostatnie kilka lat paskudna choroba nie pozwalała Jej wychodzić z domu, więc w każdy piątek późnym wieczorem rozmawialiśmy przez telefon. Nie ukrywam, że Ona i ja po połączeniu telefonicznym nalewaliśmy sobie po drinku i rozmowy, wspomnienia, oceny sytuacji politycznej trwały najczęściej ponad godzinę. Ona w Lublinie, ja w stolicy.



KONGRES PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

Wielki żal, że nie doczekała możliwości udziału w tym Kongresie. Na noszach kazała by się przywieźć...

Należy podkreślić bardzo dobrą organizację przebiegu Kongresu. Dyrekcja oraz liczni pracownicy Muzeum reagowali na wszelkie potrzeby licznych uczestników. Dziękujemy!!!

Mam nadzieję, że w przyszłym roku i kolejnych latach nadal będę miał szansę wzięcia udziału w takich inicjatywach.

ZAPOMNIANY POLSKI PATRIOTA ŚP. LESZEK ZUBIK (29.03.1960-20.10.2004)

Jako działacz opozycyjny zapisał się odważną i bezkompromisową postawą bohaterskiego,

czynnego oporu wobec reżimu totalitarnego umocowanego w naszej Ojczyźnie .

Zubik należał do grupy konspiracyjnej Czesława Lipko, która dokonała w Wodzisławiu Śląskim

wysadzenia postumentu gloryfikującego system komunistyczny .

Wydarzenie to miało miejsce 29 kwietnia 1982 roku i skutkowało surowymi wyrokami sądowymi o znamionach politycznych oraz osadzeniem w więzieniu autorów tego śmiałego aktu protestu

wobec zbrodniczego systemu totalitarnego .

Pan Leszek otrzymał wyrok 3 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności .

Karę odbył w zakładzie karnym w okolicach Wrocławia .

Pan Leszek Zubik po odbyciu kary ,tak jak potrafił ,odnajdywał się w życiu rodzinnym i społecznym .Zmarł w zapomnieniu i osamotnieniu w wieku 44 lat w 2004 roku .

Jego opuszczony grób wymaga wsparcia finansowego ,ponieważ upływa termin opłacenia miejsca pochówku .Leszek Zubik był założycielem i twórcą grupy skonfederowanej z Konfederacją Polski Niepodległej „ Sokół ” w Żorach .

Pamiętając o niezłomnej miłości do Boga i Ojczyzny śp. Leszka Zubik :

Cześć Jego pamięci !

40 LAT RUCHU WOLNOŚĆ I POKÓJ

Powstały w 1985 roku WiP, chociaż był jedną z najmłodszych organizacji antykomunistycznej opozycji, najszybciej urzeczywistnił swoje zamierzenia. Już w trzy lata później, chociaż Polską wciąż rządili komuniści, władze przystały na żadaną przez Ruch Wolność i Pokój zmianę tekstu przysięgi wojskowej z wykreśleniem słów o sojuszniczej wierności wobec Armii Radzieckiej oraz na wprowadzenie służby zastępczej. Uczestnicy konferencji, zorganizowanej przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Mazowiecką Wspólnotę Samorządową oraz Stowarzyszenie Wolnego Słowa 29 marca 2025 r. na rocznicę powołania WiP uznali, że sukces ruchu stał się możliwy dzięki skutecznemu nawiązaniu kontaktów ze środowiskami robotniczymi.

Nikt nie mógł przypuszczać 40 lat temu, że tak się sprawy potoczą - zauważył Lech Parell, minister-szef UdsKiOR, a wówczas działacz Ruchu Wolność i Pokój w Trójmieście: - Ludzie wtedy ściągani z ulic przez milicję, pałowani i skazywani biorą udział w kształtowaniu teraźniejszości Polski.

**Kuźnia politycznego myślenia i działania,
a nie tylko szkoła przyszłych ministrów**

Po zmianie ustrojowej ministrami w różnych rządach zostawali: Jan Rokita jako szef Urzędu Rady Ministrów w gabinecie Hanny Suchockiej, Bogdan Klich jako szef resortu obrony u Donalda Tuska a obecnie polskiego przedstawicielstwa w Waszyngtonie, Jacek Czaputowicz na czele dyplomacji za rządów Prawa i Spra-

wiedliwości, Konstanty Radziwiłł kierujący wtedy resortem zdrowia i Bartłomiej Sienkiewicz w roli ministra kultury w kolejnym rządzie Tuska. Działacze WiP obejmowali również, jak Piotr Niemczyk i nieżyjący już Konstanty Miodowicz wysokie stanowiska w służbach specjalnych demokratycznego państwa. Zdecydowana większość uczestników tak Ruchu jak rocznicowego spotkania nie pełni jednak eksponowanych funkcji. Przyjechali, by się spotkać po latach. Gospodarz debaty Jacek Juzwa ze Stowarzyszenia Wolnego Słowa podkreślił, że w tym samym miejscu świętowali wcześniej swoje rocznice działacze Konfederacji Polski Niepodległej i Polskiej Partii Socjalistycznej. Przy czym SWS nie ogranicza aktywności do rozmów o historii najnowszej, wspiera aktywnie Ukrainę w jej dążeniu do zachowania niepodległości a nawet demokratyczną opozycję wietnamską.

Wartości takie jak wolność i pokój pozostają bliskie naszemu sercu - zapewnił Mariusz Ambroziak, wiceprezes Mazowieckiej Wspólnoty Samorządowej, w latach 80. zaangażowany w działania WiP jako młody robotnik Zakładów Mechanicznych Ursus, teraz zaś przedsiębiorca i współorganizator konferencji. Podobnie w podwójnej roli wystąpił Dariusz Zalewski: wtedy robotniczy działacz WiP w Bełchatowie, obecnie specjalista od ekonomii już z doktoratem i uczestnik jednego z paneli.

- Władze ustąpiły dlatego, że WiP był silnie zakorzeniony w środowiskach robotniczych - uzasadnił szybką realizację celów Ruchu jego historyczny lider Jacek Czaputowicz. Wielu wywodzących się z nich działaczy pierwsze kroki w walce z ustrojem stawiało właśnie w Ruchu Wolność i Pokój, chociaż bazą jego powołania stały się środowiska studentów i młodej inteligencji. Spora część łączyła aktywność w WiP i zdelegalizowanej Solidarności. Ruch bowiem nie określał się - w odróżnieniu od kierowanej przez Kornela Morawieckiego Solidarności Walczącej - jako alternatywa dla jakoby zbyt ugodowego Związku. Kiedy już powstał, bardziej jego działania uzupełniał.

Nowa jakość w antykomunistycznej opozycji

Jak podkreślał w trakcie rocznicowej konferencji historyczny lider WiP Jacek Czaputowicz, po doświadczeniach stanu wojennego Ludowe Wojsko Polskie odbierane było przez znaczną część społeczeństwa jako zbrojne ramię

Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zaś „przysięga oddawała istotę problemu, jakim była zależność PRL do ZSRR”, zauważył w jednym z wywiadów przywódca Ruchu Wolność i Pokój. [1]

Jednak pomimo wydarzeń po 13 grudnia 1981 r. oparta na poborze powszechnym armia wciąż cieszyła się pewnym zaskakującym prestiżem, co oddawały zarówno badania opinii publicznej, jak jej umocowanie w codziennej obyczajowości - zwłaszcza zwyczaj odwiedzania przez bliskich w jednostce żołnierzy składających przysięgę. Ta ostatnia jednak pozostawała słabym punktem, bo ogół Polaków nie akceptował zawartego w niej zobowiązania do chowania sojuszniczej wierności Armii Radzieckiej, przez wielu traktowanego jako upokarzające.

Cele więc umiejętnie stopniowano, licząc się z nastrojami społecznymi. Pierwsi *obdźektorzy* odmawiali wyłącznie złożenia przysięgi, dopiero kolejni - służby wojskowej.

Jak opisali w książce „Solidarność w podziemiu” Jerzy Holzer i Krzysztof Leski: „Już jesienią 1984 stała się głośna sprawa Mirosława Zabłockiego z Wyszkowa, który po ukończeniu matematyki na Uniwersytecie Warszawskim został aresztowany za odmowę złożenia przysięgi wojskowej. Ostatecznie przysięgę złożył, ale 18 grudnia za taką samą odmowę na 2,5 roku więzienia skazany został Marek Adamkiewicz ze Szczecina, także absolwent matematyki tamtejszej Wyższej Szkoły Pedagogicznej” [2].

W jego obronie zaczęła się 17 marca 1985 r. głódówka w kościele w Podkowie Leśnej z udziałem głównie środowiska Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Trwała tydzień. W jej trakcie dyskutowano możliwość powołania organizacji skierowanej przeciwko przemocy.

Ruch Wolność i Pokój powołali jednak w kwietniu 1985 r. w Krakowie nie uczestniczący w proteście głodowym działacze z tamtejszego środowiska. Autorem deklaracji założycielskiej i pomysłodawcą nazwy był Jan Rokita.

Przedstawiciele krakowskiej inicjatywy pojawili się niebawem w mieszkaniu Jacka Czaputowicza przy warszawskiej ulicy Wilczej. Zdecydowano o wspólnym działaniu.

„Przyjechali do Warszawy z nazwą i deklaracją, które uznaliśmy za dobre. Przekonałem kolegów, by nie tworzyć czegoś odrębnego, lecz podpisać się pod deklaracją krakowską” - wspomina Czaputowicz [3].

Jedni i drudzy próbowali wykorzystać popularność ruchów pokojowych na Zachodzie, najsilniejszych wtedy w Niemczech i Holandii i blokujących w ramach swoich protestów bazy NATO. Tamtą działalność szeroko propagował Dziennik Telewizyjny. Związani z nową inicjatywą działacze opozycyjni uznali, że władza poniesie straty propagandowe, równocześnie zachwalając aktywność przeciwników rozmieszczania w Europie Zachodniej rakiet Pershing i Cruise i represjonując zwolenników wycofania ich radzieckich odpowiedników SS-20. W Niemczech był to także czas sukcesów Partii Zielonych, która wprowadziła swoich przedstawicieli do Bundestagu, gdzie zasiadają do dzisiaj. WiP postawił żądanie zaprzestania budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu stanowiącej sztandarową inwestycję ekipy gen. Wojciecha Jaruzelskiego, a także zapory na Dunajcu w Czorsztynie (rychło pojawiło się hasło: «Tama tamie»). Domagał się zamknięcia trującej środowisko naturalne Huty Siechnice.

Przed wszystkim jednak opozycja antykomunistyczna, wobec uwiędu podziemnych struktur Solidarności, których apeli o kolejne protesty mało kto już słuchał, potrzebowała nowych środków wyrazu. W dodatku na przedwiośniu 1985 r. władze aresztowały liderów Konfederacji Polski Niepodległej: oprócz Leszka Moczulskiego i Andrzeja Szomańskiego również działacze młodszego pokolenia, ciągnących przedtem robotę, gdy przewodniczący Moczulski lata 1980-94 z niewielką tylko przerwą spędził za kratami: Krzysztofa Króla, Dariusza Wójcika i Adama Słomkę. Szykowały drugi proces kierownictwa KPN. Zaś PPS jeszcze wtedy nie powstała, natomiast Solidarność Walcząca przedstawiała siebie jako radykalną alternatywę dla Lecha Wałęsy i funkcjonującej w podziemiu Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej «S». Jak charakteryzuje w książce «Nielegalna polityka» Andrzej Anusz: «W połowie lat osiemdziesiątych opozycja znajdowała się w kryzysie. Działacze Solidarności nie mogli odnaleźć czytelnej taktyki i strategii działania» [4].

A przy tym już w lutym 1985, jak opisali z kolei Leski i Holzer, znane stały się z przecieków: „projekty rozporządzeń ministerialnych, według których wprowadzić miano rok fizycznej pracy przymusowej dla absolwentów szkół

wyższych, nie podlegających obowiązkowi służby wojskowej, a dla wszystkich absolwentów szkół zawodowych, uczelni oraz studiów doktoranckich - obowiązek przepracowania 10 lat w gospodarce uspołecznionej z możliwością zamiany na zwrot kosztów wykształcenia” [5]. To powołanie WiP i jego aktywność przeciw koncepcji „społeczeństwa koszarowego”, ku której skłaniali się wtedy generałowie Wojciech Jaruzelski i Czesław Kiszczak, przyczyniło się w znacznej mierze do storpedowania podobnych pomysłów.

Ruch Wolność i Pokój stopniowo rozszerzał swoją działalność. Niebawem powstał jego ośrodek wrocławski z Leszkiem Budrewiczem jako głównym animatorem. Wkrótce WiP działał w aż dwudziestu miastach.

Szczególnie cenne okazały się kontakty ze środowiskami robotniczymi, których zainteresowanie tematem służby wojskowej nietrudno wytłumaczyć.

Zaprotestowali ci, których pobór najmocniej dotykał

O ile bowiem studenci musieli liczyć się z rokiem „podchorążówki” po dyplomie, mniej uciążliwej niż dwuletnia służba zasadnicza, a przy tym dzięki życzliwości lekarzy w tym także wojskowych nietrudno się było od niej wyreklamować - to pobór powszechny najmocniej dotykał absolwentów szkół zawodowych i techników, wywodzących się w przeważającej większości ze środowiska robotniczego i ze wsi. Powszechną grozę budziła w tym czasie „fala” w wojsku, praktyka wywodząca się z subkultury więziennej i polegająca na metodycznym dręczeniu młodszych roczników (zwanych w jej ramach „kotami”) przez starszych wojskowym stażem „dziadków”. Presja ta, tolerowana przez rozpitą bo topiącą w wodzie ognistej stres związany ze stanem wojennym, kadre podoficerską i oficerską - prowadziła nierzadko do samobójstw. Wiele ofiar na poligonach łączyło się z wyposażeniem LWP w przestarzałe uzbrojenie i sprzęt często produkcji radzieckiej, co powodowało wypadki, których skutki tuszowano. Jedną z codziennych dolegliwości pozostawała komunistyczna indoktrynacja, czasem wzmocniona doraźnymi represjami wobec żołnierzy przysypiających w trakcie pogadanek politruków. Do obowiązków zaliczono oglądanie Dziennika Telewizyjnego o godz. 19,30 w żołnierskich świetlicach.

Użycie wojska do pacyfikacji legalnej Solidarności po 13 grudnia 1981 r. uaktywniło jednak na zasadzie odruchu protestu patriotyczne środowiska w samej armii. Właśnie w latach 80. rozwinął swoją działalność pułkownik Stanisław Dronicz, członek Konfederacji Polski Niepodległej, wydający potajemnie pismo „Reduta”. Pojawiały się również liczne pogłoski o rozwijającym się ruchu młodych oficerów, oburzonych splamieniem munduru w stanie wojennym. Jednak aktywność tego kręgu nie stała się do dziś przedmiotem zainteresowania badaczy. Mnogość sygnałów z nim związanych wskazuje jednak, że nie był fikcją.

Z drugiej strony upowszechnienie drugiego obiegu wydawniczego wzmogło zainteresowanie etnografią wojskową, której przejawem oprócz złowrogiej „fali” pozostawało odcinanie z centymetra krawieckiego dni pozostających do końca służby, przygotowanie wzorzystych chust, eksponowanych później przez świętujących hucznie powrót do cywila rezerwistów. Watahy tych ostatnich przewalały się przez pociągi i staromiejskie dzielnice większych miast. Pijani i wyśpiewujący swoje proste piosenki rezerwiści spotykali się z wycieczkami szkolnymi czy zwykłymi podróżnymi czy przechodniami, co w oczywisty sposób stanowiło dla osób postronnych sygnał, że w wojsku dzieje się źle, skoro tak się cieszą ci, co je po dwóch latach opuszczają. Zwłaszcza, że literackie pisma poza zasięgiem cenzury utrwalały i spopularyzowały wiersz żołnierza służby zasadniczej, prosty jak konstrukcja przydziałowej broni i oddający odczucia szeregowych LWP. Pełna jego treść brzmiała: „*Minął dzień / dzień ch...owy. / Jutro nowy / też ch...owy*”. W mniej wrażliwych wzbudzał pusty śmiech tylko, w co bardziej empatycznie nastawionych - raczej współczucie i smutek.

O tym, że jeśli odmówi się przysięgi lub samej służby wojskowej, inni się o tym dowiedzą, przekonali się za sprawą Radia Wolna Europa - zagłuszanego wtedy ale niosącego użyteczne informacje - młodzi robotnicy z Gorzowa. Wkrótce sami podobne deklaracje złożyli, zyskali wsparcie Ruchu Wolność i Pokój i z własnego wyboru stali się jego częścią. Co charakterystyczne, gorzowscy „obdźektorzy” powoływali się na motywacje chrześcijańskie a nie typowo pacyfistyczne. Równocześnie działali też w ruchu obrony życia poczętego i cieszyli poparciem biskupa Józefa Michalika. Dla zwykłych ludzi był to sy-

gnał, że przysięgi i służby odmawiają nie tylko hipisi, chociaż oczywiście ich również w rodzącym się WiP nie brakowało.

Nazwa Ruchu Wolność i Pokój zaczerpnięta została zresztą z orędzia Papieża Jana Pawła II na Dzień Pokoju, o czym w trakcie rocznicowej konferencji przypomniła autorka książki o WiP Anna Smółka.

Straszna tragedia spowodowana katastrofą w elektrowni atomowej w Czarnobylu w ZSRR, w kwietniu 1986 r a więc w rok po powstaniu Ruchu Wolność i Pokój, wykazała z kolei, że ekologiczne postulaty tego ostatniego nie wynikały z mrzonek pięknoduchów. Następstwa awarii siłowni czarnobylskiej dla zdrowia Polaków wzbudziły powszechne oburzenie, a tego co się stało, nie próbowano już ukryć, skoro dzieciom podawano płyn Lugola, a zachodnie ekipy kolarzy szosowych wycofały się z transmitowanego w telewizji Wyścigu Pokoju, który tego roku zacząć się miał akurat w dotkniętym radiacją Kijowie.

Gdy wszystko to miało miejsce, przywódcy WiP Jacek Czaputowicz i Piotr Niemczyk przebywali w celach na Rakowieckiej, osadzeni tam pod zarzutem osłabiania obronności państwa. Jak po latach opowiadał mi Niemczyk, o tym, że dzieje się coś dziwnego, dowiedział się, kiedy niespodziewanie przyniesiono mu rzodkiewkę i sałatę, wcześniej nieobecne w jadłospisie za kratami. Oprócz liderów ruchu pokojowego wciąż tam trafiali odmawiający służby wojskowej, jak wipowiec Wojciech Jankowski z Trójmiasta.

Z czasem jednak represje zelżały, co wpisywało się w ogólną politykę generałów: we wrześniu 1986 r. wicepremier i minister spraw wewnętrznych Kiszczak ogłosił w telewizji amnestię. Za jej sprawą wyszli na wolność Niemczyk i Czaputowicz. Złagodzone jednak także kurs wobec tych, których sumień bronił Ruch Wolność i Pokój.

Nie wszyscy od razu mieli tego świadomość. Jak opowiadał w trakcie rocznicowej konferencji dr Dariusz Zalewski, pracujący wtedy jako robotnik w Bełchatowie, zgłosił się do niego wówczas kolega z opozycji Zbigniew Matyskiewicz i przekonywał, że aby zaistnieć - „muszą mieć więźnia politycznego”. Jednak kiedy Krzysztof Krupa, pracownik bełchatowskiej kopalni, odmówił przyjęcia karty powołania do wojska - zamiast go zatrzymać, w komisji wojskowej komendy uzupełnień w Piotrkowie Trybunalskim dano mu czas do namysłu. W praktyce - do poboru jesienno. Nie objął go jednak już ten

ostatni, ponieważ latem Krupa zdał egzamin wstępny na Katolicki Uniwersytet Lubelski, co chroniło przed wojskiem.

Wolny wyszedł również z wojskowej komendy uzupełnień w Gostyninie Mariusz Ambroziak, wtedy robotnik z Ursusa - chociaż przyszedł do niej z podaniem, napisanym w mieszkaniu Czaputowicza i na jego maszynie, uzasadniającym odmowę służby wojskowej przyczynami politycznymi. Konkretnie zaś: użyciem LWP przeciw społeczeństwu w 1981 r. oraz wcześniej w 1970. A także w 1968 przeciwko „bratniemu narodowi Czechosłowacji”. Pomimo to pozostał na swobodzie, a ursuski WiP miał także później dwa punkty kontaktowe: w kościele Świętego Józefa i pracowniczym pokoju Ambroziaka, kwaterze wynajmowanej dla niego przez Zakłady Mechaniczne.

Jak antykomunistyczne ugrupowanie zwyciężyło zanim komunizm upadł

„WiP, nastawiony zrazu na walkę o uwolnienie odmawiających przysięgi a następnie służby wojskowej, z czasem przekształcił się w szerszy ruch pokojowy i ekologiczny, którego szczytowa popularność przypadła na lata 1986 i 1987. W czerwcu 1988 r. odniósł on swój największy sukces: władze zdecydowały się na zmianę rotę przysięgi, wprowadzenie zastępczej służby wojskowej i zapowiedziały skrócenie służby zasadniczej oraz służby absolwentów szkół wyższych” - czytamy u Leskiego i Holzera [6].

Oczywiście WiP nie był w swoim pokojowym dziele samotny. W trakcie rocznicowej konferencji, ówczesny lider Niezależnego Zrzeszenia Studentów Andrzej Anusz opowiadał, jak koledzy zareagowali na obcięcie go na egzaminie z wojska w studium UW w ramach represji za opozycyjną działalność: bo właśnie ujawnił swoje nazwisko w składzie kierownictwa tej odradzającej się organizacji studenckiej. Ponieważ w ramach opozycyjnego „BHP” przyjęto zasadę, że akcji malowania murów nie wykonuje się nigdy na własnej uczelni - w nocy na studium wojskowe Uniwersytetu Warszawskiego podjechała ekipa działaczy NZS z Akademii Teologii Katolickiej. W trakcie występu gościnnego pomalowali sprayem baraki mieszczące się przy Żwirki i Wigury. Ponieważ okna były otwarte, weszli nawet do środka, więc graffiti o wymierzonej w LWP treści znalazły się również na ścianach korytarzy, gabinetów i sal do odbywania zajęć.

Dwa dni później wczesną porą Anusza obudziła zaskoczona mama.

- Dzwoni do ciebie jakiś Korga, twierdzi, że jest pułkownikiem.

Jak się okazało, komendant studium wojskowego Uniwersytetu Warszawskiego osobiście zatelefonował do studenta, żeby go powiadomić o wyznaczeniu w szybkim terminie egzaminu poprawkowego. Jak się później okazało - przeprowadzony został uczciwie.

NZS, korzystający podobnie jak WiP z doświadczeń wrocławskiej Pomarańczowej Alternatywy animowanej przez Waldemara Fydrycha ps. Major - organizował pod barakami studium wojskowego happeningi z hasłem „Przekujmy czołgi na Wołgi a pepesze na lemiesz”. Radzieckiej produkcji limuzynami marki Wołga wożeni byli wówczas dyrektorzy państwowych przedsiębiorstw, stanowiących podstawę socjalistycznej gospodarki.

Do pogodnej formy happeningowej odwołał się Ruch Wolność i Pokój również wówczas, gdy wspierał rozstrzygające, jak się później okazało, robotnicze strajki w 1988 roku. Wtedy w Stoczni Gdańskiej były więzien za odmowę służby wojskowej i działacz WiP Wojciech Jankowski namówił robotników, żeby Melexy, wózki akumulatorowe stanowiące podstawę komunikacji wewnętrznej w wielkich zakładach pracy, obłożyli styropianem i pomalowali w ten sposób, żeby imitowały czołgi. Kiedy kawalkada pojazdów tak spreparowanych zbliżyła się do okrążającego strajkującą Stocznnię kordonu ZOMO, zdezorientowani milicjanci cofnęli się, bo na żadnym ich szkoleniu nie mówiono przedtem o podobnej sytuacji. Opowiadała o tym w trakcie konferencji rocznicowej Małgorzata Tarasiewicz z trójmiejskiego WiP.

W roku akademickim 1988/89 WiP wspólnie z NZS zorganizowały bojkot studium wojskowego w największych uczelniach.

Sukces w kwestiach związanych z wojskiem nie skłonił Ruchu Wolność i Pokój do zaniedbania postulatów ekologicznych. Kolejno stawały się faktem. Zamknięto destrukcyjną dla środowiska naturalnego Hutę Siechnice pod Wrocławiem, jednym z mateczników Ruchu. Zaś już przy Okrągłym Stole opozycja uzgodniła z władzą wypełnienie kolejnego wipowskiego żądania. Wstrzymano budowę siłowni jądrowej w Żarnowcu na Pomorzu, która miała wykorzystywać radzieckie technologie, co groziło nowym Czarnobyłem. Jak wiemy, cho-

ciaż flagowy, nie był to jedyny pomysł Jaruzelskiego, z którego przyszło mu wówczas zrezygnować.

Zbigniew Bujak, historyczny lider Regionu Mazowsze i legendarny przywódca Solidarności zepchniętej do podziemia po 13 grudnia 1981 r. przez władze stanu wojennego, przyznał w trakcie rocznicowej konferencji, że zasada jawności działania, preferowana przez WiP oczywiście z wyjątkiem sektora druku i kolportażu, wywarła też spory wpływ na wybór strategii przez Związek w przełomowym dla niego okresie: - Wielu ludzi od nas opowiadało się za kontynuowaniem konspiracji - przypomniał Bujak.

WiP okazał się więc w tej mierze - pozostając jedną z najmłodszych opozycyjnych formacji - zarazem jedną z najbardziej roztropnych.

[1] Wpływ WiP na historię wynikał z kontaktów z robotnikami. Z prof. Jackiem Czaputowiczem rozmawia Łukasz Perzyna. Samorządność.pl z 29 marca 2025

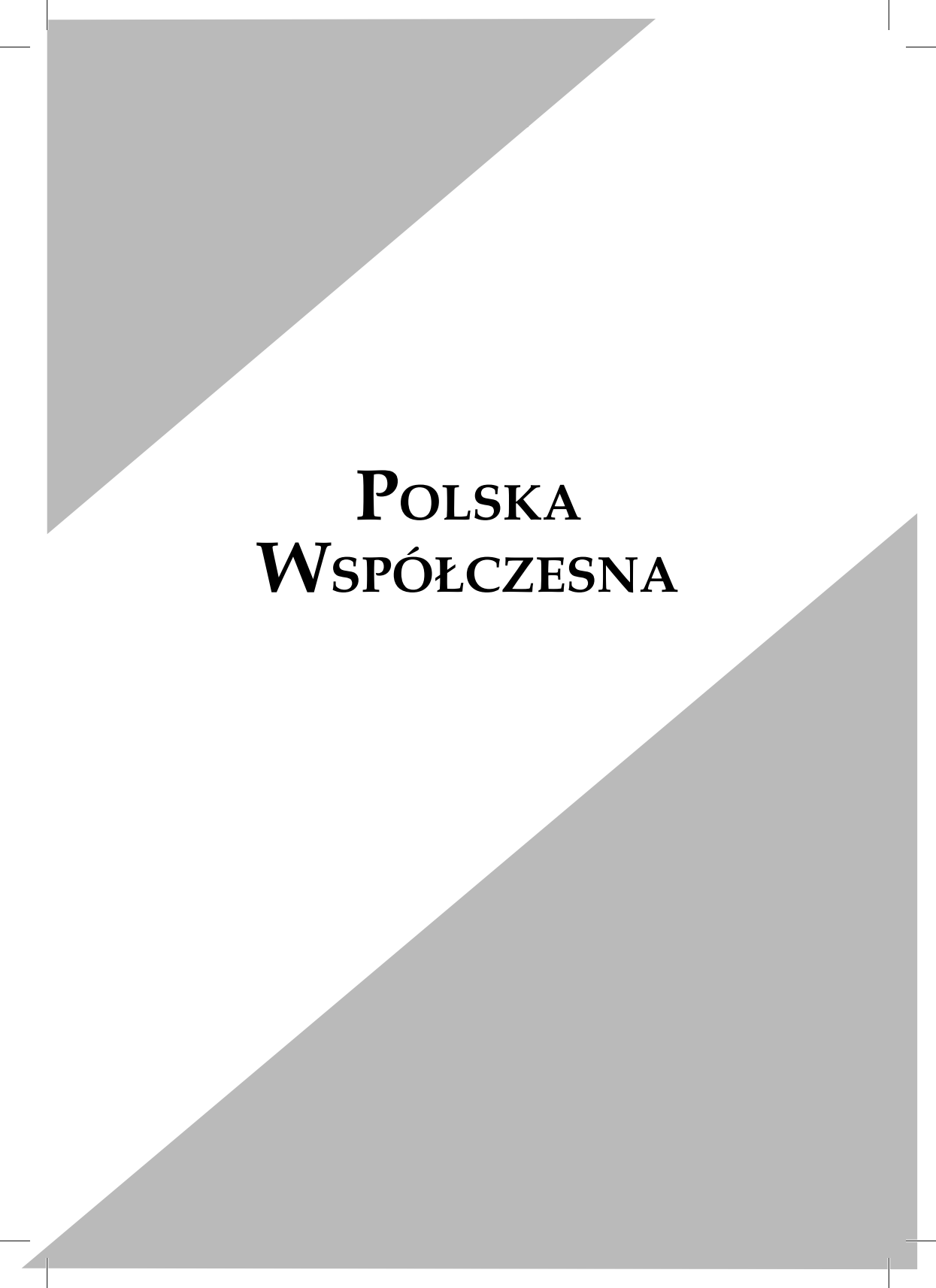
[2] Jerzy Holzer, Krzysztof Leski. Solidarność w podziemiu. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1990, s. 99-100

[3] Wpływ WiP na historię... op. cit.

[4] Andrzej Anusz. Nielegalna polityka. Akces, Warszawa 2019, s. 192

[5] Holzer, Leski... op. cit, s. 99

[6] ibidem s. 100



POLSKA WSPÓŁCZESNA



CENZURA INTERNETU – NOWA ERA IDEOLOGICZNEJ KONTROLI?

Ostatnie decyzje amerykańskich gigantów bankowych, takich jak Goldman Sachs czy Wells Fargo, o wycofaniu się z koalicji klimatycznej Net-Zero Banking Alliance (NZBA), to coś więcej niż tylko pragmatyczne podejście do finansów. To wyraźny sygnał, że firmy coraz częściej rewidują swoje zaangażowanie w promowanie ideologii, które mogą być postrzegane jako oderwane od biznesowych realiów i oczekiwań klientów.

Czy jesteśmy świadkami początku końca finansowania cenzury i pomysłów ideologicznych, forsowanych na siłę, oderwanych od realiów biznesowych, a nierzadko i od zdrowego rozsądku?

Tak może być. Na razie jednak jest to część szerszego trendu, który można określić jako „falę rewolucji zdrowego rozsądku” (według niektórych), a według mojej opinii po prostu pragmatycznym zwrotem w stronę zdrowego rozsądku, który się biznesowo opłaca. Skupmy się jednak na poziomie informacji i mediów, bo to właśnie w tej sferze zmiany są najbardziej widoczne. Zwolennicy tej rewolucji – lub, jak niektórzy twierdzą, kontrrewolucji – wskazują na zmiany, które zaszły niemal natychmiast po wyborach w USA.

Jednym z symboli tych zmian jest decyzja Mety (właściciela Facebooka, Instagrama i WhatsAppa) o likwidacji filtrów cenzorskich. Niektórzy twierdzą, że jest to zmiana paradygmatu, który przez lata dominował w przestrzeni informacyjnej – paradygmatu lewicowo-liberalnego, generującego przekaz cenzorski i tłumiącego krytyczne myślenie.

Dziś informacje, które wcześniej były blokowane lub marginalizowane, mają szansę ujrzeć światło dzienne. Przykładem są teorie uznawane wcześniej za spiskowe, które jeszcze niedawno były wyśmiewane, a dziś okazują się

prawdziwe – jak manipulacje wielkich koncernów farmaceutycznych związane z pandemią COVID-19.

Ideologia vs. biznes: fiasko Bud Light

Z jednej strony, skrajne promowanie i eksponowanie treści ideologicznych związanych z lewicowym paradygmatem prowadziło do wielu absurdów w strumieniu informacyjnym, szczególnie gdy ideologia wchodziła do biznesu. Doskonałym przykładem jest fiasko Bud Light, który w swojej kampanii reklamowej z udziałem transseksualnej influencerki Dylan Mulvaney spotkał się z ostrym sprzeciwem klientów. Efekt? Gwałtowny spadek sprzedaży i poważny kryzys wizerunkowy. Okazało się, że konsumenci, zamiast promowanych „wartości”, oczekują jakości i zgodności produktu z ich oczekiwaniami.

Z drugiej strony, coraz więcej osób zaczyna dostrzegać, że jednostki i ich głosy przestają być marginalizowane.

Polityka postpiśmienna: narzędzie osobistej ekspresji czy źródło polaryzacji?

Według Jacka Dukaja, filozofa i pisarza science fiction, „polityka postpiśmienna” jest formą osobistej ekspresji. Nie jest społecznym mechanizmem służącym do wspólnego zmieniania rzeczywistości ku ustalonym celom ani do regulowania hierarchii władzy”. Polityka stała się narzędziem osobistej ekspresji, co sprzyja tworzeniu baniek informacyjnych i tzw. cyfrowych plemion, funkcjonujących w odizolowanych światach dzięki technologiom platform społecznościowych.

To z kolei pozwala nie tylko na budowanie konfliktu i polaryzacji, ale także na precyzyjne kontrolowanie tych napięć – poprzez cenzurowanie jednej strony sporu i spychanie jej na margines debaty publicznej. W coraz większym stopniu mamy z takim podejściem do czynienia w Unii Europejskiej i w Polsce, gdzie regulacje w obszarze cyfrowym mają przykryć intencjonalną cenzurę wymierzoną w krytykę establishmentu lewicowo-liberalnego.

Radykalna agenda regulacyjna

Regulacje dotyczące polityki cyfrowej w Unii Europejskiej są często uzasadnione potrzebą ochrony użytkowników – szczególnie w obszarach takich jak prywatność czy cyberbezpieczeństwo i wiele z tych regulacji znacząco przyczyniło się do ochrony konsumentów. Jednakże pewne elementy tych regulacji budzą kontrowersje, gdyż mogą być postrzegane jako narzędzia cenzury, ograniczające swobodę wyrażania opinii, a szczególnie krytykę skierowaną wobec establishmentu.

W Polsce mamy dyskusję o nowej ustawie przygotowywanej przez Ministerstwo Cyfryzacji, związanej z kontrolą treści w internecie. Projekt ten wprowadza szereg kontrowersyjnych zmian, które mają na celu zarówno ochronę internautów, jak i ograniczenie dostępu do nielegalnych treści. Ustawa ta jest częścią wdrażania unijnego rozporządzenia o usługach cyfrowych (DSA), które ma na celu uregulowanie kwestii związanych z treściami w internecie i ochroną użytkowników. Jednak jej projekt w obszarze procedur blokowania wskazuje na ryzyko nadużyć związanych z decyzjami podejmowanymi przez UKE, które mogą być traktowane po prostu jak cenzura.

Przecież według regulatorów nikt nie zamierza protestować przeciw usuwaniu treści o charakterze kryminalnym. A konkretne przepisy można łatwo wykorzystać w imię walki z treściami o charakterze kryminalnym do cenzurowania niewygodnych treści – wystarczy, że konkretny kontent trafi na czarną listę (taką listę przewiduje ustawa), a proces odwołania się od decyzji będzie wymagał długotrwałego procesu sądowego. Biorąc pod uwagę funkcjonowanie sądów, można się spodziewać, że takie postępowanie może trwać latami.

Dezinformacja jako narzędzie walki ideologicznej i politycznej

W tym kontekście pojawia się słowo kluczowe: dezinformacja. Czy rzeczywiście dezinformacja w mediach społecznościowych pochodzi wyłącznie z zewnętrznych źródeł, takich jak Rosja czy Chiny? Można pokusić się o tezę, że to, co nazywane jest dezinformacją, często zależy od tego, kto kontroluje narrację. Jak zauważył brytyjski socjolog Stuart Hall, media mają zdolność nadawania „preferowanego znaczenia” przekazom, które utrwalają interesy dominujących grup. Warto zwrócić uwagę na teorię „broni narracyjnej” (ang.

weaponized narratives), która zakłada, że dezinformacja nie musi być w całości tworzona przez zewnętrzne podmioty, aby osiągnąć pożądany efekt. Kluczowe jest jej umiejętne wykorzystanie w celu podsycania wewnętrznych podziałów i konfliktów, co w praktyce może osłabiać spójność społeczną i demokratyczne procesy.

Ściema polityczna

Przykładem takich działań może być sytuacja związana z oskarżeniami jednego z głównych kandydatów na prezydenta Stanów Zjednoczonych, Donalda Trumpa, o współpracę z Rosją. W tym kontekście można również przywołać postać premiera Donalda Tuska, który – paradoksalnie – sam stał się ofiarą narracji, którą przez długi czas wykorzystywał obóz demokratów w USA do atakowania Donalda Trumpa. Warto zauważyć, że Tusk, podobnie jak wielu innych polityków, uwierzył w siłę owej narracji i posłużył się nią w swojej retoryce. To zjawisko stanowi interesujący przykład manipulacji, w której pierwotne narzędzie propagandowe zaczyna działać na niekorzyść jego użytkownika.

Narracje o „**rzekomych agentach Kremla**” krążyły w mediach społecznościowych oraz tradycyjnych, będąc szeroko wykorzystywane przez różne podmioty polityczne do deprecjonowania swoich przeciwników. Choć wiele z tych narracji faktycznie miało swoje źródła w Rosji czy Chinach, ich skuteczność wynikała przede wszystkim z umiejętnego wplecenia ich w istniejące podziały społeczne i polityczne – zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie.

W czasie ostatnich kampanii wyborczych, zarówno w USA, jak i w Europie, zaobserwowano masowe dystrybuowanie treści propagandowych przez znanych influencerów, zwłaszcza tych o afiliacjach lewicowo-liberalnych. Zjawisko to miało miejsce również w Polsce, gdzie treści te były niemal identyczne na różnych platformach społecznościowych. Tego rodzaju zorganizowane działania wskazują na wysoki stopień koordynacji oraz wykorzystanie algorytmów mediów społecznościowych w celu maksymalizacji zasięgu.

Co istotne, owe narracje były nie tylko tworzone przez osoby lub organizacje związane z polityką, lecz również wzmacniane przez boty oraz farmy trolli, co dodatkowo zwiększało ich zasięg i wiarygodność w oczach odbiorców. W rezultacie dezinformacja stała się jednym z kluczowych narzędzi służących

destabilizacji społecznej oraz manipulacji opinią publiczną, co pozwoliło na wzmocnienie istniejących podziałów i tworzenie nowych konfliktów.

Przykład rumuński pokazuje, jak manipulacja wyborcza, która wymknęła się spod kontroli, została wykorzystana do stworzenia narracji o ingerencji rosyjskich służb w proces demokratyczny. Jestem przekonany, że Rosjanie wykorzystali tę sytuację, aby skomplikować sytuację polityczną w Rumunii – wszak stale czekają na takie okazje. Sąd Konstytucyjny Rumunii unieważnił pierwszą turę wyborów prezydenckich z powodu podejrzeń o manipulację w kampanii Calina Georgescu.

Kampania Georgescu opierała się na przekazie krytykującym instytucje zachodnie i wychwalającym Rosję oraz Władimira Putina. Ujawnione dokumenty służb wskazywały na zorganizowane działania manipulacyjne w Internecie, mające na celu wsparcie jego kampanii. Na platformie TikTok nagle aktywowało się aż 25 tysięcy kont promujących Georgescu, a ponad 100 influencerów o dużych zasięgach miało zostać zmanipulowanych, by wspierać jego kandydaturę.

Pierwsze doniesienia mediów głównego nurtu oraz europejskich polityków wskazywały na rosyjskie wpływy. Stało się to częścią narracji o konieczności natychmiastowego wprowadzenia regulacji i kontroli treści w Internecie, wynikających z rzekomych ingerencji Rosji w demokratyczne wybory w państwach Unii Europejskiej.

Jednak później zaczęły pojawiać się inne informacje i opinie. Centroprawicowa polityk Elena Lasconi, która miała zmierzyć się z Georgescu w drugiej turze, skrytykowała decyzję Sądu Konstytucyjnego. Jej zdaniem głosowanie powinno odbyć się normalnie, by uszanować „wolę narodu rumuńskiego”.

Dziennikarze portalu *snoop.ro* zasugerowali, że kampania Georgescu była pośrednio sponsorowana przez partię wchodzącą w skład koalicji rządzącej, czyli socjaldemokratów. Celem tego działania miało być „napompowanie” kandydata o niskim potencjale i skrajnych poglądach, aby odebrać głosy głównemu kontrkandydatowi.

Oczywiście taka sytuacja jest idealnym polem do działania rosyjskiej dezinformacji. Sieci trolli i botów z pewnością skorzystały z tej okazji – być może nawet zostały wynajęte nieświadomie. Niemniej jednak należy zwrócić uwagę

na jedną istotną kwestię: nacisk na odwołanie drugiej tury wyborów pod pretekstem ingerencji zewnętrznej posłużył do zbudowania narracji o rosyjskiej dezinformacji. To z kolei dostarczyło argumentów na rzecz jeszcze większej cenzury i kontroli Internetu oraz platform społecznościowych.

Co mówią te przykłady? Dezinformacja, jako zjawisko, nie jest jedynie efektem działań zewnętrznych podmiotów, takich jak państwa autorytarne. Jej skuteczność polega przede wszystkim na zdolności do wykorzystania istniejących napięć społecznych i politycznych, co czyni ją narzędziem niezwykle trudnym do zwalczania. A cenzura sieci kompletnie nie zda tu żadnego egzaminu.

Współczesne kampanie dezinformacyjne pokazują, że granice między prawdą a manipulacją stają się coraz bardziej rozmyte. Jednak istnieje wiele możliwości i narzędzi, które mogą pomóc w radzeniu sobie z tym problemem bez uciekania się do cenzury internetu.

Nie trzeba wyważać dzwi

Jednym z kluczowych rozwiązań jest edukacja medialna. Wzmacnianie umiejętności krytycznego myślenia wśród użytkowników internetu, zwłaszcza młodych ludzi, może znacząco ograniczyć wpływ dezinformacji. Programy edukacyjne, które uczą, jak weryfikować źródła, rozpoznawać manipulacje i odróżniać fakty od opinii, są niezbędne w erze cyfrowe.

Przejrzystość algorytmów to kolejny kluczowy element walki z dezinformacją. Algorytmy platform społecznościowych są często zaprojektowane tak, aby maksymalizować zaangażowanie użytkowników, co niestety sprzyja rozprzestrzenianiu się kontrowersyjnych i emocjonalnych treści, w tym fałszywych informacji. Wymóg przejrzystości w działaniu algorytmów mógłby pomóc w zrozumieniu, jak treści są promowane i dlaczego. Jednak politykom często nie zależy na egzekwowaniu takich regulacji. Wiele osób z klasy politycznej korzysta bowiem z tych samych mechanizmów do prowadzenia własnych kampanii, często opartych na polaryzacji i konfliktach. W efekcie brakuje woli politycznej, aby zmusić platformy do większej otwartości.

Dodatkowo istnieją technologiczne rozwiązania, które mogą pomóc

w identyfikacji i ograniczaniu dezinformacji. Sztuczna inteligencja i uczenie maszynowe są już wykorzystywane do wykrywania botów, trolli i fałszywych kont. Analizują one zachowania użytkowników, aby zidentyfikować podejrzane aktywności. Jednak ich skuteczność zależy od dostępu do danych, co z kolei wymaga współpracy z platformami.

Warto również wspomnieć o regulacjach prawnych, które już istnieją i mogą pomóc w walce z dezinformacją, nie ograniczając wolności słowa. Na przykład, egzekwowanie przepisów dotyczących hejtu i mowy nienawiści, które często idą w parze z dezinformacją.

Jednak mimo tych możliwości, politycy często wykazują się kompletną hipokryzją. Wiele osób z klasy politycznej korzysta z mediów społecznościowych jako narzędzia do budowania własnego wizerunku i zdobywania poparcia, często kosztem prawdy i obiektywizmu. W efekcie, nawet jeśli istnieją narzędzia i metody, które mogłyby ograniczyć dezinformację, brakuje woli politycznej, aby je wdrożyć. Platformy społecznościowe, będące źródłem ogromnych zysków, nie są wystarczająco motywowane do wprowadzania zmian, które mogłyby ograniczyć ich wpływ na społeczeństwo.

Przykład: TikTok

TikTok zdobył ogromną popularność dzięki swojej prostocie, dynamiczności i zdolności do błyskawicznego rozprzestrzeniania treści. Politycy chętnie korzystają z tego medium, aby przedstawiać siebie w bardziej przystępny, mniej formalny sposób, co skutecznie przyciąga młodszych wyborców.

Z drugiej strony, platforma jest regularnie krytykowana za kontrowersyjne metody działania, które często stoją w sprzeczności z wartościami deklarowanymi przez tych samych polityków. To prowadzi do zarzutów o hipokryzję – ci sami liderzy, którzy publicznie potępiają TikTok jako potencjalne narzędzie szpiegowskie lub przestrzeń sprzyjającą uzależnieniom i manipulacjom, równocześnie z zapałem wykorzystują go do autopromocji.

Co więcej, od lat ignorowane są ostrzeżenia organizacji wskazujących na poważne zagrożenia, takie jak promowanie samookaleczeń, treści związanych z samobójstwami czy skrajna dezinformacja medyczna. Pomimo licznych alarmów, TikTok zdaje się niewzruszony – jego algorytmy nadal promują niebez-

pieczne treści, które mogą stanowić zagrożenie dla zdrowia psychicznego i fizycznego użytkowników, szczególnie młodzieży.

I co z tego wynika? Nic. Zamiast realnych działań, wciąż słyszymy powtarzaną jak mantrę narrację o „rosyjskim zagrożeniu” czy „walce z dezinformacją” na platformie X, należącej do Elona Muska. Co więcej, politycy nawołujący do bojkotu Tesli czy krytykujący właściciela X, często robią to... właśnie na tej platformie. Hipokryzja? Jak najbardziej.

Jak zrobić z influencerów nieświadome narzędzie do siania dezinformacji biznesowej – przykład DeepSeek

DeepSeek, nowa sztuczna inteligencja opracowana przez chiński startup, znalazła się na szczycie listy pobrań aplikacji, spowodowała utratę rynku w USA o wartości biliona dolarów i była źródłem nieuniknionego szumu online, który z czasem wydaje się rosnąć.

Jednak najnowsze badania i śledztwo dziennikarskie ujawniające, że wiele z tych emocji nie było organicznych. W rzeczywistości była to część skoordynowanej kampanii opartej na fałszywych profilach. Co więcej, te skoordynowane fałszywe profile wykazują zachowanie, które zwykle przypisuje się chińskim sieciom botów.

Wraz z rosnącym wpływem **DeepSeek**, szczególnie na amerykańską giełdę, stał się on przedmiotem znacznego zaangażowania online w momencie jego uruchomienia.

Nieautentyczne konta promujące **DeepSeek** nie działały niezależnie: w rzeczywistości była to skoordynowana sieć działająca w synchronizacji, aktywnie popychająca pozytywne narracje w celu wzmocnienia szumu wokół DeepSeek, tworząc iluzję powszechnego podniecenia i adopcji. Poprzez tysiące postów, komentarzy i udostępnień, te fałszywe profile miały ogromny wpływ na dyskurs społeczny. 3 lutego, w dniu największej aktywności, fałszywe profile wygenerowały 2158 postów w ciągu jednego dnia. Stosowane taktyki były charakterystyczne dla działań dezinformacyjnych obserwowanych w Polsce czy innych krajach europejskich w początkowym okresie ataku Rosji na Ukrainę. Na przykład:

- Wzmacnianie się nawzajem poprzez interakcję w sieci w celu stworzenia pozorów szerokiego, pozytywnego zaangażowania.

- Włączanie się do autentycznych konwersacji, wchodzenie w interakcje z prawdziwymi użytkownikami, którzy nie byli świadomi, że wchodzą w interakcje z botami.

Inną taktyką stosowaną przez fałszywe profile w celu zmaksymalizowania ekspozycji było angażowanie się w posty o wysokiej widoczności z autentycznych profili.

Co ciekawe, te taktyki były na tyle skuteczne, że narracje dezinformujące o inwestycjach w **DeepSeek** i charakterystyce tego modelu były później powielone bez autorefleksji, na przykład w Polsce przez influencerów zajmujących się technologią i sztuczną inteligencją na platformach biznesowych, takich jak LinkedIn, czy w swoich kanałach na YouTube.

Czy i tutaj z pomocą przyjdzie rząd i cenzura, czy po prostu pozwolimy niezależnym dziennikarzom na odkrycie tej akcji i ośmieszenie wielu wpływowych biznesowych influencerów?

Fenomen deep web i niezależnych sieci społecznościowych – ucieczka od cenzury

Wprowadzenie ograniczeń w przestrzeni internetowej, takich jak cenzurowanie treści czy blokowanie określonych platform, nie tylko nie rozwiązuje problemu, ale wręcz przyczynia się do rozwoju alternatywnych środowisk w sieci. Jednym z takich fenomenów jest deep web – część internetu, która nie jest indeksowana przez standardowe wyszukiwarki, takie jak Google czy Bing. Deep web obejmuje ogromną ilość treści – od akademickich baz danych po strony wymagające specjalnego dostępu, jak te funkcjonujące w ramach tzw. **dark webu**. W odróżnieniu od powierzchniowego internetu (surface web), deep web stanowi przestrzeń, w której użytkownicy mogą działać bardziej anonimowo.

Dark web, będący częścią deep webu, to miejsce, które zyskało szczególną popularność w kontekście wolności słowa i unikania cenzury. Użytkownicy korzystają z przeglądarek takich jak Tor (The Onion Router), które szyfrują ich działalność i umożliwiają dostęp do stron ukrytych przed wzrokiem organów państwowych. Poza negatywnymi aspektami, takimi jak czarny rynek czy działalność przestępcza, dark web jest również wykorzystywany przez aktywistów, dziennikarzy i obywateli z krajów autorytarnych, gdzie wolność słowa jest dra-

stycznie ograniczana. To przestrzeń, która umożliwia publikowanie treści bez obawy przed represjami, a także komunikację w warunkach pełnej anonimowości.

Niezależne sieci społecznościowe

Niezależne sieci społecznościowe to platformy, które nie są własnością dużych korporacji technologicznych i działają na zasadach transparentności i otwartości.

Ich celem jest stworzenie alternatywy dla komercyjnych platform, gdzie użytkownicy mają większą kontrolę nad swoimi danymi i algorytmami, które decydują o tym, co widzą w swoich kanałach.

Wiele z nich opiera się na otwartym oprogramowaniu, co oznacza, że ich kod źródłowy jest dostępny publicznie i może być modyfikowany przez każdego.

Niezależne sieci społecznościowe często stawiają na decentralizację, co oznacza, że dane użytkowników są przechowywane na wielu różnych serwerach, a nie w jednym centralnym miejscu.

Przykładami niezależnych sieci społecznościowych są **Mastodon, Diaspora, Friendica czy Rumble**.

Cenzura to ślepa uliczka – wolność jest ważniejsza niż iluzja spokoju

„**Wolność jest zawsze lepsza niż spokojny grób**” – te słowa Alberta Camusa doskonale oddają sedno problemu cenzury. Ograniczanie wolności słowa może wydawać się kuszącym rozwiązaniem wobec dezinformacji, ale historia uczy, że to broń obosieczna. Raz uruchomiona, szybko wymyka się spod kontroli, prowadząc do tłumienia niewygodnych opinii, pogłębiania podziałów społecznych i erozji zaufania publicznego.

Nie jestem zwolennikiem cenzury w żadnej formie. Zamiast budować kolejne bariery, powinniśmy inwestować w edukację medialną, rozwijać krytyczne myślenie i dążyć do przejrzystości algorytmów. To jedyne realne, długofalowe rozwiązania, które pozwolą nam skutecznie walczyć z dezinformacją – bez poświęcania wolności jednostki. Zbyt wiele już widzieliśmy prób ograniczania debaty publicznej. Cenzura nie rozwiązuje problemów, lecz je pogłębia. Wolność słowa to fundament demokracji. Jeśli ją poświęcimy, zostanie nam tylko iluzja porządku – cisza, która przypomina bardziej spokój cmentarny niż rzeczywisty ład.



HISTORIA



WOJCIECH PARZYŃSKI

EUGENIUSZ MAŁACZEWSKI 1897–1922
PISARZ PRZYPOMNIANY

*„Świat cały śpi spokojnie
i wcale o tym nie wie,
że nie jest tak na wojnie
jak jest w żołnierskim śpiewie”*

EUGENIUSZ MAŁACZEWSKI

1897–1922

PISARZ PRZYPOMNIANY

Był młodym polskim żołnierzem, walczącym w czasie rewolucji w oddziałach polskich pod Murmańskiem, później również w wojnie polsko-bolszewickiej. Pozostawił po sobie parę niewielkich zbiorów opowiadań z najpopularniejszym pt. „Koń na wzgórzu” oraz tomiki poezji z których znany był przede wszystkim: „Pod lazurową strzechą”. Zmarł młodo, w hospicjum dla polskich oficerów, w Zakopanem w którym znalazł się na skutek odniesionych ran i kontuzji oraz nabytej na froncie gruźlicy. Odznaczony pośmiertnie Krzyżem Virtuti Militari. Książki jego są wielokrotnie wznawiane.

Trzy lata temu minęła setna rocznica śmierci poety i pisarza.

Przywołany wyżej aforyzm jest cytatem z jednego z wierszy Eugeniusza Małaczewskiego, pisanego w czasie wojny polsko-bolszewickiej, niesie on w sobie ogromny ładunek wymowy antywojennej. Słowa te świadczą również o wielkim humanizmie autora i dużym poczuci realizmu, ale przecież ten młody człowiek pisząc te wiersze doskonale czuł i znał wojsko. Na dobrą sprawę niczego w swym krótkim życiu innego nie robił jak to, że pisał będąc pisarzem i będąc żołnierzem walczącym o niepodległą ojczyznę.

Małaczewski, skazany przez komunistów na zapomnienie, powraca, jest coraz częściej czytany, w tym również przez młodych ludzi, którzy są nim zachwyceni, bo w chwili śmierci był ich rówieśnikiem. Nie ma większej kuźni polskości i patriotyzmu ale i też dowcipu jak w literaturze tego młodego człowieka. Młodzi ludzie, nawet jak różni ich parę pokoleń, potrafią się doskonale rozumieć.

Umierając, miał skończonych raptem dwadzieścia pięć lat. *Quem dii diligunt, adolescens moritur* - ukochani przez bogów umierają młodo.

W zasadzie opowiadania Małaczewskiego pt „*Koń na wzgórzu*” mogłyby i powinny się znaleźć w spisie lektur szkolnych. Chociażby teraz w czasie wojny rosyjsko-ukraińskiej. Bo przecież są to opowiadanie o tym jakie *infero* (piekło) potrafią stworzyć Rosjanie w czasie wojny. Ale czy tylko w czasie wojny? Twórczość E. Małaczewskiego nigdy w Polsce nie była lekturą. Nie spotkałem polonisty szkolnego który choćby słyszał o takim pisarzu. Młody człowiek a zwłaszcza za moich szkolnych czasów mógł poznać okrucieństwo wojny polsko-bolszewickiej od rosyjskiego pisarza Izaaka Babla (1894-1940) jego „*Armii Konnej*”, która była wtedy w spisie obowiązkowej książek zalecanych do przeczytania przez ucznia. Wprawdzie jest to dobra literatura, ale stanowiło to niewątpliwe kuriozum. Polak, poznawał bohaterstwo obrońców ojczyzny, okrucieństwo żołnierzy sowieckich i tragedię tamtych czasów z literatury rosyjskiej, podczas gdy przykładów dobrej, polskiej literatury, na ten temat, można by mnożyć. Cóż zrobić, znamie czasów minionych. Bo przecież Małaczewski rozporządzeniem ówczesnego Ministra Kultury i Sztuki został z dniem 1 października 1951 r. wycofany z bibliotek w Polsce Ludowej z zaleceniem niszczenia przechowywanych jego książek i przez cały okres PRL tego stanu nie zmieniono.

O dziwo, jak podaje Ferdynand Goetel (1890–1960) przedwojenny prezes oddziału polskiego Penklubu, w swoich powojennych wspomnieniach, te same restrykcje, spotkały wcześniej utwory pisarza w czasie okupacji hitlerowskiej w Generalnej Guberni.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku pisarstwo Eugeniusza Małaczewskiego wróciło do obiegu literackiego, wprawdzie nie do tego oficjalnego ale ukazującego się poza debitem, bez zgody cenzury. Ale to zasługa niezależnych oficyn wydawniczych i ludzi związanych z ich prowadzeniem.

W tamtych latach ukazało się co najmniej pięć wydań „Konia na wzgórzu”, bądź innych opowiadań pisarza które ukazały się wcześniej w różnych antologiach literatury dwudziestolecia międzywojennego.

Eugeniusz Małaczewski urodził się 1 stycznia 1897 r w niewielkim majątku na Podolu obecnie Środkowej Ukrainie w Kiwaczówce nad rzekami Kamionką i Umanką, koło Humania. Tereny te wchodziły kiedyś do województwa kijowskiego, zostały utracone na rzecz Rosji, podczas pierwszego rozbioru Polski.

Pochodził on ze starej, osiadłej tam od pokoleń, rodziny szlacheckiej - Korwin-Małaczewskich, mających tam niezbyt duży majątek. Naukę rozpoczął początkowo w czteroklasowej szkole miejskiej w Humanu, uzupełnianą również lekcjami w domu. Rodzice zaszczyli w nim miłość do Polski, którą na dobrą sprawę, w czasach dzieciństwa, mógł jedynie poznać z literatury i z opowieści rodzinnych. Czytał już od dzieciństwa bardzo dużo, bo przecież wtedy, na odległym polskim dworze, była to jedna z niewielu form., godziwej rozrywki. Przez to bardzo odczytany, z dużymi wiadomościami, żądny wiedzy ale ze względu na ciężką sytuację materialną, w jakiej się znalazł, po śmierci ojca zmuszony jest przerwać naukę. Podejmuje zatrudnienie jako praktykant, zwanym, w tamtych czasach, dependentem, w kancelarii adwokackiej znanego później działacza Narodowej Demokracji Mirosława Sawickiego (1870-1944) w Humanu. Jak w każdej kancelarii znajdowało się tam dużo książek, co umożliwiło zaczytywanie się młodego człowieka w literaturze a przede wszystkim ojczystej. Poznaje wtedy również prace z zakresu filozofii w tym dotyczące mesjanizmu a w szczególności Józefa Marii Hoene-Wrońskiego (1776-1853), pod wpływem którego był przez całe swoje krótkie życie. Znalazło to swoje odzwierciedlenie w twórczości pisarza i poety.

Ze względu na kłopoty z carską ochroną, spowodowanymi udziałem w polskich organizacjach patriotycznych i niepodległościowych, wstępuje w 1915 r. na ochotnika do armii rosyjskiej. Maturę zdaje w 1915 r. w Woroneżu, będąc już wtedy żołnierzem. W 1916 r. dostaje się do szkoły chorążych w Kijowie, którą kończy po roku. Po ukończeniu szkoły zostaje dowódcą kompanii w Drohobozu pod Smoleńskiem.

Z armii rosyjskiej w 1917 r. trafia do I Polskiego Korpusu Wschodniego dowodzonego przez generała Józefa Dowbor – Muśnickiego (1867-1937), utworzonego z żołnierzy Polaków służących w armii rosyjskiej. Korpus ten jak i pozostałe dwa, w czasie Rządu Tymczasowego w Rosji, wchodził w skład armii rosyjskiej a później po rewolucji bolszewickiej, oddziały te były podporządkowane dowództwu zachodnich armii interwencyjnych. Trzy polskie korpusy wschodnie w maju i czerwcu 1918 r. zostały rozbite przez oddziały bolszewickie.

W czerwcu 1918 r. na skutek porozumienia zawartego przez generała Józefa Hallera (1873-1960) ówczesnego dowódcę II Korpusu Polskiego z przedstawicielami państw sprzymierzonych, przystąpiono do tworzenia oddziałów polskich w okolicach Murmańska i Archangielska. z pozostałych z korpusów żołnierzy. Oddziały te w perspektywie miały być przetransportowane do tworzonej Armii Polskiej we Francji. Kilka tysięcy żołnierzy i oficerów polskich usiłowało przebiec się, z Ukrainy, Białorusi czy też z Besarabii do organizowanych na północy Rosji oddziałów.

W celu uniemożliwienia tworzenia tych oddziałów, pod wpływem ambasadora niemieckiego w Moskwie hr. Wilhelma von Mirbacha – Haffa (1871-1918), Lew Trocki (1879-1940) wydaje polecenie, żeby schwytanych, jadących na północ żołnierzy polskich, rozstrzeliwać bez sądu. Wielokrotnie czynności te wykonują polscy bolszewicy. W Niżnym Nowogrodzie aresztowano około 400 żołnierzy polskich i większość ich rozstrzelano, w Moskwie jadących do Murmańska żołnierzy tropił, aresztował i następnie rozstrzeliwał oddział bolszewików składający się w większości z Polaków pod dowództwem Polaka komisarza Stanisława Feliksa Bobińskiego (1882-1937). Utworzono także front bolszewicki odgradzający drogę do Archangielska i Murmańska.

W tych warunkach przedziera się przez całą Europejską Rosję z południa na północ, również Eugeniusz Małaczewski. Większość podróży odbywa samo-

dzielnie, zaliczając w jej czasie liczne aresztowania czy też więzienia z których wykorzystując swój spryt, pomysłowość i bezbłędną znajomość rosyjskiego, wielokrotnie uciekał. W czasie tej wędrówki, udało mu się również uniknąć rozstrzelania przez pluton egzekucyjny.

Tę wędrówkę nad Morze Białe, tak opisuje Małaczewski : *„na Murmańsk dostałem się nie łatwo. Wpierw odsiedziało się we wszystkich więzieniach miejskich, jakie są po drodze od Jarostawia do Archangielska. Spacerowało się po ulicach pod „widelcami”(bagnetami). Było się pod sądem wojennym, sądem polowym. Poznało się całą, rzeczywiście b. mądrą i sprężystą administrację policyjną Sowie-tów. Było się w końcu skazanym na rozstrzelanie. Ale krętaćto, do któregoś się przypatrzył za młodu w kancelariach mecenasów, wybawiło mnie z tych opresyj”.*

Zapewne podobną drogę, pełną przygód i niebezpieczeństwa, odbyło setki polskich żołnierzy i oficerów ale dotarło i następnie wchodziło w skład późniejszego Batalionu Murmańskiego jedynie około 400 osób.

Pisarz gdy trafił na północ Rosji już tworzyły się tam pierwsze oddziały polskie. Na skutek porozumienia podpisanego przez generała Józefa Hallera z dowódcą angielskiego korpusu interwencyjnego generałem Frederick'em Cuthbert Poole'em (1869-1936) oddziały polskie korzystały z pomocy organizacyjnej i wszelkiej pomocy materialnej w tym kwatermistrzowskiej (umundurowanie, wyżywienie) oraz uzbrojenia ze strony armii angielskiej. Współdziałały i były podporządkowane pod względem strategicznym w walce z bolszewikami armii i dowództwu brytyjskiemu. Stacjonowały tam również oddziały innych armii alianckich.

Przyjaciół E. Małaczewskiego późniejszy pułkownik WP Zdzisław Chrzastowski (1891-1939) w książce wydanej w 1935 r., poświęconej pamięci Eugeniusza Małaczewskiego, pt. *„Legenda Murmańska Wspomnienia”* tak charakteryzuje ten tygiel wojenny żołnierzy, pochodzący niemalże z całego świata : *„Karabiny mieliśmy rosyjskie i japońskie, żółt-francuski, mundury-angielskie, orzelki i serca polskie. I polską komendę. Czuliśmy też na sobie oczy otaczających nas żołnierzy angielskich, szkockich, kanadyjskich, francuskich, rosyjskich - a potem jeszcze amerykańskich, włoskich i serbskich. Nic dziwnego, że każdy czuł się po trosze reprezentantem „polish solidersów”, „des braves Polonais” i „polskich legjonierów”, jak nas nazywała ta szczupła, lecz wielojęzyczna armia na Murmanie”.*

Pisarz w lipcu 1918 r. dociera do zajętego przez bolszewików Archangielska, pędzi przez parę tygodni na obrzeżach miasta i nad wpływającą tam Dźwiną, żywot włóczęgi aż do przyłączenia się do niewielkiego oddziału polskiego pod komendą majora Mariana Sołodowskiego składającego się z niewiele więcej jak 40 żołnierzy i oficerów. Jednostka ta, w sile niepełnej kompanii, później otrzymała nazwę „Oddziału Dźwińskiego”. W tym samym miesiącu w mieście i wzdłuż rzeki Dźwiny wybucha powstania anty-bolszewickie. Z odsieczą powstańcom idą oddziały armii alianckiej, wśród nich oddział polski. W powstaniu znaczną rolę odgrywają Polacy. To oni rozbrajają batalion Łotyszy stanowiących ochronę sztabu północnego frontu bolszewickiego. Do opanowania w czasie powstania dowództwa floty bolszewickiej w znacznym stopniu przyczynił się ppor. Małaczewski, który obrzucając ręcznymi granatami budynek dowództwa, zdobywa ten obiekt.

Oddział Dźwiński, za swoje męstwo, nazwany przez naczelnego wodza wojsk koalicyjnych na północy, angielskiego generała William Edmund Ironside (1880-1959) – późniejszego brytyjskiego marszałka polnego „*Lwami Północy*”, działał nad Morzem Białym do 22 grudnia 1918 r. i następnie drogą morską zostaje przerzucony przez Anglię do Francji do formułowanej tam Armii Polskiej gen. Józefa Hallera.

Pozostała część oddziałów polskich, w sile około 350 oficerów i żołnierzy, po połączeniu innych mniejszych jednostek wojskowych w Batalion Murmański, działała na północy Rosji, pod dowództwem mjr Juliana Skokowskiego (1886-1959), do połowy września 1919 r. i po decyzji aliantów o wycofaniu się z Rosji, załadowana została po 20 września 1919 r. na statki w portach Archangielska i Murmańska i następnie przerzucona przez Anglię i Gdańsk do wolnej już Polski w grudniu 1919 r. i styczniu 1920 r..

Murmańczycy po powrocie do Polski weszli jako 3 batalion, początkowo stacjonujący w Twierdzy Modlin, do sformułowanego w 1919 r. 64 Grudziądzkiego Pułku Piechoty i zostali z marszu włączeni do walki z najazdem bolszewickim. Pułk ten w 1938 r. otrzymał nową nazwę – „64 Pomorskiego Pułku Strzelców Murmańskich”

Z Batalionem Murmańskim nierozzerwalnie jest związana historia „córkę regimentu” białej niedźwiedzicy Bałki, opisaną później w jednym z opowiadań Małaczewskiego, wydanego w zbiorze „*Koń na wzgórzu*”.

Ten biały, początkowo, mały niedźwiadek polarny wyłowiony został z dryfującej kry na Morzu Białym u wybrzeży Murmańska, przygarnięty przez polskich żołnierzy, stał się maskotką oddziału. Został przyjęty na stan ewidencyjny kompanii karabinów maszynowych co łączyło się z oficjalnym zaprowiantowaniem niedźwiedzi. Wyznaczono jej stałego opiekuna, był to według E. Małaczewskiego kapral Smorgoński. Zapewne jest to *licentia poetica* pisarza, bo według spisów żołnierzy Murmańczyków nie było nikogo o tym nazwisku, ale przecież w dawnej Rzeczypospolitej w Smorgoniu w oszmiańskim powiecie był ośrodek, żartobliwie nazywany „*akademią*”, słynący z tresury niedźwiedzi. Musiał być to wyjątkowo zdolny ten kapral Smorgoński, bo białe niedźwiedzie nie poddają się tresurze.

Baśka przeszła cały szlak bojowy z Batalionem Murmańskim aż do wolnej Polski. Brała udział, wraz z całym oddziałem, w defiladzie Murmańczyków w 1919 r. na placu Saskim, przed Naczelnym Wodzem Józefem Piłsudskim (1867-1935). Według relacji, całą defiladę przeszła na dwóch łapach, zasalutowała Józefowi Piłsudskiemu i na przywitanie podała mu łapę. Zginęła, zakuta widłami i zatłuczona kłonicami, przez okolicznych chłopów, z pod Modlina (gdzie stacjonował oddział) po zerwaniu się z łańcucha i przepłynięciu na drugi brzeg Wisły. Wypchana Baśka stała aż do wybuchu wojny w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Eugeniusz Małaczewski powrócił w kwietniu 1919 r. z Francji do Polski wraz z armią gen. J. Hallera.

Te lata życia poety i pisarza są niemniej burzliwe jak dotychczasowe. Talent literacki, dotychczasową twórczość, do tej pory nieodzwierciedlaną na zewnątrz, pisarz, przelewa na druk, debiutując, w tym samym roku, wierszem „*Plac Wisły*” a później opowiadaniem „*Blokhauz pod Syreną*” na łamach „*Tygodnika Ilustrowanego*”.

Pełni nadal służbę wojskową, przerywaną co jakiś czas ze względu na stan zdrowia. Pisarz był wątłego zdrowia. Pobyt na froncie, w różnych warunkach, na Ukrainie i na dalekiej północy, spanie w okopach, w nie ogrzewanych pomieszczeniach, przebywanie na wysokim mrozie, niedospanie i niedożywienie, odbija się poważnie na organizmie młodego mężczyzny. Pierwsze objawy gruźlicy wystąpiły u Małaczewskiego już podczas pobytu pod Murmańskiem. Do-

strzegął to jego przyjaciel Zdzisław Chrzastowski opisując ich wspólny pobyt na północy Rosji w przywołanych wyżej wspomnieniach murmańskich. Nie bez wpływu na ogólny stan zdrowia były odniesione podczas szlaku bojowego rany i kontuzje. Niezależnie od stanu zdrowia fizycznego, pisarz cierpiał na roztrój zdrowia psychicznego. Z tych też powodów służba wojskowa była przerywana na rekonwalescencje w rozlicznych szpitalach.

W tych ostatnich latach życia na dobrą sprawę nieźle mu się wiodło. W 1920 r. podczas wojny polsko-bolszewickiej znalazł się w wydziale propagandowym Armii Ochotniczej. Ze względu na przebyty wcześniej szlak bojowy jest autorytetem dla służących z nim tam, innych dużo starszych i często z ogromnym dorobkiem, pisarzy i dziennikarzy. Kornel Makuszyński (1881-1953) wspominając tę służbę pisze: „Peżyński i ja byliśmy we władzy Małaczewskiego”.

Następnie po zakończeniu działań wojennych, zostaje w 1921 r. adiutantem gen. Józefa Hallera a także w tym samym roku awansowany zostaje na stopień porucznika. Nieco później podejmuje w ramach służby wojskowej zatrudnienie w instytucie „Żołnierz Polski”.

W 1921 roku ukazuje się debiut książkowy Małaczewskiego, był to tomik opowiadań pt. „Koń na wzgórzu” na który składa się kilkanaście nowel opisujących walkę polskich żołnierzy na różnych frontach pierwszej wojny światowej i w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Debiut ten zrobił duże wrażenie wśród pisarzy i krytyków literatury polskiej. Stefan Żeromski (1864-1925) – jeden z największych pisarzy polskich, pretendent do literackiej nagrody Nobla, tak napisał do Małaczewskiego po jego debiucie:

„Szanowny i kochany Panie Eugeniuszu!

Najuprzejmiej i najserdeczniej dziękuję Kochanemu Panu za nadesłany mi łaskawie zbiór utworów pt. Koń na wzgórzu. Czytałem go z prawdziwym nabożeństwem, bo bije w tych utworach serce i nie ma literackiej pozy. To, co Pan pisze o mnie, to tylko łaskawe słowo o steranym i nieszczęśliwym człowieku, który cierpiał więcej, niż powłoka ziemską udźwignąć może. Toteż dobre Pańskie zwrócenie się poczytuję za uścisk Przyjaciela, który nie często zdarza mi się otrzymać. Jest to dla mnie dar tym cenniejszy, że pochodzi od pokolenia nowego i młodego,

nie tylko laty i następstwem pracy, lecz rodzajem przeżycia. Pan nie tylko żył po mnie, ale przemierzył dziedziny, które są mi obce, nieznane, niedostępne, wysokie i odległe.

Bo ja przeżyłem w fantazji, pisząc Popioły, to Pan przecierpiał kośćmi, żebrami, przeleżał w kryminałach i bił się nie tylko na kartach książki, lecz i na rzeczywistym polu. To różnica. Toteż jaki ja prekursor!

Chudziak sobie jestem i prostak. Może tę tylko mam zasługę, że przeczuałem to pokolenie rycerskie, do którego Pan należy, gdy inni nic nie przeczuwali, ale nawet nic nie czuli.

Jeszcze raz z serca dziękuję Panu za ten serdeczny list i proszę przyjąć zapewnienie o najszczerzej i najgłębszej przyjaźni i wdzięczności.

Sługa i brat

Żeromski

Gdynia, 18.7.1921”

Za swojego życia Małaczewski doczekał się jeszcze wznowienia „*Konia na wzgórzu*”. W okresie międzywojennym ukazało się w sumie pięć wydań tego zbioru. Nie doczekał się pisarz tłumaczenia opowiadań na język angielski, które ukazało się w Londynie w 1926 r.

Rok 1921 nie był dla Małaczewskiego jedynie pasmem sukcesów, na jesieni dopadło go zapalenie puc, co powoduje nawrót gruźlicy, na którą chorował od wielu lat. Wyjeżdża do Zakopanego, gdzie podejmuje leczenie w sanatorium - hospicjum, przeznaczonym dla weteranów wojennych. Pomimo bardzo dobrej opieki personelu medycznego i troski przyjaciół i pisarzy a w szczególności Kornela Makuszyńskiego, Eugeniusz Małaczewski zmarł w Zakopanem w dniu 19 kwietnia 1922 roku.

Pisarz został pochowany na nowym cmentarzu mieszczącym się przy ulicy Nowotarskiej w Zakopanem. Pogrzeb jego był ogromną manifestacją patriotyczną, z udziałem kompanii honorowej, salwami, licznymi przemówieniami a później wieloma relacjami w prasie, szczególnie wojskowej.

Or-Ot (Artur Franciszek Michał Oppman, 1867-1931) popularny poeta okresu międzywojennego, którego losy spleły się z Małaczewskim w czasie wojny polsko – bolszewickiej, tak wspominał zmarłego poetę: „*Był cichy, pra-*

cowity, górny; był w sercu promienny w myśli dziewiczo biały. Walczył o Polskę, śpiewał dla Polski i umarł z myślą o Polsce”.

Eugeniusz Małaczewski został odznaczony pośmiertnie Krzyżem Virtuti Militari V klasy, Krzyżem Niepodległości oraz Krzyżem Walecznych.

Po śmierci poety ukazały się jego zbiór wierszy pt : „*Pod lazurową strzechą*” ,rozliczna ilość pojedynczych opowiadań w tym również po francusku i włosku oraz w czasopismach i w wydawnictwach emigracyjnych.

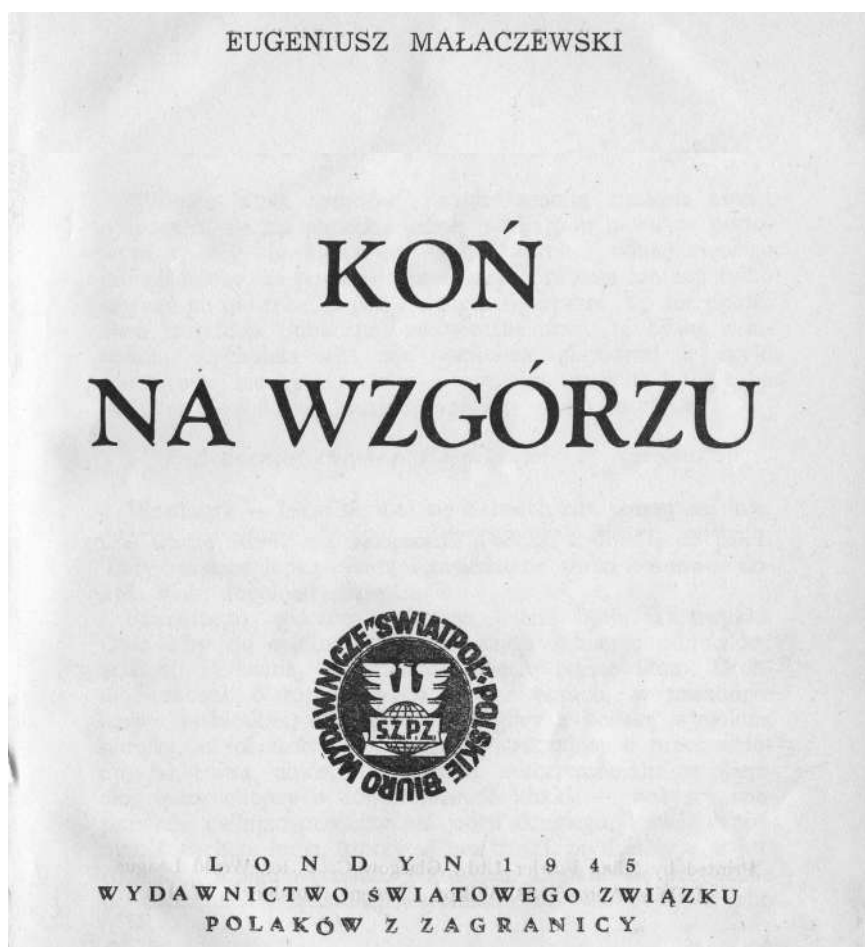
Wielki comeback zainteresowania twórczością Eugeniusza Małaczewskiego następuje po oddaniu władzy w Polsce przez komunistów w 1989 r. Od tego czasu pisarz jest wielokrotnie wznawiany, ponownie trafia do bibliotek, przypomniano sobie o nim również na uczelniach polskich. W 2008r znana oficyna wydawnicza LTW wydaje „*Utwory zebrane*” Eugeniusza Małaczewskiego.

Umieszczono tam, niemalże wszystkie utwory pisarza i poety, rozproszone po różnych książkach i czasopismach, w tym również dotychczas niepublikowane, ze świetną przedmową Krzysztofa Polechońskiego i w jego opracowaniu. W przedmowie, która jest pierwszorzędna analizą, twórczości poety i pisarza, przywołane są również mało znane fragmenty życiorysu Małaczewskiego.

Z inspiracji adwokata Stanisława Mikke (1947-2010) został wzniesiony przez Radę Pamięci Walki i Męczeństwa, nowy z białego granitu, nagrobek pisarza na cmentarzu zakopiańskim który został uroczyste odsłonięty w dniu 22 listopada 2008 r. przez sekretarza rady Pana Ministra Andrzeja Powroźnika.

EUGENIUSZ MAŁACZEWSKI

KOŃ NA WZGÓRZU. REPRINT Z 1945 R.
CZ. 1



WIELKA BITWA NARODÓW

“Wielka bitwa narodów”, zanim szerszą znalazła arenę, rozpoczęła się na pięterku jednej z knajp w pewnym portowym mieście moskiewskim, skąd do koła podbiegunowego tak niedaleko, że po pijanemu a przy odrobinie fantazji tylko sięgnąć po nie ręką, a jest na czym się oprzeć, by nie upaść. Owa instytucja publiczna, po wieczne czasy tą bitwą wstawiona, wyglądała tak: nad wejściem znajdował się szyld z szafirowej blachy, a na nim — wymalowana żółtą farbą ryba podobna do śledzia, tudzież napis w języku rosyjskim:

“Pod dochłój trieskoj. Raspiwoczno i na wynos”.

Wewnątrz — lokal składał się z dwóch izb, jednej na dole, drugiej na piętrze, dokąd pielgrzymowało się po wątych, kręconych schodach, mało co różnych od zwykłej drabiny i opatrzonych rozchybotaną poręczą. Na górze i na dole stały pod ścianą bufety z przekąskami i beczki z pompą do piwa. Stoły, zastane lepką ceratą i zasiedzane stolki sosnowe, dookoła nich, dopełniały urządzenia.

Pamiętnego wieczora zebranie liczne było, jak zwykle. Obie izby do ostatniego stolika zajęli żołnierze oddziałów, w Rosji Północnej działających przeciw bolszewikom. Drobni Francuzi, o roześmianych zawsze oczach, w mundurze barwy niebieskiej; szczudłowaci Anglicy z końską wygoloną szczęką, o łokciach i kolanach, wysterczających przez zielony, jak trawa, ubiór; Amerykanie, bezceremonialni w obejściu, tędzy chopcy w żółto-zielonych khaki, — wszyscy rozprawiali, usiłując przekrzyczeć jeden drugiego, i rzeli donośnym śmiechem ludzi, którzy są bez troski, bo dziś żyją, a jutro z nich łopian wyrośnie. Nawzajem klepano się przyjaźnie po ramionach i łędźwiach; spełniano zdrowie żywych; pito

za poległych gorzkie, jak piolun, piwo i siwuchę, którą gospodarz knajpy, z obawy przed milicją, podawał w butelkach od lemoniady. Handel szedł na cały regulator. Kelnerki, młode dziewczyny, ubrane niedbale, z rozwianym od pośpiechu włosiem, ledwo że mogły nadążyć na wołania gości. Było widoczne, że kobiety te czują się w swoim żywiole: wszystkich bez różnicy wojowników darzyły jednakowo przymilnym uśmiechem, a Francuzów nie umiejących się z nimi dogadać, jak inni, dlatego tym zabawniejszych w swej niemej przedsiębiorczości, do trzymania przy sobie rąk nie zmuszały.

Ten gwar, w którym mieszały się: wielojęzyczna mowa ludzka, wytryski śmiechu, pisk kelnerek, podskubywanych anonimowo a zniecierpliwionych, obfity dym z papierosów i fajek, siny welonami snujący się po izbie, ów całokształt hałaśliwego obcowania z sobą ludzi, przygodnie zebranych razem, sprawiał wrażenie, jakie na przykład na kolei wywiera zatłoczona sala trzeciej klasy w chwili nadejścia czterech naraz pociągów.

Mniej więcej około godziny dziewiątej, bo czas już był po apelu wieczornym, otworzyły się z nadworu drzwi i w kłębach pary, wytworzonej od zetknięcia się 30 stopniowego mrozu z dusznym powietrzem izby, weszli dwaj żołnierze. Byli w płaszczach angielskich wprawdzie, lecz ulany z ołowiu orzełek na maciejówce, oraz amarantowe patki na kołnierzu wskazywały, że żołnierze ci nie w angielskiej służą armii.

Byli to: kapral Maciej Hałaburda, rodem spod Kutna, i starszy żołnierz Jan Śmigło, Poznańczyk — obaj z batalionu wojsk polskich.

Z tego sądząc, jak powitał ich gospodarz szynku, i ze sposobu, w jaki dokoła odpowiadano na ich ukłon wojskowy, należeli widocznie do gości honorowych, w sferach zaś wojskowych znano ich szeroko i to znano szacunkowo.

Nowoprzybyli, którzy salutowali obecnych starannie, z odzieniem pewnej jednak wyższości, nie widząc dla siebie miejsca w izbie dolnej, podążyli na piętro, stąpając krokiem ludzi znających swą wartość i przez to uważających na każdy swój krok.

Na górze sprawili zjawieniem się swoim to samo wrażenie. I zaraz jeden z Anglików, widocznie znajomy, bo się bardzo na ich widok ucieszył, zaprosił ich do swego stołu, przy którym znalazło się jeszcze miejsce. Prócz niego siedział tam

młodzieniec z rudą czupryną, białymi rzęsami, kościsty i kostropaty.

Młodzieniec dość ponuro uściśnął rękę Hałaburdy, a kiedy usiedli, jął się mu przyglądać ze zdecydowaną niechęcią.

Ponieważ zasób wspólnie znanych angielsko-niemiecko-rosyjskich wyrazów i zwrotów wkrótce się wyczerpał i konwersacja utknęła, pozostało świadczenie sobie grzeczności i wzajemny poczęstunek. Uczciwie więc przykładali się do kieliszka, zaglądając jeden drugiemu tkliwie do oczu; Hałaburda — swemu znajomemu Wiliamowi, tak się bowiem do niego zwracał, a Śmigło — rudemu młodzieńcowi, którego nazywał Dżekiem. Nie mogąc wylać serca w pogawędce, powtarzali z rozrzewnieniem za każdą kolejką: Polacy ... „Englisz wery gud“, Anglicy zaś — „Polish dobra!“ A chociaż po niejakiem czasie kurzyło się im ze łbów, rozeszliby się spokojnie, gdyby nie weszła w rachubę — kobieta.

Helena trojańska wielkiej podbiegunowej waśni synów wojny znajdowała się, a raczej fruwała obok, roznosząc na tacy piwo. Fruwała, mówię, lecz fruwaniem nie tyle przypominała motyla lub błękitnoskrzydłą łatkę, czy inny jaki owad, trzęsący skrzydłem nad łąką poezji, ile upasionego pod jesień jarząbka. Zresztą nie można jej było odmówić pewnego wdzięku. Owszem, wydawała się bardzo nawet ponętą. Zwłaszcza że w mieście, gdzie kwaterował liczny garnizon, jedna młoda kobieta wypadła na dziesięciu mężczyzn. To też fruwający z tacą powód waśni mężów zbrojnych ich oczom zdawał się ponętniejszy dziesięćkroć, niż był w rzeczywistości.

Opisana osoba, skoro dostrzegła amarantowe patki legionistów, stała już przy Hałaburdzie i, krygując się z niewymowną zalotnością, zapytała współbiesiadników, czy im czego nie braknie.

— Jak się masz, Anisja? — rzekł Hałaburda.

— Dziękuję, Macieju Bartłomiejowiczu. Waszymi modlitwami! — odpowiedziała, składając ukarminowane usta w ciup — A dlaczego pan zaczyna zapominać o nas? Wczoraj pana znów nie widziałam...

— Miałem służbę.

— A nieprawda. Bo służbę miał pan w „Polarnej Gwieździe“ z Olą Morżową. A ona, podła, wszystko mi opowiedziała, ażeby mnie zmartwić. Widzi pan!...

„Gwiazda Polarna“ był to kinematograf, w którym Hała-

burda poprzedniego wieczora ciemność, panującą na sali podczas puszczenia filmu, wyzyskał dla łatwiejszego zdobycia serca przyjaciółki Anisji. Rozmyślał teraz nad przewrotnością kobiet i nie wiedział, co odpowiedzieć. Z zakłopotania wyba-
wiła go Anisja:

— Ale dziś odprowadzi mnie pan do domu. Prawda?

Tymczasem rudy Dżek ujął rękę dziewczyny obiema dłońmi i, pociągając ją delikatnie ku sobie, pieścizłotliwie powta-
rzał: „Miss... Miss!” O czym z Hałaburdą mówią, nie rozu-
miał. Ale serdeczne brzmienie głosu Anisji tłumaczył dla siebie
niepomyślnie! Był w niej trochę zakochany. Jako syn narodu
pozytywistów, starał się swój ideał pozyskać sobie środkami
pozytywnymi i składał mu w ofierze cały „jam”, czekoladę
i półporcję z galetów pszennych, jakie dostawał na dzienne
wyżywienie. Ograniczał się i w paleniu, bo „Miss” żądała
również papierosów. Co do papierosów, podejrzewał, że robi
to z namowy Hałaburdy, który je wypala. I miał rację, ale
większą, niż przypuszczał. Bo niegodziwy „Polish”, przyzwy-
czajony mieć za darmo to, za co się płaci, i w dodatku korzy-
stać z drobnych przyjemności, nie tylko puszczał z dymem
papierosy Dżeka, lecz zjadał i ów „jam”, i czekoladę. Stąd
płynęła u Dżeka niechęć do Hałaburdy. A że nie potrafił w
tak skomplikowanej materii wypowiedzieć mu, co czuje (raz
nagadał mu wprawdzie dużo gorzkich prawd po angielsku,
ale Hałaburda dopóty słuchał, aż poklepał go po ramieniu i,
śmiejąc się, pokiwał nad nim głową), więc piorunował go spo-
rzeniami, pełnymi nienawiści.

Tak też patrzył na Hałaburdę teraz. Klipał raz po raz bia-
łymi, jak prosięca szczecina, rzęsami, czując, że zazdrość chwy-
ta go za grdykę, bo Anisja ręki z jego dłoni nie odbierała, ale
i twarzą, i całą postawą zwracała się do Hałaburdy i w sze-
leszczącym, jak szept ostrych liści, obcym języku, mówiła doń
słowa, wymawiane inaczej niż do innych.

I ten moment jeszcze nie stanowił o nielasce. Zrobiła to
dopiero czyniona w najlepszych zamiarach polityka niewieścia,
która powikłać potrafi współzycie narodów, jak to wiemy z hi-
storii.

Anisja przeczuwała, co się dzieje z Dżekiem, i żywiła oba-
wę, że ten zazdrośnik zemści się na nich obojga za ich idyllę
środkiem prostym, jak angielska logika: ogłosi z desperacji
blokadę i zaprzestanie w końcu prowiantować słodkimi da-

rami i paliwem dla Hałaburdy. Postanowiła więc pojednać rywali. I z wdziękiem, na jaki ją było stać tylko, postawiła przed obydwojema po piwie, sama wzięła trzecią szklankę i uśmiechem, kiwaniem roztrzepanej główki, gestami ręki zachęciła, by potracili szkłem na zgodę. Hałaburda, chłop w myśleniu lotny, zrozumiał politykę dziewczyny, pochwalił rzecz porozumiewawczym mrugnięciem i rękę z piwem wyciągnął do Dżeka.

Anglik jeszcze prędzej zaklipał prosięcymi rzęsami, wydał nosem dźwięk, jaki wydaje niezadowolone ciele, i zastanowił się. Wreszcie zrobił dłonią ruch odpychający i krótko rzekł:

— No.

Przy stole zapanowała konsternacja. Hałaburda powoli, powoli podniósł się i przechylił przez stół. Twarz Anisji rozbłysła nagłym wewnętrznym blaskiem i zgasła. Zmalałymi naraz źrenicami, które przybrały wyraz jakiś inny, jakby nie ludzki, obserwowała obu uważnie.

Wiliam coś perswadował Dżekowi. Ten nie zgadzał się, co chwila wskazując oczyma na przechylonego groźnie przez stół Hałaburdę. Sprzecali się dość długo. Powolne tempo angielskiej mowy, jej słowa, wypowiedane jakby z wysiłkiem, dały Śmigło sposobność do uwagi:

— Maciuś, napchnij pełniąską gębę gorącą pyrką, obracaj ozorem, jak te heretyki, to se fajnie z nimi dogodosz...

Maciuś błysnął gniewnie okiem i, w szewskiej pasji, wykrztusił ogłuchłym głosem do Dżeka po polsku:

— Te, Anglik.. mówię ci, ruda małpo, napij się ze mną po dobroci, pokić czas... bo jak nie — to zdziele!

Śmigło śmiechem parsknął z wielkiej uciechy. Dżek zaś i w tym parsknięciu, i w słowach obcej mowy wyrozumiał jakąś obelgę straszną i, nie panując nad sobą, wyciągniętą ku niemu rękę z pełną szklanką — odrzucił. Piwo bluznęło na ceratę i ciurkiem poczęło z niej skapywać. Hałaburda wyprostował się i przymrużył powieki.

— Loboga, Maciuś! — krzyknął Śmigło. — Ratuj polski hunor! Wyrznij w ten zakuty jangielski łeb!

Hałaburda spojrział na Śmigło, spojrział na Dżeka, stęknął, jakby miał cepem uderzyć, i — wyrznął.

Anisja wrzasnęła „Ajaj!“ i rozpoczęła się wielka bitwa narodów.

Obaj Anglicy zdębieli. Koledzy ich, znajdujący się na sali,

przewracając stołki, śpieszyli już ku nim, bez słowa, lecz z zamiarem, wyraźnie wypisanym na twarzy. Amerykanie dołożyli tytoniu do fajek i pozostali na miejscach w oczekiwaniu wypadków. Anisja, oparta o ścianę, spoglądała na to wszystko, nieco blada, z nozdrzami rozdętymi od wzruszenia.

Nigdy sprawa polska nie wyglądała marniej. Przeciw Maciusiowi i Śmigle sunęło dwudziestu dwóch Wiliamów i Dżeków, zakasując do boksu żylaste ręce. Nagła cisza na piętrze uderzyła hałasujących na dole. Zamilkła cała knajpa, tak że począł z ulicy dolatywać aż tu melodyjny dźwięk „bubienczyków” od sanek i pogwar miasta.

Maciuś ponuro obejrzał sunących nań murem synów Albionu, wytrawnym okiem oszacował sytuację i, jako szarżę od Śmigły starszy, skomenderował mu:

— Łam stołek!

W okamgnieniu ze stojącego obok sprzętu wyłamał każdy po kanciastej nodze i przybrał postawę do ataku. I znów padła komenda Maciusiowa:

— Naprzód!

A potem — nieludzki zgół wrzask obu:

— Bij takich synów!...

I, dodawszy sobie serca tym okrzykiem, do zwycięstw prowadzącym armie polskie od grunwaldzkiej potrzeby aż do dziś, — runęli na żywy mur ludzki ze wzniesionymi od ciosu maczugami, ignorując w ten sposób i europejski boks, i uświęcone wiekami istnienia Wielkiej Brytanii kunsztu tego tradycje.

Zakołowało się na sali od tupotu podbitych gwoździami ciężkich butów, zaśmigało od razów. Nie wiadomo wszakże, jaki by sprawa wzięła obrót. Czyby zwyciężyli nasi chłopcy, czyby też padli z honorem — jeśli by w grę nie weszły „czynniki nieprzewidziane”. Jakkolwiek inicjatywę walki chwytą w swoje ręce ten, który natrze wpierw, jednakże w danym wypadku ta przewaga zdała się nie na wiele. Zaatakowane indywidua były zaprawione do walki wręcz, stosunek zaś dwóch do dwudziestu dwóch wojowniczego krzepił w nich ducha.

I tu właśnie wielka dusza „starszej siostrzycy naszej Francji” ujawniła się w całej wspaniałości.

„Czynniki nieprzewidziane”, pięciu drobnych wzrostem szaserów francuskich przyglądało się spoza pleców Maciusia tej całej awanturze. W jej początkach było im nieśpieszno do wkładania palców między cudze drzwi. Zrazu bowiem oble-

ciało ich uczucie, które przez kurtuazję dla zaprzyjaźnionej z nami Rzeczypospolitej nazwę ogłędniejszemu mianem *rozważy*, też bardzo cennej cnoty wojskowej.

Gdy jednak ujrzeli tak bohaterskie natarcie, zagrał w nich temperament południowców (pochodzili wszyscy z Marsylii, ojczyzny płomiennej Marsylianki). Prócz tego przypomnieli sobie, jak z tymi dwoma zwariowanymi polonezami pili przedwczoraj, aż do utraty pamięci, by uczcić „maréchała” Poniatowskiego, poległego za Francję. Ale najwięcej do udziału w batalii sprowokowała ich owa dziedziczna do Anglików niechęć, dymiąca się ze stosu Joanny d’Arc i przez waterlooskie pole ścielącą się aż na słynną w tej wojnie „linię Hindenburga”, gdzie Francuzi ginęli w atakach uplanowanych wspólnie z Anglikami, gdy ci ostatni skrobali się brzytwą pod nosem, bo nie było im pilno.

Zmiarkowali to wszystko i razem, jak na komendę, wielkim głosem, niby pięć galijskich kogutów do chóru, gdaknęli:
— *En avant!!!*

Anglicy zdębieli po raz wtóry, tym razem wszyscy. I ta jedna chwila zdębiecia skutki miała fatalne. Wspólnie nacierający Polacy i Francuzi dwoili się, troili wprost w czynnie walecznym. Tumult stał się jeszcze większy, bo dotychczas siepano się milczkiem, postępując jeno, jak przy rzetelnej młotce, a teraz chóralnie „*Vive la Pologne!*” i polskie: „*Wiwlafrans!*”. Po rycersku sobie poczynali, więc i byli względem siebie rycerscy.

I stała się rzecz niewytłumaczona — przynajmniej dla tych, którzy gromadzili się przy owych kręconych schodach na dole i z najwyższym zajęciem słuchali hałasów, dochodzących z góry. Oto nagle zbiegł stamtąd czerwony spotniały Anglik bez czapki, z odpiętymi naramiennikami, podobnymi przez to do podrygujących skrzydełek. Upadł przed gapiami na kolana, porwał się z klęczek; na pytanie, co jest, machnął beznadziejnie ręką i uciekł na ulicę. Za nim — drugi, trzeci, czwarty, aż do ostatniego. Niektórzy zjeżdżali głową na dół, piersią po schodach, a ich łokcie i kolana, zaczepiając się po kolei o 47 deszczułkowych stopni, wybębniały na nich jakoby długą gamę, z jednostajnego trylu się składającą. Inni podróżowali siedząc; ci mieli zapewne złudzenie, iż zażywają jazdy w jakim Luna Parku po „diabelskiej” drabinie kołującej. Wyraz oblicza wojowników staczających się bez żadnej przerwy,

jeden po drugim, był dostatecznie oglupiały, a czasem do takiego stopnia wprost głupi, iż zebrani koło schodów każdego witali szalonym wybuchem śmiechu. Ostatni zsunął się rudy Dżek, a raczej zleciał, koziołkując przez miedzianowłosą głowę, z rozwartą paszczą na podobieństwo ryby, wyrzuconej z niewodu. A skoro znalazł się na dole — jednym susem wskoczył na ulicę. Bo też i czasu do stracenia nie miał. Nadeptywali mu na pięty zbrojni nogami od stołków Maciuś ze Śmigłą i pięciu niebieskich Francuzów, wszyscy w natchnionym rozwichrzeniu głów, w wiatrakowym rozlataniu rąk, złani potem, ochrypli, ale ryczący głosem strasznym: „Naprzód!” i „En avant!” I wytoczyli się na ulicę, jak burza, w pościgu za uciekającymi.

Tam Anglicy czekali ich już. Jedni formowali tyralierę. Rozważniejsi zbroili się, łamiąc gwałtownie pobliskie sztachety, gdyż przekonali się na własnej obitej skórze, jak decydującym czynnikiem w wojnie jest przede wszystkim techniczna jej strona: broń lepsza lub gorsza od broni nieprzyjaciela. Hałaburda swoją armię również uszykował do boju i chciano się już prać w dalszym ciągu.

Jakiby to wszystko miało koniec — homerowska wyobraźnia, nawet wyobraźnia, powiedziałyby: p a s — gdyby znowu nie coś zgoła nieprzewidzianego.

Oto w zaśniężonej po okna domów ulicy zaczerniał patrol, mniej więcej z ludzi dwudziestu, ubranych po marynarzku, zbrojnych w karabinki bez bagnatów. Podeszli bliżej i przywódca ich zawołał:

— Ej tam, smirrrnaaa! Katoryje tut palaki — wychadi!...

Był to patrolujący miasto oddział marynarzy moskiewskich, którzy, zdradziwszy ogłodzonych bolszewików, wysługiwali się nowopowstałemu Rządowi Rosji Północnej za angielski żołd i nieodzowny „jam”. Gospodarz knajpy doniósł im o awanturze, a że komendant patrolu miał z Hałaburdą o tę samą Anisję osobiste porachunki, więc przymaszerowali pośpiesznie.

„Palaki” nie mieli wygodnej racji przyznawać się do obecności; skutek tego marynarz zawołał ponownie:

— Katoryj tut Gałaburda? Skazano tobie — wychadi. Iszty jewo — złowriednyj lach...

Naraz mu się wydało, że „złowriednyj lach” jest tuż koło niego. Pomyłki winien był pewien Anglik, z tegiej figury i spo-

sobu noszenia się podobny do Maciusia. Mundur na obu jednakowy czynił po nocy podobieństwo w pierwszej chwili nie do odróżnienia. Uradowany Moskal ułapił ofiarę swej pomyłki za kołnierz i, by dokładniej przekonać się o tożsamości osoby, pociągnął ją, pomimo oporu, pod gazową latarnię.

Jak się rzekło wyżej, Hałaburda był to w myśleniu chłop lotny. W lot więc rozważył nową sytuację i zrozumiał jedno: wobec obrazy Anglika, należy wpłatać wszystkich do bójki z Moskałami. Jak się dobrze uda, to za jednym zamachem da się nauczkę i Moskałom, a „jak będzie z tego guzik (myślał Maciuś) no... to się przepiecznie da nura, a durnie niech sobie potem łby porozwalają“. I w nagłym natchnieniu rzucił się naprzód (zbyttnio się jednak nie zapalażowując) i krzyknął głosem okropnym:

— England forward!!!

Aż się przeraził skutku, jaki tym wywołał. Anglicy, powtórzysz okrzyk, zwartą masą wpadli na patrol, jak jeden mąż. Francuzi, przez właściwą sobie rozagę nie ufając swej dotychczasowej broni, wylamali dla pewności po sztachecie i ruszyli również. Zasię Hałaburda (który nagle zmienił pierwotny zamiar wycofania się cichaczem) objął nad całą koalicją dowództwo naczelne. „Fosz sobie, a ja sobie“ — przewinięło się mu przez myśl.

Prócz Polaków nikt nie zrozumiał, czego żąda komendant patrolu. Widziano tylko fakt: Moskał ułapił za kark żołnierza Wielkiej Brytanii! odważył się na coś tak potwornie zuchwałego. Wprawdzie i on był sojusznikiem, ale właściwie to nie bardzo go odróżniano od bolszewika, przeciw któremu wspólnie z nimi, Anglikami, walczył. Dla nich bo każdy Moskał należał do innej, jak gdyby nie białej rasy. I zdraśnięta do żywego ambicja zdobywców świata, ludzi wielkiej białej rasy, pogodziła ich z niedawnym wrogiem i wszystkich razem popchnęła żywiołowo przeciw wspólnemu niebezpieczeństwu, grożącemu od rasy niższej.

I zanim Moskale, bynajmniej nie chcący zwady z nikim innym, tylko z Polakami, zdążyli połapać się co zaszło, byli już złomotani po łbach „na fest“ (jak opowiadał potem Śmigło). Napad był o tyleż furiacki, o ile niespodziewany. Tego było za wiele dla dzielnych niegdyś pionierów rewolucji i poszli w bezwładną rozsypkę, dodając sił do ucieczki starym jak

Matuszka-Rosja, a w chwili niebezpiecznej wprost niezastąpionym hasłem: „Bratcy, spasaś, kto może!”

Po chwili zostali na ulicy jedynie zwycięzcy, tudzież dwie czarne figury, pośród porzucanych karabinów skulone na śniegu i nieco farbujące krwią jego dziewczącą białość. Zostawieni na placu walki skowycieli z bólu, wydając od czasu do czasu krzyk przeciągły, jak wycie:

— Towariszczi, pomogiiiite!

Zwycięzcy dobrze sobie sprawy nie zdawali, co się stało i jak. Wiedzieli tylko, że byli narażeni na niesłychaną uzurpację nietykalności i honoru od tubylców kraju przez się podobitego. I z tej opresji uratował ich ów szalony „Polish”, dla którego teraz mieli za to wdzięczność i podziw oraz podświadomy szacunek, płynący stąd, że i ich samych przedtem tak dzielnie ogryzł.

Naradzili się z sobą i po naradzie rudy Dżek podszedł do Hałaburdy, zasalutował, jak się patrzy, i, uprzejmie wskazawszy na drzwi knajpy, rzekł po niemiecku:

— Brüderschaft!

Hałaburda, jako człek polityczny, nie o drażu zechciał zrozumieć, o co chodzi. Dopiero gdy kamraci Dżeka otoczyli tych dwóch i, popychając ich ku sobie, chórem poczęli wołać: „Brüderschaft” — odsalutował z godnością i rzucił Śmigle:

— Chodź i ty, bracie. Widzi mi się, że będzie tera okruteczna wstawa i to na ich rachunek.

Triumfalnie poprowadzono pod ręce obu pogodzonych rywali na znane już nam piętorko. Tu rozegrała się scena romantyczna. Anisja, widząc obu swych pretendentów, mniej więcej całych i już pogodzonych, rzuciła się z piskiem najpierw na szyję Hałaburdzie, a potem chciała zawisnąć i na Dżeku. Ale ten, nową przyjaźnią wyleczony ze starej miłości, zagroził się dłonią od dziewczyny, jak przedtem od szklanki z piwem, i rzekł dobitnie:

— No.

Zaczem zsunęto kilka stołów, aby utworzyć jeden duży stół, i pogodzona koalicja, w świetnym humorze, zasiadła, iżby sprawę, obłąną krwią, obłąć spirytusem.

Przy pierwszym kieliszku zmuszono Dżeka i Maciusia do kilkakrotnego ucałowania się, po którym nasz bohater, niegdys krechowiecki ułan, nieznacznie otarł się rękawem i powiedział Śmigle:

— Niech go nie znam. Oślinił mię, jakbym swoją nieboszczkę kobyłę całował.

Przy którejś kolejce Dzek powstał z kieliszkiem w rękę i wygłosił do Hałaburdy po angielsku długą przemowę, którą w pauzach, niekrótkich i bardzo częstych, towarzystwo aprobowało jednogłośnie: „O yes“! Hałaburda, świadomy obyczajów wielkiego świata, słuchał gadaniny stojąc, a w momencie uroczystego podniesienia głosu kiwał głową potakująco i ze zrozumieniem, po skończonej zaś oracji rzekł:

— Aj not kombinejszen.

Krasomówca pomyślał dobrze, jak tu wyklarować rzecz lepiej, naradził się z kolegami, w końcu wznosił ręce uroczysto, jak pastor, i objaśnił:

— Polish dobra!

Poczem w wielkim zadowoleniu pożegnali się i rozeszli śpieszniej, niż się im zdawało, a to z obawy, że zajście z patrolem moskiewskim ściągnie do knajpy inne jakie, wyższej rasy wojsko, które trzeba będzie uszanować, gdyż, wobec ważności misji, może nim dowodzić oficer.

Maciuś ze Śmigłą szli do koszar w milczeniu, pełni wrażeń. Północne czarne niebo ziało przepaścistością i przejmującym do szpiku kości chłodem. Gwiazdy wyiskrzyły się od pierwszej do ostatniej, mrugając i lśniąc wskutek mrozu najnieoczekiwanszymi barwami. Na czarnym niebie wyglądały one, jak bisior, rozsypany garściami po żałobnym aksamicie. Z północnego horyzontu wstawała fosforyczna, chwiejąca się łuna: zapowiedź zorzy borealnej. Miasto już spało. I tym donośniej pod stopami żołnierzy skrzypiał śnieg, suchy i zbity, jak krochmal. I śniegu tego wszędzie było istne zatrzęsienie: pieniały się nim wszystkie dachy, z których krawędzi zwisały płachtami jakby piany skamieniałe, okapturzał latarnie i słupki przy chodnikach, i nawarstwiony na gałęziach drzew, wyglądał jak pasma najbielszej waty. Widząc tyle śniegu, wydawało się, że nigdzie nie ma lata, nie ma zieleni, a cała ziemia od bieguna do bieguna jest białą pustynią i zaśnieżonym wyżej okien miastem.

Patrzyli na tę wspaniałą zimę polarną Hałaburda ze Śmigłą i żdziebko w sobie się rozmarzyli.

Rozmarzenie zamącił Maciuś:

— Te, Śmigło... coś się tak zafrasował? Nie bój się, koza nas nie ominie. Jutro, brachu, do karnego raportu... Oba-

czysz. — A po chwili dodał: — Ale, że pokazaliśmy światu, co jest wart Polak, to pokazali!

— Ja nie o tym — odrzekł Śmigło. — Ino tak miarkuje se, miarkuje i wymiarkować nie moge: niby on i janglik; fabrykuje toto dżem i wiske; jeździ po wszystkich morzach i nie zabłądzi; water-klozet, psiojucha, wymyślił — a nijakiego ni-ma ambitu... Kiejby mnie kto gębe tak sproł, jak ty jemu, do skonaniabym takiemu popamiętał. A on: polisz dobra... Aż dziw!

— E, wiadomo: Europejczyki heretyckie. Ale czasami to i pocziwy chłop między nimi się zdarzy. Ot ten...

— Hale! Nic pocziwego nam się tu nie zdarzy — narzekał dalej Śmigło, i wskazawszy na zorzę, szeregiem kolosalnych fal seledynowych zalewającą niebo, rzekł: — Ot, to lichy, na przykład. Gdzieindziej jest jak u ludzi, a tu — Bóg wi co. Niby to ma świecić, ale ani świci, ani grzeje, ino psy na tę pierońską jasność wyją. Haj, haj, czas nam już do tej Polski, na Kujawy...

— Sprawiedliwie. Czas bo czas. My tu, za przeproszeniem, kiej nieboskie stworzenia, w błocie wyżej uszu, bijemy się za naszą Polskę kochaną, a te psiekrwie, co siedzą w domu, pańskie gronta podziela se bez nas...

— Fajnie, Maciuś, godosz — odrzekł Śmigło, kładąc rękę na kłamce furtki, prowadzącej do koszar.

Nazajutrz istotnie zawezwano ich obu do raportu. Moskale sprawę wywlekli przed Naczelne Dowództwo, spoczywające w rękach angielskich. Ono zaś wystosowało do Baonu polskiego odpowiedni papier, prosząc o zbadanie i ewentualne ukaranie sprawców wczorajszej awantury.

Dowódca, kapitan Dryl, przy raporcie karnym wjechał naszym bohaterom co się nazywa „na twarz”. Zbeształ, zagroził sądem wojennym i skazał na kozę do odwołania.

W pół godziny po raporcie Hałaburda i Śmigło siedzieli w areszcie, nadrabiając wprawdzie miną, ale w duszy czuli wielki niepokój. Nawet przy najlepszym obrocie sprawy mogli utracić zdobyte niełatwo szarże. Już to jedno byłoby ciosem nie do zniesienia: dobry żołnierz zarżnię za awans rodzinnego ojca. W ogóle w oświeceniu dziennym sława z wczorajszego wieczora wydała się im dziwnie marną.

Dumali tedy niewesoło i zmartwienie gryzło ich coraz mocniej. Naraz rozwarły się drzwi i wartownik skomenderował

baczność. Wszedł kapitan Dryl i srogo spojrzał na wyprostowanych w strunę więźniów.

— Co ja z wami mam zrobić? — ozwał się po chwili. — Powiedzcie mi. No!

— Nie wiemy, panie kapitanie — gruchnęli jak najpotulniej.

— Ja się was o to nie pytam, awanturniki! Czy wiecie, że teraz muszę oczyma świecić za was przed Anglikami?!

Winowajcy tym razem przezornie milczeli.

Kapitan Dryl, jak każdy groźny w słowach człowiek, miał jednak w sobie dużo dobroci i, skoro się z gniewu jako tako wysapał, wnet miękł i zaczynał z innego tonu.

To też Hałaburdzie rozkazał:

— Opowiedz, jak to było.

Ten skromnie odraportował o swych wczorajszych przewagach. Przez naiwne wyrachowanie przemilczał jednak o najświetniejszych epizodach walki.

Gdy skończył, kapitan zmiękł ostatecznie i łaskawszym już głosem burknął:

— Niech was kule biją. Dzielnieście się spisali, nie ma co! Tylko — tu z namaszczeniem podniósł wskazujący palec — drugim razem nie zhańbić mi imienia polskiego, bo...!

I wyszedł, poleciwszy naczelnikowi warty, aby więźniów uwolnił jutro.

— Rrrozkaz, panie kapitanie! — wrzasnęli Maciuś i Śmięło. — I drugim razem nie pohańbimy!

I z wielkiego uradowania, że się wszystko tak dobrze skończyło, ryknął z całej piersi:

„Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród!...”

Aż zaniepokojony tym wartownik począł walić we drzwi kaźni kolbą na przestrożę.

BLOKHAUZ POD SYRENĄ

W roku Pańskim 1918 stało się, iż na „czerwona” Rosję ruszyła sprzymierzona z nią niegdyś Wielka Koalicja. Przed dwudziestu kilku laty Rosja robiła najazd na bokserskie Chiny z tą samą Koalicją. Ale w historii fortuna toczy się kołem zmiennym.

Na pobrzeżu Murmańskim i w porcie Archangielska wylądowały się okręty, powiewające banderą Wielkiej Brytanii. W ponure ujście Dźwiny Północnej wgrzął kolos pancernego krążownika, niby żelazna wyspa pływająca. Na brzeg sypnęła się ciżba zbrojnych ludzi w mundurach zielonych i błękitnych, szarych i zielonawo-żółtych. Po ziemi zamordowanego cara deptali Anglicy i Francuzi, Włosi i Amerykanie. Nie brakło walecznych Serbów, którzy dla swej Ojczyzny bohaterskiej wysługiwali się tu handlarskiej Anglii. Była również garstka oberwańców, pyszna ze swej nędzy i bezpańskości. Składała się ze szlachetnych awanturników i tułaczy zajadłych. W obliczu wroga robili oni bronią chwytty, jak na paradzie, a wśród tundry podbiegunowej co wieczora śpiewali głębokim głosem smętną w swej śpiewnej powadze „Rotę”.

W pierwszych miesiącach wyprawy Francuzi i Serbowie, łącznie z tą garstką Polaków, walcząc 1 przeciw 10, zdobyli na bolszewikach kilkaset kilometrów ziemi w głąb dziewiczych borów i odwiecznych bagien. W tym czasie Anglicy urządzali na tyłach wielkie składy, zwożąc całymi okrętami żywność, zakonserwowaną w blaszankach, pomalowanych na wszystkie kolory. Włosi tych składów pilnowali.

Gdy w ciągłym natarciu bataliony francuskie i serbskie zdarły się, jak długo niereparowany but, ofensywa utknęła w miejscu; znużonych zastąpiono batalionami szkockimi i wojskiem amerykańskim. Co do Polaków, to wycofywać ich nie miał zamiaru nikt. Bo po pierwsze: Polak w ogóle nie ma się

nużyć; po wtóre—o krzywdę polską nie istniejące jeszcze Państwo upomnieć się nie mogło; po trzecie — owi Polacy byli wprost niezastąpieni: znali język tubylców, na wywiad zapuszczali się w bagna jak diabły za całą armię i nie zdradzali sprzymierzeńców, czego nie można było powiedzieć o współdziałającej z Koalicją „białej gwardii” rosyjskiej.

Anglicy, jak bociany, przyszczudłowali po bagnach na front, zajęli zdobyte już obszary i „nastąpiła” tam Anglia. Rozległa się angielska komenda: wojacy na warcie stali, a raczej siedzieli z fajką w zębach, czytając Times’a: noga co krok pótkała się o blaszanki po zjedzonych konserwach, w których mądrość brytyjska zamarynowała w glicerynie i occie to wszystko dla swej armii, co na świecie da się wypić i zjeść. A więc: od mięs z afrykańskich małp i kangurów Australii *) aż do kompotów z brzoskwini kalifornijskiej.

I sama wojna przeinaczyła się na wojnę specyficznie angielską. Straciła francuską brawadę, serbską zaciekłość i polską furję, za to stała się rozważną, namysławiając się i nieskwapliwą. Nieskwapliwą, jak maszerujący Szkot, który robi dziennie nie więcej nad 10 kilometrów, o ile nie porusza się automobilem lub pociągiem.

Zresztą nie było już po co się śpieszyć. Pod osłoną angielskiego bagnetu stał dziewiczy las budowlany, zajmujący obszar do 250.000 km kw. Wpierw należało wyciąć tyle jodeł wiekowych i spławić je morzem do New-Castle’u, a potem już myśleć o dalszych sukcesach wojennych. Zasię na teraz trzeba było zdobyte bogactwo trzymać w ręku i — utrzymać. Tedy wyprawa militarna weszła w okres t. zw. wojny kolonialnej, w której to wojnie Anglicy osiągnęli rutynę mądrą i jedyną w swoim rodzaju. Afganistan czy Rosja, mniejsza o to, tu i tam jednakowa Azja. Jenerałów angielskich doświadczenie poucza, że w zawojowanym kraju dzikich ludzi buduje się małe fortece, t. zw. blokhaury, osadza się tam Szkotów wraz ze stosem małpich konserw, odrutowuje się to wszystko kolczastym drutem i — czeka. Czas to najlepszy zdobywca. Hindus czy Kurd, Papuanin czy ot, Moskał, w końcu ucywilizuje się i na widok butli z whiską wiernopoddanieczno zegnje grzbiet. A wtedy Anglia „nastąpi” już ostatecznie i Armia Zbawienia zluzuje armię wojenną.

*) Autentyczne.

Zatem i tu zabrano się do budowania blokhauzów, tym bardziej, że nadchodziła sroga zima polarna z mrozami do 45° R.

Na owym odcinku angielskim Polacy posiadali osobny pododcinek bojowy. Stosownie do rozkazu mieli oni wystawić dla siebie fortalicję swoją głową i, że tak powiem, sumptem własnym. Bo na ten cel prócz siekier, gwoździ i szpuli drutu kolczastego, nie dostali nic.

Do pracy synowie Albionu zabrali się po angielsku; Polacy uwzięli się na nią po polsku, chociaż na razie bynajmniej się tak nie zdawało. Bo i żołnierz był różny.

Bataliony szkockie (nawerbowane zresztą wyłącznie wśród londyńskiej nędzy) — jako młoda armia lądowa, złożona z niezaradnych mieszczuchów — przystąpiła do rzeczy z dziwnym nabożeństwem. Pseudoszkoci zdobyli się wprawdzie na ścięcie kłoców jodłowych i zwłczenie ich do kupy, lecz wpadli potem w głęboką angielską zadumę. Usiedli na zgromadzonym drzewie i zakurzyli fajki, nie wiedząc, z jakiej strony ugryźć stężale od mrozu na miedź bierwiona, aby się wybudował tradycyjny blokhauz.

Oddziałek polski — jak ów kot Kiplinga, co to chodzi zawsze swojemi drogami — i w tym wypadku poszedł swoją, polską drogą. W rano, przeznaczone do rozpoczęcia robót, na zaśnieżonym placu, gdzie miał stanąć polski blokhauz, do późna nie było żywej duszy. Bowiem wszyscy mieli dużo do roboty gdzie indziej. Jedni wysypiali się snem sprawiedliwych na piętnastu „wyfasowanych” u Anglików kocach. Inni przegrywali do kolegów rację rumu, nieraz tę, która wypadała do pobrania dopiero za rok. Inni znów, w wiosce, gdzie oddział miał leżeć, wypacali bohaterską duszę przed samowarem, pijąc dwudziestą szklankę „czaju” w towarzystwie brodatych starowierów i hożych starowierowien. Niewiadom nasi chłopcy prawili siarczyste komplementy, za co one grzecznych kawalerów pieścizotliwie kuksały pod żebro bynajmniej nie lekką piąstką.

Ale tylko na pozór niby się nic nie robiło, bo jak zobaczymy, zrobiło się więcej i rychlej od pracowitych i myślących Szkotów. Żołnierz, powiedziałem, był od angielskiego różny. Oddział w jednej połowie składał się z wąsatych wiarusów, którzy w ciągu wielkiej wojny kolejno jedli chleb z pieca wielu europejskich armij; zaś w drugiej połowie — ze skautów, mło-

dziaków zapatrzonych w starszych towarzyszków broni, jak w tęczę. Od czasu wojen napoleońskich świat nie widział takiego żołnierza. Oczywiście dowódca tej kochanej bandy musiał górować zaletami wojskowymi nad garścią swych podkomendnych. Górował przede wszystkim pomysłowością. Mawiał, że głowa polska jest od tego, by myślała.

Wytrawny żołnierz, kiedy go przyciśnie potrzeba, umie kopać się w ziemi, jak najpracowiwszy kret. Jednak od tej krećciej przyjemności woli naturalniejsze swe zajęcie: leżeć do góry brzuchem i prawić duby smalone, co ślina na język przyniesie. Dowódca szanował to uświęcone przez zwyczaj próżniactwo swych żołnierzy. „Polska głowa“ pomyślała i wymyśliła.

Skutek myślenia był taki. Czterej ex-saperzy (oddziałek miał przedstawicieli wszelkiej broni, od piechoty do lotnictwa) pod wodzą sierżanta Hurmy zostali tego rana wysłani do sąsiedniej wioski. Do sąsiedniej — przez politykę. Tam w sposób trochę za obcesowy zmobilizowali wieśniaków i co młodsze ich połowice. Zmobilizowanym kazano zabrać siekiery i łopaty. Po drodze na plac roboty rozebrano do ostatniego zębuna jedną z wioskowych „bań“, pomimo piskliwego protestu kąpiących się w niej tuziemek. Po czym procesja chłopstwa, objuczona belkami w ten sposób zdobytymi, pobrała przez zasy śnieżne na linię bojową. I tam dopiero zawrzała robota!

Śnieg spod łopat wyleciał w powietrze, jak puch z rozprutej poduszki; w ślad za śniegiem furknęły czarne grudki zamrożonego bagna. Chłopi pracowali z taką gorączką, jak straż ognio-wa, kiedy umiejscawia pożar. Charakterystycznie nawoływania, którymi oni podjudzali się nawzajem do pośpiechu, to pożarowe wrażenie jeszcze potęgowały. Zresztą pośpiech był tu na miejscu. Bo chociaż czterej kierujący budową „bielyje orły“ zdawali się być w nastroju żartobliwym, to jednak żartobliwość ta wyjawiała się tylko w stosunku do niewiast. Na ogół zaś byli więcej milczący, niż ugrzeczneni, a z oczu patrzyło im — na serio. Zanim spadł zmierzch — co w tamtym kraju bywa zimą o pierwszej po południu — na pododcinku polskim stał już blokhauz, jakiego Wielka Brytania ani jej kolonie nie pamiętały od wieków. Budowla, spleciona ziemnym obsypem, wznosiła się jak kurhan, pośród potrójnego pierścienia kołków, gęsto zaprzędzonych wlochatym drutem kolczastym. Z daleka czerniało to na śniegu, jak olbrzymi

opasty pajak, co się rozsiadł i czyha w otoczu grubo zakopconej pajęczyny. Z tego pajaka na zimowe powietrze coś ulaatywało, jak siny oddech. To w blokhauzie palił się już piec i dymił, jak komin fabryczny. „Bielyje orły” smażyli na ognisku upolowaną gęś dziką i również upolowane, ale swojskie prosię. Chłopki, wykańczające wnętrze budowli, przyrządzały dla wojaków nieodzowny czaj. Zjawiała się pękata butla z rumem. Udobruchany pisk kobiecy zawierał w sobie tyle radości życia, przed jej opisaniem łamię pióro.

Tymczasem dowódca frontu, colonel sir John Humbug, brnął po pas w śniegu, wspierając się na nieodłącznym kijku i postępując od reumatyzmu. Szedł na pododcinek Polaków, aby ich zbesztać. Bowiem doniesiono mu, że Polacy względem ufortyfikowania nic nie robią. Gdy z daleka na śnieżnym polu ujrzał tak wspaniały blokhauz, przypisał go dziełu rąk angielskich. Nawet w Transwaalu, podczas wojny z Burami, takich nie budowano! Więc się uradował, układając sobie w myśli, że oto nareszcie teraz pouczy tych zarozumiałych Polishmenów, którzy w pełnieniu służby zdawali się dotąd nie mieć żadnej pięty achillesowej.

— Może oni są i dobrzy w polu, ale gdy dojdzie do wojny cywilizowanej, to zaraz wyłazi z nich ta słowiańska improduktowność — pomyślał sir Humbug i wełniane jegiery wzduła mu duma, płynąca z poczucia, że jest synem wielkiej i twórczej rasy Anglosasów.

Sierżant Hurma zobaczył go z dala i w tejże chwili wystawił posterunek, poleciwszy mu zrobić przed colonelem, gdy ten przyjdzie, honory bronią. Sir Humbug, gdy po zbliżeniu się ujrzał, że na czapce żołnierza, prezentującego karabin, świeci się ów jakiś dziwny ptaszek jednogłowy, oczom własnym nie chciał wierzyć. Aż spotniały mu ze zdumienia okulary. Widząc, że nie ma tu co robić, starannie przetarł szkła, postąpił, pomyślał i poszedł do pracujących Anglików.

Jedni z nich szczerbiącymi się siekierami i ślamazarnie ciukali po drzewie zamrożonym i przez to do urabiania niepodobnym, jak kamień. Inni zgrabiałymi od zimna rękami naciągali kolczasty drut na kołki, co moment wywracające się, bo byle jak wetknięte w grunt. Jednostajne „all right” rozbrzmiewało jakoś żałośnie. Nieborakom było dotkliwie zimno i strasznie tęskno wśród okrutnych śniegów — do łagodnej mgły angielskiej, a wśród tych bagien i borów — do rodzimego

krajobrazu, co wystrzyżony jest i wyszosowany, jak jeden wielki skwer. Smutny widok dawały te dzieci wielkomiejskie, rzucone na pastwę własnej niezarażności. Nadchodził już wieczór. 25-stopniowy mróz tężał jeszcze i niedotężnych budowniczych chwycił za zdrętwiałe palce, jak rozpalonymi obcęгами. A blokhauzy mogły być skończone dopiero kiedyś. Tymczasem placówki musiały spędzić polarną noc na śniegu. W tę noc wielkiej i twórczej rasie robiło się jeszcze smutniej, gdy w polskim blokhauzie widzieli światło i słyszeli stamtąd całogardłowy śpiew, w którym wciąż i wciąż się powtarzał śmieszający angielskie ucho nawrót:

„Hopaj — siupaj — dana!“

W ciągu następnych dni dyżurujący w blokhauzie żołnierze skracali sobie czas, wymyślając coraz to nowe ulepszenia. Każdy coś zmagistrował, wystrugał, wbił swój gwóźdź, odrobił własny kolek. Któryś z legionistów, mistrz od stosowanej sztuki, ozdobił ogładzone heblem ściany wycinkami zakopiańskimi. Inny artysta, upodobań snadź weselszych, podczas długiej nocy służbowej wyrysował kredkami na drzewie ścian takie freski, że gdy je zobaczył komendant, to nie mógł zachować należytej powagi i parsknął śmiechem. Jednak to rysownicze arcydzieło, godne stanąć obok literackich fresków brantômowskich „Żywotów pań swawolnych“, rozkazał komendant wyskrobać niezwłocznie ordynarnym kozikiem. Zaś artysta malował potem freski z rzędu przez trzy dni, ale w kozie. Co tylko udało się gdziekolwiek „zwędzić“, znoszono do blokhauzu dla upiększenia i wygody. Blokhauz stał się umiłowanym dzieckiem oddziału, jego chlubą i dumą. Mawiano: „nasz blokhauz“ i to „nasz“ brzmiało tak wspaniale, jak w ustach Francuza „nasz Verdun“. W końcu gdy już nic więcej do tej doskonałości nie można było dodać, wypłynęło nader poważne zagadnienie: jakim ochrzcić mianem tę groźną fortecę?

Wynikły stąd gorące dyskusje, wobec których błędną spory sejmowej prawicy i lewicy, dyskutujących, na przykład, o parcelacji pańskich gruntów.

W zaciętrzewieniu ogólnym doszło nawet do generalnych bójek. Najpoważniejsza z nich wybuchnęła między żywiołem konserwatywnym, proponującym nazwę „Wawel“, a grupą

radykalistów, upierających się przy „Republice”. Drudzy zarzucali pierwszą tendencję monarchiczną, dowodząc, że Wawel był gniazdem tyranów i jest ich sarkofagiem. Na to „monarchiści” odmawiali oponentom czci, wiary i patriotyzmu. Aż komendant oddziału, warszawianin z pochodzenia, znużony sobie te poswarki, w rozkazie dziennym ochrzcił fortalicję „Blokhauszem pod Syreną” i tymże artykułem rozkazu zaproponował odsiadującemu w kozie artyście-wesołkowi, aby wymalował „nie szczędząc talentu” na drewnianej tarczy odpowiednią pół-niewiastę, pół-rybę.

Zdolny synalek Muz z zadania wywiązał się znakomicie. Syrenie wymalował to nawet, czego, jako żywo, nigdy żadna syrena, o ile ufać mitologii szkolnej, nie miała. W dzieło swe włożył tyle zapału, że zimnokrwieści Anglicy, kupą się potem gapiący na tarczę, zawieszoną nade drzwiami polskiego blokhausu, niespokojnie przestępowali z nogi na nogę, a co żywiołowszym — ciekła z kątów ust ślina.

Czas płynął jak wartka rzeka. Ani się obejrzano, jak nadszedł 24 grudnia.

W dniu wigilijnym służba w blokhausie wypadła sierżantowi Hurmie z jego sekcją. Sekcja Hurmy w oddziale była znana z przezwiska „sekcji uprzykrzonych inteligentów”. Składała się bowiem z owego mistrza od sztuki stosowanej, malarza od syreny i jeszcze ze czterech skautów, z których: trzech pisywali kilometrowe wiersze, a czwarty — dramaty, niekrótsze od siedmioaktowych. Wszyscy zaś odczytywaniem swych utworów zatruli oddziałowi życie.

O godzinie, wyznaczonej do zmiany załogi blokhausu, Hurma z tą sympatyczną szóstką leguńską wyruszył na linię. Ciągnęli za sobą sanki, naładowane stosem koców i futer, tudzież — jadłem wigilijnym. Na czele pochodu szedł sam pan sierżant, niosąc oburącz z celebracyjną powagą a uwagą potężny gąsior gliniany, w którym chlupotał rum z miłą wytrawnemu uchu melodyjnością nienapoczętej pełni w naczyniu.

Było polarne południe zimowe. Słońce znajdowało się u szczytu tego małego półkola, które zakreślało się teraz co dnia tuż nad samym horyzontem, zatraconym w śniegach. Dokoła bieleła pustynia śnieżna. Gdzieś na linii widnokręgu bór, malejący wskutek oddalenia, czerniał, jak wąska tasiemka aksamitu. Na dookólnym placu różowiał i fiolecił się od niskiego światła słonecznego śnieg, gruby na parę łokci. Odcinały się

na nim czarno-zielone wierzchołki świerków, zawianych prawie do szczytu. Tam i sam biegł i krzyżował się wklęsły ślad stóp ludzi, którzy tędy przebrnęli. Te podwójne łańcuszki podeptań nieskazitelnego śniegu wzbudzały przelotną smętność w refleksyjnych duszach „inteligentnej sekcji”; gdy przeszła, do śladów już istniejących przybyły nowe takie same, ale jeszcze więcej sieroce jakieś.

Za chwilę wojacy uplasowali się w blokhausie i ogarnął ich zadumany smutek, mający w sobie coś uroczystego. Przecież była dziś Wigilia. Myśli z niesfornych głów pomknęły daleko, daleko przez zaśnieżony obszar tysięcy mil, jak jaskółki rozświegotane tkliwie. W dniu powszednim mieli czas zajęty ciężką służbą lub beztróskim próżniactwem żołnierskim i nie zabijali sobie głowy byle czym. Wieści o kraju brakło. W listopadzie dowiedzieli się wprawdzie z komunikatów angielskich, że Niemcy wojnę przegrali, ale o Polsce nie było nic. Co więcej chodziły bajdy o wielkiej anarchii i głodzie w kraju. Więc chłopcy ścisnęli zęby na łacniejsze wytrwanie, splunęli w garść, aby lepiej wyobrazić karabinem, i robili dalej to, co dobremu żołnierzowi przystoi: nie mędrkować, lecz strzelać i kłuć, kogo rozkażą. Czasami wydawało się im, że zaborczości angielskiej wysługują się po próżnicy. Hurma, były żołnierz pruski, pouczał swoją „inteligencję”, gdy się ta rozpolitykowała:

— Co za austriackie gadanie. Przychodzi komando baczność, to jest baczność. Od myślenia — komendant, a ty — żebyś nie myślał a słuchał. Jak to skapujesz tym swoim jenteligentnym łbem, to powiem, żeś nie rekrut, a żołnierz całą gębą.

Należy zaznaczyć, że „rekruty”, również jak ich sierżant, byli wszyscy udekorowani najwyższym stopniem angielskiego „military medal”u“ nie mówiąc o „mentolach” austriackich, którymi się nie chwaloło, bo uchodziło to za zły ton. Lecz Hurma miał swe własne pojęcie o wojskowości.

Teraz, gdy miny jego podkomendnych wyglądały poważniej, niż zwykle, odbijał od nich chłopskim humorem i tą podufałością w sobie, która cechuje starych żołnierzy. Gdy inteligenci pod wpływem chwili tradycyjnej pograżyli się w ci-chym rozręsknieniu, czynna natura Hurmy wyjawiała się w innym kierunku. Hurma rozumował: przychodzi Wigilia, to jest Wigilia i zachować ją trzeba, jak należy. Więc wszystko ma

się odbyć pod biegunem, tak samo jak pod Inowrocławiem, jak u polskiego chłopca odbywało się od wieków.

Tedy zabrał się do rozładowania przywiezionych sań. Sam pracował, inteligentów poganiał. Rozkazy wygrzmiewał, jak kapitan statku, mówiący z tuby żeglarskiej. A urządzenie blokhausu na święto odprawował z taką powagą a godnością, jak co najmniej komendant flagmańskiego pancernika, gdy rzuca ze swego pomostu krótkie zlecenia, w lot przez majtków wykonywane.

Wnet stół nakryto sztuką namiotu. Nie omieszkało pod improwizowany obrus nasłać siana. W kącie lokalu ustawiono snopek żytniej słomy, zdradzający jednak, że go wydarto po barbarzyńsku z nowego podszycia cudzej strzechy. Na okrytym stole porządnie rozłożono pożyczone od tubylców talerze i sztucce. Trochę tylko dziwnie wyglądał ten wigilijny stół polskiego żołnierza: w pośrodku nakryć stał kulomiot na sprytnie rozstawionych nóżkach rusztowania firmy Wickers et C^o, niby potworny konik polny, wysuwający na dwór przez strzelnicę jadowity pyszczek lufy z muszką na końcu. Z boku trajkotliwego owadu zwieszała się, niby pięknie fryzowany pas, wstęga naboików, lśniąca niklem i mosiądzem.

Po dokonaniu tych urządzeń, Hurma zlustrował rzecz jednym rzutem oka i coś takiego sobie przypomniał, aż się ręką w czoło uderzył. Poszedł do wioski, poleciwszy na odchodnym, aby czekano go z wieczerzą, a on "przed pierwszą gwiazdą" wróci.

O zmierzchu powrócił, niosąc pieczęlowicie pod pachą coś zawiniętego w ręcznik.

— Te, inteligent, rozstap się, kiej sierżant idzie! — upominał malarza od Syreny, robiącego na progu fachowe spostrzeżenia co do gam fioleto, który wieczorem zakwitł na śniegu długimi strugami, jak grządki astrów barwy lila.

Hurma, przystąpiwszy do stołu, jął odwijać owo coś. Oczom zaciekawionych żołnierzy ukazał się omszały starością obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, zatulonej z Dzieciątkiem w metalowe „rize” w stylu bizantyjskiego prawosławia. Lecz podwójna blizna, wymalowana na Jej obliczu, świadczyła o przynależności do innego Kościoła.

— Wzionem to u popa tych brodaczków! — pojaśniał Hurma. — Gadają, że święty jakisiś obraz i cuda rozliczne okazywał.

Hale! Jeszcze by cudów nie było — toż nasza polska Matka Boska.

— Pan sierżant, widzę, chce w blokhauzie mieć kaplicę, gdzie byśmy godzinki przez noc śpiewali — ozwał się z przekąsem malarz od Syreny, którego dotknęło owo „rozstąp się”.

— Nie wiesz zgoła, co gadasz, panie malijarz — odrzekł Hurma. — Ot byś świętych malował, zamiast smarować po ścianach te golaski, na które janglik zęby szczyrzy i poślinia się, a grzeszny katolik, gdy je uźrzy, to drepta w miejscu, jak cietrzew w zalotach.

— To się rozumie, — dodał — że jutro obraz odniosę, bo byście go strefili waszym tureckim gadaniem. Ale wy, rekruty, nie wiecie tego, co wiem ja. Bo, chociaż w akademiach waszych nie uczony, ale swoje pomiarkowanie mam. Jeszcze, kaj się uczyłem na księżce, w szkole we Wrześni — ojcowizna tam moja — tom się dowiedział, że dawnym czasem polskie wojsko na swoich chorągwiach miało obraz Częstochowskiej. I przez to samo tłuło szwabów na potęgę. I nie dziw. Nasza Maryja — wojenna to Pani. Popatrz jeden z drugim: po twarzy siablą je pocięta, jak gemajny, co się do trenu w czas formarszu nie chował. Czy wam opowiadałem, jagem ze szwabskiego regimentu wiał do tych bagnisk przez matuszkę Rosję?

— Opowiadał pan sierżant, opowiadał! — w jednomyślnym pośpiechu zawołali inteligenci.

— To jeszcze raz posłuchajcie. — Złapali mnie, psiawiary, w tej tam ich Moskwie. Po ichniemu nie umiałem ani słowa. Więcem z jejnemi komisarami szwargotał po niemiecku, aby myśleli, że ja rodowity szwab. Komisarze wymiarkowali sobie, że nic, ino muszę być ważny niemiecki szpiegun. Ciągali mnie pod widelcami aż do samego Trockiego, który je obrzezany Żyd i króluje na bardzo fajnym, całusieńko białym burgu, co Kreml się nazywa. Jego żydowski majestat pogadał ze mną i myśli, że szwab. Podaje mi rękę. Kameradem nazywa. Idź, powiada, wolnyś jest! Będiesz robił u siebie na faterlandzie rewolucję. Takich potrza mi więcej, powiada. I do ręki wciska carskie papierki; była tego ładna kupa. Pieniądze wzionem, ale że, kameradem mię nazwał, parch jeden, tom się tak za to obraził, że mu ręki umknąłem, choć mi swoją na do widzenia wyciągał.

— Wiemy już wiemy! — zawołali chórem słuchacze.

— Cichajta, rekruty, kiedy sierżant gada! — zgromił ich Hurma i groźnie poruszył wiechciwem płowych wąsów. — To wszystko mówię względem Matki Boskiej.

— Jak mnie puścili swobodnie i jeszcze dali na drogę glajt z czerwoną pieczęcią, w której je gwiazda, akuratnie ta sama, co w warszawskich bożnicach na żydowskim ołtarzu, — tom sobie poszedł szpaciren po tym białym burgu, gdzie Żyd Trocki mieszka. Aż tu patrzę — niby kaplica, Moskal, stojący przy drzwiach na warcie, pyta, czy ja chcę do czasowni, tak się u nich kaplica nazywa. Chcę, powiadam. Wchodzę, rozglądam się. Pusto, prócz mnie nikogo nima. Aż, gdy spojrzne do góry — Jezusie, Maryjo! Pod sufitem chorągwie wiszą. A na każdej — nasz biały orzeł z jednej strony płótniska srebrem je frymuśnie wyścibany, a z drugiej — obraz Częstochowskiej. Coś tam jeszcze stało składnie wypisanego, ale nie pamiętam. Aże zatkało mi grdykę. Jak się nie rypnę na kolana! I poczonem się modlić, choć dotela nie byłem w Boga bardzo wierzący. Z niedomkniętych drzwiów ciąg wiatru chodził po kaplicy. I od tego chorągwie szeleściły, akurat jak to one gaworzą z letkim wiaterkim w procesji na Boże Ciało. A ja słyszał wyraźnie (jakby się mnie przyśniło), co te chorągwie gadały. — „Nie bojać się ty, sierżancie Hurmo — tak mnie zagadły — gdzie jest Najświętsza Panienska, tam polskiemu żołnierzowi na szyję sznur się nie ukręci!“

— Śmiej się, śmiej, panie malijarz. A ja, twój sierżant, to ci mówię, że gdybyś nie był po katolicku ochrzczony Polak, to byś w tej zatraconej moskiewszczyźnie zginął, jak mucha w ukropie. Aleś zdrów i cały, ile że cie nasza Orędowniczka Swoją sukienką od złej przygody osłaniała. Bo myśli Ona sobie: „choćta z tego malijarza wielki drań, ale zawsze to Polak i katolickie dziecko“. Lotego ci radze: przestań malować po ścianach gołe zbereżeństwa, a weź się do świętych pańskich.

Wtem posterunek, wystawiony na zewnątrz, doniósł, że na niebie zaśniła już wyczekiwana „pierwsza gwiazda“. Wówczas Hurma wziął ze stołu talerz, w którym były nakruszone białe galety angielskie. Zebrał dokoła siebie podkomendnych, z biskupim majestatem przeżegnał pszenne okrucy i przełamał się nimi, jak opłatkiem, ze swoją sekcją. Spowaźnieli wszyscy; nawet malarz od Syreny czynił zadość tradycji z widocznym wzruszeniem. Poczem zasiedli do stołu udekorowa-

nego kulomiotem. Spożyto barszcz z „uszkami“, osobiście ugotowany przez Hurmę. Zabrano się do pieczonych i faszerowanych ryb z gatunków miejscowych. O tych rybach Hurma mawiał, że ani jedna nie nazywa się po ludzku; istotnie nazwy brzmiały po samojedzku.

Za stołem długi czas panowało milczenie. Nie wieczerza to była, lecz raczej msza dusz polskich, w pół tylko obecnych tam, gdzie ciało. Ktoby to widział, nie dostrzegłby nic, prócz pewnego skupienia na twarzach biesiadników. Ale wszystkie piersi rozpięła smętna wielkość rozżęknionego tułactwa w imię Tej, co nie zginęła, a zmartwychwstać miała. Można było rzec słowami poety, że ich duch „po słupie jasności księżycowej odchodził na południe...”

Przy którymś daniu Hurma dał hasło do picia, umoczywszy wiechcie wąsów w kubku z rumem. Nastrój od alkoholu się rozchwiał. Rozwiązały się języki. Rozmowa była niejako echem poprzedzającej zadumy.

— Ciekawym, kiedy się to skończy? — zaczął jeden z inteligentów.

— Co niby?

— To taczanie naszymi rękami bolszewików, jak bałwanów po śniegu.

— Miła zabawka. Ale już ręce od niej mdleją. Mogliby nas użyć do poważniejszej roboty. Jechaliśmy przecie do Francji.

— A tu wysługujemy się Anglikom za ten podły rum i marynowaną małą.

— Dajmy na to — za Polskę.

— Przed stu laty wysługiwali się nasi na San Domingo Francuzom w ten sam deseń.

— A my dziś — Anglikom na Murmanie. Z deszczu pod rynnę. Z pieca na lód.

— Wszystko dla Polski.

— Znamy to „dla Polski“. Tak samo, psiakrew, nabijają nas w karafkę, jak ubóstwiany Napoleon.

— To też zawsze wam mówię, że Polak głupi nawet po szkodzie.

— Swoją drogą czas nam do Francji, do Hallera.

— A czegoś we Francji nie widział. Tam już ludziska pogodzili się, bo za dużo nabili sobie guzów. Tu przynajmniej od czasu do czasu poszczęści się ukatrupić jakiego komunista, co całemu światu wychodzi na zdrowie, a nam na pożytek duszy.

Na to sierżant Hurma:

— O, do tej Francji, niech ino przyńdzie befel, to w dyrdy pochybam. Mam tam swój jenteres.

— Jaki?

— Pójdę pod ich cholerny Werdun, żeby go siarczyste, najjaśniejsze! I powiem: panowie Francuzy, ta oddajta mnie te trzy paluchy, cośta mnie z lewej łapy utracili, kiedy ja we szwabskim glicie zębami gryz wasz zatracony fort Dumon.

W trakcie gawędy dał się słyszeć z nadworu okrzyk wartownika: "Stój! kto idzie?", potem — chrzęst kroków na śniegu. I do blokhausu wszedł komendant oddziału.

Wyglądał jak człowiek zwariowany, lub w najlepszym razie — spity, jak bela. Na twarzy Hurmy odmalowało się zgorzelenie; bolał go w skrytości każdy nietakt zwierzchników-oficerów. Wprawdzie chodziły między żołnierzami legendy, iż komendant lubi "zalać robaka do poduszki", lecz że nikt w oddziale nie był abstynentem, więc nikogo ta legenda nie gorszyła. Ale obecna pora, nawet przy święcie, była stanowcza zawczesna by wyglądać dotyla zdezelowanym.

Komendant, po przebrnięciu zasp śnieżnych, jakiś czas łapał dech. Gdy jako tako odsapnął, stanął w postawę, która jego podkomendnym była dobrze znana, a zwiastowała dłuższą przemowę. Krasomówstwo było słabą stroną komndanta. W przemówieniach zawsze go ponosił temperament gołowąsego kapitana. Jeśli zaczynał od pochwały, kończył na wymyślaniach, od których uszy więdły. Jeżeli wznosił za czyje zdrowie toast, to wieńczył go tyradą o wiecznym spoczynku. Ten rys charakteru dostał się na języki żołnierskie i szelmowski krytycyzm względem zwierzchników, właściwy polskiemu żołnierzowi, płodził tak bajeczne parodie tych przemówień, że boki zrywano ze śmiechu, aż do nowej okazji.

To też malarz od Syreny, generalny odtwórca mów komendanta, trącił sąsiada pięścią w bok i rzekł:

— Uwaga. Zaraz dogada się do stworzenia świata.

Komendant odchrząknął i otworzył już usta w sposób będący zapowiedzią nie byle jak utoczonego okresu... Wtem — machnął ręką i głęboko wzruszonym głosem zawołał:

— At, co tu gadać! Dajcie, moi chłopcy, lepiej pyska! Tylko co otrzymałem wiadomość: Polska jest wolna i wielka. Wszystko, co wiemy — łgarstwo!

I chwytając żołnierzy po kolei w ramiona, sypał w między chwilach słowami:

— Komendant Piłsudski w Warszawie. — Jest rząd. — Sztubacy porozbrajali Niemców w całej Kongresówce. — Armia maszeruje na Wilno. — Poznań nasz. — Muśnicki grzmoci szwabów. — Polska będzie od morza do morza! — Trzymajcie mnie, bo zwariuję!!!

I zwariował — o ile łyż, ciurkiem płynące po twarzy żołnierza, są szaleństwem. Za przykładem dowódcy powariowali żołnierze. Szarże w zgromadzeniu znikły. Sciskano się i całowano bez względu na nie. Nie gorszyło to nawet Hurmy, który, ciekając jak fontanna, wycierał wąskimi wilgoć z policzków "wielkiego drania malijarza".

I z gardzieli, założonych szlochem szczęścia, wyrwała się — razem u wszystkich — pieśń, zrodzona w godzinie najgłębszej niedoli Narodu. Jej znana melodia jest posępna, jak psalm nieszpory. Lecz pieśń, oskrzydłona bezdennym zapalem młodych dusz, brzmiała fanfarami, jakich w sobie nie ma nawet płomienna Marsylianka. A słowa:

„Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!”

rozległy się pełnią takiego triumfu, a zarazem groźby niezlomnej, że zdawało się, iż po nich nastąpi coś wspaniałego, — że tu, w tym blokhauzie, stanie się naraz jakiś widomy znak, cud — tyle potęgi ducha zalewało śpiew i — wyszarpnęło się zeń, jak z pochwy wylata nagi, jasny miecz.

W tym śpiewie zbłąkani pod obcy biegun tułaczce wołali z całej piersi na cześć Polski, co im przysłała o sobie szczęsną wieść. Tą "Rotą" żołnierze dobrowolni, swej Ojczyźnie urzędowo nie zaprzysiężeni, wszystką duszą zaprzysięgali się teraz Najjaśniejszej Rzeczypospolitej na śmierć, na życie, na dalszy tułaczy los.

Kiedy byli jeszcze, jak ów bezański pies, o którego krzywdę nikt się nie upomni, — każdemu, kto chciał ich znieważyć, pokazywali wilcze kły, a na widok ręki, chcącej pogłaskać, pogardliwie się usuwali. Teraz, kiedy było wiadomo, że są żołnierzami Państwa, że nie legionem już są, lecz wojskiem, armią — wypełniły się rogatę dusze pychą, dumą, uczuciem, któremu brak wprost nazwy.

Przedtem gardzili możnymi sprzymierzeńcami, jako woj-

skiem, które jest "cywil-bandą", jednak czuli respekt i za-
zdrość dla ich państwowości, bo sami jej nie posiadali. Lecz
teraz cała Anglia, z jej Indiami i Australią, z jej wszystkimi
oceanami, na których słońce nigdy nie zachodzi, wydała się
nowokreowanym obywatelom-żołnierzom s w o j e j w ł a s-
n e j Rzeczypospolitej jakimś niezmiernie wielkim... ubóst-
wem, nędzą śmiechu wartą.

Słowem powariowali. I wariowali tej nocy do rana, śpiewa-
jąc, krzycząc, śmiejąc się, płacząc, tańcząc, tarzając się po
śniegu, przepijając do malowanej Syreny, chodząc po blok-
hauzie i dokoła niego na rękach, na głowach...

Była to w ich życiu Wigilia najpiękniejsza. Najpiękniejszą
zostanie, bo się wielki cud w życiu nie powtarza.

POLISH Y.M.C.A.
1 ATHOLL PLACE,
EDINBURGH, 3.

POWIASTKA O MAKOLĄGWIE

— Nie, proszę pani, żołnierza trzeba znać. Na pierwszy rzut oka oni wszyscy są jednakowi. W jednakowo podartych chodzą płaszczach; gdy są na urlopie, to po junacku salutują i zawadiackim krokiem przemierzają bruki naszych miast; na nutę mazurków i krakowiaków śpiewają swe piosenki, przez nieznanych zuchów ułożone; wszyscy robią to jednakowo, bo koszarowe życie, marsze krok w krok, ramię przy ramieniu towarzysza, urobiły ich na jedną pozornie modłę. Lecz gdy z bliska się im przyjrzeć, każdy jest inny. Pod wytartą maciejówką, fantazyjnie załamaną, inna myśl w każdej młodej głowie świta, a z piersi inna tchnie dusza. Niech mi pani wierzy, że kolegum, to — istna perła ludzka, w szarą jednakowość oprawiona. A my ani wiemy o tym.

Tak mówił porucznik Wojnar, oficer od piechoty, do pani Niuty, uroczej członkini "Koła Polek" i nie mniej uroczej samarytanki z "Białego Krzyża". Wojnar w toku pogawędki ze swą znajomą spostrzegł, że ma ona o żołnierzu polskim pojęcie, które nazwać można by osobliwym, jeśliby nie było tak ogólne w czasach dzisiejszych. — Pani Niuta, aczkolwiek wiele już zasług położyła na polu umilenia wojakom szarego żywota, tudzież kochała ich całym swym serduszkim kochliwym i wytworną duszyczką, zaperzającą się do pięknych czynów — jednakowoż niezmiernie mało wiedziała o tym żołnierzu o którym przez jej piękną główkę co dnia tyle trosk się przewijało, ile swawolnych wróbli przelatuje koło okien jej pokoju. — Kiedy to Niemcy pewnego dnia w pamiętnym listopadzie poszli sobie tam, skąd przyszli, poczuła wyraźnie, że jest (i była zawsze) orientacji koalicyjnej. Zaczęła wyciekiwać z utęsknieniem błękitnych poilus francuskich i nabrała moc sympatii do szarych polskich poilus. Stała się żarliwą propagatorką militarizmu pośród znajomych. Swym licznym

adoratorom, za czasów okupacji niemieckiej knującym po kawiarniach coś krwawo-tajemniczego przeciw wszystkim potędze teutońskiej, doradzała, by poszli bronić ojczyzny naprawdę. Adoratorzy, utalentowani przystojni młodzieńcy, jakiś czas odgrządzali się na wszystkich fajfach, że tylko patrzeć, a osobiście zatkną polski sztandar na Kremlu. Gdy jednak powołano ich roczniki, wmówili doktorom tysiąc i jedną chorobę swoją i z przywiązania do Warszawy zostali w stolicy. Jedni, jako urzędnicy wojskowi, kapiąc srebrem "trzepaczek" i "węzów", błyszcząc barwami, dzwoniąc w ostrogi, srodze uzbrojeni, biegają po Warszawie z miną ludzi zajętych nie byle jakimi sprawami. Inni robią wielką politykę u Loursa, na zielonej stolnicy, wytykając bilardowym kijem kierunek polskiej myśli państwowej. Zaś pani Niuta zawstydyliła ich wszystkich, bo przypięła do ponętnego biustu biały emaliowany krzyżyk i w ten sposób stała się osobą prawdziwie pożyteczną. — Dumna jest z żołnierza polskiego i jego przewag walecznych. Czytuje komunikaty z frontu i, mówiąc o żołnierzu, posługuje się jego stylem. Dla niej nasze wojska są "dzielne i bohaterskie, brawurowym atakiem biją zawsze tych paskudnych bolszewików; o żelazny poór naszych oddziałów rozbijają się rozpaczliwe natarcia wroga". — Pani Niuta ufa sobie, że zna żołnierza jak nikt inny. Przecie styka się z nim w gospodach żołnierskich. — "Mój Boże, co to za kochani chłopcy! Mam takie wrażenie, że ja to bym na kraj świata z nimi poszła!" Istotnie żołnierze w gospodach są umyćci, ogoleni, tak pocziwie patrzy im z oczu, tacy są przyjemni... Z tym tylko kłopot, że jednego od drugiego pani Niuta nigdy odróżnić nie umie. "Mili, strasznie, okropnie mili, ale tacy jacyś podobni do siebie, jak owi grzeczni chłopcykowie z opowiadań dla niegrzecznych dzieci". — Ale któż by miał to za złe pani Niucie? Dość spojrzeć na cudowną wklęsłość jej pachnącej dłoni, na ten istny poemat, w który chciałoby się usta wtulić i długo, długo nie odejmować; na wypolerowane klejnoty-paznokietki mające kształt różowo lśniących migdałów; na złoty puszek, co spod bujnych loków nakędzierzawia się po białym, cukrowym karczku, — aby pani Niuci wybaczyć wszystko, rozkochać się w niej na umór i uwierzyć w jej posłannictwo mocniej, niż ona sama wierzy.

Lecz porucznik Wojnar był to osobnik dziwnie zaciekły w tym, co z głębokiego przekonania wypowiadał. Zaś przeko-

nania miał zgola żołdackie. Ktokolwiek z nim zetknął się, jako jego podkomendny, całe życie będzie wspominał o poruczniku z uznaniem, ale nie omieszką dodać: „Co to za piła! Jak zacznie gadać, to dziurę w brzuchu na wylot wygada“. Na wdzięki pani Niuty patrzył wprawdzie wzrokiem kolorowego ludożercy, lecz to mu nie przeszkadzało przypierać interlokutorkę formalnie do ściany dowodami i wywodami. Trafił na swój temat, dosiadł ulubionego „konika“, złożył w solidną szczyptę wskazujący, wielki i średni palec prawej ręki i coraz plastycznym gestem dopomagał wymowie.

— Tak jest, proszę pani — wykladał rzecz swoją. — Szeroki ogół wcale nie rozumie, kim jest żołnierz, który na dalekich kresach lub w obcym kraju broni tej ziemi naszej, zbieranej dzisiaj z takim trudem po tyloletnim oddarciu od macierzy. Dużo mówimy o żołnierzu, wiele troskamy się, lecz robi się — wprost skandalicznie mało. A żołnierz, jak każdy śmiertelnik, ma swe cielesne potrzeby i duchowe głody. O cielesnych potrzebach Rząd przemysła i radzi jak może, lecz tego, czego brak, dać nie zdoła. Zaś akcja społeczeństwa ogranicza się do wysłania na front raz w rok około Bożego Narodzenia po jednym pierniku dla szarego bohatera i po jednej perkalowej chustce do nosa, której w dodatku szary bohater zasadniczo nie używa. O duchowych głodach oficer myśli, jeśli umie i chce. Jednak najlepszy dowódca nie może dać żołnierzowi tego kawałka czującej duszy, którą tylko wy — polskie matrony, panie, paniutki, panienki i panienczki — mogłybyście dać i powinny. Świetnie we wszystko zaopatrywany żołnierz francuski lub angielski miał w tej wojnie po dwie, po trzy pocziwe dusze niewieście, które pisywały do swego „chrześniaka“ miłe listy i posyłały mu do okopów więcej, niż jeden piernik dorocznie. U nas inaczej. Są, wprawdzie, pułki — wybrańcy losu i wasze. Lecz aby się stać tym wybrańcem, trzeba mieć wspaniały na całą pierś rabat, żółty lub czerwony, ustrzyckować się fantastyczną etykietą, melodyjnie grać w ostrogi... Zaś szary piechur to — sierota.

— A pan znów do piechoty się dogadał. Wiem, wiem — piechury to najdzielniejsze, najmiłsze wojsko, jeżeli to panu sprawia przyjemność. Jakże brzydko są zazdrośni ci piechurzy o cień naszych względów dla kawalerii! — kokieterijnie przekomarzała się pani Niuta.

— Bynajmniej nie zazdrośni. Od wieków tak było, jak

w śpiewce: „Lepszy was ulański, niż cała piechota“. My, piechurzy, z tym pogodziliśmy się już i uznajemy siebie za pobitych. Chodzi mi o żołnierza w ogóle, a że piechoty w wojsku jest najwięcej... Otóż wracając do sprawy: trzeba wiedzieć, że żołnierzowi może nic tak nie ciąży, jak ów brak pocucia, że się jest związanym z kimś i czymś, za kogo i za co on, żołnierz, ponosi cały swój trud, często krwawy! Jak jesienny liść tuła się po granicach naszej ziemi, a wy, polskie niewiasty, pamiętacie o nim mniej, niż o swych pułkach murzyńskich pamiętały Francuzki. Każda z was powinna mieć swego chrześniaka, bo dlaczego macie być gorsze od lekkomyślnych cór patriotycznej Francji? Nie czekajcie, aż ktoś zacznie was do tego organizować: społeczeństwo nasze zorganizuje się na dobre do wojny wtedy, gdy wojna się skończy. Przeto wam samym pozostaje piękna inicjatywa i dobra wola. Ani jeden żołnierz nie powinien zostać bez waszej opieki, bez tego przeświadczenia, że o nim ktoś myśli i pamięta; niech wie, że się bije nie o jakąś mitycznie doskonałą Polskę, która będzie kiedyś, lecz — o Polskę, która już jest, a umie swojego żołnierza kochać czynnie, jak matka, i czuwać nad nim sercem siostrzanym. Tak niewiele mu potrzeba: raz na dwa tygodnie kilka słów, skreślonych waszą ręką; czasami jaka paczuszka z trochę słodyczy i papierosów, z książką, która będzie zachowana jak drogi upominek. Niewielka zaiste ofiara. Żołnierz co dzień, co godzina, co mgnienie o ileż większą ofarę ponosi dla was. Ten mur żołnierstwa, rozciągliwizną swą równy długości rzek, o których czytacie, że on je w krwawych bojach forsuje, — ten mur z żywych piersi ludzi samotnych osłania was przed rzeczą straszną. Przecież właśnie dzięki jemu nie jesteście rekwirowane dla koszar pijanego żołdactwa, jak wasze siostry w Rosji, dzięki jemu wasi mężowie, bracia i narzeczeni, którzy są wolni od wojska, lub się od niego wykrcęją, — mogą wegetować spokojnie, robić interesy, udawać budowniczych Polski i nie obawiać się krwawej pomsty motłochu, tępiącego inteligencję. — Czego wam serce nie wskazuje, to doradzić powinno po prostu zwyczajne wyrachowanie...

— Eee! Pan to zaraz wszystko w czarnych kolorach... Fi donc! — zachnęła się pani Niuta i głosem nieco już zirytowanym zaczęła usprawiedliwiać się niejako:

— Sądy pańskie są fałszywe i oburzające. Pan nie ma pojęcia, ile się robi, ile się już zrobiło. Pracujemy jak woły ro-

bocze. Ja na przykład: odbyłam dziś cztery posiedzenia, cały ranek zbierałam z rotmistrzem Bambinkowskim na kwiatek dla inwalidów. A jeszcze mam referat w sekcji Koła, wentę w Ziemiańskiej, walne zebranie Komitetu, jestem gospodynią na zabawie, też urządzanej na cel wojskowy, a nadto czeka mnie wiele, wiele innych spraw. Późnym wieczorem nóg nie czuję pod sobą. Każda z nas w pracy dla żołnierza ręce urobiła sobie po łokcie, po ramiona, a pan jakieś dziwne pretensje!...

Porucznik Wojnar obejrzał z niedyskretnym zachwytem owe urobione w pracy ręce i rzekł:

— Istotnie, proszę pani, trudno urobić ręce wyżej, jak po ramiona. I nie pozostaje mi nic, jak tylko zawołać: czołem! Najzupełniej się zgadzam, że zasługi wasze są wielkie. Liczne zrzeszenia polskich niewiast, myślących o żołnierzu, przynoszą mu nieoceniony pożytek, sobie zaś — wielki honor. Byłbym człowiekiem do gruntu złym, jeśli bym tego nie rozumiał. Chociaż i o tym coś nie coś rzec można. Do pracy w tych zrzeszeniach zabiera się również żywioł, skądinąd najrozkoszniejszy pod każdym względem; on jednak wam nadaje ton pewien, który razi i śmieszy. Zauważyłem manierę u niektórych pań: ich krzątliwa praca ma coś z nastrojowości w stylu — wyobraźmy sobie — skubania przy melancholijnym księżycu znoszonych negliżów intymnych na szarpie do naszych ran i dolegliwości. Zresztą rzecz to małej wagi, jako zło konieczne. Ale poza zrzeszeniami niewiast dobrej woli, jest jeszcze w Polsce pośród inteligencji — co najmniej pół miliona kobiet, które jednak nie kwapią się do obowiązków, wskazanych podczas wojny. Gdyby wszystkie zechciały być chrzestnymi matkami na wzór kobiet w krajach zachodnich, — każdy żołnierz na froncie miałby po dwie opiekunki. Tak mówią cyfry, wzięte z grubsza. Żołnierz ma prawo czuć słuszny żal do tego pół miliona Zoś, Mań, Baś, Andź, Wandź i Hal za ich niezdolność do drobnej ofiary, złożonej z taniego datku, z chwili czasu i z okrucza zdawkowego uczucia dla swych obrońców.

— Proszę pana. Chyba nie można ode mnie wymagać, abym kochała każdego żołnierza z osobna. Ja kocham ich wszystkich razem! — zawołała pani Niuta i od szlachetnego uniesienia perłowe konchy jej arcyuszek zaróżowiły się prześlicznie.

— O to właśnie chodzi, pani Niuto, że żołnierza trzeba ko-

chać każdego z osobna, nie zaś hurtem. Ta wasza hurtowna miłość — to miedź brząkająca i cymbał brzęiący. Choćbyście na swych zebraniach i zjazdach mówiły o niej wszystkimi językami świata, a owej osobnej, osobistej miłości dla żołnierza nie miały, — sprawa niesienia dłań ulgi i pomocy o krok nie posunie się naprzód. Bez owej miłości osobistej cała wasza akcja pozostane tym tylko, czym jest w istocie: szklanką kakao (do tego z amerykańskich darów), podaną szaremu bohaterowi z mniejszym lub większym wdziękiem, oraz owym dorocznym piernikiem i bożonarodzeniową chustką do nosa. Hurtowną miłością kocha się stadninę żrebaków, karmionych na pastwisku cukrem z pieściwej rączki, lub stado łabędzi, którym ciska się nakruszoną bułeczkę z uperfumowanej dłoni. Ale żołnierz jest człowiekiem; to ludzka indywidualność; z rączki jej się nie nakarmi! Człowieka można nasycić jeno chlebem, a nade wszystko sercem. Żołnierzowi polskiemu chleba nie brak, albo go zdobywa sobie, albo wyżebra; ale waszego serca brak mu najbardziej; a on pieć już lat nie schodzi z pola, a drugi rok bije się o Polskę! Zrozumiały to narody zachodnie, a odczuły ich szlachetne kobiety, otoczyły bowiem swego żołnierza owym osobistym, nie hurtownym ukochaniem. To też 14-go lipca w r. 1919 doczekały chwili, kiedy w Paryżu, na Placu Gwiazdy pod Arką Triumfu, mogły obypać kwiatami i oklaskami powracających zwycięzców. Jeżeli chcecie własną armię witać zwycięską, — winnyście dziś każdemu z osobna żołnierzowi ów mały najzwyklejszy okrucieństwa serca i więzankę pamięci na wzór Francuzek i Angielek. — Wracam do tego, com powiedział na wstępie gawędy: „co legun, to — istna perła ludzka, w szarą jednakość oprawiona“. Jeżeli brak wam dłań serca, a nie zdołacie zdobyć się na zwyczajne wyrachowanie, niechże pokieruje wami zwykła ciekawość. Takie legun, jako typ, niezmiernie jest interesujący. Dla samych wrażeń warto mieć „chrześniaka“. — Czy pani, pani Niuto, ma jakiego chrześniaka?

— Nie, nie mam. Przecie mówiłam, że ja kocham od razu całą armię! — odrzekła pani Niuta, prezentując niechętną minę na znudzonym buziaku.

Zapadła chwila niewyraźnego milczenia. Przerwał ją porucznik, wygadujący „dziurę w brzuchu“.

— Jeżeli pani niezbyt śpieszno na tę... wentę w Ziemiańskiej, chciałbym jeszcze zilustrować krótkim opowiadaniem

to, co mówiłem o interesującej „perle ludzkiej”. Gadania mego proszę wysłuchać cierpliwie, jak odczytuje się do końca przykry morał. Dobrze, pani Niuto?

— Wielki Boże! ten człowiek do rozpaczę mię doprowadzi. Ale słucham, słucham. Cóż ja pocznę z panem?

— Bohaterami mej powiastki nie będą ludzie wyjątkowi. Nie o lwach odwagi, lecz, owszem o jednostkach, że tak rzekę, przezornego męstwa opowiem. Nie należeli oni do „elity” naszego wojska — do galicyjskich legionów, opianych nad miarę przez tęgie pióra literackie i przez morze wodnistych bazgranin, poczcziwie tendencyjnych i dzielnicowo ojczyźniaczkich. Moi bohaterowie pochodzą z t.zw. „katolików”, czyli z tych rodaków, którym z całej polskości jeno katolicyzm został. A jednak...

— Rzecz działa się w jednym z oddziałów murmańskich. Mój oddział, złożony ze szczupłej garstki ludzi, nosił żartobliwą nazwę: „Czterdziestu rozbójników Dżwiny Północnej”^{*)}. Tytuł nas bowiem było przeciw całym batalionom bolszewików, zaś przez pół roku wojowaliśmy bez wytchnienia wśród bagien i borów nad rzeką Dżwiną Północną. Stąd owa nazwa pochodzi. — Miałem w plutonie dwóch chłopców, którzy byli atrakcją oddziału. Jeden nazywał się: Antek Piskorz, drugi: Onufry Makolągwa, zupełnie jak w „Szczutku”! Piskorz, o ile pamiętam, był zażartym pepesowcem. Wołano nań „pyskacz”, jako że pyskował, jak na partyjnym wiecu, zawsze i wszędzie, nawet przy raporcie karnym. Makolągwa wyznawał credo skrajniejsze i o wiele czerwieńsze. Został przezwany od kolegów „naszym bolszewikiem”. Oczywiście wyklócali się ze sobą po całych dniach, a nawet w nocy; sypiali pod jednym kocem.

^{*)} Ali-Babą, który w lipcu 1918 r. „Czterdziestu rozbójników” zorganizował, a w części poodbijał ich z więzień w wigilię stracenia przez archangielską „czrezwyczajkę”, i w pole, raczej w tundry i lasy dziewicze, poprowadził, — był kapitan Marian Sołdkowski, kaniowczyk, później oficer 48 pułku pieszych strzelców kresowych. Dowództwo po nim, gdy wypadło mu porzucić oddział, aby objąć wyższe stanowisko w Archangielsku, — objął kapitan Adam Wilczyński, warszawianin (później w formacjach gen. Hallera). Kpt. Wilczyński po sześciu miesiącach ciągłych walk nareszcie doprowadził „czterdziestkę” do rezerwy, dość szczęśliwie, „bo tylko ze stratą dwóch zabitych”. Obaj wyszczególnieni oficerowie udekorowani są orderami angielskimi, z których jeden — bardzo wysokiej klasy. (Przyp. autora).

Niesnaski partyjne, — aczkolwiek były zaciekle, jak ujadanie psa, co ma przetrącony grzbiet i toczy pianę z pyska — w gruncie rzeczy nie mąciły ich starej przyjaźni, zawartej podczas wojny w szeregach cudzej armii. Zresztą skrajność polityczna Piskorza i Makolągwy nie wzbudzała obaw u zwierzchników. Była to bowiem skrajność ogromnie polska — pomimo wszystko. Gdy raz nocą sprawdzał posterunek, na którym właśnie stali oni obaj, niezauważony podслуchałem taką rozmowę:

— Burżujów trza wydzgać wszystkich. Byle nie wchodzić z nimi w żadną kompromisę, a przyjdzie krwawy dzień zapłaty, sędziami wtedy będziem my! — szepce Makolągwa do Piskorza, wyężając wzrok w ciemnościach w kierunku linii nieprzyjaciela.

— To czegoś to stoisz ze mną. Idź do nich — zirytowanym szepcem odpowiada Piskorz i wskazuje ręką kędyś w noc.

— Po sprawiedliwości to tak by i należało — replikuje Makolągwa. — Po kiego licha człek leje krew na wszystkich frontach? Nie tu moje miejsce, a tam, z towarzyszami. — Żebyś wiedział o tym, fraku jeden zapowietrzony!

— No to idź do nich, idź na złamanie karku. Tylko pamiętaj, że jak potem gdzie dopadnę ciebie rannego, to dodżgam bez nijakiego zmiłowania.

— Kiedy nie pójdę...

— To przez jaką chorobną mać bijesz się z nimi?

— A bo moskale są...

Przyznam się, byłem wzruszony. Zwymyślałem ich jedynie za rozmowę na posterunku. W ogóle uśmiewaliśmy się z nich do łez nieraz. Bajeczne były chłopcy. Jeden tylko kłopot z nimi miałem. Zastrzegłem się, że bohaterów mej powiastki nie można było wliczyć między lwy odwagi. Ile razy memu plutonowi wypadło iść do ataku, tylekroć Piskorz i Makolągwa, zaraz po rozwinięciu tyraliery, zapodziewali się mi, jak kamień, co wpadł w wodę. „Robili trupa“ — szelmy jedne! W gwarze wojackiej „robieniem trupa“ nazywa się, gdy żołnierz na początku bitwy uda zabitego, przeczeka niebezpieczeństwo w miejscu zacisznym, a potem zmartwychwstaje, by po skończonej batalii zbierać laury zwycięstwa. Dwaj przyjaciele przerabiali to ogromnie sprytnie i z wielką znajomością psychologii zwierzchników. Na gorącym uczynku nie dali się przyłapać ani razu. Jednakże fakt został stwierdzony, co opie-

rało się na głębokim przekonaniu mego sierżanta Hurmy, któremu zwykłem ufać, jak samemu sobie. Nieraz naradzaliśmy się z nim, co z tymi „żywymi trupami“ począć, jak ich zażyć? Nie widząc innej drogi, zastosowałem się do pomysłu Hurmy. Pomysł jego wydał mi się wtedy genialnym. Istotnie — sposobu dowcipniejszego nie wykoncypowałby sam Napoleon, choć wielkim był znawcą duszy żołnierskiej.

Zawezwałem przed siebie Makolągwę, położyłem mu rękę na ramieniu i rzekłem:

— No, chłopie! Ale i zuch z ciebie — niech cię nie znam! Anim się spodziewałem. Sierżant Hurma raportował mi coś nie dość... Jak dalej tak pójdzie, nie ominie cię szarża. Dostaniesz awans w pierwszą kolejkę.

Makolągwa tyleż był zdumiony, ile wylękły. Zapewne układał sobie w głowie, zabitej tępym ćwiekiem skrajnych hasel, że w tej nieoczekiwanej pochwie musi być jakiś bezpieczny z mojej strony szwindel.

— A co sądzisz o Piskorzu? — zagadałem. — Ten honoru nam nie przynosi? Co? Robi trupa, taki syn! Dlatego oddaję go tobie pod sekretną opiekę. Jak będzie robota — żebyś mi go pilnował. Ty mi za niego odpowiesz. Jeśli co takiego zauważysz: masz karabin, kulą w łeb tchórza! Na tobie polegamy, bo widzisz, żeś dzielny chłop. Możesz odejść i — szal nikomu ani słówka...

Makolągwa, obłany nagłym potem i czerwony, jak burak, zrobił foremny zwrot w tył i wyniósł się, nie dowierzając własnym uszom.

W jakiś czas potem słowo w słowo powtórzyłem to samo Piskorzowi o Makolągwie.

Sierżant Hurma, obecny przy obu rozmowach, zakonkludował:

— Zrobiono akuratnie! Pan porucznik zobaczy, że oni teraz w pirszej harataninie gotowi głową nałożyć. Taka już twarda dusza w tym polskim żołnierzu, że choćta jemu tydki czasami się i trzęsą od okrutnego bojanja, a przecie jambit rogaty ma, jak diabli. Chyć go ino za ten jambit, to jakbyś młodego buhaja za rogi wzion — gdzie kcesz zaprowadzisz.

Robota nadarzyła się wkrótce. I przekonałem się, że Hurma przeznał Makolągwę i Piskorza na wskroś. Kłaniali się wprowadzić na prawo i na lewo smętnie brzęczącym koło uszu kulom, lecz do potrzeby stawali dzielnie, z rozpaczą i furią.

Nie mogłem nie uśmiechnąć się, słysząc jak przymawiali sobie nawzajem:

— Nie wywiniesz się, brachu! — pyskował Piskorz. — Za Polskę się bijesz, psiakrew, ty, bolszewiku! Trupa będziesz robił? Dam ci ja trupa!!

— Przyganiał kociół garnkowi! — odcinał się Makolągwa. — Sianem mi się nie wykręcaj! Naprzód, bo ukatrupię, na żywy Bóg, ukatrupię! Ja za ciebie bić się nie myślę!!

Po skończonej robocie, gdyśmy wracali do rezerwy na swoje leża, zdarzył się wypadek bardzo smutny. Jedna z tych zbłąkanych kul, co to lecą na wojnie nie wiadomo skąd i dokąd, trafiła w Piskorza. Przeszła mu oba biodra, druzgocąc kości w sposób straszliwy i wyszarpując w ciele szeroką, ohydłą ranę. Była, widocznie, z kategorii tych — nadciętych, mylnie inaczej nazywanych kulami „dum-dum“. Rannego dopadł zaraz Makolągwa. Na próżno chciał zatamować krew, chlustającą z Piskorza, jak woda ze skalnego źródlika. Pozbawił się własnego bandażu opatrunkowego, lecz Piskorz bladł mu na rękach i przezroczyście, jak naczynie, z którego uchodzi czerwone wino. Ze świerkowych gałęzi, powiązanych pasami, zrobiliśmy dla rannego nosze, ale one stały się wkrótce marami. Na leża donieśliśmy już trupa. Sine, zacałowane przez śmierć, usta wykrzywiały się na umarłej twarzy nadludzką jakąś boleścią, cierpieniem jakoby życia całego.

Tegoż dnia przed wieczorem grzebaliśmy zwłoki. Makolągwa, w zawodzie cywilnym czeladnik stolarski, z jodłowych tarcic zbił skrzynię, podobną do nędzarskiej trumny. Własnymi rękami ułożył druha do jej wnętrza, wonnego od żywicy leśnej. A zaś, by mu tam miękko, wygodnie było, podesał pod leżące z rąk ciało grubą warstwę świerkowego gałęziwa, młodzieńczo zielonego a uginającego się sprężystości, jak zbyt kowne posłanie. Trumnę złożyliśmy na saneczki (w tamtych krajach latem i zimą używają sanek dla wielkiego błota, niemożliwego dla kół), sami wprzęgliśmy się w szele i kondukt pogrzebowy pobrnał po wieczystych mokradłach ku suchszemu miejscu, gdzie wygrzebany był grób na chłopca. Opuściliśmy trumnę w dół na sznurach; spoczęła z pluskiem w wodzie, która zdażyła nagromadzić się na dnie mogiły wskutek wysięku podziemnej wilgoci. Byliśmy poważni — poważnym bywa się w takich chwilach. A Makolągwa, gdy swoją garść ziemi na trumnę rzucił, odwrócił się na mgnienie i w wielkim sekrecie

końcem rękawa łzę sobie otarł, udając, że ociera pot, który wykropił się był mu na twarz wskutek dźwignięcia. Wieczorem upił się przede snem, skłął cały świat od „najsłabszych pieronów” i długo, samotnie a rzewnie płakał po przyjacielu.

Dla mnie zgon Piskorza był przykry podwójnie. Po pierwsze, straciłem chłopca, który poczyniał stawać się tegim bagnetem w plutonie. Po drugie, ogarnęła mnie znowu niepewność co do Makolągwy. Musiałbym dlań ponownie wyszukać jakiego Piskorza, aby nawzajem w chwilach krytycznych brali się za ów „jambit”, jak za rogi.

Jednak obawy moje okazały się płonne. Makolągwa w pierwszej potyczce spisał się na ef-ef, jak to w gwarze leguńskiej się mówi. Oto, wysforowawszy się o kilkanaście kroków przed łańcuch strzelecki, ryknął z całej piersi:

— Chłopaki! Za Pyskacza! Mordujta psawiarów bez litosierdzia!

Podczas ataku są pewne momenty, gdy taki samorzutny okrzyk żołnierski porywa szeregi żywiołowiej, niż wszelkie patetyczne: „Za Polskę”! „Za Ojczyznę”! et caetera...

Odtąd Makolągwa zaprzysiął zgubę wszystkiej potencji bolszewicko-moskiewskiej. Przez pamięć, że jego druh legł od kuli nadciętej, wszystkie własne kule nadcinał z krwiożerczą wymyślnością. Żył dla pomsty i awansował na szarżę po szarży. Dziś pewno już jest sierżantem. Co utłukł bolszewika a sprawdzał sumiennie, że to on mianowicie utłukł, to zawiązywał supełek na tasie mce swego szkaplerza.

— Szkaplerza?! — zdziwiła się pani Niuta.

— Tak jest, szkaplerza, proszę pani. Polski komunista w polskim wojsku nosi szkaplerzyk i obrazki, chociaż marzy o wyróżnieniu katolickiego kleru. — Gdym wyjeżdżał z Murmańska, Makolągwa zawiązywał właśnie czternasty supełek. Dowcipnie oddziału prawili, że on na tych supełkach odmawia co wieczór pacierze, jak na różańcu — za duszę Piskorza, który w jego, jako komunisty, przekonaniu, nie może być łatwo zbawion, jako że w życiu doczesnym zajadłym był pepesowcem. — Jeśli Makolągwa wojuje nadal a żyw jeszcze, to supełków na swym szkaplerzyku pewno zawiązał drugie tyle. — Oto jest, proszę pani, moja opowieść o typie żołnierza, może najmniej ciekawym, jaki znam. Ileż jest ich ciekawszych jeszcze od mego Makolągwy! Tych tylko, których jedynie ja znam, wyliczyć, opisać nie starczyłoby życia całego. Kiedy

się pomyśli, co by dało się z nich zrobić, jaką by oni wspaniałością rozkwitli, gdybyście wy, polskie niewiasty, chciały nagrodzić ich osobnym dla każdego sercem matki i siostry — gdy się pomyśli o tym, a wie, że cały ten cud w waszym jest ręku i od was jedynie zależy — czuje się względem was jakieś oczekiwanie błagalne i — wielki, zaiste, wyrzut...

Pani Niuta w sentymentalnym zasłuchaniu i z cieniem wdzięcznego niedowiarstwa spojrzała powłóczyście na porucznika i rzekła:

— Tak... to istotnie jest ciekawe... zwłaszcza ten szkaplerzyk... Muszę to opowiedzieć rotmistrzowi Bambinkowskiemu, jako temat. On śliczne korespondencje z frontu pisuje.

— Z frontu? — zdumiał się Wojnar, który wiedział, że ów rotmistrz stale jest w Warszawie, będąc osobistym adiutantem, przydzielonym do któregoś z cywilnych naszych dygnitarzy.

— Mamy dwa fronty, proszę pana! — z poufałą urazą odparła pani Niuta. — I ten drugi, warszawski, wymaga jeszcze większych wysiłków, niż tamten. Ale tego nikt z was nie umie ocenić...

Temat wyczerpał się. Oboje jakiś czas milczeli. Aż pani Niuta zerwała się jak oparzona i zawołała:

— Pan mi cały porządek dnia wykoleił. Przecież od godziny powinnam już być na wencie. Mój Boże, jaka ja jestem nieszczęśliwa?! Ukochałam całą armię od razu i widzę, że to nad moje siły. Spieszę się, spieszę i wszędzie spóźniam. Ja dlaczegoś nigdy nie mam czasu. Zegnam pana.

Porucznik Wojnar, pomagając pani Niucie wdziać palto, nie omieszkiał dodać zgryźliwie:

— O polskie panie! Nie kochajcie od razu całej armii. Bo ją bez was kocha już głód, niewywczas i okrutna wojenna śmierć. Lecz miłujcie każdego Makolągwę z osobna — bo on jest tego wart!

DZIEJE BAŚKI MURMAŃSKIEJ

I

Zanim Warszawa ujrzała ją na Placu Saskim, dzieje żywota jej były epickie, jak wędrówka „kaniowczyków“ do kraju przez Murmańsk, a rozgrywały się na tle egzotycznym, tam, gdzie foki są czymś tak rozpowszechnionym, jak w Polsce zwyczajne prosięta, gdzie zamiast maćkowej gruszy moroszka z klukwą rośnie, niewiasty zaś paradują w spodniach z futra i, nigdy się nie myjąc, wysmarowane zawsze tranem rybim, lśnią się na glanc.

Bohaterka mej powieści urodziła się na Oceanie Lodowatym, o 250 mil morskich od zaśnieżonego lądu, na wielkim złomie kry, płynącej niby tratwa kryształowa z powolnym prądem mórz podbiegunowych.

Wydała ją na świat wspaniała macierz, królewski okaz białej niedźwiedzicy, mającej 2 m. 69 cm. wzrostu od nosa do ogona, a od ogona do nosa — drugie tyle, i porosłej śliczną, śnieżną sierścią, podobną do bujnego runa kóz angielskich.

Tak się złożyło, że Niedźwiedziówna (w pół roku potem przez legionistów polskich nazwana Baśką) ojca swego nigdy nie poznała.

A był to niedźwiedź osobliwy.

Miał w sobie coś z nieuleczalnych tęsknot Robinsona, coś nie coś z odkrywczych ambicji Kolumba. Macierz Baśki nie potrafiła swego małżonka do siebie przywiązać. W starym niedźwiedziu drgała niepoczciwa żyłka obieżyświata, pokutował w nim wielki nicpoń i niebywały leń. Jak na bestię polarną był to stanowczo za duży kawał romantyka i fantasty.

Posiadał siłę niezwykłą, więc, gdyby chciał, mógłby sobie polować bodaj na młode wieloryby. Stale jednakowoż włączył się o głodzie, bo wbrew zwyczajom rodowym i plemiennym, całkiem nie uśmiercał fok, będących dla niedźwiedzi białych pożywieniem głównym, lecz zaczynał się dłaczegoś na lotne

mewy. Wywiesiwszy ze zmęczenia półłokciowy jeżor szkarłatny, z pyskiem do nieba zadartym, krwiożerczo kłańcąc paszczą straszliwą, godzinami całymi ścigał kulejącym cwałem te ptaki, z żadnym, oczywista, skutkiem. To też jego pokarm powszedni składał się zazwyczaj z rozmaitej zdechliny morskiej, którą ocean w czasie przypiływu na brzeg wyrzuca.

Tym oto trybem zbiegało ojcu Baški pomyłone jego życie. Aż zdarzyła się chwila, gdy do połowicy swej, będącej wówczas z Bašką w stanie odmiennym, poczuł taką abominację nieznośną, a zarazem wezbrało w nim tyle nagłej, porywczej, iście bestialskiej tęsknoty do samotnej włóczęgi na przelaż wszystkich morzami polarnymi — że z kry, na której podróż poślubną odbywali, spełził cichaczem do morza i dał stułokciowego nura.

A gdy łeb z wody wynurzył, to nie obejrzawszy się nawet, popłynął gdzie oczy poniosą, z rozsadzającym włochatą pierś porykiem zwierzęcego szczęścia. A parskał raz po raz, niby ochoczy koń w biegu, na dobrą wróżbę.

I prując z łatwością olbrzymim cielskiem bałwany morskie, na kształt torpedy, idącej pierwszym impetem, płynął wprost do północnego bieguna.

Bo mu się tak spodobało.

Tyle go widziano.

II

Baška przyszła na świat od razu w pięknym futerku białym, z pyszczkiem pełnym spiczastych zębów, zdrowych i mocnych, jak u młodego psa; zaś w łapach, zakończonych niedołącznymi jeszcze pazurami, przyniosła właściwą swemu gatunkowi, wrodzenie doskonałą umiejętność bytowania w żywiole wodnym, na wzór ptactwa morskiego, które posiada sprawność pływacką w upletwionych nogach od chwili wyklucia się z jajka.

Stara niedźwiedzica w chwilę po rozwiązaniu czuła się tak dobrze, jakby nie położnicą była, ale noworodkiem; kwestia przyzwyczajenia: odbywać połogi w szczerym morzu, pod gołym niebem, na posłaniu z pękających lodów, w temperaturze R. 45 stopni niżej zera. I natychmiast wstąpił w nią duch wojowniczy, zażarty, rozjuszony, jakiego wnet nabierają te łagodne w istocie stworzenia, skoro tylko wywiodą małe.

Tegoż jeszcze dnia wypadło matce i córce puścić się w pław przez ponure, rozbałwanione wielkim wiatrem morze, aby się dostać na najbliższy ląd. Zmusił je do tego wypadek, mający wszelkie znamiona katastrofy żeglarskiej. Oto lodowa tratwa, na której płynęły, nadwerężona nieustannym szturmem fal, rozpękła się niespodziewanie na kilka kawałków, nie zdalnych wskutek pomniejszenia tonażu do niedźwiedziej nawigacji. A dokonało się to z trzaskiem, przypominającym wiwatowy wystrzał armaty średniego kalibru.

Rozbitkinie, zanurzone nagle po same dziurki nosów w pienie się odchlisko słonej wody, musiały niezwłocznie, bez dłuższych namysłów, wybierać między dwoma najbliższymi punktami oparcia, jakie im w nowej sytuacji pozostawały. Pierwszy — znajdował się o 250 mil morskich na lądzie stałym, drugi — tuż pod nimi wprawdzie, o 3.000 stóp tylko, ale — na dnie oceanu. Wybrały drogę dłuższą.

Potęga wiatru rosła, wydmuchując z wodnej otchłani nieskończone łańcuchy wysokich fal. Olbrzymie bałwany o plewiastych, załamanych grzbietach toczyły się jeden po drugim na kształt lewiantów, przewracających się wśród ciężkiego pluskania z boku na bok. Ryczało morze, ryczała wniebogłosy stara niedźwiedzica, borykająca się z nawałą. Baśka, uczepiona ze wszystkich sił pyszczkiem do kosmatego uda matki, zamknąwszy szczelnie swe szczenięce jeszcze, na wpół ślepe oczki, płynęła chybocąc się niby łódka, holowana gwałtownie przez statek. Na progu życia poznała, co to jest wielki strach.

Po czterdziestu ośmiu godzinach walki z wiatrem, wodą i przestrzenią, wydostały się wreszcie na upragniony ląd. Śnieg, leżący tam grubymi zaspami, wydał się im czymś tak wygodnym i błogim, jak zdrożonemu włóczędze — ciepła pierzyna. Od razu zakopały się w nim z głową i spędziły dwie doby bez ruchu. A pomimo wielkiego odrętwienia czuły w sobie dotkliwie wszystkie swe kości naraz i każdą z osobna.

Jeszcze po tym epickim exodus nie zeszedł tydzień czasu, a już rozpoczęła się edukacja Baśki.

Cała nauka polegała na praktycznym poznaniu dwu umiejętności: myślistwa i sztuki pływackiej. Jakkolwiek tak szczupły zakres wiedzy z ludzkiego punktu widzenia może się zdawać czymś bardzo łatwym do osiągnięcia, nie należy zapominać, że każdy z dwóch działów nauki niedźwiedziej rozgałęzia się z kolei na tyle różnych „przedmiotów“, ile się ich wy-

kłada w gimnazjum klasycznym z uniwersytetem łącznie. Nadto istota ludzka, pomimo najświetniejszego ukończenia tych klasycznych uczelni, byle by tylko uzyskała odpowiedni dyplom, może być przez całe życie najklasyczniejszym bałwanem, a jednak posiedzie szacunek bliźnich i uściele sobie żywot aksamitny, podczas gdy niedźwiedź polarny swoje dwa działy wystudiować musi rzetelnie, aby właśnie w swym środowisku za bałwana nie uchodzić, boby stałe puchnął z głodu i zjadłby go łagodne cieleta morskie, a mewy zadziobały żywcem.

Baśka, podobnie jak wielu sławnych ludzi w dzieciństwie, nie zdradzała w początkach edukacji ani wybitnych zdolności, ani tym bardziej zbytniego do nauki zapału. Sprawiała raczej wrażenie istoty nad wiek nierozwiniętej, ospałej, a do tego mocno krnąbrnej. Niedźwiedzica-matka nie szczędziła jej przeto upomnień wielce dotkliwych, wymierzonych doraźnie łapą rodzicielską. Od takiego upomnienia, które by pogruchootało w drzazgi najtęszą ławę szkolną, leciały z Baśki kłaki i rozlegał się kwik, jakby ją ze skóry obdzierano. Ale przecie miało to swój dobry skutek i uczennica pod okiem roztropnej nauczycielki zaczęła robić widoczne postępy.

Nie upłynęło trzech miesięcy, a Baśka najzupełniej poprawnie umiała sztukę podchodzenia fok. A niełatwa to jest rzecz — podchodzenie fok — jeśli się zważy, że niedźwiedź biały jest wprawdzie biały, ale nos ma czarny. I Baśka w tym względzie nie była wyjątkiem wśród swych siostrzyc i braci. Od stóp do czubka głowy napuszyście biała, niby chodzący stóg waty, nie różniła się barwą od dziewiczych śniegów, w krąg rozpostartych w mleczną pustynię, ale jej nosek wyglądał tak, jakby przed chwilą wyjęła go z pełnego kałamarza.

Gdyby nie czarny nos, tamecznym niedźwiedziom nic by nie brakowało do zupełnego szczęścia. W kraju, gdzie dobry Bóg całutki świat wytapetował na biało, nos o barwie czarnej jest w życiu dużą zawadą. Foka — głupie to wprawdzie i głuche bydlę — ale widzi dobrze i czarnego punktu, który się ku niej ostrożnie posuwa, bardzo nie lubi i zaraz daje nura do morza, gdzie jest panią sytuacji, gdyż pływa lepiej od swych białych tępicielei.

Dlatego to podchodzenie fok u niedźwiedzi białych jest kunstem nielada. Gdy kudłaty myśliwy zbliży się do swej ofiary na kilkadziesiąt stóp (robi to kołując, z miną z głupia frant, jakby go foki całego świata nic nie obchodziły, ba! jakby

o istnieniu ich nigdy nie słyszał) — dalej poczyną czołgać się na trzech łapach, a czwartą — nos zasłania sobie chytrze. Te ostatnie kilkadziesiąt stóp przepęłza w parę, czasami w kilka godzin czasu, skradając się z istic złodziejską ostrożnością, aż przysunie się na odległość, którą przesadza paroma skokami. Dopiero wtedy może być pewien, że mu łup nie ujdzie.

Z tych powodów zdobycie umiejętności zasłaniania sobie nosa na łowach jest w gromadzie niedźwiedziej niejako tym, czym — matura szkolna w społeczeństwie ludzkim: kończy się szczeniakiem, zaczyna niedźwiedź.

Pod wpływem częstych „upomnień” matki, Baśka tę umiejętność osiągnęła w stopniu dostatecznym. A ponieważ tę wiedzę wpajano w nią bardzo gorliwie, poczuła w końcu wielki wstyd, że ma w ogóle nos, i poczytywała go sobie za jawną sprostność, której należy wstydzić się nade wszystko.

Warto było zobaczyć Baškę na ćwiczeniach łowieckich, gdy pod okiem macierzyńskim czołgała się do zabitej uprzednio foki, zasłaniając szczerlnie swój czarny nosek. Robiła to gestem białej łapki, tak wdzięcznym i wstydliwym, jaki się widzi tylko na obrazie — u Zuzanny, wychodzącej z kąpeli.

W owym czasie jeszcze większe postępy poczyniła Baśka w sztuce pływackiej. Na tym polu przewyższyła wkrótce wszystką rówieśną sobie młodzież. Cudny to był widok ujrzeć ją zażywającą kąpeli.

Szkoła pływacka mieściła się w małej zatoce, którą tworzył Ocean Lodowaty, wrzynając się w ląd rozległym półksiężycem zielonej wody. Pochyły brzeg, cały w śniegu, otaczał szmaragdową zatokę jakoby szerokim srebrnym sierpem. Wylot ku morzu zagrodzony był potężnym murem lodozwałów, podobnych do ruin fantastycznej fortecy, przed wiekami postawionej z gór marmurowych i jakiegoś przezroczy-stego kamienia.

W obrębie tych kilku mil niezamartłej wody odbywały się pływackie popisy kilkadziesięciorga niedźwiedziat obojej płci. Maciory patrzyły na widowisko, rozsiadłszy się na brzegu, jak matrony na kanapie. Młodociane pociechy używały tymczasem kąpeli, parszając jak tabun żrebaków, rycząc jak stado cieląt i czyniąc zgietkliwy kwik a krzkanie na podobieństwo owych dwóch tysięcy nierogacizny, o których stoi w Piśmie, że „z wielkim pędem wpadły z przykra do morza”.

W gromadzie kąpiących się niedźwiedziat Baśka wyróżnia-

ła się zręcznością i wdziękiem. Nikt nie nurkował tak, jak ona. Gdy mając na grzbiecie kilka stóp przezroczystej, jak dym, wody, przeszywała sobą wodne głębie, rzekłbyś — pocisk, zrobiony z wielkiej głowy cukru, idzie na dno kamieniem. W chwilę już potem kołysała się łagodnie na powierzchni zatoki na kształt bałwana, ulepionego ze śniegu przez igrające dzieci. Albo płynęła wielkimi zygzakami, sterując z łatwym wdziękiem, niby biały łabędź po stawie.

Nikt też, tak jak ona, nie potrafił „robić chryzantemy”. „Robienie chryzantemy” w sztuce pływackiej u niedźwiedzi polarnych jest tak samo szczytem umiejętności, jak zasłanianie łapą nosa — w myślistwie.

Rzecz polega na tym, żeby złożyć wszystkie cztery łapy do kupy, wielki palec do wielkiego palca, grzbiet zgiąć w pałąk i, oddawszy się całkowicie wartowi prądu morskiego, płynąć bez najmniejszego ruchu, z wytkniętymi nad wodę nozdrzami. Takie ułożenie ciała daje doskonałą równowagę i pozwala płynąć bez najmniejszego wysiłku po kilka dni z rzędu. Setki mil można w ten sposób przebywać z łatwością, trzeba tylko dobrze orientować się, którędy jaki prąd płynie, gdyż prądy, jak wiadomo, krzyżują się w oceanie, niby linie tramwajowe w dużym mieście. Niedźwiedź, podróżujący z łapami razem złożonymi, z grzbietem w pałąk zgiętym, gdy łagodna woda jego długą sierść rozczesze i porozdziela na niezliczone, jakby wciąż powiewające pukle, podobny jest do rozczochranego kwiatu białej chryzantemy, oderwanej od łodygi i płynącej bezdrożami.

Ponieważ nie wiem, jak takie pływackie clou nazywa się w języku niedźwiedzim, nazywam je poetycznie: „robieniem chryzantemy”.

Wypłuskawszy się do woli w zimnej jak lód wodzie, Baśka wynurzyła się z nadbrzeżnej piany, nieskazitelnie biała i pończta, niby Wenus tamtych krain. Siadała w kuczki na śniegu, wpierw przetarłszy i wymiętosiwszy go sempiterną, żeby się móc usadowić wygodnie. Przy tym dymiała z mokrego futra w mroźne powietrze kłębamii pary, niby pęknięty piec kaflowy. Siedząc tak i parując, oddawała się marzeniom.

Marzyła, jak marzy dziecko ludzkie, zanim pierwszy raz poczuje, że czuje, i pomyśli, że myśli.

Czasami w jej marzeniach osobistych, powolnych jak tętno

natury podbiegunowej, powstawał obraz, którego nie rozumiała, wspaniały, jak rozblask zorzy borealnej.

Wzruszenia przedziwne podnosiły się z dna jej duszy, niby owe pęcherze powietrza, które z dna poruszonej wody rosną ku powierzchni sznurami jakoby szklanych paciorków, niżących się na niewidzialną nitkę. Czuła wówczas, że coś lechce ją w gardzieli, coś łaskoce w nozdrza. Więc poczyniała kichać po kilkadziesiąt razy raz po raz.

Baśka, jak się tylko wzruszyła, rozpoczynała zaraz kichać. Brano jej to za złe. Kichanie wydawało się gromadzie niedźwiedziej dziką nieobyčajnością, jak w ogóle wszystko, co nie było w zgodzie ze zwyczajami, uświęconymi wśród niedźwiedzi od dnia założenia północnego bieguna. Baśka od zwyczajów odbiegała, gdyż w przeciwieństwie do rówieśnic była skłonna do silnych wzruszeń bez powodu, a w następstwie tego — do kichania.

Wynikły stąd poważne zatargi z otoczeniem, a zwłaszcza ze starą niedźwiedzicą, która chcąc Baškę od nieobyčajnego zachowania oduczyć, nie szczędziła bolesnych razów łapą, uzbrojoną w pazury, zdolną jednym ciosem oskalpować lwa.

Rozterka rosła. Baśka czuła się coraz gorzej, coraz więcej obco wśród swoich. Poczęły w niej kiełkować instynkty, odziedziczone po ojcu. Nie mogła się oprzeć dziedzicznej tęsknocie do czegoś, co nawet w języku ludzkim nazwane być nie może.

Na schyłku jednego z parugodzinnych dni podbiegunowych, gdy nad zatoką zachodziło słońce, Baśka stała na brzegu, ciałem podawszy się naprzód, z wyciągniętą szyją i podniesioną głową. Patrzyła na zachód, w krwawe i fioletowe łuny. Lodowce, odgradzające zatokę od pełnego morza, kwitły kolorowym blaskiem, jakoby pokryte wiszącymi grzędami hiacyntów. Woda wyglądała, jak jeden wielki ogon pawi, po którym niezliczone iskierki mrowiły się i podskakiwały, na kształt brylantowych pchełek.

Było tak pięknie, i smętnie, i wzruszająco, że Baśka zaczęła kichać, jak z baterii.

Po czym rzuciła się wplaw ku dalekim lodowcom. Płynęła do słońca. Nim zaszło, była na pełnym morzu.

Natknęła się wkrótce na silny prąd. Zrobiła więc „chryzantemę“ i ułożyła się do snu.

Zadna moc nie zdołałaby jej teraz zawrócić z drogi. Czuła

bowiem do własnej matki taką niechęć, jak ongi jej ojciec, stary morski włóczęga.

Zniknęły brzegi. Samotny, wspaniały ocean leżał dokoła, jak okiem rzucić, i kołysał wełnę swoich fal. Gwiazdy odbijały się w ruchomej głębinie srebrnymi taśmami. Zapadła głucha noc.

III

W przedwiośniu roku 1919 Archangielsk nad Białym Morzem był okupowany przez Ententę, która pod kunktatorskim dowództwem Anglików i na ich wicie zamierzała zdobyć Rosję od północy, powywieszać na latarniach ówczesnych czerwonych władców Kremlu, a przede wszystkim zrobić dobry interes na eksploatacji bogactw naturalnych tego kraju. Koniec wyprawy był mniej świetny, niż początek. Ententa wysłała na tym kupiecko-militarnym interesie, jak nasz przysłowiowy pan Zabłocki na mydle. Ale stało się to dopiero w sześć miesięcy później.

W czasie zaś, kiedy zaszły wypadki, o których mowa niżej, Archangielsk był mocno obsadzony załogami wojskowymi niemal całego świata. Oczywiście nie brakło i Polaków, bo gdzie tylko dwóch się bije, tam zawsze Polak trzeci chętnie łba nadstawi.

Na pryncypalnej ulicy miasta w godzinach południowych wznosił się ruch pieszy. Był to czas spotkań i spacerów. Po chodnikach skłębionych z deszczulek, ruchomych jak kławiatura i nagle podbijających stopę przechodnia, niczym diabelska trampolina, przechadzali się zamorscy zdobywcy w towarzystwie dam-tubylek, które niewykwiśniętą prostacością swych stroików wyrównywały pokusą jednych kształtów oraz urodą lic, mieniących się na mrozie barwami krwi i mleka, zaś urodę samą podnosiła ta jeszcze okoliczność, że na stu młodych i jurnych wojowników wypadała w tym mieście jedna tylko, warta grzechu, kobieta.

Szli tedy po zdradzieckich chodnikach szczudłonodzy, rybowardzy i rudowłosi Brytańczycy z anglosaską flegmą, malującą się na twarzach ściągłych, rzemiennych, jak pasek do wecowania brzytwy. Ze swobodną dystynkcją przechadzali się Francuzi, we włożonych na bakier, z okrutną fantazją, aksamiitnych beretach strzelców alpejskich; na widok co młodziej

niewiasty instynktownie wstrząsali beretem, jak grzebieniem kogucim, stąpając z jakimś szczególnym, wyostrożonym wdziękiem, niczym rasowe koguty, gdy zoczą niezupełnie starą kwokę. Amerykanie spacerowali bądź z fajką, bądź z kawałkiem czekolady w zębach; zajadali ją, idący, nie krepując się, z naturalną swobodą dzieci, wracających ze szkoły. Prócz nich byli tu i Serbowie, i Kanadyjczycy w uszastych czapach i mokasynach indyjskich, oraz bersaglierzy włoscy, którzy z obfitości upierzenia na hełmach wyglądali, jakby na ich głowach rozczapierzona kokosz, nastroszywszy się, wysiadywała jaja.

W głębi jednego z zaułków, prowadzących do głównej ulicy, ukazało się kilku młodych wojskowych. Mieli na sobie zawa-diacko załamane maciejówki z legionowymi orzełkami, tudzież płaszcze koloru khaki, wdziane po leguńsku, z pewną artystyczną niedbałością, która zdradzała ciężenie ku elegancji w stylu wyraziście nadwiślańskim.

Jeden z młodzieńców, w szarży podchorążego, miał w prawicy kij żelazny, grubości palca, drugą zaś ręką trzymał, owinąwszy kilkakrotnie dokoła pięści, łańcuch zakończony stalową obrozą. W obroży targał się biały niedźwiadek, oglądający ponurym wejrzeniem, rzucanym spode łba, uliczkę, zakopaną w śniegach powyżej płotów. Słońce świeciło małej bestii prosto w pysk, więc poruszała wciąż czarnym noskiem, oblizując się i od czasu do czasu kichając wielokrotnie a przenikliwie, niby zakatarzony kot.

Toczyła się rozmowa w tempie leniwym — typowe gędzenie rozpróżnionych żołnierzy, wałęsających się na słońce-ku w bezpiecznym garnizonie, z dala od placu bitwy:

— On, czy ona?

— Kto? — zapytał podchorąży.

— No, ten srogi zwierz...

— Ona.

— Skąd wiesz?

— Powiedziała mi na ucho, jak byliśmy sami...

— Gadał zdrów. Nie może być.

— Fakt.

— A co będziesz z nią robił?

— Wziąłem na utrzymanie. Spójrzcie, jaka przystojna! Trochę z niej dzikus jeszcze, wczoraj ugryzła mię w łydękę, ale to się da odrobić. Z kobietą trzeba twardo. Nie słucha

dobrego słowa, to posłucha kija. Na razie daję sobie z nią radę tem!

Tu dźwięknął żelazną maczugą o bruk. Niedźwiadek szarpnął łańcuchem i zjeżył grzbiet. Rozległ się groźny pomruk, potem krótki, srogi ryk.

— Kusz, ścierwo, bo wszystkie kości połamię! — uspokajał podchorąży swą pupilkę, nie bez pewnej jednak serdecznie cieplej nutki w głosie, pomimo groźnego sensu słów.

— A karmisz ją?

— No, przecie...

— Czym?

— Zjadła dziś pud świeżych fląder, a prócz tego — parę butów, które grzały się przy piecu po wysmarowaniu tłuszczem.

— Apetycik, powinszować. Bardzo, bardzo miły zwier. Buzię ma wcale, wcale inteligentną. I z oczu jej patrzy uczciwie. Niepotrzebnie nad nią się znęcasz. Ja bym poradził dobrocią, łagodnością. Można pogłaskać?

— Owszem. Spróbuj.

Amator łagodnych metod nachylił się nad niedźwiadkiem i wyciągnął rękę, by go pogłaskać po splaszczonym łbie. Zwierz lizał śnieg szkarłatnym jeziorem i na zniżającą się rękę nie zwracał pozornie włosów. Lecz zaledwie go dotknęto do koniuszka włosów, wykonał ociężałą głową zdumiewający, błyskawiczny ruch. Amator łagodnych metod mimowolnie wydał okrzyk i skoczył wstecz jak oparzony. Jednocześnie rozległo się głośnie klapnięcie potężnie użebionych szczęk, które zamiast cofniętej szybko ręki napotkały próżnię.

— A to dzikie bydlę! Ależ ona naprawdę kąsa!

— Nie żartuje. Podziękuj, że prócz pary moich butów, nie zjadła ci kawałka ręki.

Zapalono papierosy. Zewsząd dolatywał melodyjny dźwięk podzwiek dzwonek od sanek, jeżdżących po mieście. Powierzchnia śniegu lśniła w słońcu, jakby posypana tłuczonym szkłem. W moźnym powietrzu błąkały się wirujące iskierki lotnego szronu, niby ów brylantowy kurz, który zapala się i gaśnie w skośnym słupie blasku słońca, wpadającego do pokoju przez okno. Niedźwiadek coś mruczał i mamrotał, gmerając w śniegu czarnym nosem.

— Dokąd z nią teraz pójdziesz? — zapytał podchorążego kolega.

— Na promenadę — brzmiała odpowiedź.
 — Zwariowałeś? !
 — Nie. Tu chodzi o honor całej polskiej armii.
 — Jak to?
 — Zaraz opowiem — odrzekł podchorąży. — Czy znacie kapitana bersaglierów, Włocha, tego, co chodzi, jada, kocha i sypia z monoklem w pysku?

— To ten, z którym na ostatnim balu w misji francuskiej poróżniliście się o to rozłożyste ciało w sukni lila?

— Mój kochany, proszę cię!... Dobieraj oględniejszych wyrażań, gdy mówisz ze mną o kobiecie, którą więcej niż szanuję... Tak. Ten sam właśnie. Wyobraźcie tylko sobie, na jakie kawały puszcza się ten drab, byle by zdobyć tylko jej względy. I tak już dużo przewag ma nade mną: jest brunetem, ja blondynem, ona woli brunetów; używa monokla, a to jej imponuje; jest kapitanem, ja dopiero podchorążym; nazwisko jego brzmi: Andreas Giovanni della Stupida hrabia Bambini, a ja nazywam się: Walenty Karaś. Nie dość tego: wieczorami całymi śpiewa jej po włosku, wywracając białka oczów, swoje canzony i barcarolle. A gdy ja, chcąc dotrzymać mu placu, raz huknąłem z całego gardła „Husia-Siusia“, ona uszy zatkała oburącz i rzekła:

— Proszę dać spokój. Pan miłszy jest bez śpiewu. Panu w dzieciństwie Mahomet musiał nastąpić na ucho.

Włoch zaś, ucieszony z mej porażki, zaraz zaśpiewał swym barytonem aksamitnym pieśń, zaczynając się od słów: „O, cara mia...!“ Zostałem sromotnie pobity.

Codziennie spotykamy się obaj na spacerze przed domem naszej donny, która czeka, siedząc w oknie, i patrzy przez dziurkę, wychuchaną w szronie, okrywającym szybę. Włoch dowiedział się, że ona lubi zwierzęta. Pewnego dnia przyszedł z oswojoną łasicą, siedzącą mu na ramieniu. Lecz nazajutrz ja triumfowałem, bom przywłókł ze sobą na sznurku żywego jeszcze gronostaja. Włoch jednak nie dał za wygraną i w dzień potem przelicytował mego gronostaja autentycznym żółtym lisem. Zawzięłem się tedy i ja. Dostałem młodego wilka, który przy pierwszym spotkaniu zagryzł jego lisa. I w turnieju tym pewnie bym zwyciężył, gdyby z całego miasta nie zbiegły się wówczas wszystkie psy i nie rozszarpały mego wilczka przy ciepłych jeszcze zwłokach żółtego lisa. Włoch natomiast wytrzasnął skądś błękitnego lisa i od kilku dni paraduje z nim

codzień na promenadzie, wywołując duży efekt w tłumie, oraz przychylnie uśmiechy w dziurce, wychuchanej w szronie na szybie.

Wpadłem w rozpacz i pewnie bym rozpił się na śmierć, gdyby nie traf szczęśliwy. Przedwczoraj na tutejszym targu spotkałem chłopca „samojeda“, który przyprowadził na sprzedaż tego oto niedźwiadka. Kupiłem bez namysłu i teraz zobaczymy, kto lepszy: ja czy Włoch. Nie może być, żeby polski legionista skapitulował przed nacją, którą Bóg stworzył po to jedynie, aby Austria, stale bita przez cały świat, też miała kogo bić!... Pęknie, szelma, z zazdrości. Dziś pograżę go narreszcie w oczach naszej donny i zdobędę jej serce. Zguba nad Włochem wisi, chyba by tym razem przytaszczył ze sobą żywego krokodyla!...

— Zwyciężysz. Idź. Masz rację. Tu chodzi o honor całej armii! — krzyknęli chórem słuchacze.

Jednocześnie z ulicy pryncypalnej wpadł do zaułka żołnierz, ordynans Karasia, i zawołał:

— Panie podchorąży, włoski kapitan już jest!

— Z lisem?

— A jakże, z lisem — odpowiedział ordynans.

— Dam ja mu lisa — mruknął Karaś.

I poszedł, wlokąc na łańcuchu swą dziką wychowanicę. A że mu zrazu krnąbrnie się opierała, wbijając w śnieg wszystkie cztery łapy, przeto z miejsca użył żelaznego drąga. Po czym już szli w najlepszej komitywie i Baśka — była to bowiem ona — biegła ciężkim truchtem, ocierając się pieszczotliwie o kolana podchorążego.

Samym już zjawieniem się swym wśród spacerującego tłumu wywołali żywe zainteresowanie, coś nawet, jak gdyby w rodzaju wstrzemięźliwego entuzjazmu. Wnet zeszczękały tu i ówdzie kieszonkowe kodaki Anglików. Pewien odważny major amerykański żartem ofiarował Baśce tabliczkę czekolady, którą pożarła bez namysłu, wraz z papierowym opakowaniem, tudzież z futrzaną rękawicą majora, — dłoń jakimś cudem udało mu się z niedźwiedziej paszczęki i z polykanej rękawicy unieść cało.

Przechodnie za zbliżeniem podchorążego wszędzie się rozstępowali, czyniąc szpaler, jakby przed parą nowożeńców, wracających od ołtarza. Baśka, czując, że cały ten honor jej przynależy, zrozumiała, iż jest bohaterką dnia, Wzbiła się w pychę

i poczęła iść na trzech tylko łapach, czwartą z rzadka dotykając ziemi, a z boku paszczy wysunęła na kilka cali jęzor, co miało taki pozór, jakby niosła go w zębach. Wszystko to u niedźwiedzi polarnych jest przejawem nader wyszukanych manier. „Pomyślcie tylko nad tym dobrze, a zobaczycie, że jest tak, a nie inaczej” (jak zwykł mawiać mój starszy kolega po piórze, niejaki sir Rudyard Kipling).

Wśród ludzkiej ciżby, tłoczony się po bokach i z tyłu, doszli tak aż do domu, gdzie mieszkała sprawczyni polsko-włoskich wzdychań i utęsknień. Włoch tkwił już na stanowisku. Dama dwojga rozmiłowanych serc główkę-blond miała wysuniętą przez otwarty łucfik i, strzygąc długimi rzęsami, słuchała co jej mówił kochliwy kapitan bersaglierów, który przestępował z nogi na nogę, jak człowiek niezbyt wytrzymały, albo mocno zziębnięty. Stąd można było wnioskować, że tokuje tu od paru już kwadransów. Na smyczy, założonej haftką na guzik paltota, trzymał dużego lisa — bardzo piękny okaz fauny północnej, — napuszonego prześlicznym futrem barwy szarej, wpadającej w odcień jakoby polerowanej stali, czemu właśnie gatunek owych lisów zawdzięcza nazwę „błękitnych”.

Lis siedział u stóp swego pana, wsparty na wyprostowanych łapach przednich. Uszy czujnie trzymał do góry, a w spiczastej, wąsatej mordce miał wyraz takiej roztropności, że zdawało się, zacznie naraz mówić po ludzku i to całkiem do rzeczy. Puszystą kity odwalil poza siebie i pieczołowicie ją rozłożył na całą szerokość chodniczka. Na widok Baski zerknął w jej stronę raz i drugi i poczuł niepokój, co wyraziło się na zewnątrz przez natychmiastowe cofnięcie kity spoza pleców i ułożenie jej przed sobą.

Włoch tokował w dalszym ciągu, przestępując z nogi na nogę.

Podchorąży był już o kilkanaście kroków.

Włoch poza otwartym łucikiem nie widział świata. Błękitny lis zmienił miejsce i usadowił się tak, by między Bašką a sobą mieć na wszelki wypadek foremne tydki swego pana. Koniec puszystej kity poruszał się cokolwieczek za nerwowo.

Podchorąży znalazł się przed oknem i złożył grzeczny ukłon damie. Dama, ujrawszy zwierza, holowanego na łańcuchu, krzyknęła: „Ach!” i wygniotła łokciem szybę. Dzwoniące drzazgi szkła spadły kapitanowi na zadarty łeb; stamtąd stoczyły się na ziemię wraz z monoklem, o który zawadziły.

Baśka zbliżyła się do lisa w zamiarze obwąchania jego kity, intrygującej puszystym wyglądem.

Włoch schylił się, by podnieść monokl, bez którego nic nie mógł przedsięwziąć, gdyż był krótkowidzem.

Obwąchiwany przez białego potwora lis wpadł w szal przeobrażenia i urwał się wraz ze smyczą i guzikiem, do którego smyeczka była przytwierdzona. Gwałtowne szarpnięcie, spowodowane oderwaniem mocno przyszytego guzika, wytrąciło schyłego kapitana z równowagi, aż się musiał oprzeć rękami o ziemię, i znalazł się przez chwilę w pozycji na czworakach.

Baśka, rozzłoszczona ucieczką lisa, poczytała osobę, znajdującą się na czworakach i wypiętą ku niej gestem wysoce prowokacyjnym, za jakowegoś czworonoga, który jej, Baśce, chce ubliżyć. Zahaczyła więc kłami za fałdy kapitańskich hajdawerów i jęła ciągnąć ku sobie z całej siły.

Przestraszony Włoch swym pięknym barytonem, który stracił na ten czas całą aksamitność brzmienia, wydobyl z siebie bardzo wysokie „fa”.

Baśka zawtórowała mu ogromnie potężnym „re”, nie wypuszczając jednak spodni z paszczy.

Podchorąży wprawił w ruch żelazny drąg, aż warkotało w powietrzu.

Dama w oknie darła się wniebogłosy.

Na miejsce wypadku zbiegło się pół ulicy. Angielskie kodaki zaszczękały czestotliwie, niby zamki karabinów plutonu, gotującego się do salwy.

W trakcie zajścia z handlu ryb, znajdującego się obok, wyskoczył nagle błękitny lis, wciąż szalejący z trwogi, i, pędząc, obalił z nóg kilku gapiów. Lecząc co najdziwniejsza, pozbył się już smyczy, a w poprzek łajdackiego pyska trzymał tłustą flądrę. Nim się tłum obejrzał — lis był daleko: czmychnął środkiem ulicy, rozpuściwszy na wiatr wspaniałą kitę. I znikł na pierwszym zakręcie, jakby się w ziemię zapadł. Co się z nim stało, nikt tego nie wiedział, ni wtenczas, ni potem.

Włoch po dłuższej targaninie wyrwał się z niedźwiedziej paszczki, lecz kosztem dużego kawałka spodni, który Baśka zatrzymała w zębach jako trofeum. Poszkodowany wrzucił do oka monokl, zmierzył rywala zabójczym spojrzeniem, rozpiął płaszcz, wyjął portfel, dostał bilet wizytowy i wręczył podchorążemu. Karaś schował bilet do kieszeni palta i rzekł:

— Znamy się, kapitanie, od dawna. Ale bardzo mi jest przyjemnie. Żegnam pana.

I odszedł wraz z Baską, która nie wypuszczała z zębów urwanej szmaty sukna.

Atoli los miał w zanadru jeszcze jedną awanturę.

Dnia tego zażywał również przechadzki angielski generał, naczelný dowódca wszystkich wojsk koalicji na Murmanie, który chodził zawsze w towarzystwie buldoga. Generał podążał właśnie w stronę zbiegowiska, wywołanego zajściem Baški z Włochem. Buldog szedł o kilka kroków przed panem. Był to pies stary, spasy, mrukliwy i warkliwy, ślepy na jedno oko, z wieczną nitką plugawej śliny, zwieszającą się z brodawkowatych psich warg, nie domkniętych nad spróchniałymi szczękami. Słyszał z tego, że na ulicy ustępował z drogi tylko cywilom, wojskowemu nie ustąpił nigdy. Bo wiedział, że jest psem generalskim i każdy spotkany człowiek w uniformie wojskowym musi przed nim i przed jego panem salutować pierwszy i usunąć się z drogi.

Milord — takie miał imię ów pies, — nie pospolitował się zawieraniem ulicznych znajomości z innymi psami. Długi i rozpustny żywot wysławował go ze swawolnych żądz. Nawet w lipcu, który jest miodowym miesiącem psów, nie doznawał on zbytnich upałów krwi. Obecnie zaś był dopiero początek lutego.

Jednakowoż na widok nieskalanie śnieżnej Baški poczuł, jak psi animusz pęcznieje mu we wszystkich członkach. Lube ciągoty zaczęły biegać niby mrówki po kościach, wyschniętych ze szpiku. Krótko mówiąc, zachciało się Milordowi psich figłów.

Podskoczył więc ku zdumionej taką bezczelnością Bašce i jął poczynać sobie obcesowo, jak gdyby tu, w zimie, pod biegunem północnym, zapanował nagle najgorętszy lipiec.

Baška aż zawyla ze zgrozy na te zaloty bezzębnego uwodziciela, który nadto zabierał się do rzeczy z niedołęstwem, godnym zgrzybiałego starca. I w obronie swej cnoty polarnej zadała łapą tęgi cios na odlew.

Milord wyleciał w górę, jak z procy, skrzył się w powietrzu, padł skrwawionym łbem na bruk, aż coś mu trzasło w apoplektycznym karku i wybulgotał z siebie sprośną duszę, zanim nadbiegł jego pan.

Nazajutrz podchorąży Karaś miał z dowódcą polskiego

baonu rozmowę poufną, o której później opowiadał kolegom, odwiedzającym go w areszcie:

— Mielśmy z naszym majorem bardzo głośne gadanie w cztery oczy, a właściwie to tylko w trzy oczy, bo jedno było wybite...

Milord, po zabalsamowaniu, został odesłany przez nieutulonego w żalu generała osobnym torpedowcem do Anglii. Podchorąży, bez balsamowania, poszedł do kozy na dni dziesięć.

Baśkę zaś rozkazem dziennym L. 33 § 8 przydzielono do Baonu W. P. na Murmanie z nominacją na „Córkę Regimentu” i z zaliczeniem na wikt w kompanii karabinów maszynowych.

IV

Teraz dopiero żywot Baśki wszedł w najświetniejszy swój okres. Urodzona pod ciemną Gwiazdą Polarną, rozpoczęła karierę pod znakiem Marsa.

Na niedźwiedznika przeznaczono jej kaprała nazwiskiem Smorgoński. Kaprał trudnił się przed wojną rzemiosłem szewieckim i Baśka była pierwszym żywym niedźwiedziem, jakiego w życiu na oczy uświadczył. Wybór zaś na niego mianowicie padł stąd, iż adiutant komponujący rozkazy dla baonu, zwykł był, jako doktor filozofii, myśleć syntetycznie. W danym wypadku powodował się brzmieniem nazwiska Smorgońskiego, sądząc słusznie, że trudno dla niedźwiedznika o nazwisko lepsze.

Kaprał Smorgoński musztrował dotąd rekrutów, pobranych do wojska spośród Polaków, których wojna rozproszyła po obszarach niezmierzonej Rosji, albo takich, którzy mieszkali tam od urodzenia. Był to gatunek rodaków dziwnego nabożeństwa, dopiero przymus wojskowy spolszczał ich na nowo i urabiał na patriotów. Pomiedzy sobą mówili po moskiewsku chętniej, niż po polsku. Bardzo często tylko jedno wyznanie wiary katolickiej było ostatnim ogniwem, łączącym ich z polskością! Z tego powodu przezwano ich ogólnie „katolikami”. Smorgoński, urodzony w Mińszczyźnie, sam, wprawdzie, z nich pochodził, ale wyrobił się był już na tegoż żołnierza, przejąwszy od legionistów galicyjskich, z którymi spotykał się na Murmanie, „leguński” sposób bycia, ów tak zwany z pruska po polsku „dryl”. Musztrując powierzonych mu rekrutów, kłął

siarczyscie w narzeczu ziemi mińskiej, często sięgał do kwiecistego i niewyczerpanego słownictwa podoficerów b. armii carskiej, lecz gdy chciał rekruta upokorzyć ostatecznie, ciskał mu na głowę wraz ze splunięciem przez zęby: „Ech, ty, katolik!”

Pewnego dnia został zawezwany przed gołowase oblicze adiutanta, który to oficer zwykł był myśleć syntetycznie. Adiutant, wskazując na Baškę, rzekł:

— Kapral. Od jutra będziesz musztrował ją tylko jedną. Za dwa tygodnie ma umieć wszystko, co się przyzwoitemu niedźwiedziowi w wojsku polskim „giberuje”. Możesz odejść. „Skończyłem”.

— Rrrozkaz! — odrzekł kapral z determinacją, biorąc do ręki łańcuch, na którym Baška była uwiązana.

— A daszże jej rady sam jeden? — zapytał jeszcze adiutant.

— A toż jak, panie podporuczniku! — brzmiała odpowiedź. — Mnie tam co! Taż ja całemu plutonowi najdurniejszych katolików rady dawał, tak jakby ja nie dał rady jednemu niedźwiedziowi? Niedźwiedź — nie katolik. Z nim dzieło ze wszystkim drugie. Bo rekruta — nie śmiej palcem trącić, a niedźwiedzia — możesz bić, ile dusza zakce. A jak niedźwiedzia dużo bić, tak on koniec końców może się nauczyć i siarniki zapalać. On — zwierz tylnym rozumem mocny. Wiadomo!...

Ciężkie dni rozpoczęły się dla Baški.

Jej mentor okazał się w nauczaniu gorliwszym jeszcze, niż swego czasu była niedźwiedzica-matka. Baška nie wniknęła zrazu w intencje swego profesora i w osiągnięciu nowych doskonałości była za mało ambitna. Ale za to Smorgoński miał ambicji za dwoje. Postanowił, że jego uczennica musi umieć maszerować na dwóch łapach, krokiem strzeleckim, w takt muzyki, przygrywającej do marsza ceremonialnego. I postawił w końcu na swoim.

Nie będziemy tu opisywali, jakich środków się chwycił, aby celu dopiąć. Każdy cel militarny uswięca wszelkie środki.

Kapral ćwiczył niedźwiedzicę ogniem i żelazem, niejeden kij tegi połamał na niej w drzazgi, a gdy, w imię obrażonej godności osobistej, zbyt głośno protestowała, przemawiał do niej czule:

— Stul pysk, durna! Toż dla twego dobra tataruję ci boki. Nigdy żaden niedźwiedź nie był taki uczony, jaka ty będziesz...

Zresztą pokochał ją serdecznie i zwierzał się przed nią, prowadząc z nią wieczorami długie rozmowy. Sypiali na wspólnym pościu, z rzadka się tylko wadząc, niby najprzykładniejsze małżeństwo.

On też pierwszy nazwał ją — Bašką. Było w niej bowiem coś wielce kobiecego, a zarazem miała w sobie wiele z miłej dzikości, takiej właśnie, jaką jest niejedna z polskich Basięk. Żołnierz na odludziu bywa skłonny do idylli i sentymentów swój lokuje, gdziekolwiek uda się mu sercem zaczepić...

Nazwa, dana niedźwiedzicy przez Smorgońskiego, wkrótce przyjęła się w użyciu wśród żołnierzy całego baonu, lecz jakiś śledziennik, jeden z tych wiecznie ze wszystkiego nie zadowolonych, doszukujących się plam na każdym słońcu, podał w wątpliwość nie tylko państwo Baški, ale i jej płę samą.

Niedźwiedzica była za wielką figurą w baonie, aby wątpliwość owego śledziennika nie urosła wnet do rozmiarów zagadnienia, które zaprzętnęło całkowicie wszystkie głowy. Baon podzielił się na dwie partie, za i przeciw. Wrzenie umysłów stało się powszechnym. Sprawę roztrząsali z pianą na ustach nawet oficerowie. Doszło do wymyślań i bójek. Coraz inni znawcy oglądali Baškę, lecz opinie wydawano najsprzeczniesze. Prawda, jak to bywa zwykle w takich razach, utonęła we wzburzonych falach roznamiętnienia, stronnictwa i różnych intryg. A rzecz miała się tym gorzej, iż nie była wolna od domieszki pewnej niezdrowej sensacji, właściwej delikatnym sprawom tego rodzaju.

Aż adiutant, myślący syntetycznie, poszedł po rozum do głowy i w rozkazie dziennym wystylizował paragraf tej treści:

§ 69

„Wobec bezpodstawnych wersyj, obiegających Baon, jako by przydzielona do tegoż niedźwiedzica Baška należeć miała do obu płci naraz, — poleca się lekarzowi Baonu rzecz ściśle zbadać na miejscu, płę niedźwiedzicy ustalić raz na zawsze, a o wykonaniu donieść raportem na piśmie, który Kancelaria

dołączy, ażeby mieć pewną rękojmię niepowtórzenia się w przyszłości podobnych awantur“.

Dzień ekspertyzy lekarskiej był wielkim dniem baonu. Od samego rana czyniono grube zakłady pieniężne, które miały zależeć od wyników ekspertyzy. Dawało się wyczuć ogólne podniecenie, jak przy totalizatorze. Podczas oględzin lekarskich, dokonywanych wobec całego baonu, oczy wszystkich żołnierzy zawisły na ustach lekarza, kiedy miał zawyrokować, do jakiej ostatecznie płci niedźwiedzica należy.

Zapanowała martwa cisza, w której rozlegało się jedynie głośnie bicie trzystu serc, oczekujących wyroku.

Wreszcie lekarz, młody, przystojny i zdolny ginekolog z Warszawy, obwieścił uroczyście wszem wobec:

— Baśka jest panną!

A wtedy uczynił się istny dzień sądny.

Stronnictwo, które trzymało się opinii, zgodnej z orzeczeniem lekarza, wyraziło swą radość trzykrotnym gromkim: „Hurra!“ Podrzucano w górę czapki, wiwatując na całe gardło. Mający rewolwery otworzyli na znak uciechy rżęsiłą palbę. Uczynił się taki tumult, że angielskie dowództwo zaalarmowało cały odcinek frontu, myśląc, że to nieprzyjaciel wdart się na tyły.

Zaczęto cisnąć się kupą do Baśki. Składano jej w darze, co kto miał do zjedzenia. A kto zdążył już podpić, lał całować się do niej, roniąc łzy rzewne na jej śnieżne futro.

Jedna tylko Baśka zachowywała spokój, chociaż ogólne wzruszenie i ją ścisnęło za gardziel i łaskotało w nozdrza, zmuszając do kichania raz za razem.

— Baśka! dalibóg, porządna z ciebie kobita! — wołali entuzjaści.

A ona patrzyła im prosto w oczy, czując, że stanowi z nimi jedną rodzinę, że przestaje być zwykłą niedźwiedzicą polarną, lecz już jest jednej rasy, jednego narodu z tymi żołnierzami, którzy ją kochają i są z niej dumni, a dla których staje się oto żywym sztandarem, związanym z dziejami ich tułaczki po ziemiach dalekich, z ich bohaterstwem i nieuwiedłą chwałą.

I czarne jej oczki, w których świat odzwierciedlał się niby w wodzie żyjącej, zdawały się mówić:

— Setne z was chłopcy! Z wami żyć i umierać!...

V

Parowiec płynął do Gdańska. Zimowe nadmorskie słońce jaśniało na wysokościach bladobłękitnego nieba. Nikły warokocz dymu snuł się z komina, niby z olbrzymiego cygara, wetkniętego pionowo w pokład okrętu. Za sterem ciągnęła się po wodzie śnieżno-zielona wrząca bruzda, rzekłbyś: wiorstowy niewód, napęczniony po brzegi kottującymi się rybami. Morze, drgające krótką, płaską falą, zdawało się kołysać nieustannie tysiącami luster, które odbijały tyle mokrego słońca, że blask ten zacinął po oczach wprost boleśnie, jakoby biczem, ukreconym z promieni.

Metalowe okucia na pokładzie jarzyły się chwilami jak bengalskie ognie. Na dziobie okrętu kupiła się gromadka żołnierzy z odsłoniętymi głowami. Mewy z radosnym piskiem śmigały tuż nad nimi, zdając się dotykać w locie skrzydłem do ich włosów.

W gromadce było gwarno, jak na bolszewickim wiecu. Rozlegał się śmiech, podobny do końskiego rżenia. Brzmiały okrzyki:

— Śpiewać „Lamenty“! Chcemy „Lamentów“!

— Nie, nie! Lepiej „Białej róży kwiat“! — ozwał się jakiś melancholijny głos.

— Stul paszczę, kiedy cię nikt nie pyta! — wrzasnął w ciżbie inny głos. — Lamenty! Zaczynać!

Za czym zaśpiewano chórem na nutę okrutnie dziadowską. Była to pieśń ulubiona przez Murmańczyków: „Lamenty podbiegunowe“, którą ułożył swego czasu nieboszczyk major Bogusław Szul.

Strażeż to dziwy, Boże apostolski!
Wybrał się legun na obronę Polski,
Chciał bronić kraju nieszczęśliwy legun,
Obronił biegun.

Tak nami dziwnie kręci ręka Boża,
Chciałeś mieć Polskę z dostępem do morza,
Zdobyłeś dostęp swoim krwawym potem
Tam i z powrotem.

Zwiedziłeś, bracie, świata kawał srogi,
W różnych żeś krajach poodbijał nogi,
Ażeś tu przyszedł stare mrozić gnaty
W kraj lodowaty.

Ale cię strasna czekała udręka,
Bo tam sie bidny człowiek ciągiem lęka,
Żeby mu koło nie spadło na głowę
Podbiegunowe.

Tam miast na koniach naród na psach jedzie,
Tam krowim mlekiem dojom się niedźwiedzie,
Tam wielgoryby rosnom co dwa kroki
I jensze foki.

Noc całom zime, że nie ujrysz słońca,
Bo nie chce wschodzić, w lecie znów bez końca
Wciąż jeździ z jednej w drugom nieba strone,
Jak pomyłone.

Więc bolszewickie przechytrzaj wybiegi,
Pod Obozierskiem, lub w błotach Onegi.
Marźnij nad Dźwinom, lub moknij do woli
Na moście w Koli.

A gdy już z frontu powrócisz nareście,
Nie myśl, że spocziesz w jakim ludzkim mieście,
Bo cie wpakujom — o Matko anielska —
Do Archangielska.

I znów tłuc mustre każom ci do maja,
Różnym sposobem dajom dziwnom szkołę,
A położenie takie niewesołe,
Marnie nastroja.

Zamiast jedzenia dajom tam bez przerwy
Przeróżne małpy i inne konserwy,
Że niezadługo staniesz się na czysto
Konserwatystą.

A zamiast chleba suchary — galety,
Co dentystyczne siedzom w nich zalety,
Bo nieostroźnie włóż bestie do gęby,
Wylecom zęby.

Koń na wzgórzu 5.

Waruj więc, bracie, i nie miej pretensji,
Jak bez pół roku nie dostaniesz pensji,
Choć przyjdzie wreszcie, świecąc cielskiem gołem,
Siąść pod kościołem.

O, gdyby mi kto postawił pytanie,
Czego chcę teraz, to odpowiem na nie:
Ja nie chcę wiele, tylko jedno wspomnę
Zyczenie skromne:

Z pruskij korony już zrezygnowałem,
Mogę nie zaraz zostać generałem,
Tylko nam bilet, o Boże łaskawy,
Daj do Warszawy!

Śpiewom przysłuchiwała się Baśka, siedząc opodal na zwoju lin okrętowych. W momentach lirycznych łączyła swój srogi ryk ze śpiewem żołnierzy, co razem brzmiało bardzo efektownie.

Kapral Smorgoński siedział wtulony plecami w jej bok fu-trzany, niby w poręcz wygodnej kanapy. Oboje czuli się nad wyraz dobrze.

Oddział Murmański wracał do kraju. Miał za sobą półtora roku walk po błotach i borach Rosji Północnej. Był to bez wyjątku żołnierz otrząskany ze śmiercią, dzielny do wybitki, jeszcze lepszy do wypitki, dobry do tańca, gorszy do różańca. Okryli się chwałą nieśmiertelną w oczach wojsk ekspedycyjnych całej Europy, rozkazy angielskiego dowództwa nazywały ich „Lwami Północy“. Miało się, przypięty do piersi, niejeden krzyż i medal francuski i angielski. Wiozło się też coś niecoś zegarków i klejnotów zdobycznych, tudzież nieco tego marnego grosiwa, które się zdobyło w krwawym pocie, uczciwie, na nieprzyjaciółach rodzaju ludzkiego i Ojczyzny. Albowiem Bóg błogosławi zawsze męstwu Polaków.

Jechali z Murmańska do Polski przez Anglię, gdzie podejmowano ich z królewskim przepychem, jako bohaterów, „którymi sama starożytność pochlubić by się mogła“. Baśka towarzyszyła oddziałowi wszędzie, niby żywy sztandar. Była dumna ze swych Polaków, lecz i sama przynosiła im niemałą chlubę. Dziwił się świat, patrząc na dziką bestię egzotyczną, obłąskawioną jak domowy pies.

— Wieźliśmy z sobą i tresowanego wieloryba, ale nam w drodze zdechł, gdyż zjadł przez pomyłkę pewną starszą miss, która miała fałszywe zęby, włosy i biust! — Igali z humorem żołnierze polscy angielskim marynarzom z załogi statku.

Marynarze tyle już nasłuchali się o tej garstce Polaków, że bajda o wielorybie nie dziwiła ich bynajmniej, brali żart za dobrą monetę, myśląc, iż te półdiabła murmańskie potrafiłyby, gdyby zechciały, okiełznać i legendarnego węża morskiego, byle by tylko dał się im złapać.

Kapitan statku obwieścił, że za godzinę ukaże się ląd na horyzoncie, polski ląd. Na tę wieść wyległo tłumnie na pokład bractwo z dusznych kajut, gdzie w dymie tytoniowym i w oparach alkoholu rznęło się w karcięta od dwóch dni i nocy bez przerwy, zapomniawszy o wojnie i o bożym świecie.

Smorgoński, który jeszcze nigdy nie był w Polsce, lecz twierdził, że „też wraca do kraju“, rzecze do swej kudłatej przyjaciółki:

— A widzisz, Baśka, a widzisz! A co, nie mówiłem! Wracamy do Polski. Ciesz się, durna! A wiesz ty, przynajmniej, co to jest Polska? Polska to taki kraj, gdzie nie ma katolików, a wszystko Polaki są korzenne. A po miastach na ulicy wszyszek naród gada tylko po jęwejsku i po polsku. Nasz rodzony kraj, Baśka, bardzo piękny kraj!...

I w rozrzewnieniu ucałował ją w sam czarny nos, a ona mu twarz całą oblizała gorącym językiem.

W Gdańsku wylądowano bez szczególnych przygód, jeśli nie liczyć małego zajścia, wieczorem, w portowym szyneczku, które zostało wywołane prowokującą postawą żołdaków z „Grenzschutzu“ wobec naszych zuchów. Zajście to jednak wnet zlikwidowali sami Murmańczycy, jąwszy się środków, o których znana piosenka lwowska śpiewa:

„Nic nikomu nie mówili,
tylko w mordę bili,
światła pogasili,
ta już, ta już!“

Baśka walenie spisała się w tej potrzebie, stając ramię w ramię z towarzyszami broni, i ona to w znacznej mierze przyczyniła się do przechylenia szali zwycięstwa na stronę polską. Przechodzi ludzkie pojęcie, jak ten inteligentny zwierz od razu, od pierwszego wejrzenia, znenawidził szwabów!

Nad ranem oddział z bagażami i Baską odjechał na wypoczynek do Modlina.

— Śmierdzi nam ten polski Gdańsk! — zwierzali się sobie Murmańscy z gdańskich wrażeń. — Niech jasny piorun trzaśnie w taki dostęp do morza i z powrotem. Widzieliście Anglików? Tyle już tam nawieźli swoich małych konserw i „jamplum'u“, że nam Gdańsk wkrótce obróci w drugi Gibraltar. I warto było krew za nich lać na Murmanie!

— Tyś zwłaszcza dużo jej przelał! — odezwał się głos przekąśliwie wątpiący.

— Głupiś. To jest zwrot retoryczny. Mam na sumieniu bądź co bądź dwóch bolszewików, nie licząc tego Anglika, com go sprzątnął przez pomyłkę od jednego strzału, kiedy raz stał na posterunku...

— To ci się chwali, osobiście tam... pomyłka. Śmierdzi, bo śmierdzi ten nasz zaangażowany, cacany, obiecany Gdańsk!...

Po paru tygodniach pobytu w Modlinie oddział wraz z nieodłączną Baską wybrał się do Warszawy, aby się sprezentować przed Naczelnikiem Państwa.

Był to pamiętny dla stolicy dzień. Tłumy wyległy przed Dworzec Wiedeński, by powitać żołnierzy, poprzedzanych wojenną legendą, jakiej od czasów San-Dominga nie znaty polskie dzieje.

Z muzyką na czele, wybijając potężnie trzema stami nóg takt po bruku, niby cepami po klepisku, szedł Baon Murmański ku Placowi Saskiemu. Dzień był pochmurny, grudniowy, lecz żołnierzom twarze jaśniały, niby od słońca: czuli, że są sławni i waleczni, że imponują wszystkim naokół. Rozpierała ich próżność, właściwa żołnierzowi, maszerującemu z orkiestrą wobec tłumu cywilnego i młodych kobiet.

Baska w poczuciu wagi chwili kroczyła obok Smorgońskie-go, nie rozglądając się i niczemu nie dziwiąc, była już bowiem bardzo dobrze wychowaną osobą.

Obok maszerujących szeregów, chodnikami i ulicą rwał potok ludzki. Przewracał się, zawadzając o małe dzieci i psy, rozbijał kolana i łby o słupy latarni, wpadał z rozdziawioną gębą pod tramwaje i samochody, zrywał się z ziemi i biegł dalej na złamanie karku, byle by nie stracić z oczu białej niedźwiedzicy. W mig dowiedziano się o jej imieniu i szmer: „Baska, Baska!“ elektryzującymi kręgami rozchodził się w tłumie.

A ona, słysząc swe imię, tysiącogębną famą wokół powtarzane, zhardziała jeszcze bardziej i szła już, nie wiedząc dobrze, czy to ją prowadzą za oddziałem na łańcuchu, czy może ona raczej tych trzystu ludzi przed sobą popędza.

Tak doszli na Plac Saski. Olbrzymi sobór o cebulastych kołach wywarł na Baśce głębokie wrażenie. Nie mogła sobie tylko przypomnieć na razie, gdzie mianowicie coś podobnego już widziała. Aż wspomniła się jej architektura lodowych gór, pływających po Oceanie Lodowatym. Jedno do drugiego było podobne wprost uderzająco.

Po krótkiej mszy polowej oraz po długich przemówieniach generałów i biskupów, których Baśka wysłuchiwała z pobłażaniem, nadeszła chwila defilady przed Naczelnikiem Państwa. Naczelnik bardzo się spodobał Baśce. Nigdy go przedtem nie widziała, jednak od razu z pierwszego rzutu oka doszła do przekonania, że ten wysoki człowiek, w skromnym szarym płaszczu, z krzaczastymi wąsami jest na tym placu figurą naczelną, naczelniejszą od Smorgońskiego, który ją, Baškę, trzymał na łańcuchu i uczy rozumu ogniem i żelazem, naczelniejszą od dowódcy oddziału, którego się Smorgoński boi, jak Baśka ognia, ba! naczelniejszą nawet od niej samej, od Baški, na którą wszystkie zwracają się oczy! Gdy Naczelnik, chcąc ją pogłaskać, wyciągnął rękę, bez namysłu podała mu łapę, wykonawszy przy tym coś jakby dyg ceremonialny, jakiego by się nie powstydzila — najwytworniejsza dama dworu. Rozeszli się, bardzo z siebie nawzajem zadowoleni.

Podczas defilady Baśka wywołała w tłumie widzów prawdziwy entuzjazm: piękny to był widok, gdy szła na tylnych łapach, dorównywając wzrostem Smorgońskiemu, krok w krok z nim i resztą oddziału, zaś w momencie, przepisany ustawą, zwróciła łeb do Naczelnika, salutując go dziarsko, jak szeregowy żołnierz w marszu.

Wywaliła przy tym na śnieżną biel futra ćwierćłokciowy jęzor o barwie świetnej amarantu.

Chciała bowiem w ten sposób za pomocą doboru żywych kolorów zamanifestować wobec Naczelnika i asystujących mu misyj zagranicznych, że przynależy do Narodu Polskiego i do jego Historii.

Istna burza oklasków była nagrodą Baški za polityczne credo, wyrażone tak śmiało, pięknie i z takim taktem.

VI

Od defilady na Placu Saskim upłynęły dwa miesiące. Baśka spędziła ten czas w Modlinie. Na nic uskarżać się nie mogła, chyba na krajowy wikt jedynie, który marniał z dnia na dzień. Lecz, co dziwne, źle na nią to nie wpłynęło, utyli nawet nieco. Cóż ją obchodził taki lub owaki „deputat“ żywnościowy, skoro pasła się własną sławą. Nie jednymi flądrami niedźwiedź polarny żyje. A ona czuła doskonale, że jest wojskową znakomitością. Ci, którzy z tych czasów ją pamiętają, wspomną zapewne, że w jej stosunkach z ludźmi, nawet nieznanymi, przebiegała się pewna łaskawość, rodzaj wielkopańskiej pobłażliwości, jaka bywa właściwa tylko wielkim generałom, poetom i innym sławnym ludziom, kiedy się nagle, wbrew własnemu spodziewaniu, wybijają na zawrotne szczyty sławy i popularności. Jednym słowem: spoczęła na laurach i — to ją zgubiło.

A stało się to tak.

Codziennie prowadzono Baškę do płynącej niedaleko Wisły, aby się mogła w zimnej wodzie narozkoszować do woli. Rzeka, pomimo zimy, nie była pokryta lodem; po długiej odwilży mrozy nie wracały, chociaż śnieg popadywał codziennie obfity. Na bystrej wodzie płynęła tylko kora wielkimi taflami. Koryto rzeki szeroką czarną wstęgą wilo się przez pola cudownie białe. Na przeciwnym brzegu, wznoszącym się stromo, rozsiadła się wieś, która z ośnieżonych strzech wzdychała w niebo błękitnymi bukietami dymów.

Podczas jednej z takich wycieczek, w której prócz Baški i Smorgońskiego wzięło jeszcze udział kilku żołnierzy, zachodziło właśnie słońce, sadowiąc się hen za rzeką na pokryte śniegiem pola, tam gdzie daleki las siną wstęgą wilo się wzdłuż widnokręgu.

Leżąca u stóp Wisły w purpurze i fiolecie, urwisty brzeg i śnieżne pola, okryte jakoby ruchliwymi grzędami różowych i fiołkowych kwiatów, siną smugą dalekiego lasu, — wydały się nagle Bašce czymś ogromnie znanym, drogim, utęsknionym: rzeka — zatoką morską, gdzie się niegdyś pływać nauczyła, urwisty brzeg i pola w barwnym świetle — murem, lodozwałów, siny las — oceanem, daleko, daleko, szumiącym...

Wołanie wiecznej natury, jednakiej w swej potędze od

bieguna do bieguna ziemi, wzywało swe dziecię, zabłąkane wśród ludzi, do powrotu.

I Baśka, podobnie jak wówczas, dwa lata temu, poczuła znów wielką tęsknotę, szaloną chęć do pójścia i popłynięcia naprzód, gdzie oczy poniosą, w szeroki świat, morskim bezdrożem.

Urwała się z łańcucha, wpadła do wiślanej wody, jak burza, i rycząc radośnie, popłynęła skroś gęstą krę ku przeciwnemu brzegowi.

Zołnierze, lękając się o jej los, kopnęli się na poszukiwanie łodzi.

Tymczasem Baśka wydostała się była już na tamten brzeg i pobiegła zrazu w stronę dalekich lasów — ku urojonemu oceanowi. Lecz po chwili zmieniła kierunek i zaczęła iść ku chałupom wsi nadwiślańskiej. Porywczą tęsknota opuściła ją nagle, jak nagle przyszła. Cywilizacja wzięła górę nad popędami pierwotnymi. I Baśka znów zapragnęła towarzystwa ludzi, znów się jej zachciało być przez nich oglądaną, podziwianą, poklepywaną po kudłach. Tak to czasem i w zwierzęciu, pozbawionym duszy rozumnej, siedzi iście ludzka żądza „zadziwienia, nie zbawienia świata“.

Obok skraju wsi, na polu, dostrzegła Baśka poruszające się na tle śniegu czarne postacie. Poszła wprost ku nim.

A był to ojciec Wawrzon, gospodarz stateczny, z synami. Rozrzucił przy ich pomocy gnój na swym zagonie.

Dojrzał niebawem idącą ku chałupom niedźwiedzicę. Przyślonił dłonią oczy i miarkował, co za dziw tak wprost na niego na przelaj polem idzie. Zmiarkował wreszcie, że musi to być Baśka, wiedział o niej ze słyszenia.

— A spojrzajta-no chłopcy, — rzekł do synów. — Galanty zwirz do nas wali. Pedają ludzie, że naskie legiony przywieźły ją z tego ich tam jakiegoś Murmanu, co to gdzieś wedle samej Ameryki leży, albo i dalej. Długo wieźli, morzami i suszą, bez mała rok czasu, na wielgi podziw całemu światu. Gadają, że sam król jangielski dziwował się okrutnie, jak ją zobaczył, jakże gęba się mu ozdarła od ucha, a królowa z własnej ręki marcepanami toto karmiła. A w Warszawie sam nasz pan Naczelnik za rękę z nią się witał. Honorowali ją wszyscy, jako że rzadkość jest pono wielga. Nigdy jeszcze takiej nie było...

Baśka znajdowała się już na jedno strzelanie z rusznicy.

Ojciec Wawrzon w kupę dymiącego ciepłem gnoju wsadził na sztorc widły i wsparł się na nich oburącz. W tej postawie przy tradycyjnej czynności polskiego kmiecia, miał w sobie jakiś majestat wieków, powagę świętej ziemi, uznojonej, jak to się mówi, łzami i potem Ludu, jednym słowem: "miał w sobie coś z króla Piasta i — basta!"

Długo ogładał zbliżającą się niedźwiedzicę, aż wreszcie rzekł:

— Ale mnie się widzi, że będzie z niej bardzo zacne futro dla Maryśki, wedle tej mody, jak się noszą francuskie oficery w Warszawie, sierścią na wierzch...

— Sprawiedliwie mówicie, ojczy! — odrzekli trzej synowie, parobczaki na schwał, z których dwaj starsi zdezerterowali świeżo z wojska.

A Baśka szła wprost do nich, ucieszona, że znów widzi ludzi, wezbrana ową wielkopańską łaskawością dla wszystkiego i wszystkich, którą od niejakiego czasu miała nawet dla nieznajomych. Ufała tym ludziom, trzymającym ostre widły w rękę: przecie w tym kraju nikt jej dotąd żadnej krzywdy nie wyrządził, owszem, wszyscy podziwiając kochali.

Gdy podeszła na odległość kilku kroków, ojciec Wawrzon przeżegnał się pobożnie, splunął w garść i zagrzmiął na synów:

— Chłopczy do wideł! Rrraz!...

Zakołowało się na śnieżnym polu. Wrzask czterech chłopów, mordujących Baśkę, wywabił ludzi z pobliskich chałup. Sypnęli się wkrótce ku Wawrzonowi z pomocą, chwytając, co było na podorędziu.

Baśka tak się zdumiała niespodziewanym napadem, że nawet nie próbowała się bronić. I zginęła, skłuta widłami, bez najmniejszego oporu, jak łagodna sarna.

Zabrano się wnet do zdzierania cennej skóry. Zbiegły się psy wiejskie i zlizywały krew, przelaną na śniegu.

W trakcie tego nadbiegł Smorgoński z towarzyszami. Ledwo nie utonęli, przebijając się łodzią przez gęstą krę, pomimo to nie zdążyli na czas, by uratować Baśkę. Zdumienie i żal straszny, na widok tego co się stało, zdjęły żołnierzy i tak ich przygnębiły, że nikt z nich na razie nawet nie pomstował i nie skłął chłopów, jak na to zasłużyli.

Smorgoński rzekł tylko:

— Bodaj wam ręce i nogi połamało na równej drodze za

to, coście z nią zrobili, takie syny. Ale, wola Boska, stało się i nie odstanie. Oddajcie ją nam, przynajmniej, tak jak jest...

I zapłakał łzami, grubymi jak największy groch.

Lecz ojciec Wawrzon, dalej zdzierając kozikiem skórę z zabitej Baški, otarł tylko krwawą ręką uznojone czoło i odpowiedział:

— A niedoczekanie wasze! Nie znacie prawa pisanego? Moja jest, bom ją z narażeniem miłego żywota na własnym groncie upolował. Nie dam!

— Twardy jest naród tutejszy! — zawołał na taką odpowiedź zdesperowany Smorgoński. — Nie ma co, chłopaki. Do bronii!...

Na to hasło żołnierze rozgrodzili w okamgnieniu pobliski płot, gdyż karabinów ze sobą nie wzięli, i na łbie ojca Wawrzona i jego synów, i kumów, i sąsiadów, wypisali ze wściekłością, — z furią jakoby całego batalionu, rzucającego się wręcz do ataku z nastawionym bagnetem — swoje murmańskie, niezawodne, idące przed wszelkim innym prawem, wojenne prawo.

Za czym Baškę, odbitą z chłopskich rąk, włożyli na te same kije, którymi pokonali chłopów, i ponieśli ją ku łodzi, zostawionej przy brzegu, struci żalem i smutkiem, jak na pogrzebie rodzonej siostry.

Tego dnia przy raporcie wieczornym kapral Smorgoński meldował dowódcy baonu, pułkownikowi Skokowskiemu:

— Panie pułkowniku, melduję posłusznie, że tutejsze polskie chłopcy rozparcelowali dzisiaj naszą Baškę na flaki... żeby Pan Bóg skarał ich ciężko za naszą krzywdę i sieroctwo!...

* * *

Taki był żywot i niewinna śmierć białej Niedźwiedzicy Murmańskiej, o której wdzięczna pamięć żyje w sercach trzystu murmańczyków i nie zaginie do grobowej deski, albowiem był to naprawdę bardzo piękny i strasznie kochany zwier.

MIODOWY TYDZIEŃ NA UKRAINIE

Kornelowi Makuszyńskiemu

W roku 1918 nie było lądu na kuli ziemskiej gdzie by korpusem lub dywizją, pułkiem lub kompanią, plutonem lub wreszcie garstką, z kilku zaledwie ludzi złożoną, lecz noszącą za to głośny tytuł „Oddziału W. P.” — nie tworzyło się wojsko.

We Włoszech i Francji, na Białej Rusi i Ukrainie, na Murmańsku i w Syberii, w Chinach i Ameryce — stawali Polacy do szeregu żołnierskiego. Rzekłbyś: po całym świecie rozgubiony, ziarnko po ziarnku po wszystkich ziemiach rozsuty, różaniec z serc ockniętych nagle zbierał się tu i owdzie, a nizał się szeregami na jakąś nić nierozzerwalną, prowadzącą przez wszystkie lądy i morza, góry i rzeki do jedynego celu, do Polski.

Nabiedowali się żołnierska pocziwe, terając się po obcych ziemiach, gdzie ludzie nie wszędzie byli im radzi. Gryzł ich smutek i niepewność losu, a co gorsza — niech ścierpną delikatne uszy czytelników, wszystko mi jedno — pospolite wszy wojenne gryzły ich jeszcze częściej i dotkliwiej, a żarła podła codzienna troska o cały but, o niedziurawe portki, a zwłaszcza o ten chleb powszedni, bez którego sam Pan Bóg nie poradzi zrobić z rekruta bohatera.

Lecz niefrasobliwy humor, ten najstoneczniejszy promień duszy męskiej, był najlepszą okrasą żołnierskiej nędzy. Umierało się z humorem, a kto szczęśliwie się wykiął od najstraszniejszej śmierci, unosząc zdrowy łeb z jakiej przygody, niesamowitej jak sen wisielca urwanego z szubienicy, ten tylko się śmiał, serdecznie śmiał i cieszył się z odzyskanego życia, które zdawało się jeszcze piękniejszym i jeszcze więcej wartym serdecznego śmiechu.

Wiosną owego roku również i na Podolu Ukraińskim konsystował Oddział W. P., złożony z kilku rodzajów broni. Liczebnie przeważała jazda. Było jej kilka zaledwo szwadronów, lecz każdy szwadron nazywał się inaczej: ułani, szwoleżerowie, huzarzy zwyczajni i „huzarzy śmierci”. Wyglądało to kolorowo, jak najbarwniejsza z bajek tysiąca i jednej nocy. Taki pan od jazdy, jak szedł, to go było słyszeć o milę dokoła: tyle brzęku czynił ostrogami i tyle rumoru szabli-
 skiem, wleczonym z fantazją po ziemi. Panowie jazda mieli u tubylców ustaloną opinię ludzi ręki ciężkiej a bystrzejszej niż rozważa, oraz uc'odzili za bezcenych uwodzicieli, przed którymi nie ukryje się, choćby do mysiej schroniła się dziury, żadna cnotka nieletnia, ani się ostoi stateczność dojrzałej niewiasty.

To też po wsiach podolskich, gdzie Oddział kwaterował, na widok przechodzącego ułana, starzy chłopci żegnali się w podobnym zgorszeniu, a dzieci biegły co duchu chować się w krzaki i poza płoty. Jedne tylko dziewczuchy i co młodsze młodocy, podobne w tamtych stronach do wieńców wielce urodziwych, wyglądały z chat drzwiami i oknami, szczerząc zdrowe zęby na podobieństwo młodych wilczyc, na wpół przyjaźnie, na wpół wrogo.

Artyleria była mniej liczna i nie tak kolorowo ubrana jak ułani. Na cnotę dziewczęcąstawiali mniej natarczywie, uważając, że ten motyli proceder przystoi raczej szwoleżerom, aniżeli im — przedstawicielom broni solidnej, ciężkiej, rozstrzygającej losy bitew. Pędzili żywot domatorski, rozkwatrowawszy się po obejściach, gdzie gospodarzyły niewiasty samotne, osierococone przez mężów zaginionych na wojnie, skłonne do współżycia z jednym tylko mężczyzną, przede wszystkim zaś suto karmiące z dobrze zaopatrzonych spiżarni.

Piechoty było najmniej: mierny batalionik, liczący paręset bagnatów. Ale trzymano ją w rygorze wyjątkowym. Miała tęgich oficerów, zgranych ze sobą i mających wielki wpływ na żołnierzy. Jedyny to był oddział ubrany jednostajnie, jak wypada przyzwoitemu wojsku, które prócz zaglądania do garnków i włożenia do bab na zapiecek, może być użyte do właściwszej roboty. Dowódca piechoty pułkownik Zgrzytański, jak przystało na zjadłego piechura, nie uznawał poza piechotą żadnej innej broni, kawalerii zaś wprost nie znoślił. A że w tamecznej jeździe byle szeregowy ułan z amarantowo-

zółtej barwności ubioru był podobny do szczygła, spłodzonego przez kanarka — przeto pułkownik przyodział swych chłopców od stóp do głów na szaro, srogo im zapowiadawszy, ażeby żaden nie ważył się przyszyć do siebie „ani kaławeczka ararmantu“, co miało znaczyć: „ani kawaleczka amarantu“. Pułkownik bowiem, skoro mówił o kawalerii, wpadał w irytację, a jak w irytację wpadł, to mu podczas mówienia sylaby co słowo przestawiały się nieoczekiwanie i potok jego wymowy brzmiał tak, jakby kto sobie gębę zapchał całą garścią orzechów i chciał rozgryźć wszystkie naraz, lecz nie mógł żadnego na ząb utrafić.

Dla lepszego zrozumienia całokształtu stosunków, w jakich ułożyła się egzystencja Oddziału W. P. na Podolu, nie będzie tu bezcelowym skreślenie, chociażby pobieżne, ówczesnej sytuacji politycznej.

Oddział ten, jak wiele innych oddziałów wojskowych, formujących się w tamtym czasie na obszarze b. Imperium Rosyjskiego, powstał samorzutnie w imię idei bardzo pięknej, lecz bez wyraźnych celów, wytkniętych na przyszłość, jedynie siłą, że tak powiem, naturalnego doboru Polaków spod zaboru rosyjskiego, podobnie jak cały szereg innych narodów i ludków po rewolucji moskiewskiej, a więc: Ukraińców, Łotyszów, Tatarów, Gruzinów, etc., zbierał się do kupy z bronią w rękę, aby „samostanowić o sobie“.

W zamęcie porewolucyjnym, wśród anarchii powszechnej w początkach słabego jeszcze bolszewizmu, każdy kto tylko chciał tworzył narodowe wojsko na własną rękę, uzbrajał się taką ilością wszelkiej broni, jakby zamierzał podbić świat cały, zbierał tabory tak olbrzymie, że mógłby w nich wywieźć zagranicę całą Rosję z jej skarbami, lecz się nie ruszał nigdzie, bo nie wiedział gdzie iść, co z sobą począć. A że kupom zbrojnych, próżnujących od rana do nocy mężczyzn trzeba było z czegoś żyć i to żyć dobrze — rekwirowało się u ludności cywilnej potrzebną żywność, krowy, woły, prosięta i konie, odbierając ludzi Bogu ducha winnych i łupiąc ich z siedmiu skór.

Oddział Polski na Podolu istniał i formował się w takich właśnie warunkach. Nominalnie poddał się pod opiekę Rady Regencyjnej, rezydującej w Warszawie za siedmioma rzekami i tyłomaz austro-niemieckimi kordonami. Faktycznie — był beapańską gromadą uzbrojonych emigrantów, wyjętych spod prawa.

Austriacy, którzy wówczas okupowali Podole, by swych głodnych gemajnow odkarmić ukraińskimi kołaczami i słoniną, tolerowali istnienie Polskiego Oddziału, nie chcąc zrażać do siebie Polaków galicyjskich, nie rozbajali go, pomimo że tego bardzo życzył sobie rząd niemiecki. Natomiast jęli się środków perfidnych, metternichowskich. Postanowili zgładzić Polaków cudzymi rękami. Naszczuwali na nich miejscową ludność chłopską, czyniąc wszystko możliwe, żeby wywołać wojnę tej ludności z Oddziałem W. P. Zamiar swój wkrótce osiągnęli. Ludność, znękana rekwizycjami i zaopatrzona w broń przez Austriaków, wydała „panom” straszną wojnę. Żołnierz pojedynczy, a nawet cały patrol, wydając się poza obręb wsi lub miasteczka, gdzie stała polska załoga, nie miał pewności, czy wróci.

Złapani przez chłopstwo żołnierze ginęli w najstraszliwszych mękach. Oddział, mszcząc się za ich śmierć, wysyłał ekspedycje karne, które wieś, winną zbrodni, równały z ziemią ogniem i mieczem, dla tym większej grozy miejsce po spalonej wsi zaorywając pługiem. Austracy zachowywali neutralność, wiedząc dobrze, że każda taka ekspedycja karna tylko przyspiesza zglęb Oddziału Polskiego.

W pierwszych dniach czerwca 1918 roku stan rzeczy przedstawiał się dla Polaków bardzo krytycznie. Nie było dnia, który by się obzedł bez strasznej wieści, że ten lub ów został zamordowany w sposób okrutny, obdarty ze skóry, usmażony na wolnym ogniu, porżnięty piłą na kawałki, albo zakopany żywcem do ziemi.

W taki to czas, w Janowie Podolskim, po sumie niedzielnej zebrało się na probostwie kilku oficerów piechoty z pułkownikiem Zgrzytałskim na czele, wszystko kawalerowie wielkiej fantazji, pełni cnót wojskowych, zasługujących, by każdego z osobna sprezentować czytelnikowi.

A więc:

Porucznik Królikowski, którego pięć lat wojny wysuszyły na szczapę, zostawiając na nim skórę jeno a kości, tak że koledzy przezwali go „Dziadkiem Kościanym”. Był to najlepszy oficer baonu. Sam lubił mawiać o sobie, że głowę ma pełną tylko własnej kompanii, więc na resztę spraw świata brak w niej (w głowie) miejsca. Prócz regulaminów wojskowych nie czytywał żadnych książek. Piękno natury obchodziło go o tyle, o ile dana miejscowość mogła być wykorzystana, jako

lepsza lub gorsza pozycja. Przysięgłby, że Bóg stworzył kwitnące łąki dla udogodnienia obstrzału z karabinów maszynowych, pagórki — dla sypania na nich szaniców, rzeki — dla wzmocnienia linii obronnej, lasy — dla ukrycia rezerw i taborów od ognia artylerii nieprzyjacielskiej. Gdy słowiki, bardzo licznie gnieźdzące się tej wiosny w ogrodzie koło jego kwatery, po całych nocach darły się pod oknami, posyłał ordynansa, aby kamieniem powypłaszał je z jaśminów kwitnących i przerwał srebrne trele. „Wszystko ma swój czas — powiadał — dzień, chwalić Boga, jest teraz długi, mogły więc przez dzień się naśpiewać, nie zaś drzeć się w nocy, która ma służyć do spania albo do nocnych ataków na bagnety”.

Dalej — podporucznik Pawulski, ponury osobnik w czarnych okularach, z okrucieństwem, wypisanym na bladych i wąskich, jakby rybich wargach. Był to najczarniejszy reakcjonista, po którym wszystkie idee światoburcze XX wieku spływały bez skutku, jak po gęsi woda. Urodził się i wychował na Podolu. Był synem administratora dóbr hrabiowskich, którego chłopstwo, rabując dwór i folwark, okrutnie zamordowało. Pawulski żył z wieczną myślą pomśczenia ojca. Chłopów nienawidził, jak morowej zarazy. Gdyby mógł, powywieszałby własnoręcznie tych wszystkich, jak ich nazywał „hadów” tak, by na każdym drzewie w lasach podolskich wisił jeden „had”. Z powodu tego słowa, ujętego w cudzysłów, które nie schodziło z ust Pawulskiego, koledzy przezwali go: „Ober-hadem”.

Następnie — chorążowie Gdesz i Kardaszewicz. Gdesz miał końską szczękę, sążeń wzrostu, mówił głosem powolnym bardzo dużo i uczenie, był entuzjastą wszystkiego, co jest czeskie i z Czech. Prawie nigdy się nie śmiał. Zjednał sobie u kolegów dość dziwny przydomek: „smutny i głupi Gdesz”, lecz, będąc gołębiego serca, nie obrażał się tym wcale. Kardaszewicz podawał się za potomka tatarskiej szlachty i uważał sobie za święty obowiązek uchodzić za charakter czarny, dziki, krwiożerczy. Jadał surowe mięso, pijał kobyle mleko i twierdził, że wierzy w Mahometa i jego naukę, bo jakkolwiek ochrzczono go w kościele katolickim, stało się to wbrew jego woli i bez jego wiedzy o tym. W kółku koleżeńskim nazywano go: „Lipek”, czym się wielce pysznił.

Był jeszcze lekarz baonu, kapitan Czerski, który miał opinię „największego lekarza wśród wojskowych i największego wojskowego wśród lekarzy”. Wszystkie dolegliwości ludzkie

leczył: zewnętrzne — jodyną, wewnętrzne — rycyną. Wołał karabin niż lewatywę, szablę przynosił nad skalpel. Chętnie brał udział w wyprawach karnych przeciw chłopom, jako strzelec w szeregu. Ponośli go temperament i z całej swej wiedzy medycznej robił podczas boju jedno tylko zastosowanie: gdy położył kogo trupem, biegł pod gradem kul, aby pomacać puls zabitego. Skoro puls bić przestawał, doktorek, zadowolony ze skuteczności swych zabiegów, przykładł kolbę do policzka i kładł trupem następną ofiarę. Poza tym umiał pędzić wódkę z kartofli, chleba i cukru i robił doskonałe likiery.

Do kompletu brakowało jedynie chorążego Gawłowicza. Był to oficer najmłodszy w baonie, piękny jak cherubin, przyśmily jak kotka, wesoły i śpiewający. W wolnych chwilach komponował zgrabne wierszyki, które ogólnie się podobały. Jego uroda, prawie że kobieca, gładkość twarzy pozbawionej wszelkiego zarostu, miły charakter, zjednywający mu przyjaciół wśród najsroższych nawet mruków — wyrobiły mu w baonie stanowisko „oczka w głowie“ u wszystkich. W rozmowie potocznej nazywano go „siostrą“. Przezwisko to zawdzięczał swemu upodobaniu do przebierania się w suknie kobiece, szczególnie lubił ubiór siostry miłosierdza. Kto go ujrzał w tym przebraniu, a przedtem nie znał, bywał wprost olśniony urodą i elegancją „siostrzyczki“, noszącej na wypchany po mistrzowski biuście znak Czerwonego Krzyża.

Z jego to powodu zebrali się oficerowie na probostwie. Przed godziną wysłuchano właśnie mszy za spokój duszy chorążego Gawłowicza. Tydzień minął, jak wysłano go do powiatowego miasta w sprawie służbowej z sześcioma ułanami, przydanymi dla asysty. Nikt z nich dotąd nie wrócił. Miano więc ich za straconych bezpowrotnie.

Po mszy żałobnej ksiądz proboszcz zaprosił do siebie kolegów nieboszczyka na kieliszek starki.

„Kieliszek“ okazał się całą baterią prześlicznie omszonych, pękatych butelek. Przekąski w postaci śledzików, marynowanych grzybków, korniszonów, pasztetów z gęsiej wątróbki i tym podobnych arcydzieł księżej gospodyni, z łatwością przedziwną wślizgiwały się przetykiem do żołądka, który napelniał się nimi, jakoby stosem suchych gąbek, łaknących wilgoci i wciąż nienasyconych. To też po jedenastej kolejce pragnienie jeszcze się wznowiło i ksiądz proboszcz, zacny patriota, od-

korkowywał nowe butelki, nalewał do kieliszków płyn gęsty i dostały, ścisnął oficerów i gadał rozrzuwiony:

— Patrzę i słyszę, lecz własnym oczom i uszom nie wierzę. Ja, stary grzesznik, niegodny sługa Boży, mam honor podejmować polskie wojsko... Pijcie panowie, nie żałujcie sobie, ja bym dla was krwi serdecznej nie pożądał... Siejba była w płakaniu, ale żniwo w weselu... Panie pułkowniku dobrodzieju, może śledzika jeszcze?... Niezbadane są wyroki Boskie... Poruczniku łaskawco, nie daj się zapraszać po dwa razy, spróbuj pasztetu, palce będziesz lizać... Niech żyje Polska zjednoczona i niepodległa!...

— Ale bez „hadów“, księżu dobrodzieju. Wpierw trzeba wszystkich hadów powywieszać, aby był spokój na wieczny czas — zastrzegął się „ober-had“ Pawulski.

— Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie — odrzekł proboszcz. — Chwała Panu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli...

— Had nie ma dobrej woli — ponuro zaprzeczył Pawulski.

Lipek-Kardaszewicz przed każdym połknętym kieliszkiem kochał: „krwi!“ i, pochłaniając całymi stosami przekąski, mruzczał: „kęsim“.

Gdesz przed lekarzem Czerskim wynosił pod niebiosa talenty organizatorskie Czechów.

Na ogół jednak, pomimo dwudziestej kolejki humory były nieszczególne. Wszyscy nie mogli się pocieszyć po stracie Gawłowicza.

Pułkownik Zgrzytałski pił i jadł w milczeniu, wreszcie przy dwudziestej i którejś kolejce, wstał i rzekł:

— Panowie, nie możemy tego kielicha wznieść za zdrowie „siostry“, wypijmy więc z myślą wspólną o tym nieboraku kochanym...

— Na pohybel hadom! — dodał Pawulski.

— Krwi! — krzyknął Kardaszewicz.

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków — powiedział z namaszczeniem proboszcz.

A oficerowie odpowiedzieli chórem:

— Amen.

W tym samym mgnieniu oka otwarły się drzwi do pokoju i w chłopskiej świtce i wyszywanej zgrzebnej koszuli wszedł — chorąży Gawłowicz.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał zdumiony proboszcz.

— Prorok jest jeden. Mahomet Rossullah! — wyrzekł Kardaszewicz, dławiąc się kiszonym ogórkiem.

Wszyscy porwali się z krzeseł.

— Siostró, to jesteś ty, czy nie ty?

— We własnej osobie, panie pułkowniku — odrzekł Gawłowicz.

— Sam wróciłeś?

— Nie.

— Z ułanami?

— Nie.

— Więc jak? z kim? Gadaj żywo.

— Z żoną.

— Z czyją żoną?

— Z moją własną.

I chorąży Gawłowicz zaprowadził towarzyszywoł broni do okna i wskazał na wóz, stojący na rynku przed kościołem. Na wozie siedziała dorodna „mołodycia“ w żółtej jak szafran chustce w czerwone kwiaty na głowie.

Oficerowie się zaśmiali.

— Nie róó kawałów. Wolne żarty.

— Ładne mi żarty — odrzekł zafrasowany Gawłowicz. — Toż wczoraj ślub w cerkwi wzięliśmy z nią najformalniejszy...

Oficerowie wpadali w coraz większe osłupienie. Gawłowicz, mówiąc o ślubie, ani się uśmiechnął. Zdawał się być na serio zakłopotany. Jakkolwiek mówił o sobie rzeczy wprost fantastyczne, jednakże obecność na rynku baby w żółtej chustce i poważny ton chorążego zastanowiły wszystkich.

— Jeśli nie łże, to mówi prawdę. Niech zda szczegółowy raport, co porabiał w ciągu ostatniego tygodnia — rzecze porucznik Królikowski.

Gawłowicz wypróżnił trzy kieliszki starki jeden po drugim i rzekł, wskazując ręką na rynek:

— Teraz mniej się jej boję. To straszna kobieta. Jestem żonaty naprawdę. A jak się stało, opowiem.

— Słuchajmy! — odrzekli oficerowie, zasiadając do przerwanej stypy po Gawłowiczu, który rozpoczął opowiadanie:

— Otóż, wywiąawszy się chlubnie z danego mi polecenia, wracałem z ułanami do Oddziału. Droga, jak panom wiadomo, na dziesiątej wiorście skręca w las. Gdy dojeżdżaliśmy do

lasu, zaniepokoiło mię dosyć podejrzanę zwolywanie się kukulek, dolatujące z gęstwiny. Kazałem broń mieć w pogotowiu i w zielone gąszcza wjechaliśmy stępą, rozglądając się i nasłuchując. Dotarliśmy tak aż do wielkiego bajora, które w połowie drogi leśnej rozlewa się na całą szerokość gościńca i tworzy w cieniu drzew wieczne jezioro, nie możliwe do przebrnięcia ani koleśno, ani nawet konno, gdyż zimna, zgniła woda sięga koniowi wyżej boków, a dno bajora jest bagnem, w którym koń zapada się po kolana. Ażeby tę przeszkodę ominąć, zwróciliśmy w bok, na okólną drożynę, idącą przez gąszcza, tak szczelnie rosnące i posplatane z sobą gałęziami, że byliśmy zmuszeni zsiąść z naszych wierzchowców i prowadzić je za uzdę.

Tę tylko oczekiwała zasadzka chłopska, czyhająca w krzakach, koło których przechodziliśmy.

Tuż nad uchem rozległ się wrzask puszczyka, wybornie udany i tak przeraźliwy, że konie nam popłoszyły się i zaczęły stawać dęba. Jednocześnie zaszeleściły zewsząd liście, a suche gałęzie, leżące w trawie, zatrzeszczały pod ciężarem licznych kroków. I ciszę leśną rozdarło wycie kilkudziesięciu głosów:

— Na pohybel! Koli! Koli!...

W mgnieniu oka, zanim zdaliśmy szabel dobyć z pochwy, spadła nam na kark wyjąca tłuszcza, zbrojna w cepy, widły i kosy, no i w karabiny austriackie. Przy każdym ramieniu naszym uwiesiło się po kilku chłopca, z których najstarszy dałby najsilniejszemu z nas radę z łatwością. Siepnięto mną z rozmachem o ziemię, aż świeczki stanęły mi w oczach. Wnet poczułem na piersi ciężkie kolana chłopskie, gniotące jak korzec jęczmienia. Jednocześnie czyjaś pięść, twarda jak racica wołu, zaczęła mię kuć na oślepo po całej twarzy. Poczułem, że mam pełno słonej krwi w ustach, i straciłem przytomność.

Kiedym się ocknął, oczom moim przedstawił się taki obraz.

Byłem bosy, bez czapki, w jednej bieliźnie. Ułani, rozebrani do naga, jak ich mać urodziła, stali rzędem z obłąkanym przerażeniem w oczach. Twarze mieli w sińcach i w soplach krwi zakrzepłej, nogi u kostek spętane powrozami. Byliśmy otoczeni żywym murem chłopów, bab, podrostków i dzieci. Dzikie oczy, spotniałe mordy, rozwiane włosy, gęby rozwarte od wrzasku, latające ręce, pięście potrząsane ze wściekłością — wszystko to wygrażało nam, pomstowało, wydierało się ku

nam, żądało naszej zguby. Zrozumiałem, że godzina nadchodzi ostateczna. Zacząłem się rozglądać dokoła.

Rzecz działa się na łące, pokrytej kwiatami i piękną trawą. Łąka miała kształt dużego trójkąta, który podstawą opierał się o rzekę, jednym bokiem graniczył z lasem, drugim — dotykał wsi, położonej nad rzeką.

Gdy wrzask szalejącego tłumu chwilami nacichał, słysząc było, jak w pobliskim lesie słowiki klaskają z całej piersi, ze srebrnego gardziołka, aż śpiewanie ich zdawało się iść od lasu po trawie łąki, niby szmer deszczu ulewnego.

Nareszcie tłum uciszył się zupełnie. Jakiś prowodyr przemówił mu do rozumu, uspokoił i kazał zgłosić się ochotnikom, którzy by chcieli „poigrać z lachami“...

Chętnych znalazło się kilkunastu, w tej liczbie — parę dziewczyn i hoża młodocia — olbrzymia, z twarzą zeszpeconą przez ospę.

Wyszli z tłumu naradzili się z prowodyrem, za czym zabrali się do nagich ułanów.

Najprzód na zewnętrznej stronie ich łędźwi zrobili nożami po dwa równoległe nadcięcia, idące od boków wzdłuż ud i tydek aż do kostek nogi. Po czym pas skóry, oznaczony krwawymi liniami nadcięć, zaczęto zdierać od góry do dołu. Na miejscu wydartego pasa pozostawał jakoby lampas purpurowy, na dłoń szeroki. Oprawiano w ten sposób ułana równocześnie z prawej i lewej strony. Słyszałem, jak krzyczy człowiek obdzierany żywcem ze skóry. Mogę zaręczyć, że z tym jękiem, wrzaskiem i rykiem żaden z głosów natury porównać się nie może. Tego łatwo się nie zapomina.

Patrząc na to wydzieranie lampasów, pocieszałem się, że mnie ta przyjemność jednak ominie. Jako piechur, lampasów na spodniach nie nosiłem i to, zdaje się, wybawiło mię od wielu przykrości. Pułkownik dobrze zrobił, że ubrał nas w szare mundury bez „kaławeczka aramantu“...

Widok krwi, buchającej z nagiego ciała ułanów, upoił moich, upił go jak gorzałka. Zwłaszcza kobiety odchodziły od zmysłów. Wrzeszczały z ochrypłych gardzieli, otaczając katowane ofiary coraz ciaśniej, zważszym pierścieniem. Wreszcie rzuciły się z pazurami i zębami. Wpadły w szal, spotniałe, bose, rozczochrane, błyskające kłami, namiętne, z rozchełstaną koszulą, ukazującą śniade, jędrne piersi. Wyrwały z rąk oprawcom nagich i skrwawionych ułanów. Zaczęły orać

ich ciała paznokciami, gryźć jak rozzarte suki, rozrywać na szczątki, ciągnąć i szarpiąc oburącz za głowy, ręce, nogi, przyrodzenie...

Uspokoili się dopiero po rozdarcu na strzępy czterech ułanów, gdy ze zmęczenia tchu im zbrakło i ledwo stały na nogach, zataczając się jak pijane. W ciszy, jaka potem nastąpiła, dawał się słyszeć tylko ciężki oddech kilkudziesięciu zziębniętych piersi.

A słowicze trele w pobliskim lesie wciąż dzwoniły i zachłystywały się namiętnie, spazmatycznie...

Zaczęto kopać na łące doły, wąskie i głębokie, takie jak dla wkopania słupa telegraficznego. Czarna ziemia przywalila ciężkim gruzem łąkowe kwiaty i świeżą trawę, jak bywa przy mogile, kopanej latem na cmentarzu. Pozostających przy życiu dwóch ułanów wtrącono do tych jam i przysypano ziemią aż po szyję, zostawiając im nad poziomem łąki jedne głowy. Grunt dokoła głów udeptano pracowicie. I rozpoczął się nowy akt krwawy widowiska.

Dzieci motały grudkami i kamieniami do wychylających się z trawy głów zakopanych ludzi, jak do celu. Okrwawione dziewczki i młodyce, podniosłszy zapaski i koszule, przysiadły gołym ciałem te męczeńskie głowy i ze rżeniem, iście kobylim, oddawały urynek...

Trzecią jamę kopano dla mnie.

Nie potrafię wyrazić przerażenia, jakiego doznałem w owej chwili. Byłem pełny ohydnej lęku, jak gdyby nalano mię zimnym zgniłym błotem i to błoto śmierdzące, wskutek swego nadmiaru, nie mogąc zmieścić się we mnie, szukało ujścia na zewnątrz, parło przez ściśniętą gardziel, podnosiło się dławiącą falą bolesnych wymiotów, wyrывało się spomiędzy szczękających zębów straszliwą czkawką. Wszystko najgorsze, najokropniejsze, byle tylko nie taka, nie taka śmierć! Za cenę najstraszliwszych upokorzeń i upodlenia zostać przy życiu... Katów mych całowałbym po rękach, po zbluzganych krwią cholewach, byle by tylko ginać inną, lecz nie tą, nie tą, nie tą śmiercią!...

Trzecia jama była już na ukończeniu. Zbliżał się mój czas.

Ostatnim wysiłkiem zebrałem rozpierzchłe myśli. Jak się uratować od ohydnej śmierci, na którą patrzyłem? O ucieczce nie było mowy. Skamłanie o litość na kolanach niewiele by tu pomogło, przeciwnie — rozbudziłoby w chłopach tym wię-

kszą zawziętość... Pozostał jeden ostateczny środek: przemówić do tłumu, przemówić krótko, w paru słowach i — przekonać. Od paru słów, jakichś jedynych, niezawodnych słów, które miały być wyrzeczone natychmiast, bez namysłu, zależało całkowicie: być albo nie być.

Dół dla mnie przeznaczony był już gotów. Zauważyłem wśród tłumu poruszenie w kierunku mej osoby. W głowie miałem istny wicher myśli. Kudłaty chłop o wejrzeniu ponurym ciężką rękę położył mi na karku.

I, rzecz dziwna, dotknięcie to, zamiast przerazić mnie i ogłupić do reszty, natchnęło wprost genialną myślą. Już wiedziałem, co mam powiedzieć.

Podniosłem rękę na znak, że chcę mówić, i zagrzmiałem z całej piersi, omal nie rwąc sobie płuc na strzępy.

— Ludzie, stojcie! Jestem chłop, jako i wy! Zabijcie, jeśli taka wasza wola, lecz wpierw sądźcie mnie sądem ludu! To moje święte prawo, od którego nie odstąpię: chcę być osądzonym przez lud!..

Propozycja moja, obliczona na psychologię współczesnego motłochu, znalazła gorących zwolenników. Wprawdzie zaraz się rozległ straszliwy wrzask: „Na pohybel! Ubyty lacha na miści!“, lecz jeszcze więcej głosów wołało:

— Sudyty! Sudyty sudom narodnym!..

Spodobala się chamom myśl zabawienia się w trybunał najwyższy! Byli zresztą pewni, że i tak nie wymigam się od śmierci z ich rąk: o wyroku przesądzali z góry.

Odetchnąłem z wielką ulgą. Bo jakkolwiek zguba zdawała się jeszcze nieuchronną, jednakże miałem nadzieję, że w najgorszym razie zostanę po wyroku stracony przez rozstrzelanie, gdyż, skoro na sąd się zgodzono, to i resztę komedii zechce im się zapewne odegrać do końca. Niechby i powieszono, byle by tylko nie ginąć tą ohydą śmiercią, jak dwaj ostatni z ułanów...

Tymczasem tych dwóch, zakopanych w ziemi po szyję, obito w moich oczach kłonicami po głowie, mnie zaś pod silną strażą odprowadzono do wsi.

Sąd dbył się niezwłocznie. W sadzie owocowym za chatą wiejskiego starosty ustawiono pod drzewem dojrzewającej czerśni długie ławy i stół na krzyżakach. Dwunastu starców, podobnych z oblicza do świątków na cerkiewnych obrazach, usiadło na tych ławach. Mleczne po pas brody, gładkie jak

kolano łysiny, bielejące na tle zielonych liści i karminowych jagód — dodały mi otuchy. Z tymi ludźmi można będzie się dogadać. Pomną dawne czasy, mają zapewne przedwojenne sumienia...

Stałem przed nimi w asyście dwóch parobków, uzbrojonych w widły od gnoju, i sąd się rozpoczął.

Kazano mi krótko powiedzieć, co mam na swoją obronę, a mówić od szczerego serca, samą tylko prawdę, nie łgać.

Zacząłem więc łgać, jak najęty. W zmyślonej naprędce bajdze przedstawiłem siebie jako pocziwego kmiotka z Chełmszczyzny, który padł ofiarą przewrotnej polityki panów. Wyliczyłem wszystkie krzywdy, jakie mnie od nich spotkały od czasu wzięcia do niewoli. Powołałem się wreszcie, jako argument ostateczny i największej wagi, na ściągnięty ze mnie szary mundur, wyrzekając, że w tę tak niepozorną liberię ubierają panowie swych ordynansów, sami paradując w amarantach, srebrach i atłasie. Fakt ten, naocznie sprawdzony przez całą wieś, wywarł na chłopstwie najgłębsze wrażenie. W tłumie, obecnym przy rozprawie sądowej, odezwały się głosy:

— Prawdę każe. Ce nasz czołownik! Tiażko krywdyły joho pany, traścia ich manu mordowała!

Współczucie, wyrażone w tych słowach, dodało mi bodźca do dalszych, jeszcze beczelniejszych łgarstw. Sam wzruszyłem się własnym opowiadaniem. Gdym skończył swą namiętą filipikę przeciw „szlachcie żłopiącej krew ludu prawosławnego“, białobrodzi sędziowie byli jawnie wzruszeni, płakał cały tłum, a baby wprost zanosili się od płaczu, aż je zawracano, wylewając na mą głowę potoki gorzkich łez. Sam miałem wilgoć w oczach.

I to samo chłopstwo, te same zakrwawione wiedźmy, które godzinę temu w obłąkańczym szale rozrywały na sztuki żywych ludzi, poczęły teraz wrzeszczeć i wygrażać sędziom pięściami:

— Puście go do domu, do Chełmszczyzny, do starej matuli, która bez syna nie da sobie rady z gospodarstwem! Nie ściągajcie jego krwi niewinnej na głowy nasze i naszych dzieci!...

Wnet ubrano mię w nową świtkę, nowe buty jałowicze i piękną czapkę barankową, który to strój możecie panowie na mnie podziwiać. Nie koniec na tem: uzbierano na moją rzecz składkę pieniężną, bym miał z czym puścić się w podróż do

domu. Jeszcze nie ochłonał ze zdumienia, iż sprawa wzięła obrót tak niespodziewany, a byłem już wystrojony, jak na wesela, i przeszło tysiąc rubli w „carskich” papierkach zaciskałem w dłoni.

Wtem wyszła z tłumu owa ospowata olbrzymka, która najwięcej ze wszystkich bab pastwiła się nad ułanami. Zażądała od sędziów, by dano jej głos.

— Mówcie, titko Horpyno, szczo majete kazaty — rzekł przewodniczący sądu, chłop podobny kubek w kubek do św. Mikołaja.

„Titka” Horpyna ozwała się w te słowa:

— Ile ten piękny laszek w tym, co tu naopowiadał, zełgał, a ile powiedział prawdy, Bogu jednemu wiadomo, ta Świętej Przeczystej. Nie można wierzyć przybłędom, wziętym z gościńca...

— Prawdu każe. Ce ne nasz czołowik! — rozległy się głosy wśród chłopstwa, niby dalekie grzmoty powracającej burzy. — Na pohybel! Ubyty lacha na miści!...

Spotniałem ze strachu, jak ruda mysz. Kolana ugięły się pode mną.

Lecz Horpyna mówiła dalej:

— Zaczne postąpiłście, ojcowie, żeście się nad nim zmiłowali. Piękne to jak panna ze dworu, młode jak dziecko, nie dziw więc, że jest tak głupie, iż wojny mu się zachciało. Ma teraz z naszej łaski harni hroszi za pazuchoju i pewnie zaraz przełajdaczy wszystko z miejskimi dziewczkami po szynkach. Darowaliście mu życie, dajcie mu jeszcze szczęście. Trzeba go ustatkować na roli, przy babie. Dajcie mi go na męża. Bo to, co powiadał o starej matuli, łgał oczajdusza, pypeć jomu na język. A mój czołowik nie wrócił z wojny, ne maju w objęści robitnyka, samotna jestem na świecie, jak ucięty palec, jak ta osyrotiła zazula, nikt mnie biednej nie pożałuje, ne przyhołubyt w chatu do ridnioho serdca...

I rozplakała się w głos, zawodząc żałością nad swym wdowieńskim losem.

Skutek jej przemówienia był taki, że na rozkaz wysokiego sądu parobcy, trzymający nad mym karkiem groźne widły, oddali mię dziobatej Horpynie, z ręki do ręki, niby cielę, utargowane na jarmarku.

Pierwszymi słowami, jakie od niej usłyszałem, były:

— Widdaj hroszi!

I odebrała mi wszystkie pieniądze, pochodzące z uzbieranej składki. A chcąc mię jakoś pocieszyć, pogładziła po głowie, jak grzeczniego chłopczyka, i rzekła:

— Ne sumuj, kozacze. Ty ne dywyś, szczo ja taka podziubana na mordi. Z moho lycja ne budeś wody pyty. Jak zterpytsia, to i zlubytsia, mij że ty hołube ridny!*)

Po czym odprowadziła mię do swej chaty. Usiadłem w honorowym kącie pod obrazami, których w izbie była pełno, jak w kaplicy prawosławnej. Obok okazałego pieca, malowanego wzorzyście, jak ruska pisanka wielkanocna, stał bechsteinowski fortepian, snąc zrabowany przy rozbijaniu polskiego dworu. W mahoniowym pudle instrumentu, na cudnodźwięcznych strunach kury wysiadywały jaja, siedząc w dziurawych sitach, wysłanych konopnymi paździerzami. Na poźółklej klawiaturze wylegiwał się parszywy kot, z dużą oparzeliną na chudym boku.

Horpyna krzątała się koło pieca, przystawiając garnki do ognia. Zauważyłem, że do rozniecenia ogniska zostały użyte, jako podpał, pięknie oprawne roczniki miriamowskiej „Chimery” i „Tygodnika Illustrowanego”.

Stół zastano ręcznikiem, wyszytym w czerwone koguty i niebieskie kwiaty. Wkrótce zasiedliśmy z Horpyną do wieczery, składającej się z ugotowanej kury, kiszonych ogórków, miski twarogu ze śmietaną i dużej rynki skwarek. Nie brakło też i flaszki żytniówki domowego wyrobu, zwanej „samohonem”. Wypiliśmy w miarę „na szczastia i na dolu, szczoob dobre żyłosia”. Zamiast kieliszków służyły nam misterne filiżanki do czarnej kawy, które swego czasu musiały pewnie należeć do porcelanowej zastawy w pobliskim dworze.

Horpyna, pijąc, przysuwała się do mnie coraz bliżej, aż mi poczynąło być ciasno pomiędzy ścianą a babą, buchającą żywym ciepłem, niby pompa parowa. Zostałem parę razy uszczypany w udo tak namiętnie, że z bólu zakręciło mi się od leż w nosie.

Horpyna zachęcała, abym jadł, mówiąc:

— Jedz, mój cheruwymie, moja zaznobo, jedz chłopcze, ta

*) Nie smuć się, kozacze. Nie zważaj, że na pysku jestem taka dziobata. Z mej twarzy wody pić nie będziesz. Jak się przecierpi, to i pokocha, mój-że ty gołąbku rodzony.

najadaj się, żebyś potem nie powiedział, że żinka chleba pożalowała, jak tej nocy ohlaniesz, koły meni ne zdłużasz...

Jadłem przez siłę i zimny dreszcz mię smagał na samą myśl, że tej wiedźmie mógłbym dziś „nie zdłużać”. Co miałem robić? Wszak życie moje zależało tylko od jej dobrego humoru.

Po wieczery wyszedłem na dwór i usiadłem na przyzbie pod chatą. Była noc, tak piękna, jaka bywa tylko wiosną na Ukrainie. W zbitej gąszczu listnej drzew czereśniowych dojrzewające jagody polśniewały, jak drobne usta kobiece, spragnione całowania po ciemku. Słowiczy śpiew nocny dolatywał zewsząd i drgał w powietrzu, aż strzykało w zasłuchanych uszach. Żaby kumkały i rechotały, pławiąc się w ugrzanej wodzie rzeki i stawów. Na niebie ciemnoniebieskim świecił księżyc w pełni i mrugały wszystkie gwiazdy. Od blasku miesięcznego topole rosnące na ulicy lśniły od szczytu do podstawy pnia, niby kolumny rzeźbione w srebrze, a pochyłe strzechy zdawały się być poszyte snopkami czesanego lnu i najsrebrzystszej pajęczyny.

Patrzyłem na te cuda wzrokiem nienasyconym. Przypomniało mi się, jaką śmiercią zesłi ze świata ulani. Kamień ciężki stoczył mi się z mego serca, gdy zrozumiał, że jednak ja żyję. Zdrowy, zwierzęcy instynkt krzyczał we mnie:

— Żyć! Żyć za wszelką cenę, chociażby co dzień wypadło „zdłużać” takim dwom, trzem, dziesięciu Horpynom! Na wszystko przystanę, wszystkiemu podołam, byleby tylko nie umierać, jak tamci!...

Od progu chaty doszło mię ciche wołanie Horpyny, która ukazała się w drzwiach boso, z rozpuszczoną do pasa grzywą czarnych włosów, w długiej koszuli białej, świeżo włożonej na tę noc.

— Chodź do chaty — szeptała. — Pójdziemy spać... Już czas... Późno... Wże treli piwni prospiwały... Zawtra raneniko jidem na sinokis...

— Ta chody, traścia mami twojij, bo wże bilsze ne možu zderzaty! — krzyknęła, szczękając zębami, gdy się ociągał ze wstaniem z przyzby.

Poszedłem ku niej, jak lunatyk, krok za krokiem, pozbawiony żdźbła woli. Na odludziu wiejskim, w nocy, straszny urok miała w sobie ta młoda olbrzymka, w białej jak całun koszuli, pachnąca jeszcze krwią ludzką. Nie jestem przesądny i w diabła nie wierzę, lecz nie byłem wtedy pewny, czy Hor-

pynie spomiędzy szczękających zębów nie wyskoczy nagle mysz czerwona, lub czy nie znajdę u niej w miejscu pępka główki martwego niemowlęcia, albo też, czy ta uroczna wiedźma, blada od żądz, nie przeistoczy się w mych oczach, skoro tylko jej dotknę, we wściekłą kotkę lub w dziką wilczycę, chwytającą znieścacka za gardło...

Rozważającego te sataniczne ewentualności, porwała mię Horpyna na ręce z porywcznością zakochanej samicy gorylej i zanosła w głąb ciemnej, parnej izby, całując i gryząc.

Nie będę panom wyjawiał szczegółów owej romantycznej nocy, ze względu na dyskretny szacunek, jakim winniśmy otaczać tajemnice łoża małżeńskiego. Jednakowoż, tak w imię sprawiedliwości, jak i dla własnej ambicji męskiej, muszę Horpynie przyznać, że posiada wszelkie warunki, aby się jeszcze podobać, i że ma wiele ukrytych zalet żeńskich, które mogą w każdym wzbudzić dużo zapalczywej miłości. Aczkolwiek z drugiej strony nie zapieram się bynajmniej, że skancerowany ospą pysk mej żony wygląda w jasności dziennej, jak gdyby na nim przez jedną jesień diabli groch młócili...

Nazajutrz, ledwo świt, wyciągnęła mię Horpyna za łeb z łóżka, nakarmiła „hałuszkami“ z olejem, ubrała w stare łachy, pozostałe po pierwszym mężu, i wsadziła na drabiniasty wóz, zaprzężony w spaseł kuce, należące swego czasu, wraz z porządną uprzężą, którą na nich oglądałem, do remanentu ze zrabowanego folwarku.

Zacięła konie po okrągłych grzbietach, na których widniał rowek w miejscu pacierzowej kości, i strzelając z bata, wyjechaliśmy ze wsi galopem, w chmurach wzniesionej kołami kurzawy i wśród naszczekiwania psów, ujadających na nas ze wszystkich zagrod, które mijaliśmy.

Słońce myło się jeszcze w obfitych rosach, gdy stanęliśmy już na łące. Horpyna wyprzęgła konie, spętała im przednie nogi i puściła na potraw, aby się pasły. Ja siedziałem na wozie, nie odważając się zejść na ziemię. Po gwałtownych przejściach dnia poprzedniego bolały mię nieznośnie wszystkie kości. A i ubiegłą noc też nie można było zaliczyć do spędzonych spokojnie. Mimowoli macałem sobie boki, chcąc się upewnić, czy wszystko mam w całości, gdyż moja luba podczas niedawnych pieszczot przejawiała tyle żywiołowości, iż słyszałem najwyraźniej, jak po ciemku trzeszczą mi żebra, niby łamane krokwie w dachu. Czułem straszliwe zmęczenie, kleiły się mi

powieki, a twarz musiałem mieć wydłużoną w tragiczny wykrzyk, który dał się wielkim, aczkolwiek niemym głosem: spać! Świat malowany złotym słońcem, błękitnym niebem, srebrną rosą i zieloną trawą wydawał mi się czymś wstrętnym, niby jedne wielkie zgłiszcza. Siedząc na drabinie wozu, kiwałem się, jak rabin na modlitwie, a głowa coraz leciała w jakąś straszną przepaść.

Ocknął mię głos Horpyny:

— Przestańże wozić Żydów, wyskrobku. Złaź z wozu i bierz się do roboty. Mamusin synek, białoruczka, nemaje na niego skażenoj smerti...

Zeskoczyłem posłusznie na ziemię. Wetknęła mi do ręki kosę. Skomenderowała:

— Z Bohom. Zaczynaj.

Pierwszy raz w życiu trzymałem w rękach kosę. Lecz poczułem, że jest lekka i w dłoniach leży wcale dogodnie i poręcznie, niczym karabin. To mi dodało otuchy. Nie świeci garnki lepią. Otrząsałem z powiek resztki snu, inteligentnie spróbowałem palcem ostrza, rozkraczyłem nogi, aby pewniej stać, i wzniosłem kosę z takim rozmachem, jakbym głowę miał komu skosić od jednego ciosu.

Szach! i kosę diabli wzięli, jak gdyby nie ze stali ją zrobiono, lecz z kruchego szkła. Ażem się zdziwił, tak mi łatwo z tem poszło. Przy kosidle został jeno ułomek ostrza, nie dłuższy nad kilka cali. Reszta tkwiła w ziemi, wbita głęboko.

Zbrakło mi jednak czasu na podziwianie samego siebie. Horpyna bowiem spadła na mnie, jak jastrząb gołębia porywający, żelazną garścią złapała za twarz i przez długą chwilę tłukła zawzięcie osobą moją o ziemię, jak dziewczki w polu na robotach jesiennych tłuką wykopany burakiem, by go trząchnąć z nalepy gruntu. Spędziwszy w ten sposób pierwszy gniew, włożyła mię następnie głową między swe kolana, które do słupów herkulesowych snadnie by można przyrównać, i zaczęła w bezbronne siedzenie moje wrzepiać dłońią twardą, jak kijanka do prania bielizny, niezliczoną ilość potężnych kłapsów. Miałem się z pyszna. Teraz śmiech mnie porywa, gdy opowiadam, lecz wówczas, wiercie mi, czułem się głęboko tym dotknięty.

Po wymierzeniu kary za złamaną kosę, Horpyna usiadła w trawie, wsparła głowę na rękach i kołysząc się w ramionach, jęła rozwodzić gorzkie żale, iż nawiązała sobie na szyję taki

nieprzewidziany, jak ja, i kosztowny kłopot. Po południu zabrała się do kosby sama z nową kosą w rękę, na mnie zdawszy grabienie i przetrząsanie pokosów.

Tak się zaczął mój tydzień miodowy. W ciągu paru pierwszych dni poiono mię żółcią a karmiono szturchańcami. Horpyna od świtu do wieczora była w usposobieniu więcej, niż cierpkim, wymawiając mi na każdym kroku darmożadztwo, niedołęstwo i pospolitą głupotę. Dopiero z nadejściem nocy stawała się czulszą, a nawet tak czułą, iż ogarnęła mię obawa, że stopnięję w krótkim czasie, jak świeczka, paląca się z obu końców jednocześnie.

O ucieczce z tej niewoli babskiej nie było co myśleć. Horpyna pilnowała mię w oba oczy we dnie i w nocy, nie odchodząc od mego boku nawet w tych krótkich chwilach, kiedy człowiek dorosły wstydliwie zwykł szukać ścisłego odosobnienia. A gdybym nawet zdołał zmylić czujność mej strażniczki, tobym i tak uciekł niedaleko, gdyż wieś, w której mię więziono, była pilnowana nieustannie przez warty chłopskie, w obawie przed spodziewanym najściem polskiego wojska.

Od pierwszego spotkania Horpyny się bałem, teraz zacząłem ją nienawidzić. Tłukła mię z powodem i bez powodu. Była to po prostu nikczemna sadystka, szukająca wciąż okazji chociażby najbłaższej, byle by tylko móc znęcać się nade mną. Niech o tym zaświadczy zdarzenie następujące.

Jednej nocy wybraliśmy się paść konie na zbożach, porastających dworskie grunta. Wieczerzać mieliśmy pod gołym niebem. Na trzech rozstawionych tykach, związanych powróstem u góry, Horpyna zawiesiła w kotle ukraiński "kulisz", smakowitą rzadką kaszę z krup hreczanych i ze skwarek, których dodaje się tyle, co i kaszy. Prócz nas dwojga nie było nikogo na polu, szerokim i rozpostartym, niby step bezludny. Po ugotowaniu "kulisza", kocioł postawiliśmy między sobą na ziemi i sięgnęliśmy do parcianej torby, w której leżał chleb i drewniane łyżki. Wtem niezgrabna Horpyna wywróciła kocioł nogą i wszystek "kulisz" wsiąkł w murawę między. Na razie złość swą zwróciła w przestrzeń, mrucząc w tym polu tysiącmorgowym, gdzie prócz nas żywej duszy nie było:

— Bisowa tiszota. Nema de powernutysia!*)

*) Piekielna ciasnota. Nie ma gdzie obrócić się.

Siedziałem cicho, jak trusia, czując wieszczym duchem, że ten "kulisz" na mnie się skupi. Jakoż nie omyliłem się.

Towarzyszka moja, przypomniawszy sobie o mym istnieniu, rzuciła się na mnie z pięściami, krzycząc:

— To twoja wina, czortowa kukło. Zlizuj teraz kulisz z ziemi. De ne obernusia, cej Lach krutytsia meni meż nohami, jak ta nawiżena wiwcia!...*)

Po czym, jak to już weszło w jej zwyczaj, wkliniła mą głowę między swe kolana i dostałem nową porcję tęgich klapsów.

Taki stan rzeczy trwał jednak tylko w ciągu pierwszych trzech dni. W zeszłą niedzielę wzięto mię do niewoli, a już w czwartek zbuntowałem się ostatecznie i zrzuciłem z siebie jarzmo babskiego ucisku. Dopóty dzban wodę nosi, aż ucho się urwie. A ja tego dnia miałem urwane prawie zupełnie oba uszy.

Wyzwoliny moje dokonały się na łące, podczas grabienia pokosów. Swoim zwyczajem leżałem zakopany w stogu siana, nie kwapiąc się do roboty, pomimo energicznej zachęty słownej, której nie skąpiła mi Horpyna. Lecz gdy zmiażdżyła, że idzie ku mnie w zamiarze namiętoszenia boków, porwałem oburącz drewniane grabie i z całej siły gruchnąłem nimi babę w łeb. A powtarzałem to aż do skutku, dotąd, aż Horpyna, oszołomiona niespodziewanym napadem, legła twarzą w trawę, zasłaniając głowę rękami. A wtedy usiadł na niej okrzykiem, jak siada drwal na pniu zwałonego drzewa, i zacząłem kuć pięściami, aż we wnętrzu baby dudniło, jak w grubej beczce. Biłem z natchnieniem, z wściekłą furią człowieka, który raz przecie i nareszcie znalazł się na swym nieprzyjacielu. Gdy baba przestała dawać wszelkie znaki życia, wyskoczyłem na nią z nogami i po jej grzbiecie puściłem się w płasy, w triumfalny tan wojenny, podobny do ukraińskiego „hopaka”.

W taki to sposób oblaskawiłem tę bestię, która była mi więcej wampirem, niż kochanką, — i katem, niżli żoną.

Przeszło pół godziny leżała na ziemi, cicho popłakując podczas gdy ja gwizdałem przez zęby najweselsze marsze i krakowiaki, nie racząc na pokonaną spojrzeć ani razu.

Wreszcie wstała, otarła rękawem wyszywanej koszuli spuchnięty nos i zapłakane oczy i nieśmiało się zbliżyła.

Nie raczyłem jej zauważyć.

*) Gdzie się nie obróć, ten Lach płacze mi się pod nogami, jak zwariowana owca.

Wtedy przemówiła ze słodyczą, głosem łagodnym, w którym drgała skrucha i tłumione łzy:

— Pocałuj, mileńki, i nie gniewaj się. Ty wiesz, że ciebie kocham.

Milczałem, pełen wzdargy.

— Strasznie cię kocham, odrazu pokochałam. Piękny jesteś, i dzielny, i straszny jak sam Światyj Jurij. Tyś mój jedyny, bo gdzież znajdę takiego drugiego, jak ty jesteś? Rozumni ludzie dobrze mówią szczo jak czołowik żinku ne bje, to w nii utroba hnyje...

Uznanie przez Horpynę tej ludowej prawdy, tak oczywiście, rozbroiło mnie i łaskawie pozwoliłem się przeprosić, dając jej po pańsku rękę do pocałowania. I przemknęła mi się przez głowę myśl, że jednak mam wszelkie dane po temu, aby zostać dobrym mężem.

Odtąd w niezmałconej żyliśmy harmonii. Horpyna od rana do wieczora pracowała w pocie czoła, kosząc i grabiąc, ja zaś, zagrzebany z głową w pachnącym sianie, mogłem nareszcie naspać się dowoli — naspać, tak jak najada się i napija. Zresztą było to z mej strony nie żadnym próżniactwem bynajmniej, lecz tylko zwykłą przezornością, gdyż w nocy musiałem po dawnemu obstać sam jeden za cały pluton krechowieckich ułanów.

Po paru dniach współżycia, uregulowanego idealnie takim podziałem pracy w małżeństwie, Horpyna uznała stan rzeczy za naturalny i poczęła mię darzyć szacunkiem i psim przywiązaniem. Jedna tylko troska ją gryzła: wciąż się obawiała, że mógłbym zbiec. Ale i na to — w swym przekonaniu — zaradziła.

W sobotę z rana rzekła do mnie:

— Dziś do sianożęcia nie pójdziemy. Będziemy oboje hulać na weselu.

— Na czym weselu? — zapytałem.

— Na naszym własnym.

Nie zdziwiła mię ta odpowiedź. W moim położeniu wszystko zdawało się rzeczą naturalną.

Niebawem nadeszło kilka starych bab, kaprawych, ślepych, krzywych, garbatych, głuchych, i w ogóle strasznie plugawych i rozpoczęła się w chacie wielka krzątania wedle przygotowania jadła i picia dla godów weselnych.

Czas do południa spędziłem na przyzbie, wygrzewając się

w słoneczku i jedząc czereśnie. Horpyna zamknęła się w chacie i zaaplikowała sobie wielkie mycie i generalne pranie z mydłem, ługiem i piaskiem. Przy tym ogarnęła ją spóźniona wstydlivość, iście dziewicza, bo nie tylko wstęp do izby miałem wzbroniony, lecz nawet okna pozawieszano szczelnie chustami i spódnicami, abym nie mógł podglądać.

Na podwieczór wszystko było gotowe. Zjawili się wystrojeni drużbowie i goście. Ustawił się orszak weselny i poszliśmy do wiejskiej cerkwi.

W cerkwi paliło się bardzo dużo świec przed obrazami, okrytymi złotą i srebrną blachą. Pięknie i uroczyście śpiewał chór. Pachniało kadzidło. Kładliśmy głowę pod Ewangelię. Trzykrotnie oprowadzono nas w kółko dokoła „anałoja”, przy którym pop na środku cerkwi odprawował modły, żegnając się co parę słów. Drużbowie nad głową Horpyny i moją przez cały czas trwania ceremonii trzymali blaszane korony, w których kolorowe szkiełka naśladowały drogie kamienie. Szczególnie zaimponował mi kudłaty diakon z twarzą opoją; pełniąc przy popie służbę ministranta, odpowiadał mu basem, z grubego gardła, jakoby z głębokiej studni wychodzącym i tak potężnym, że migwały płomienie świec, a barwne szyby w cerkiewnych oknach trzęsły się, niby od grzmotu niebieskiego.

W końcu obrzędu diakon piorunującym, strasznym głosem wypowiedział słowa Św. Pawła, przez rytuał cerkiewny nakazane:

— I żena da uboitsia muža swojeho!...*)

Jeszcze parę dni temu słowa te byłyby względem mnie szczytem gryzącej ironii, lecz teraz, po obłaskawieniu bestii grabiami na łące, przestroga diakona miała dla mnie głębszy, wyższy sens i w myśli przyobiecałem sobie solennie, że wedle Boskiego rozkazu żona moja bǳie się bała męża swego!

Panna młoda oblewała się łzami, patrząc na mnie wstydliwie z miną wylekłej dziewczycy, jak gdybym był smokiem, zażartym na cnotę panińską, a ona — jagnięciem białorunym, poszczypującym murawę. Ta bezczelna hipokryzja zaczęła nawet trochę mnie oburzać...

Po powrocie z cerkwi na progu chaty pobłogosławiono nas obrazem, chlebem i solą. Trzech Żydków, zielonych jak ma-

*) A żona niech się boi męża swego!

rynowane śledzie, przygrywało na skrzypcach, flecie i basetli. Rozpoczęła się uczta weselna.

Stół ugiął się pod stosami jadła. Czegóż bo tam nie było? I pieczywo i warzywo: gorące „pampuszki” w juszce z tartego czosnku, białe kołaczki, łamańce z makiem, jaja na twardo, „kulisz”, pierogi z czereśniami i ze śmietaną, prosię gotowane, słonina z chrzanem, piramidy kiełbas. Stał też i „samohon” w kilku olbrzymich butlach, które tamtejszy lud „cholakami” zowie, dla pojemności tych naczyń tak dużej, że płyn w nich zawarty wypełniłby cały but chłopski i przez kraj cholewy jeszcze by się wylewało.

Goście weselni zasiedli do stołu. A my z Horpyną usługiwaliśmy im, zapraszając do jedzenia i picia jak tradycja wiejska państwu młodemu nakazuje. Gorzalka rozwiązała języki. Zrobiło się gwaro, wesoło i duszno. Woń dziegciu i siwuchy górowała nad resztą zapachów. Upitym chłopom dym siedl ze łba, niby spod pokrywy gotującego się sagana. Podochocone „mołodyce”, szczypane pod stołem przez parobków, pischwały i trzęsły się od śmiechu, podobnego do gdakania.

Po wieczery towarzystwo wyległo na podwórze. Starsi obsiedli przyzbę. Młodzież przy świetle księżycy tańczyła „hopaka”, „trepaka” i „kozaka”, wznosząc w prysiadach podkutymi butami tumany kurzu. Muzykanci-Żydkowie rżnęli od ucha. Ochota stała się powszechną. W ciszy nocy sielskiej weselisko słychać było we wsi całej, aż psy, hałasem zatrwożone, spod wszystkich chat poczęły wyć do księżycy.

Jeden ja czułem się smutny. Ogarnęła mię tęsknota za czymś idealnym, idealniejszym, niż Horpyna...

Odsunąłem się od zabawy i usiadłem w chacie, samotny. Zauważyła to jedna z druchen, czarnobrewa, bratkooka i wonna, jak sноп zielonych konopi, Paraska, rodzona siostra mej żony, dziewczeczka siedemnastoletnia, męża nie znająca. I przysłała do mnie, aby pocieszyć. A że w izbie nie było światła, pocieszaliśmy się jak mogli, po ciemku.

Niezupełnie doszłą zdradę zwęszyła w lot Horpyna. Zaszła nas podstępnie i wszczęła alarm, jakby się paliło. Ocknęła się w niej dawna lwica. I zabrała się z miejsca do wymierzenia sobie sprawiedliwości.

Lecz dawną taktykę zaczępną odmieniła. Natomiast jąta się środków innych, takich, które u mężatek ukraińskich, jak to poprzednio zauważyłem, są klasycznym sposobem karania nie-

wiernych mężów, uświęconym przez tradycję, sięgającą czasów dawniejszych od Łobody, Nalewajki, Bulby i Chmielnickiego.

Oto wzięła z półki pierwszy lepszy garnek gliniany i, rozbiwszy go na mej głowie, sięgała już po drugi.

Lecz ja nie dałem się ubiec w tym małżeńskim sporcie i zanim Horpyna zdążyła sięgnąć po trzeci garnek, roztrzaskałem na jej głowie całe pół tuzina. A resztę całych garnków potłukłem w jej oczach, ciskając wszystkie o ziemię, gdyż olśniła mię myśl wcale doręczna, że jeśli wszystkie garnki zdąży potłuc, to nie mam się czego obawiać, bo gliniany garnek ma tę właściwość, że raz roztrzaskany o ziemię, nie może być rozbity po raz drugi na niczyjej głowie.

Na hałas zbiegli się ludzie z podwórza i, widząc pannę młodą zanoszącą się od płaczu i pełno glinianych skorup pod jej nogami, rzekli na moją pochwałę, co już raz od Horpyny słyszałem:

— Jak czołownik żinku ne bje, to w nii utroba hnyje!...

Na tym awantura się skończyła. Pito i hulano do późna w noc. A w końcu drużbowie i drużby, śpiewając jakieś pieśni sielskie o rucie, lubystku, barwinku i rozmarynie, zaprowadzili nas pod rękę, z wielką ostentacją, do ślubnego łoża, które na tę uroczystość wyścielono zawczasu świeżym sianem i zasłano nowiutkim radnem. Po czym, gdy zostawiono nas samych, Horpyna, w sposób nie pozbawiony istotnego wdzięku, odegrała rolę oblubienicy, dziewiczej, wstydlivej i tylko na wpół uświadomionej...

Kiedym tłukł gliniane garnki jeden po drugim, anim się spodziewałem, że tym właśnie otwieram sobie najszybszą drogę do wolności. Nazajutrz bowiem na radzie rodzinnej, odbytej z żoną we dwoje, doszliśmy zgodnie do wniosku, że młodemu małżeństwu nie przystoi nie mieć na gospodarstwie ani jednego garnka. Nie zwlekając, wyruszyliśmy po kupno nowych garnków do Janowa; Horpyna chętnie zabrała i mnie ze sobą, gdyż pewnie dotąd nie przypuszcza, abym się odważył zwać od niej po takim uroczystym ślubie i weselisku; może też chciała pochwalić się mężem przed ludźmi i oto znów z wami jestem, koledzy kochani...

— Taki był mój tydzień miodowy — dokończył opowieści chorąży Gawłowicz i, złożwszy ręce jak do pacierza, zawołał:

— Ale ratujcie mię od niej, panowie, na miłość boską!

Nie macie pojęcia, jak ja się jej boję. I wyznam szczerze: mam jej dość, choć teraz to i ślubna żona. Nie jestem przecie z żelaza, a z nią nie pociągnąłbym do miesiąca...

Oficerowie, zaintrygowani opowieścią chorążego, zgromadzili się koło okna, oglądając Horpynę, cierpliwie oczekującą powrotu męża na rynku przed kościołem, zaczęli brać młodą parę na języki, szczególnie zaś dostawało się opuszczonej na wozie małżonce.

— Nie dworujcie z niej, panowie — odcinał się Gawłowicz, który odzyskiwał już dawną werwę — bo sprowadzę ją tutaj, by przedstawić pułkownikowi, i będziecie musieli całować ją w rękę, jako że jest żoną oficera...

Po krótkiej naradzie, co począć z Horpyną, postanowiono wysłać do niej ordynansa z powiadomieniem, że mąż kazał się kłaniać, że bardzo przeprasza ale nie może dziś wrócić do domu, gdyż znowu wstąpił do wojska.

I wkrótce ujrzano przez okno taką scenę.

Do olbrzymiej baby, ustrojonej w jaskrawą żółtą chustkę i wciąż cierpliwie wyczekującej na wozie, podszedł żołnierz i coś długo jej tłumaczył. Nie uwierzyła zrazu. Wreszcie poczęła pojmować, przytakując kiwaniem głowy. Nagle powstała na cały wzrost i ujęła lejce w dłonie lewej ręki. Prawą zaś chwyciła batóg za cieńszy koniec odwróconego biczyska i grubszym końcem prętu zadała z góry błyskawiczny cios w głowę żołnierza, który też odrazu usiadł na ziemi.

Co widząc, Lipek-Kardaszewicz rzekł z flegmą:

— Kiszmet.

A jednocześnie zawołali wszyscy:

— Patrzenie! Patrzenie! Zwariowała baba!...

Istotnie warto było zobaczyć jej odjazd.

Wóz z wielkim hałasem potoczył się po rynku. Spasłe koniki, okładane ile wlezie biczyskiem wzdłuż boków, poszły z miejsca w ścigły zajęczy galop. Spódnica Horpyny od wielkiego pędu wzdęła się kuliście, niby żagiel, targany wichrami wszystkich mórz świata. Szerokie rękawy białej koszuły łopotały wzdłuż ramion, trzymających lejce, jak proporce husarii pędzącej na złamanie karku.

Jechała jak burza — ta Walkiria podolska — w grzmotach kół, rozbijających się o głązy bruku, w gradzie klekotu kopyt końskich, w błyskawicach iskier, krzesanych z kamieni podkowami — jechała wprost ku mostowi, widnemu na płynącej

za miasteczkiem rzece, przez którą szedł z rynku gościniec i gdzie stał na warcie żołnierz austriacki z karabinem, w żelaznym hełmie, podobnym do polewanego garnka.

Austriak na widok pędzącego wozu na próżno wrzeszczał swoje: „Halt“, wreszcie, by zagrozić drogę, nastawił po bohatersku bagnet, lecz w tejże chwili padł stratowany czterema parami galopujących kopyt i przejechany po żebrach czwórką kół, co widząc, szczerze tym ubawieni oficerowie polscy zawołali za Lipkiem:

— Kiszmet!...

Zadudnił, zatętnił i zatrzeszczał stary most, zaś wóz z Horpyną pomknął dalej z jeszcze większą chyżością, aż znikł za rzeką, w obłokach białej kurzawy, jak w kłębach dymu ginie po daniu salwy bateria, strzelająca dymnym prochem.

MAREK MICHALIK

NOTA INFORMACYJNA NA TEMAT HISTORII OPUBLIKOWANIA W II OBIEGU KSIĄŻKI PT.: WIĘŹNIEWIE POLITYCZNI W PRL 1981-1983. ZAKŁAD KARNY HRUBIESZÓW I INNE

Tytułowa publikacja ukazała się w 1986 roku dzięki podziemnym strukturom poligraficznym Konfederacji Polski Niepodległej w Łodzi. Na okładce publikacji widnieje dokładniejsza data marzec 1986. Z całą pewnością jako szef ówczesnych struktur poligraficznych Wydawnictwa Polskiego KPN w Łodzi mogę stwierdzić, że drukowanie trwało dłużej i publikacja trafiła do kolportażu z pewnością w drugiej połowie 1986 roku¹. Jedną z przyczyn tak długiego procesu wydruku była objętość broszury/książki, która liczyła 106 stron. Ktoś mógłby powiedzieć i pewnie słusznie, że były drukowane w podziemiu grubsze książki. To prawda ale na offsecie, techniką offsetową. Nasze Wydawnictwo nie dysponowało taką maszyną mechaniczną w tamtym okresie. Pozyskaliśmy ją dopiero w 1987 roku. Drukowaliśmy w tamtym czasie techniką sitodrukową i w taki sposób „Więźniowie polityczni...” jako książka została wydana. Tak na marginesie wydaje mi się, że tą techniką była to najgrubsza lub jedna z największych publikacji wydana w podziemiu. Nakład książki to 2000 sztuk nominalnie, faktycznie ok. 1800 egzemplarzy. Ponad 100 ryz papieru, każda kartka ręcznie wydrukowana rakłą na materiale sitodrukowym. Należy zaznaczyć, że druk sitodrukowy był wykorzystywany w tym czasie do druku ulotek, gazetek 2-4 stronicowych. Proces druku tytułowej publikacji w warunkach konspiracyjnych bardzo wyczerpał drukarzy, był to ok. miesiąc pracy na drukarni. Zrobiliśmy to w składzie drukarze Marek

¹ Opis okoliczności wydania tej publikacji jak i innych broszur drugiego obiegu realizowanych przez łódzką Konfederację Polski Niepodległej w latach 1983-1989 jest opisany w kilku publikacjach w szczególności: Łódzka KPN. Od PRL do Niepodległości, pod red. K.Chylak, M.Michalik, Łódź 2012, ss. 354; K.Chylak, M.Michalik, Paweł Wielechowski 1953-2013. Opozycjonista, związkowiec, wydawca, emigrant, Warszawa 2017, ss. 308.

Michalik², Andrzej Smulik³, Piotr⁴ i Jolanta Kluszczyńska⁵. Dodatkowo w składaniu pomagali Lucyna Michalik⁶ i Helena Kluszczyńska⁷.

Pomysł wydania „Więźniów politycznych...” został przyniesiony przez szefa łódzkiego KPN Zbigniewa Rybarkiewicza⁸. Zapewne było to w końcu 1985

² Michalik Marek, (ur.1960), absolwent UŁ, historyk, poseł na Sejm I Kadencji 1991-1993; wiceminister środowiska 1998-2001; wiceprezydent Łodzi 2003-2009; radny miasta Łodzi czterech kadencji; od 1983 w KPN, szef Obszaru Łódzkiego KPN 1986-1989, działacz RS AWS, Partii Centrum i PiS; od 1983 drukarz, kolporter łódzkiego Wydawnictwa Polskiego od 1983 roku; redaktor pisma „Droga” 1984-1988; odznaczony Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta 2011.

³ Smulik Andrzej (1960-2023). Działacz KPN w Łodzi. Drukarz i kolporter wydawnictw niezależnych. Drukarz Wydawnictwa Polskiego KPN od 1984 roku. Współzałożyciel drukarni Wydawnictwa Polskiego w Łodzi przy Lipowej 78 i Nowotki 8 (obecnie Pomorskiej 8). Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta w 2013 roku i Krzyżem Wolności i Solidarności w 2015 roku.

⁴ Kluszczyński Piotr (ur. 1958 roku). Działacz KPN w Łodzi. Drukarz i kolporter wydawnictw niezależnych. Współzałożyciel drukarni Wydawnictwa Polskiego Łódź we własnym mieszkaniu przy Lipowej 78 i Nowotki 8 (obecnie Pomorska 8). Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta w 2013 i Krzyżem Wolności i Solidarności w 2015 roku.

⁵ Kluszczyńska Jolanta (ur. 1955 r). Działaczka KPN, drukarz Wydawnictwa Polskiego Łódź od 1984 r. W jej mieszkaniu w 1984 roku powstała podziemna drukarnia, która z niewielkimi przerwami przetrwała bez wpadki do Okrągłego Stołu. Odznaczona Krzyżem Wolności i Solidarności. Odznaczona Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta w 2013 i Krzyżem Wolności i Solidarności w 2015 roku.

⁶ Michalik Lucyna (z domu Szczepańska), ur. 1959. Absolwentka UŁ, uczestnik strajków studenckich 1981 roku w Łodzi. Kolporter i działaczka KPN w Łodzi. Współorganizatorka Wydawnictwa Polskiego w Łodzi ze Zbigniewem Rybarkiewiczem, Pawłem Wielechowskim i Markiem Michalikiem. Kierowała redakcją „Drogi” i Wydawnictwa Polskiego. Odznaczona Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta w 2022 roku.

⁷ Kluszczyńska Helena (1922-2005), matka Piotra Kluszczyńskiego. Pomagała przy pracach drukarskich i składaniu książek podziemnego Wydawnictwa Polskiego w Łodzi.

⁸ Rybarkiewicz Zbigniew (ur. 1948 r.). Działacz NSZZ Solidarność i KPN w Łodzi. Członek Prezydium KZ NSZZ Solidarność w łódzkim MPK. Przewodniczący KOWZP w Łodzi, lider łódzkich struktur KPN i członek władz krajowych. Współorganizator strajków w MPK w grudniu 1981 roku. Aresztowany i skazany na 1,5 roku więzienia. Więziony w Hrubieszowie. Po powrocie z więzienia odtworzył struktury i działalność KPN w Łodzi. Otrzymał z centralnego KPN zadanie stworzenia struktur poligraficznych, co zaowocowało prężnie działającym Wydawnictwem Polskim w Łodzi wydającym m.in. naczelne pismo KPN – „Droga”. W sierpniu 1986 roku wyemigrował do Szwecji, gdzie kontynuował działalność na rzecz KPN i Wydawnictwa Polskiego. Odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności w 2019 i Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej w 2024 roku.

roku. Przyniósł maszynopis pracy z zaleceniem aby ją wydrukować. Zwracałem uwagę jako szef drukarni w Łodzi, że jest to „kobyła” i będzie to bardzo trudno wydrukować na sicie. Ale jak to się mówi, słuchać nie chciał. W trakcie przygotowania do druku (najpierw skład, potem naświetlanie diapozytywów, następnie naświetlanie sit) otrzymałem jeszcze kilka zdjęć z internowania aby dodać je do publikacji. Jeśli chodzi o zdjęcia był to eksperyment i pierwsze zdjęcia na sicie jakie wykonaliśmy w publikacjach Wydawnictwa Polskiego w Łodzi. Niestety eksperyment nieudany. Otrzymaliśmy wtedy dodatkowe szkolenie z rastrowania i kolejne zdjęcia opublikowane w „Drodze” z 1986 roku były już dobre. Publikacja ukazała się tuż przed wyjazdem albo tuż po wyjeździe Zbyszka Rybarkiewicza do Szwecji. W jakimś sensie to on jest ojcem ukazania się drukiem tej publikacji w Łodzi. Po wydrukowaniu Zbyszek dochodził, kto stał za tak skonstruowanym komitetem redakcyjnym publikacji. Ale ostatecznie po usłyszeniu, że Wydawnictwo taki tekst otrzymało od niego, dalszych rozważań już nie było. Znaczek na stronie tytułowej przedstawiający orla także przekazał Zbyszek Rybarkiewicz. Prawdopodobnie był to stempel wytworzony przez osadzonych z napisami Solidarność, KPN, więźniowie polityczni Hrubieszowa. Znaczek i okładkę do druku przygotował nasz plastyk Stanisław Stachura⁹

Już po odzyskaniu Niepodległości miałem przyjemność przekazać egzemplarz tej publikacji prezydentowi Łodzi Jerzemu Kropiwnickiemu¹⁰, więzionemu w Hrubieszowie. Nie znał tego wydania.

Łódź 17.03.2025

⁹ Stachura Stanisław (1953-2020). Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, artysta plastyk, krytyk sztuki. Współpracownik Konfederacji Polski Niepodległej i Wydawnictwa Polskiego w Łodzi. Autor projektów znaczków, proporzyczków, kart okolicznościowych, okładek i ilustracji do czasopism, broszur i książek wydawanych w II obiegu.

¹⁰ Kropiwnicki Jerzy (ur. 1945). Ekonomista, absolwent SGPiS. Poseł na Sejm I i III Kadencji, Szef CUP (1992-1993) i RCSS (1997 – 2002). Współzałożyciel NSSZ Solidarność na Uniwersytecie Łódzkim. Członek władz ZR Łódzkiego Solidarności. Internowany w Hrubieszowie i Barczewie. Prezydent Łodzi 2002-2010, członek RPP. W 2006 odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Polonia Restituta.

CZAS PRZEŁOMU 1989-91. WSPOMNIENIA

Dedykacja: Pamięci wielu naszych dzielnych koleżanek i kolegów z podziemnego NZS, dla których III Rzeczpospolita okazała się macochą, a nie matką...

„Duża» polityka zaczęła się dla mnie w styczniu 1991 roku.

Jednak zanim to nastąpiło, działo się w moim życiu wiele rzeczy, spraw i aktywności, które w gruncie rzeczy przygotowywały mnie do polityki przez duże „P”.

Wcześniej, wiadomo, był podziemny NZS, na Uniwersytecie Wrocławskim, na którym byłem członkiem Zarządu Niezależnego Zrzeszenia Studentów, reprezentując Wydział Filozoficzno- Historyczny (od 1982 roku), a następnie, od wakacji 1983 roku, jego szefem. Propozycję tę złożył mi mój poprzednik Bogdan Zdrojewski, który na uniwersytecie studiował przez lata kulturoznawstwo. Ani jemu, ani mi nie śniło się, że siedem lat po naszej rozmowie z której wynikało, że to ja mam przejąć pałeczkę w sztafecie uniwersyteckiego NZS - on zostanie wybrany na prezydenta Wrocławia, a rok później, a osiem lat po tym konspiracyjnym spotkaniu ja będę reprezentował Wrocław w Sejmie RP I kadencji.

Gwoli wyjaśnienia: NZS 6 stycznia 1982 został przez komunistów zdelegalizowany i był pierwszą organizacją w kraju wyrzuconą poza oficjalny obieg. Nam to specjalnie nie przeszkodziło, bo po prostu robiliśmy swoje. Byłem współinicjatorem odtworzenia struktur krajowych Niezależnego Zrzeszenia Studentów. W dużym mieszkaniu mojej mamy na warszawskiej Starówce, przy ulicy Brzozowej 10 (a nie w jednym z akademików Politechniki Warszawskiej,

jak zupełnie mylnie podawał w swojej książce o NZS dr Jarosław Szarek...) odbył się pierwszy w podziemiu, a drugi w ogóle zjazd NZS-u. „Zjazd” to pojęcie umowne, jak wszystko w konspiracji: zjawilo się tam ze dwudziestu chłopów, w tym z dwóch miast, gdzie NZS zachował ciągłość: od nas z Wrocławia i Krakowa.

W 1988 roku wyjechałem na stypendium Jagiellonian Foundation do Londynu. Potem dostałem drugie stypendium - Fundacji Mateusza Grabowskiego, a także zacząłem pracować jako dziennikarz w słynnym „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza”. Pisałem też do „Rzeczypospolitej Polskiej” – organu Rządu RP na uchodźstwie oraz do miesięcznika „Orzeł Biały” i katolickiego tygodnika „Gazeta Niedzielną” wydawanego przez wydawnictwo Veritas. I w ogóle udzielałem się mocno w „Polskim Londynie”, gdzie na różnego rodzaju uroczystościach reprezentowałem NZS. To były oficjalne, głośne aktywności, a po cichu załatwiałem pieniądze dla różnych wydawnictw podziemnych, głównie związanych z NZS, czy szerzej: młodzieżowych, ale nie tylko. Pamiętam, że jednym z odbiorców funtów, które przez różnych ludzi przekazywałem do kraju, był śp. Wojciech Bogaczyk ps. Stanisław Podorzecki, który wywodził się z KUL-u, ale też przez jakiś czas kierował „Krajówką” NZS. Akurat zresztą jego jednoosobowe przywództwo było przez szereg ośrodków NZS kwestionowane. W podziemnym NZS-ie szalała demokracja i wszyscy (niemal) pilnowali, żeby nie było jednego szefa, jak to było za legalnego NZS-u. Stąd też, jak razem ze Sławomirem Onyszko- „Dzikim” z Krakowa oraz Tomaszem Ziemińskim - „Mikołajem” z Warszawy tworzyliśmy trzyosobowe prezydium tajnego NZS - to nikomu to nie przeszkadzało. Jednak jedynowładztwo nie przeszło.

Wśród moich odbiorców brytyjskiej waluty przeznaczonej na bibułę był również pewien mój młodszy kolega z DeWuLotu czyli XXXIX LO w Warszawie. To liceum na Bielanych miało internat dla dzieci wojskowych z głębi kraju i było sponsorowane przez Dowództwo Wojsk Lotniczych - stąd skrót. Owym młodszym ode mnie parę lat konspiratorem był... Tomasz Sakiewicz, w niepodległej Polsce szef medialnego prawicowego imperium. Skądinąd ab-

solwentami tegoż ogólniaka z przyszłych polityków byli również Elżbieta Jakubiak (minister w Kancelarii Prezydenta RP i minister sportu w „pierwszym” rządzie PiS) czy Karol Karski (poseł, wiceszef MSZ, europoseł). Uczył się tam też mój przyszły szwagier Mirosław Hermaszewski (imię po ojcu – pierwszym i na razie jedynym polskim kosmonaucie) - przez dwa lata, ale maturę zrobił już w innym „ogólniaku”.

W redakcji „Dziennika” w Londynie mieszczącej się w pobliżu stacji metra West Kensington pracowałem jako zwykły depeszowiec, ściągając depesze Reuters’a (tylko z tej agencji korzystaliśmy) ze specjalnego, dość głośnego urzędu. Bardzo dużo pisałem jednak sam, a z racji moich krajowych kontaktów zaproponowałem, że będę robił wywiady do gazety, ale też do tygodnika o nazwie „Tydzień Polski” - z liderami opozycji w kraju. Tak się złożyło, że znałem działaczy głównie z tych prawicowych, tworzących się partii politycznych oraz prawego skrzydła „Solidarności”. Stąd też takie głównie rozmowy czytali nasi rodacy nad Tamizą. Przyznaję: lewica laicka była niedoreprezentowana...

W Londynie – skądinąd mieście mojego urodzenia – nauczyłem się w tym czasie kilku rzeczy. Na przykład wiązać krawat, bo jako żywo do dwudziestego piątego roku życia tego nie umiałem, a na własny ślub ktoś mi zawiązał. Poza tym nauczyłem się pisać słowo „Kraj”, w zasadzie, niezależnie od kontekstu, wielką literą i to bynajmniej nie tylko na początku zdania. Emigracja niepodległościowa tak pisała i było w tym, chwytające za gardło, idealizowanie odległej, położonej za „Żelazną Kurtyną” Ojczyzny, której ci ludzie nie widzieli od 1939 albo 1944 / 1945 roku.

W Londynie tradycyjnie wychowany student z Polski – takim byłem – przeżył szok obyczajowy. Najpierw na zjeździe NUS (National Union of Students), czyli odpowiednika, powiedzmy, z dużymi zastrzeżeniami, naszego NZS. Byłem tam zaproszony jako jeden ze specjalnych gości i zabierałem głos. W sektorze dla owych gości („VIP-ów”) siedziały też dwie dziewczyny - generalnie bardzo zajęte sobą, co mocno rzucało się w oczy. Dopiero gdy zaproszono je do zabrania głosu, okazało się, że reprezentują środowisko „lesbians”.

Afiszowanie się z tym było dla chłopaka znad Odry (i Wisły) sporym zaskoczeniem. Przyjechałem z konserwatywnej Polski, dlatego też dziwiłem się dość rozpowszechnionemu zjawisku związków już absolutnie heteroseksualnych, ale takich, w których kobieta była kilkanaście lat starsza od mężczyzny. Było to na tyle częste, że widoczne. Z czasem przywykłem do tego, jak i do lewicowych apostołów – trockistów, którzy rozdawali swoje ulotki niczym świadkowie Jehowy przed stacjami metra i na ulicach brytyjskiej stolicy. W tym szaleństwie była jednak metoda, bo wbrew pierwszemu wrażeniu było to robienie praktycznej polityki. Tych, których złowili zapisywali do związków zawodowych, ale też do Partii Pracy i przesuwali w lewo linię polityczną zarówno „trade unions” jak i Labour Party. Wypisz, wymaluj realizacja tego, do czego wzywał pół wieku wcześniej włoski komunista Antonio Gramsci, czyli „marszu przed instytucje”.

Co do „Polskiego Londynu” to doskonale tamtejszą atmosferę oddawały słowa naszego polskiego papieża, które wypowiedział jesienią 1982 roku, a więc w stanie wojennym właśnie w stolicy Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, na nieistniejącym już stadionie Cristal Palace, na wielotysięcznym spotkaniu z naszymi rodakami z Wysp Brytyjskich. Jan Paweł II powiedział wtedy o Polakach mieszkających na obczyźnie, że to „Polska poza Polską”. Tak było. Świetnie zorganizowana, wielopokoleniowa emigracja polityczna, mądrze, bo stopniowo oddająca sporą część władzy nad instytucjami i organizacjami polskimi ludziom z polskich rodzin, ale już urodzonych poza krajem. Znakomity system polskiej oświaty – szkoły sobotnie, przez które przez dekady przeszły setki tysięcy najmłodszych Polaków urodzonych zarówno w Anglii (zwłaszcza), również w Szkocji oraz w mniejszym stopniu Walli i Irlandii Północnej, ale też i w Polsce, w rodzinach emigracji solidarnościowej. Olbrzymi ruch wydawniczy z książkami i tytułami prasowymi. Polskie teatry i koncerty. Polskie restauracje i sklepy. Polskie parafie, polskie duszpasterstwa. Polskie kluby sportowe. Polskie harcerstwo (uczestniczące w światowych zlotach harcerek i harcerzy żyjących poza krajem). Gigantyczny wysiłek organizacyjny nie niweczony przez gorące polityczne spory. Miałem i do dziś mam - najwyższy szacunek dla tych ludzi, dla których naprawdę, nie

chcę tu nadużywać wielkich słów, ale Polska była jedynym drogowskazem. Jakby w duszach im grały słowa Piłsudskiego ze zjazdu Legionistów w pierwszej połowie lat 1920-ch « Idźcie swoją drogą, służąc tylko Polsce, miłując tylko Polskę, nienawidząc tych, co służąc obcym » (skądinąd, jak zaaranżowaliśmy skromne obchody 50-lecia śmierci „Dziadka” we Wrocławiu ze mszą świętą w „solidarnościowym” kościele OO. Jezuitów pw. św. Józefa przy Alei Pracy to w specjalnym numerze naszej NZS-owskiej bibuły czyli „Komunikatu NZS UW” znalazł się, wybrany przeze mnie, właśnie ten cytat z Piłsudskiego...).

Jakoś późną wiosną 1990 roku, ale sporo przed pierwszymi naprawdę wolnymi wyborami, czyli prezydenckimi, przyjechałem do Polski na rekonesans. Po dwóch latach (wyjechałem „tylko na trzy miesiące” - na tyle dano mi stypendium) wiadomo było, że wracam, ale chciałem zakończyć moje londyńskie zobowiązania. Przyjechałem do ojczyzny po części jako dziennikarz, a po części już jako człowiek politycznie zaangażowany. Od jesieni 1989 byłem szefem Koła Londyn Zjednoczenia Chrześcijańsko- Narodowego (ZChN- pierwszej partii politycznej utworzonej po – umownym – upadku komuny). Miałem poczucie, że dobrze się realizuję w prawicowej formacji, której przewodził profesor Wiesław Chrzanowski, a której twarzami byli też Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, sp. Ludwik Dorn (tak, tak był w ZChN, ale wystąpił, bo się obraził, że nie wszedł do Rady Naczelnej), jeden z głównych przywódców strajków w Stoczni Szczecińskiej w 1970 roku Stanisław Wądlowski, trzech sejmowych muszkietierów: Jan Łopuszański, Marek Jurek, Stefan Niesiołowski, ale też ludzie związani mocno z „Solidarnością”, a właściwie jej prawym skrzydłem (wtedy w kontrze do Wałęsy, potem w okresie wyborów prezydenckich te różnice się zatarły, aby znów wybuchnąć ze zdwojoną siłą, gdy Wałęsa postawił na „lewa nogę”): Jerzy Kropiwnicki czy śp. Grzegorz Palka (późniejszy prezydent Łodzi, który zginął tragicznie wraz z synem w wypadku samochodowym). Ta wielobarwność była politycznie dobra i skuteczna, a po ludzku – fajna. Oczywiście rywalizacja poszczególnych frakcji, czy raczej środowisk była od początku mocna. Chrzanowski usiłował to wszystko swoim autorytetem kleić, co mu się udawało aż do lustracji, czyli połowy 1992. Skądinąd, generalnie wołał na kluczowe stanowiska promować bardziej „umiarkowanych” niż „radykałów”.

Było to rozsądne z punktu widzenia funkcjonowania politycznego w kraju przez kilkadziesiąt lat pozbawionego instytucjonalnej prawicy. Dla mnie też osobiście było to dobre. Oczywiście przymiotnik „umiarkowany” należy rozumieć w szerszym kontekście: były to czasy, w których „Gazeta Wyborcza” określała Wiesława Chrzanowskiego mianem „faszysty” i musiało upłynąć blisko dwie i pół dekady, żeby Jarosław Kurski (wicenaczelný „Gazety Wyborczej”) zaczął pisać o prezesie nieistniejącego już wtedy od dawna ZChN-u szokujące panegiryki.

Z drugiej strony wciąż jeszcze wtedy - dziś to już rzecz zupełnie niemożliwa, aby to łączyć – byłem czynnym dziennikarzem. Gdy przyjechałem do Polski na krótko, będąc szefem londyńskiej struktury ZChN – to w niczym w angielskim przysłowiu włożyłem „inny kapelusz” i jako przedstawiciel „Dziennika Polskiego” zrobiłem wywiad z... liderem w jakiejś mierze konkurencyjnej formacji, jaką było Porozumienie Centrum - Jarosławem Kaczyńskim. Wywiad wyszedł dobry, do pytań nie przeniosłem partyjnych różnic. Z tej rozmowy byłem bardzo dumny, choćby z prostego faktu: nagrywałem cały wywiad na magnetofon, po czym okazało się, że się zepsuł i musiałem pisać „z głowy” nie tylko swoje pytania, ale i odpowiedzi prezesa PC i przyszłego prezesa PiS – a więc przyszłego też mojego szefa. Zresztą później także, jak na dobre wróciłem do kraju, to jednocześnie działałem politycznie w ramach ZChN-u, przygotowując się do wyborów w ramach Wyborczej Akcji Katolickiej (bo taką koalicję stworzyło Zjednoczenie Chrześcijańsko- Narodowe będąc w niej zresztą jedyną partią), a w tym samym czasie... pracowałem jako zastępca redaktora naczelnego jednego pro-wałęsowskiego dziennika w kraju, jakim były „Wiadomości Dnia”. Byłem też szefem ich redakcji warszawskiej, bo centrala „WD” mieściła się w Łodzi. Kierował nią Krzysztof Kocel, który potem został pracownikiem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, a następnie dyplomatą: ambasadorem w Kambodży, a potem w Wietnamie oraz przy Radzie Europy w Strasburgu i przy UNESCO w Paryżu.

Redakcja warszawska mieściła się w centrum, w budynku „Riwiery”, gdzie funkcjonował też legendarny klub „Remont”. Z ludzi, którzy tam pracowali,

zapamiętałem szczególnie Grzegorza Wysockiego, który potem był w PC i od lat jest radnym Ochoty jako bezpartyjny samorządowiec. Było też paru dziennikarzy, którzy potem zostali wierni dziennikarskiemu powołaniu. Wśród nich był też na pewno Maciej Łętowski -kiedyś naczelny katolickiego tygodnika „Ład”, a potem szef „Radia Polonia”, wiceszef dziennika „Życie” i naczelny Informacyjnej Agencji Radiowej (IAR). Ale przychodził też z jakimiś materiałami młodziutki Michał Kamiński, który dopiero co opuścił skrajnie prawicowe Narodowe Odrodzenie Polski i zaczynał działać w ZChN czy wpadał Piotr Naimski.

Chodziłem też – jako dziennikarz, a jakże – do wtedy bardzo popularnego programu TVP „100 pytań do...”. Reprezentowałem tam czasem „Wiadomości Dnia”, a czasem - znowu się kłania to samo angielskie przysłowie o wkładaniu innych kapeluszy – redakcję „Głosu”. W tym legendarnym już miesięczniku związanym ze środowiskiem Macierewicza, Naimskiego, Dorna, Marcina Gugulskiego (późniejszy rzecznik rządu Jana Olszewskiego), Urszuli Doroszewskiej (potem ambasador RP w Gruzji i na Litwie) czy Krzysztofa Łączyńskiego byłem sekretarzem redakcji. Pisałem tam pod swoim nazwiskiem, ale też pod moim podziemnym, najczęściej używanym, pseudonimem Aleksander Wołyński. Konieczność pisania nie pod własnym nazwiskiem wynikała już nie tyle z powodów konspiracyjnego „BHP”, ale z zupełnie innego prozaicznego faktu: po prostu pisałem na tyle dużo, że koledzy nie chcąc (pewnie słusznie), żeby było „za dużo Czarneckiego”, naciskali, aby na tych łamach „Aleksander Wołyński” współgłówny z Ryszardem Czarneckim. I tak było. Pamiętam, że staraliśmy się wydając pismo ewidentnie dla elit polityczno-intelektualnych, ale też niepodległościowej inteligencji poszerzyć formułę i „zblądzić pod strzechy”. Temu służyła akcja, którą bodaj z mojej inicjatywy przeprowadziliśmy w rocznicę zwycięstwa nad bolszewikami pod Radzyminem. Ustawiliśmy tam nasze stoiska i rozdawaliśmy za darmo głównie starsze egzemplarze miesięcznika „Głos”, które schodziły jak ciepłe bułeczki. Cóż, pionierskie czasy, bez prawicowego internetu, bez prawicowej telewizji, a za to z bezpośrednim wyjściem do ludzi.

Moje wejście do ogólnopolskiej polityki nastąpiło, jak powiedziałem na początku, w styczniu 1991. Na Politechnice Warszawskiej odbywał się wtedy drugi – ale pierwszy z prawdziwego zdarzenia, bo z prawdziwymi, naprawdę demokratycznymi wyborami – zjazd Zjednoczenia Chrześcijańsko- Narodowego. Jednogłośnie wybrano Chrzanowskiego na prezesa, ale prawdziwe schody zaczęły się przy wyborach do Zarządu Głównego. Przepadło tam paru bardzo znanych i zasłużonych polityków. Tymczasem ja, nie mając jeszcze 28 lat, dostałem największą liczbę głosów ze wszystkich, bo 111. Zapewne pomógł w tym fakt, że będąc w Londynie, siłą rzeczy nie angażowałem się w międzyfrakcyjne spory. Do tego doszła „sława mołojcka” mojego zaangażowania w Londynie plus rozpoznawalność telewizyjna, no i chyba dobre relacje zarówno z „narodowcami”, jak i „związkowcami” oraz środowiskiem „Głosu”. Po dwóch latach – wybiegając w przód – na kolejnym zjeździe ZChN-u nie uzyskałem już największej liczby głosów (najwięcej miał... Kazimierz Marcinkiewicz), ale zachowałem miejsce na wirtualnym podium, uzyskując trzeci wynik.

Niedługo po moim pierwszym - a drugim chronologicznie zjeździe ZChN-u (pierwszy zastał mnie w Londynie, a Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe ukonstytuowało się - słuchajcie antyklerykałowie! – w Sanktuarium Matki Boskiej Rokitnianskiej w Rokitnie pod Gorzowem, po mszy świętej odprawianej przez ówczesnego biskupa, a potem arcybiskupa Józefa Michalika...) dostałem propozycję kolejnej pracy. Oczywiście dziennikarskiej. Dla mnie była wymarzona, bo chodziło o kierowanie redakcją „Dziennika Dolnośląskiego” w „moim” Wrocławiu. Już wtedy mocno przymierzałem się do wyborów parlamentarnych i uzyskanie w naturalnym dla mnie okręgu wyborczym - naturalnym, bo tu studiowałem, tu działałem w podziemiu, stąd była moja żona, tu urodził się mój pierwszy syn: Przemysław Maksymilian - takiego „handicapu” było wielką szansą.

Propozycję tę złożył mi szef NSZZ „Solidarność” Region Dolny Śląsk Tomasz Wójcik. Co miała „Solidarność” do mediów? Ano, miała. Władze dolnośląskiej „Solidarności” wraz z Norwegami ze znanego w Skandynawii i Europie koncernu wydawniczego „Orkla Media” utworzyły spółkę „Norpol-Press”.

Spółka posiadała własną drukarnię oraz wspomniany „Dziennik Dolnośląski”, który wbrew nazwie był tygodnikiem. Nazwa wzięła się stąd, że miał się ukazywać jako gazeta codzienna, ale nie starczyło na to ani pieniędzy, ani możliwości organizacyjnych. I tak „DD” stał się tygodnikiem. Początkowo Norwedzy mieli ochotę kupić „Słowo Polskie” - dziennik z tradycją wywodzącą się od 1945 roku, który w przeciwieństwie do „Gazety Robotniczej” nie był organem KW PZPR i nie był tak mocną tubą propagandową komunistów, ale nie wyszło im, no i zawarli sojusz ze „Solidarnością”. Jak tylko mianowano mnie redaktorem naczelnym „Dziennika Dolnośląskiego”, to w lokalnej „Wyborczej”, która wtedy miała tysiąc razy większe rażenie niż obecnie, ogłoszono, że „prawica bierze” media i większość dziennikarzy zrobiła mi przywitany strajk. Groziło, że bieżący numer tygodnika się nie ukáže. W proteście wzięli udział ci żurnaliści, którzy potem świetnie odnaleźli się w „GW” czy innych „zaprzysiężnionych gazetach”, trawestując powiedzenie Andrzeja Wajdy o telewizjach. Na szczęście udało się wydać ten pierwszy „mój” numer, dysponując ledwie kilkoma osobami i niestrajkującym działem sportowym (z chłopakami z tego działu fajnie gadało się o piłce, a wśród nich był świetny znawca niemieckiej Bundesligi, dobrze mówiący językiem Goethego, późniejszy naczelny „Przeglądu Sportowego” i gwiazda Polsatu Roman Kołtoń).

W tej polsko-norweskiej, ale też związkowo- kapitalistycznej spółce «Norpol-Press» byłem nie tylko szefem redakcji, ale też jej prezesem ! Stało się tak dlatego, że „Solidarność” miała w niej trochę ponad połowę udziałów, a rekiny biznesu ze Skandynawii „tylko” 40 procent. Związek mnie chciał-Norwedzy nie, ale to polski udziałowiec miał głos decydujący. I tak zaliczyłem pierwsze w swoim 28 -letnim życiu doświadczenie w kierowaniu firmą...

Co do wydania gazety mimo strajku i wycia postkomunistycznych oraz liberalnych mediów to pokazałem, że mam grubą skórę i jestem skuteczny-bo twardy. Nie byłoby to możliwe bez pomocy takich ludzi jak śp. Tadeusz Łączyński oraz bliźniaczki Małgorzata Wanke-Jakubowska i Maria Wanke-Jerie.

Wydawaliśmy tygodnik, działałem w polityce na szczeblu centralnym a pierwsze prawdziwie wolne wybory Anno Domini 1991 zbliżały się wielkimi krokami...

PIOTR WÓJCIK

OSOBISTA HISTORIA POROZUMIENIA CENTRUM
ANDRZEJA ANUSZA – „O ANTYKOMUNIZMIE
SKUTECZNYM” – DROBNA GŁOSA WSPOMNIENIOWA
„OBSERWATORA WSPÓŁCZESTNICZĄCEGO”.

Część XIII – Najlepszy czas AWS i rządu Jerzego Buzka – lata 1998-1999.
Moje prace w Sejmie III kadencji.

Koniec 1997 i początek roku 1998 to czas, w którym, od powołania rządu Jerzego Buzka w październiku, rozpoczęła się bardzo intensywna, można stwierdzić tytaniczna praca, której celem było odwrócenie tendencji stagnacji i stabilizowania czegoś, co nazwać można „PRL-em bis” oraz powrót do polityki państwa w pełni suwerennego, podejmującego wielki wysiłek modernizacyjny i integrującego się szybko z demokratycznym zachodem.

To właśnie czas lat 1993-97 oceniam, podobnie jak zapewne większość polityków i publicystów centroprawicy, jako właśnie obronę i poszerzanie „stanu posiadania” post – peerelowskiego układu partyjno – wojskowo – esbeckiego w eksploatowaniu państwa. Ta właśnie wewnętrzna walka o władzę i wpływy w gospodarce, – czyli budowanie zaplecza ekonomicznego poprzez „podział łupów”, były głównymi motywami działania koalicji SLD –PSL -UP i oraz – od 1995 r. – ośrodka prezydenckiego.

Trzeba uznać jednocześnie, że – na szczęście – mimo posiadania ogromnej większości parlamentarnej, nie byli wystarczająco silni politycznie, by zakwestionować, czy odwrócić wytyczne w Sejmie I kadencji przez rząd Olszewskiego i partie postsolidarnościowe cele strategiczne Polski, czyli dążenie do integracji we wspólnocie euroatlantyckiej.

Uznali po prostu, że trendowi geopolitycznemu oznaczającemu zwycięstwo zachodu i upadek związku sowieckiego oraz jelicynowską ruską „smutę”, nie

ma sensu się wprost przeciwstawiać, że oprócz rosyjskich patronów trzeba szukać oparcia w komuno-lewicy zachodniej w szczególności niemieckiej, głęboko przez służby sowieckie i postsowieckie zinfiltrowanej.

Poruszone już w poprzedniej części moich wspomnień – sprawa cofnięcia veta Wałęsy i podpisanie przez Kwaśniewskiego w marcu 1996 przygotowanej pod dyktando postkomunistów nowelizacji ustawy o majątku byłej PZPR, uznanej potem za niekonstytucyjną, tak jak uporczywa obrona jaruzela, czekiszczaka i innych autorów stanu wojennego poprzez umorzenie w październiku 96 postępowania w sprawie ich odpowiedzialności konstytucyjnej i karnej, pokazują dobitnie ciągle trwanie tego „PRL-u Bis” w tych latach.

Kolejne przykłady to choćby afera Oleksego- „Olina” – pokazująca mechanizm uzależnienia i współpracy agenturalnej z sowietami i postsowiecką Rosją. Następnie podpisanie przez rząd Cimoszewicza skrajnie niekorzystnej dla Polski umowy, uzależniającej nas na bardzo wiele od importu rosyjskiego gazu. Dalej – uchwalenie fasadowej i martwej tzw. „ustawy lustracyjnej”, która zawierała np. kuriozalne rozwiązania chroniące aparat SB, według których ubecy/esbecy mogliby pełnić funkcje publiczne objęte obowiązkiem lustracji, natomiast tylko współpracownicy SB byłiby tej możliwości pozbawieni, czy też takie zapisy jak te – stanowiące, że fakt współpracy ze służbami, w przypadku złożenia prawdziwego oświadczenia lustracyjnego, nie skutkował żadnymi konsekwencjami. Sankcje przewidziane były jedynie za zatajenie prawdy przez osobę składającą oświadczenie lustracyjne. Trzeba dodać, że konstrukcja i sposób powoływania tzw. Sądu Lustracyjnego spowodowały, że instytucja ta pozostała martwa, bo nie powołano składu w przewidzianym w ustawie terminie.

Podobnie symbolicznym przykładem działania postpeerelu w latach 93-97 była sprawa Konkordatu ze Stolicą Apostolską. Umowa była starannie przygotowywana w trakcie przecież pontyfikatu naszego papieża, któremu nie sposób zarzucić forsowania rozwiązań szkodliwych dla Polski.

Ratyfikacja umowy zawartej w trakcie Sejmu I kadencji w lipcu 1993 r. przez całe 4 lata sejmowej II kadencji była przedmiotem permanentnej obstrukcji ze

strony postkomunistów, skrajnie lewicowej części UD reprezentowanej przez B. Labudę a także Kwaśniewskiego, który twierdził, co prawda że „nie walczy z Bogiem, lecz z częścią hierarchii kościelnej” i sprzeciwiał się ratyfikacji konkordatu. Najwyraźniej do tej części hierarchii kościelnej, z którą należało według niego walczyć, zaliczał też Jana Pawła II, jednego z głównych, jeśli nie najważniejszego sprawcę odzyskania przez Polskę suwerenności w 1990 roku. Prowadzona była przez lewicowe media ciągła kampania eksploatująca absurdalne, bo niemające z treścią Konkordatu nic wspólnego, hasła i tezy jakoby umowa stawiała Kościół ponad państwem, lub czyniła z Polski państwo wyznaniowe.

Ten smutny, nawet groteskowy „chocholi taniec” został wreszcie przerwany przez rząd Buzka i naszą większość parlamentarną w styczniu 1998 roku w Sejmie i Senacie. Konkordat wszedł w życie ostatecznie po wymianie dokumentów ratyfikacyjnych 25 kwietnia 1998 roku.

Swoistym podsumowaniem epopei konkordatowej było podkreślenie przez Papieża, podczas jego niezapomnianej i bardzo dla nas ważnej wizyty w Sejmie w trakcie pielgrzymki do Polski w 1999 r., że Kościół nigdy nie zrezygnuje z obrony wartości chrześcijańskich w życiu publicznym

Podobnie jak w symbolicznej kwestii zamknięcia sprawy Konkordatu, tak też już na samym początku kadencji musieliśmy się zmierzyć z dużo trudniejszymi problemami – odzyskania w jak największym możliwym stopniu kontroli państwa nad, pozostającym wciąż z rąk byłych esbeków po szkołach KGB, Urzędzie Ochrony Państwa, odpolitycznieniem – czyli chociaż częściowym – „odkomuszeniem” administracji oraz kwestiami stanowiącymi istotny element naszego programu – odblokowaniem „martwej” dotąd lustracji – poprzez niezbędną nowelizację ustawy oraz zapewnieniu obywatelom realnego dostępu do akt UB i SB, poprzez powołanie Instytutu Pamięci Narodowej, mającego realizować także politykę historyczną niepodległego państwa polskiego.

Tak pisze o tym procesie, zasadniczo mocno krytyczny, szczególnie wobec środowisk centroprawicy, historyk, prof. Antonii Dudek:

„Powstanie rządu Jerzego Buzka było równoznaczne z częściowym przejęciem władzy w kraju przez siły wywodzące się z dawnego obozu solidarnościowego. W ten sposób po raz trzeci – licząc od 1989 r.- dokonała się istotna zmiana w układzie sił politycznych w Polsce. Fakt, że odbyło się to w konsekwencji kolejnych wolnych wyborów i nastąpiło bez jakichkolwiek incydentów, dowodził stabilizacji systemu demokratycznego. Podobnie jednak jak poprzednia koalicja, tak i ekipa Buzka rozpoczęła swoje rządy od daleko idących zmian kadrowych w centralnej i wojewódzkiej administracji państwowej, a następnie także w radach nadzorczych spółek skarbu państwa (...). W Polsce już wówczas zarysowała się tendencja do jak najszybszego upartyjniania wszystkich możliwych stanowisk, co stanowiło echo wprowadzonego przez partię komunistyczną i obowiązującego przez blisko pół wieku systemu nomenklatury (...)

W pierwszej kolejności, już w listopadzie 1997r., do zmian kadrowych doszło w UOP. Zwolnieni zostali dyrektorzy zarządów wywiadu i kontrwywiadu, zarządu śledczego, biura kadr i szkolenia oraz ewidencji i archiwów. Około 350 zwolnionych znalazło się w szeregach Związku Byłych Funkcjonariuszy UOP, na którego czele stanął płk Maciej Niepsuj, w czasach PRL funkcjonariusz SB i absolwent szkoły KGB w Moskwie. Z czasem podobne zmiany zaszły też w większości resortów, co wywoływało graniczące z histerią reakcje polityków SLD i PSL.(...) Przeprowadzając głębokie zmiany kadrowe w administracji, AWS przez cały okres swoich rządów nie zdołała jednak zdobyć wpływów w radiu i telewizji publicznej, których władze nie kryły nawet specjalnie swoich lewicowych sympatii.”

Cyt. – Antonii Dudek „Historia polityczna Polski 1989 – 2023” Wydawnictwo Naukowe „SCHOLAR”. Warszawa 2023. Str.305.

Te zmiany kadrowe, które wprowadzał nasz rząd były jednak tylko niezbędnym minimum, pozwalającym odzyskać, jako – taką „sterowność” państwa. Były moim zdaniem za mało głębokie i nie dotyczyły wielu ważnych obszarów funkcjonowania państwa. Żeby wymienić tylko takie jak: wojsko, a w szczególności powstałe w 1991r., z WSW i Oddziału II sztabu Generalnego, Wojskowe Służby Informacyjne, w których nigdy nie przeprowadzono (w odróżnieniu od UOP – u) jakiejkolwiek weryfikacji, (o czym tak jak o aferze FOZZ pisa-

łem we wcześniejszych częściach wspomnień) oraz media publiczne, w których rządili komuniści z niewielkim udziałem UD i PSL, a które to teoretycznie „publiczne”, a de facto ściśle upartyjnione – telewizja i radio, urządziły nam permanentne polityczno-propagandowe „naloty dywanowe”, krytykując „w czambuł” praktycznie wszystko, co AWS i ten rząd robił. Dochodziło do tego, że podczas prezesury „czerwonego Roberta” Kwiatkowskiego, telewizja działała na zamówienie – tak jakby Miller z Kwaśniewskim wprost układali ramówkę ...i wbrew pozorom nie jest to opis daleki od tamtej rzeczywistości.

Brak konsekwencji i nie skorzystanie z możliwości wykorzystania uprawnień rządu – ministra Skarbu Państwa, do przeprowadzenia głębokiej restrukturyzacji mediów, spowodowane z jednej strony obstrukcją UW, ale przede wszystkim chwiejnością i niezdecydowaniem Premiera, było jednym z najważniejszych błędów i powodów, stopniowego spadku popularności, a w konsekwencji klęski wyborczej AWS w 2001 r.

Moi koledzy klubowi, prawnicy i dziennikarze – posłowie z sejmowej komisji kultury i środków masowego przekazu – m.in. śp. Tomek Wełnicki, także Mec. Tomasz Kwiatkowski – były członek Krajowej Rady ds. radiofonii i Telewizji, Mec. Marek Markiewicz, plan takiej restrukturyzacji i zneutralizowania politycznego SLD – ówskiej telewizyjnej „gadzinówki” przez AWS opracowali bardzo dobrze i starannie pod względem prawnym. Był on absolutnie wykonalny, trzeba było tylko odwagi podjęcia ryzyka konfliktu wewnątrz koalicji, co zwłaszcza na początku kadencji wydawało się ryzykiem nie tak wielkim, aby go nie podjąć, zwłaszcza –w kontekście potencjalnych korzyści tj. uzyskania przynajmniej neutralności, niepoddanych wtedy żadnej istotnej prywatnej konkurencji tzw. „mediów publicznych”.

Aby domknąć watek lustracji i IPN – trzeba przypomnieć, że dość szybko – zaraz po przyjęciu przez Sejm w czerwcu 1998 r. uchwały potępiającej „totalitaryzm komunistyczny” widać było, że jest większość pozwalająca ustawę lustracyjną znowelizować, choć w takim stopniu żeby lustracja w ogóle się rozpoczęła, – co udało się nam uchwalić jeszcze w tym samym miesiącu. Dokonana nowelizacja wyznaczająca Sad Apelacyjny w Warszawie, jako orzeka-

jący o prawdziwości oświadczeń lustracyjnych, odblokowała zamrożony przez kilkanaście miesięcy proces lustracyjny. Był to nasz duży sukces podobnie jak uchwalenie we wrześniu 1998 r. ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej.

Ja miałem ogromną satysfakcję, że walka o powstanie tej instytucji, o której utworzenie zabiegaliśmy już w trakcie Sejmu I kadencji, składając projekty stosownych uchwał sejmowych, jako klub Ruchu dla Rzeczypospolitej Jana Olszewskiego oraz nasze – AWS-u starania od początku III kadencji Sejmu zostały w końcu – we wrześniu uwieńczone powodzeniem. Trzeba podkreślić, że działaliśmy w tej sprawie mając przeciwko sobie nie tylko sejmową opozycję postkomunistów, zdecydowanie przeciwko temu projektowi występowały media tzw. „głównego nurtu”, a przede wszystkim „toaysz” „veto” Kwaśniewski. Nasza walka o ujawnienie i udostępnienie obywatelom materiałów UB i SB spotkała się ze zdecydowanym sprzeciwem ówczesnego rezydenta Belwederu, który uznał i napisał to w uzasadnieniu veta, że nasza ustawa... jak to przywołał w cytowanej wyżej Historii Politycznej Polski prof. A. Dudek – „dyskryminuje byłych funkcjonariuszy służb specjalnych PRL i ich agentów”.

Zdecydowanie zasłużył sobie „Kwach” przez niektórych z esbeków ochrzczony „Alkiem” na miano... „prezydenta wszystkich ubeków”...

Ustawa, aby mogła wejść w życie musiała zostać ponownie uchwalona większością pozwalającą na odrzucenie veta prezydenckiego. Oczywiście rządowa większość koalicyjna nie była wystarczająca... Prawie do końca roku, – czyli właściwie do ostatnich dni przed Świętami Bożego Narodzenia trwały negocjacje z PSL-em ...

Ostatecznie w zamian za wprowadzenie zasady wyboru Prezesa IPN większością 3/5 głosów, co dawało im wpływ na obsadzenie tego stanowiska, zgodzili się głosować za odrzuceniem veta prezydenckiego. Stało się to 18 grudnia 1998 roku.

Było to jeden z aż 27-miu przypadków zawetowania przez „Kwacha” ustaw koalicji AWS -UW... i jedyny przypadek, kiedy Sejm III Kadencji veto prezydenckie odrzucił. Uważałem wtedy i tak myślę do dziś, że był to jeden z największych sukcesów AWS i zdarzenie, które odcisnęło, w pozytywnym znaczeniu, bardzo istotne piętno na historii Polski po 1990 roku...

Rok 1998 – to czas gwałtownego przyspieszenia – rozpoczęcie realizacji, w praktyce jednocześnie, wszystkich zasadniczych elementów programu AWS – taka dynamika i ogromny zakres działań reformatorskich była, co do jej intensywności, w zasadzie nieporównywalna z żadnym wcześniejszym, ani późniejszym okresem działań polskich rządów i parlamentów. Od wyżej wspomnianych kwestii lustracyjnych i powołania IPN przez wprowadzanie reform administracyjnej i samorządowej, emerytalnej, zdrowotnej, edukacyjnej, rozwiązań należących do koncepcji powszechnego uwłaszczenia, aż do ofensywy w polityce zagranicznej – dynamizowania i zakończenia z sukcesem procesu akcesji Polski do Sojuszu Północnoatlantyckiego – aż po przygotowanie kraju do integracji z UE zakończone do końca kadencji poprzez wynegocjowanie warunków i zapewnienie, w praktyce w ponad 90%, niezbędnych rozwiązań prawnych. Warto przytoczyć tu cytowanego już prof. A. Dudka, który docenia ten ogromny wysiłek rządu Buzka i koalicji sejmowej.

„Znacznie trudniejsze niż wstąpienie do NATO okazały się rozpoczęte w listopadzie 1998 r. negocjacje związane z wejściem Polski w skład Unii Europejskiej. W pierwszej fazie najważniejszy był przegląd prawa polskiego pod kątem jego zgodności z przepisami unijnymi (tzw. screening). Istotnym sukcesem Jana Kułakowskiego, pełnomocnika rządu do spraw negocjacji o członkostwo RP w UE, było doprowadzenie do odrzucenia francuskich propozycji, by właściwe negocjacje członkowskie rozpocząć dopiero po zamknięciu screeningu. Ponieważ ten ostatni zakończono dopiero w końcu 1999 r., oznaczano to, że Polska zyskała dzięki temu rok czasu. Konsekwencją screeningu była konieczność nowelizacji wielu ustaw oraz uchwalenia ponad stu nowych. Zajęła się tym specjalnie powołana w Sejmie komisja odpowiedzialna za ustawodawstwo europejskie.”

Cyt. – Antonii Dudek „Historia polityczna Polski 1989 – 2023” Wydawnictwo Naukowe „SCHOLAR”. Warszawa 2023. Str.310.

Wbrew temu, co można by sądzić biorąc wprost wyżej cytowane słowa historyka, trudno określić negocjacje akcesyjne do NATO i pozytywne sfinalizowanie ich, jako proces łatwy. Wymagał on zarówno przełamania oporu Rosji

jej lobbystów w Ameryce i krajach europejskich, jak i obaw części europejskiej i amerykańskiej klasy politycznej o to, że sam fakt rozszerzenia Sojuszu o kraje – byłych członków układu warszawskiego – okaże się krokiem ryzykownym i zbyt mocno antagonizującym Rosję. Niezbędne było także wynegocjowanie szczegółowych warunków i przyjęcia przez Polskę niebagatelnych zobowiązań finansowych w postaci składki sięgającej poziomu 2, 5 % budżetu Sojuszu oraz wdrożenie rozwiązań zapewniających inter-operacyjność polskich jednostek w ramach struktur wojskowych Paktu, tak, aby było możliwe pełne uczestnictwo polskich wojsk w działaniach NATO.

Warto prześledzić jak bardzo długą drogę przeszliśmy w ciągu zaledwie kilku lat – od rozwiązania układu warszawskiego w lipcu 1991 r. poprzez decyzję zapadłą w Polsce w 1992 roku za rządu Jana Olszewskiego o przyjęciu za cel strategiczny Polski uczestnictwa w NATO, dalej przez realizację programu współpracy z Sojuszem w ramach programu Partnerstwo dla Pokoju – do lipca 1997 roku, gdy szefowie państw i rządów NATO w Madrycie podjęli decyzję o zaproszeniu Polski, Czech i Węgier do rozmów w sprawie członkostwa w Sojuszu.

Postanowienie to opisane zostało w „Deklaracji o Euroatlantyckim Bezpieczeństwie i Współpracy”, która stanowiła także, że NATO zamierza podpisać Protokół Akcesyjny jeszcze w grudniu 1997r. i planuje zakończenie procesu ratyfikacyjnego tak, aby zaproszone państwa zostały członkami Paktu już w kwietniu 1999 r.

Do końca listopada 1997 r. trwały kolejne tury naszych negocjacji akcesyjnych prowadzone z przedstawicielami Sekretariatu NATO i Dowództwa Sił NATO w Europie (SHAPE), pod przewodnictwem Zastępcy Sekretarza Generalnego NATO do spraw politycznych.

W listopadzie także Minister Spraw Zagranicznych RP Bronisław Geremek przekazał Sekretarzowi Generalnemu NATO list wyrażający wolę RP przystąpienia do Traktatu Północnoatlantyckiego, który zawierał potwierdzenie gotowości przyjęcia obowiązków wynikających z członkostwa oraz wyrażenie woli Państwa Polskiego, co do otrzymania zaproszenia do Sojuszu. W tym samym miesiącu miała też miejsce oficjalna wizyta Premiera RP Jerzego Buzka w Brukseli.

seli gdzie doszło do spotkania Premiera z Sekretarzem Generalnym Sojuszu, Javierem Solaną.

Wreszcie – 16 grudnia 1997 roku – ministrowie spraw zagranicznych państw członkowskich NATO podpisali Protokoły Akcesyjne Polski, Czech i Węgier, co umożliwiło rozpoczęcie procesu ratyfikacyjnego przez parlamenty krajów członkowskich.

Proces ten trwał przez cały rok 1998, – do Departamentu Stanu USA koordynującego cały proces – spływały z parlamentów poszczególnych państw członkowskich dokumenty ratyfikacyjne Protokołów Akcesyjnych. Jako dwa ostatnie dokumenty ratyfikacyjne zostały przekazane Departamentowi Stanu USA: decyzje parlamentu Turcji w dniu 3 grudnia oraz Senatu oraz izby niższej parlamentu holenderskiego – 4 grudnia 1998 r.

Polska Czechy i Węgry otrzymały w styczniu 1999 r. od Sekretarza Generalnego NATO formalne zaproszenie do przystąpienia do Paktu, a 17 lutego Sejm i Senat RP przyjęły ustawę o ratyfikacji traktatu waszyngtońskiego z 4 kwietnia 1949 roku powołującego Sojusz Północnoatlantycki, która po podpisie Prezydenta wraz z kontrasygnatą premiera, weszła w życie z dniem publikacji – 19-go lutego 1999 r.

Ostatecznie, po złożeniu przez Ministra Spraw zagranicznych RP naszych dokumentów ratyfikacyjnych w dniu 12 marca w Independence w stanie Missouri, na ręce Sekretarza Stanu USA, Polska stała się formalnie członkiem NATO. 16 marca flaga Polski została po raz pierwszy podniesiona na maszcie przed siedzibą kwatery głównej NATO w Brukseli.

Trzeba tu jednak podkreślić, że kluczowym, decydującym elementem tego procesu było uzyskanie pozytywnej decyzji Senatu USA. Decyzja o ratyfikacji musiała zapaść większością 2/3 głosów senatorskich, co wcale nie było na samym początku tego procesu oczywiste. Ostatecznie, Senat USA podjął tę dla nas fundamentalną decyzję 80-ciu głosami przeciw 19-tu, ale droga do uzyskania tego rezultatu wymagała przeprowadzenia bardzo szerokiej i intensywnej kampanii dyplomatycznej i medialnej, w którą zaangażowane było zarówno Państwo Polskie jak i wielu środowisk – organizacji pozarządowych, społecznych zarówno z Polski jak i społeczności polskich za granicą.

Należy tu przypomnieć bardzo aktywną rolę Polonii amerykańskiej w procesie lobbowania na korzyść Polski wśród senatorów, ze szczególnym zaangażowaniem takich postaci jak Jan Nowak Jeziorański, czy Zbigniew Brzeziński. Polska ambasada pracowała także bardzo intensywnie – organizowano wiele spotkań polskich polityków, dyplomatów, dziennikarzy i osób opiniotwórczych w Ameryce z wieloma ważnymi osobami i środowiskami amerykańskimi, których ewentualne stanowisko mogło mieć istotny wpływ na ostateczne decyzje Senatu.

W tych działaniach aktywnie uczestniczył też Sejm RP, w szczególności jego komisja spraw zagranicznych, której przewodniczył reprezentujący AWS Czesław Bielecki.

Był osobą o dużym autorytecie i dorobku – doktorem nauk technicznych – architektem, miał znakomitą kartę działacza opozycji antykomunistycznej – rozpoczynał swą działalność już w początkach lat 70-tych w konspiracyjnej „Polsce walczącej”, w końcu lat 70-tych w Polskim Porozumieniu Niepodległościowym”, współpracował z Jerzy Giedroyciem i jego paryską „Kulturą” publikując w niej aż do końca lat 90-tych. Jako Maciej Poleski w okresie stanu wojennego do końca lat osiemdziesiątych publikował w wielu pismach podziemia antykomunistycznego. Był autorem m.in. kultowego „podręcznika” działaczy podziemia – „Mały konspirator” i jednocześnie autorem niezwykle pięknego projektu żoliborskich kwater żołnierzy Powstania Warszawskiego na Wojskowych Powązkach. Stworzył „Ruch Stu”, który stał się jednym z istotnych podmiotów współtworzących Akcję Wyborczą Solidarność.

Wniósł bardzo istotny wkład w prace programowe AWS. Był także m.in. orędownikiem strategicznego projektu przedłużenia rurociągu „Odessa-Brody” i doprowadzenia go do płockiej Petrochemii i do Gdańska. Miał jasną wizję realizacji celów strategicznych suwerennego państwa polskiego, zwłaszcza w sferze prowadzenia polityki gospodarczej i zagranicznej.

Zaraz na początku 98-go roku, Czesław Bielecki, jako szef sejmowej komisji spraw zagranicznych zwrócił się do nas – Andrzeja Anusza (członka komisji spraw zagranicznych) i do mnie (m.in. komisja Administracji i Spraw Wewnętrznych) z propozycją udziału w zorganizowanej w istotnym stopniu przez niego osobiście „misji” – tygodniowego wyjazdu do Stanów, w ramach

delegacji Sejmu RP, na rozmowy z American Jewish Committee (AJC) w sprawie pozyskania ich poparcia dla polskiej akcesji do NATO.

Należy podkreślić, że AJC był (i jest do dziś) jedną z najbardziej wpływowych organizacji w Stanach Zjednoczonych, której członkami było wtedy kilkudziesięciu senatorów i około setki kongresmenów amerykańskich i jej stanowisko w sprawie rozszerzenia NATO m.in. o Polskę miało swój istotny „ciężar gatunkowy”. Była to też organizacja o dużo większym znaczeniu niż tradycyjnie niechętny Polsce Kongres Żydów Amerykańskich.

Był to wyjazd oficjalny na zaroszenie AJC, koordynowany przez komisję spraw zagranicznych i MSZ. Wybrano tzw. „młodych liderów politycznych” w tym 5 posłów z głównych ugrupowań parlamentarnych.

Oprócz mnie i Andrzeja, Czesław zaprosił do udziału posłów – Tadeusza Zielińskiego reprezentującego UW (posła II i III Kadencji, prawnika – w latach późniejszych belwederskiego profesora nauk teologicznych), z ramienia SLD uczestniczyli – Pani poseł Małgorzata Okońska-Zaremba (w latach 2001-2004 wiceminister gospodarki), poseł Marek Wikiński (poseł w kolejnych trzech kadencjach i sekretarz stanu w KPRM w latach 2003-2004), a także Adam Pawłowicz – dziennikarz telewizyjny i radiowy, związany z prezentującym poglądy centroprawicowe środowiskiem tzw. „pampersów” (później pełnił też ważne funkcje w spółkach skarbu państwa).

Jak później żartowaliśmy w tym gronie – chodziło organizatorom o pokazanie amerykańskim gospodarzom, że w Polsce jest politycznie szerokie spektrum młodych polityków, którzy „nie są antysemitami”. Mieliśmy bogaty program kulturalny, wiele spotkań bezpośrednich z rodzinami żydowskimi. W zasadniczej części oficjalnej jednym z ważniejszych wydarzeń było spotkanie naszej delegacji z szeroką grupą czołowych działaczy AJC, którego gospodarzem był długoletni (1989-2011) burmistrz Chicago, ...(z pochodzenia Irlandczyk) – Richard Michael Daley. Warto zaznaczyć, że miał on swe zasługi w budowaniu relacji amerykańsko – polskich i jest posiadaczem wysokiego polskiego odznaczenia nadawanego obcokrajowcom – Krzyża Komandorskiego Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

Poznaliśmy wiele ważnych i wpływowych osób ze środowiska AJC, żeby

wymienić choćby członków zarządów central takich potentatów jak Pepsi – Cola czy Estee – Lauder.

Bardzo istotne znaczenie miało też spotkanie na DePaul University (macierzystej uczelni Daley’a gdzie otrzymał doktorat) z kilkusetosobową grupą członków AJC. Nasi gospodarze wspierali nas w tym, aby nie unikać trudnych w polsko-żydowskich relacjach tematów historycznych zwłaszcza z okresu II wojny światowej. Zarówno na tym spotkaniu, jak również później podczas szerokiego spotkania i debaty w Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie, mieliśmy okazję obszernie przedstawić nasze poglądy na kwestie polsko – żydowskie zarówno w aspekcie historycznym, jak w kontekście głównego naszego celu – czyli pozyskania wsparcia środowiska amerykańskich Żydów dla naszych starań o akcesję do NATO.

Na początku tych debat, trwających po kilka dobrych godzin, zawsze mieliśmy sporo wypowiedzi i pytań, które świadczyły o pokutujących antypolskich stereotypach albo wynikały z generalnie niskiego poziomu wiedzy historycznej. My – tzn. głównie Andrzej, ja i Adam mówiliśmy oczywiście o Janie Karskim, rotmistrzu Pileckim, Szmulu Zigelbojmie o działalności podziemnego Państwa Polskiego i Żegoty w ratowaniu Żydów, o kompletnej prawie obojętności i bezczynności amerykańskich Żydów w czasie wojny wobec losu ich pobratymców w okupowanej przez Niemców Europie. Andrzej opowiedział autentyczną historię swojej rodziny od strony Mamy, która zapłaciła najwyższą cenę za ratowanie rodziny żydowskiej w czasie niemieckiej okupacji, – co zostało zresztą pokazane w zrealizowanym przez Szwajcarów filmie dokumentalnym „Połowa miasteczka”. Stopniowo, przebijając niejako, mgłę niewiedzy, czy nawet niechęci niektórych słuchaczy, docieraliśmy z naszym przekazem – po spotkaniach wiele osób zapraszało nas do odwiedzin w swych domach, generalnie chcieli rozmawiać. W kwestiach historycznych mogę podsumować, że nasi gospodarze i inni rozmówcy byli generalnie dużo bardziej bliscy postrzeganiu i wyważonym ocenom relacji polsko – żydowskich prezentowanych przez np. Szymona Datnera niż podszytemu patologiczną nienawiścią antypolonizmowi, który karze wulgarnie fałszować historię prezentowanemu współcześnie przez Grossa czy Grabowskiego.

Musieliśmy także dyskutując o sytuacji po zakończeniu „zimnej wojny” i upadku Związku Sowieckiego oraz aktualnym procesie rozszerzania NATO na wschód „dawać odpór” na przykład opiniom niejakiego Longina Pastusiaka, który według naszych rozmówców głosił podczas swoich wystąpień na DePaul University pogląd o szkodliwości rozszerzania NATO i członkostwa w Sojuszu Polski, ze względu na „kanoniczną tezę” o konieczności unikania „drażnienia Rosji” i wkraczania w jej „strefę wpływów”.

Podsumowując ten wątek chcę podkreślić, AJC była jedną z pierwszych, ważnych i wpływowych organizacji amerykańskich, która przed decyzją Senatu USA o zgodzie na przystąpienie Polski do NATO, wystąpiła do Senatu i administracji prezydenckiej z oficjalnym stanowiskiem – apelem o poparcie naszej akcesji do Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Naturalnie w tej sprawie w Stanach na naszą korzyść lobbowało wiele osób i środowisk reprezentujących zarówno Państwo Polskie jak społeczeństwo obywatelskie, więc nie przypisujemy sobie żadnych zasług i sprawczości w naszych działaniach wobec AJC. Natomiast faktem jest też, że ich stanowisko miało istotny wpływ na decyzję Senatu, a my mieliśmy dużą satysfakcję, że mogliśmy dorzucić swój skromny udział do tej wielkiej i zakończonej sukcesem Polski kampanii.

Uważam, że polityka zagraniczna rządu Buzka ukierunkowana na realizację celów strategicznych Polski, czyli akcesji zarówno do NATO jak i UE, była prowadzona profesjonalnie, skutecznie i należy ją określić, jako niekwestionowany sukces i kluczowy wkład w umacnianie niedawno odzyskanej niepodległości.

Podsumowaniem tego wątku niech będzie sprawa kampanii, prowadzonej jeszcze z pozycji kraju aspirującego i negocjującego warunki członkostwa o przyszłą pozycję Polski strukturach decyzyjnych UE, wokół postanowień Traktatu Nicejskiego, który negocjowany był w roku dwutysięcznym, a wszedł w życie w dwutysięcznym trzecim.

Dzięki sprawnej akcji dyplomatycznej, współpracy z Brytyjczykami oraz, w szczególności, zawarciu ważnego aliansu z liderem hiszpańskiej Partii Ludowej i premierem Aznarem, udało się odrzucić niekorzystne i osłabiające Polskę propozycje francuskie, uzyskując dla Polski taką samą siłę głosu w organach

UE jak Hiszpania, a minimalnie tylko mniejszą od tej, którą dysponowały mające znacząco większy od nas potencjał ludnościowy i gospodarczy – Niemcy, Francja, Wielka Brytania, czy Włochy. Dawało to nam znaczącą pozycję w UE, istotny wpływ na jej politykę – ułatwiało np. budowanie tzw. mniejszości blokującej w sytuacjach próby wprowadzania niekorzystnych dla nas rozwiązań.

Była to skutecznie realizowana polityka państwa w pełni suwerennego, co nie było standardem w wykonaniu wielu wcześniejszych i późniejszych rządów polskich po 1989 roku.

W polityce wewnętrznej rok 1998 i 1999 to czas wprowadzenia, jednocześnie z realizacją procesów akcesyjnych do NATO i UE, głębokich zmian modernizacyjnych, zasadniczo zmieniających funkcjonowanie państwa – dotąd – owego „PRL-bis” z lat 1993 – 97.

O reformach rządu Jerzego Buzka napisano wiele, większość ocen dokonywana z pozycji lewicowo – liberalnych okazała się skrajnie krytyczna i równie skrajnie nieobiektywna.

My uważaliśmy, że rządzenie i władza są po to by nieustannie poprawiać i ulepszać państwo, a nie polega tym by „odcinać kupony i zamiatać problemy pod dywan”. Rząd Jerzego Buzka wprowadził Polskę do NATO, wykonał prawie 95 proc. działań przygotowujących Polskę do akcesji do Unii Europejskiej i podjął ryzyko kosztownej politycznie, głębokiej reformy państwa, która gruntownie i korzystnie zmieniła Polskę.

Co prawda Leszek Miller, dochodząc do władzy, mówił, że pod rządami Buzka niemowlęta umierały na śmietniku, ale była to jedna z wielu bzdur w skierowanej przeciwko AWS, chamskiej propagandzie ówczesnej opozycji. To po przejściu władzy SLD Millera i Kwaśniewskiego „wsławiła się” aferą Rywina i natychmiastowym zablokowaniem realizowanej przez AWS polityki uniezależnienia Polski od ruskiego gazu poprzez dywersyfikację zaopatrzenia, zrywając zawarty przez rząd Buzka gazowy kontrakt norweski.

Nie będę tu dokonywał szczegółowej analizy 4 reform rządu Buzka, ale chcę podkreślić kilka spraw, które uważam za najważniejsze

Jest faktem, że reformy AWS, zwłaszcza reforma administracyjno-samorzą-

dowa wraz z decentralizacją budżetu zlikwidowały skrajnie niewydolną, postkomunistyczną „Polskę resortową”. Stworzono podstawy lepszego funkcjonowania samorządu terytorialnego dając mu narzędzia do sprawnego lokalnego administrowania, a jednocześnie, na wszystkich 3 szczeblach, prowadzenia polityki rozwoju. Najlepszym tego dowodem jest bardzo wysoki stopień wykorzystania środków unijnych po 2004 roku – przez cały okres wszystkich kolejnych perspektyw finansowych, aż po dzień dzisiejszy, – w którym to procesie udział jednostek samorządu terytorialnego jest bardzo znaczący.

Reforma służby zdrowia była racjonalnie pomyślana i miała szansę powodzenia – system kas chorych, który bardzo dobrze sprawdził się w Niemczech i Czechach, mógł za funkcjonować też w Polsce pod warunkiem, że będzie miał od początku wystarczające źródła finansowania, będzie stale ulepszany a nie niszczone i że z czasem do systemu ochrony zdrowia trafią też środki z uzupełniających system prywatnych funduszy ubezpieczeń zdrowotnych. Tak się nie stało – już na samym starcie wprowadzany przez AWS system Kas Chorych został pozbawiony przez Balcerowicza niezbędnych środków finansowych – wymusił on obniżenie poziomu składek zdrowotnych powiązanych z podatkiem dochodowym i stanowiących główne źródło finansowania Kas z postulowanych 9 na 7.5 %. Po 2001 roku komuniści zamiast poprawić i rozwijać ten system, zniszczyli go, wprowadzając centralistycznego molocha NFZ, dysponującego ogromną ilością stanowisk i etatów i jak się bardzo szybko okazało bardzo nieefektywnego w działaniu. Ten stan trwa do dziś – w systemie ochrony zdrowia dobrze czują się tylko lekarze, na pewno nie pacjenci. Z powodu politycznego konformizmu i zwyczajnego tchórzostwa wszystkich rządów po 2001 roku, polski system ochrony zdrowia stopniowo degrengolował w permanentnym kryzysie, aż do obecnego stanu, w którym wygląda na to, że się kompletnie rozlatuje.

Z kolei nasza reforma emerytalna zerwała z dotychczasową postkomunistyczną patologią – stanem, w którym ZUS nie był oddzielony od budżetu państwa i minister finansów mógł sobie ze środków powstających ze składek obywateli czerpać praktycznie swobodnie na dowolne cele. Podobną w sensie

spособu myślenia filozofię już po roku 2000-ym zaprezentował rząd Tuska, który po prostu okradł obywateli likwidując Otwarte Fundusze Emerytalne i zabierając ich środki.

Wprowadzanie reformy emerytalnej przez rząd Buzka było od początku bardzo utrudnione, z powodu zaszłości i fatalnych, mających oczywisty korupcyjny kontekst, decyzji funkcjonariuszy rządu SLD –UP -PSL o powierzeniu informatyzacji ZUS firmie „Prokom” Krauzego, człowieka powiązanego z gangsterami z wybrzeża i służbami specjalnymi PRL.

Kontrakt ten był początkiem „wielkiej kariery biznesowej” Krauzego, co oznaczało, że okazał się skrajnie niekorzystny dla ZUS i budżetu państwa. Prokom nie miał kompetencji ani zdolności do realizacji informatyzacji ZUS, „uczył się” tego wszystkiego „w trakcie”, co ogromnie przedłużało czas realizacji powodowało bardzo duży wzrost kosztów przez konieczność ciągłego „poprawiania” tego, co miało działać, a nie działało.

Rząd Buzka był w pewnym sensie zakładnikiem tej sytuacji – musiał podjąć decyzję czy anulować kontrakt Prokomu na informatyzację ZUS, co oznaczało w praktyce odsunięcie „ad Kalendas Graecas” – czyli na wieczne nigdy- wprowadzenia całej reformy emerytalnej, albo zdecydować, że trzeba tę informatyzację ZUS poprawić i jak najszybciej dokończyć, aby reforma mogła w ogóle wystartować. Zdecydowano się na to drugie, uznając, że zablokowania reformy będzie najgorszym z możliwych wyjść z sytuacji.

Z perspektywy czasu warto jeszcze zwrócić uwagę na często niedoceniany, pozytywny aspekt stworzenia w Polsce prywatnych funduszy emerytalnych, (OFE). Otóż wypełniły one ogromną lukę polskiego rynku kapitałowego – braku znacząco skumulowanego krajowego kapitału oraz braku dużych polskich inwestorów instytucjonalnych inwestujących stabilnie i długoterminowo. Wiele powstających polskich firm uzyskało możliwość pozyskania krajowego kapitału do rozwoju, zamiast od razu oddawać kontrolę zagranicznemu kapitałowi i także wiele z nich zaistniało i ostało się na rynku jako duże przedsiębiorstwa mające swe siedziby w Polsce i przeważający krajowy kapitał.

W długoterminowej perspektywie, już w latach dwutysięcznych, kryzys tego systemu i jego dysfunkcja wynikały w istotnym stopniu z działań, a raczej zaniechań kolejnych rządów, które nie potrafiły amortyzować negatywnych

skutków starzenia się społeczeństwa i nie odprowadzały niezbędnych, wystarczających środków finansowych na tzw. fundusz rezerwy demograficznej.

Z mojej perspektywy lata 1998 i 99 to czas ogromnego merytorycznego wysiłku, wytężonej pracy. Pracowałem wtedy w czterech komisjach sejmowych – od początku kadencji w komisji administracji i spraw wewnętrznych i komisji regulaminowej i spraw poselskich. Zwłaszcza komisja ASW, która podobnie jak komisje samorządu terytorialnego i budżetu i finansów, niosły na sobie istotną część ciężaru przygotowania i uchwalenia całego pakietu reform rządu Buzka – były gremiami pracującymi praktycznie non stop. Pamiętam posiedzenia komisji rozpoczynające się o godz.8 rano a kończące się we wczesnych godzinach rannych następnego dnia. Nie były to sytuacje jednostkowe – przeciwnie dość częste, zważywszy na to, że przez ten czas zostało uchwalone bez mała kilkaset, bardzo często trudnych merytorycznie i skomplikowanych prawnie rozwiązań ustawowych.

Bardzo dobrze wspominam z tego czasu współpracę z jednym z głównych twórców reformy administracyjno – samorządowej, moim nauczycielem i przewodnikiem akademickim prof. Michałem Kuleszą oraz szefem komisji ASW Janem Marią Rokitą. Muszę dodać, że zwłaszcza w pierwszym okresie większość posłów koalicji AWS-UW współpracowała zgodnie i z dużą determinacją starała się jak najszybciej o realizację programu reform rządu.

Dość powiedzieć, że tylko w roku 1998-ym zostały przyjęte najważniejsze regulacje wprowadzające nasz program zmian.

Dla przykładu, za archiwalnym dokumentem przygotowanym przez Dział Analiz Klubu Parlamentarnego AWS pt. *„Wykaz ustaw uchwalonych przez Sejm III Kadencji w 1997 i w 1998 roku – w układzie chronologicznym (stan na 14.12.1998 r.)”* przywołuję tylko niektóre z ważnych uchwalonych tylko w 1998 roku ustaw:

- o zmianie ustawy – Ordynacja wyborcza do rad gmin – uchwalona na posiedzeniu nr.14 20.03.1998 r. – Dziennik Ustaw nr.50, pozycja 311;
- o samorządzie powiatowym – uchwalona na pos.nr.17 – 07.05.1998 r. Dz.U. nr 91 poz.578;
- o administracji rządowej w województwie – uchw. na pos.17 – 07.05.1998 r. Dz.U. nr 91 poz. 577;

- o samorządzie województwa – uchw. na pos.17 – 07.05.1998 r. Dz.U. nr 91 poz.576;
- o zmianie ustawy o ujawnieniu pracy lub służby w organach bezpieczeństwa państwa lub współpracy z nimi w latach 1944-1990 osób pełniących funkcje publiczne oraz o zmianie niektórych innych ustaw – uchw. na pos. nr 21. Dz.U. nr 131 poz.860;
- Ordynacja wyborcza do rad Gmin, rad powiatów i sejmików województw – uchw. na pos.21 – 19.06.1998r. Dz.U. nr 95 poz.602;
- o zmianie ustawy o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego – uchw. na pos. nr 18 – 21.05.1998 r. Dz.U. nr 97 poz.604;
- o zmianie ustawy o ustroju miasta stołecznego Warszawy – uchw. na pos. nr 23 – 01.07.1998 r., na pos. nr 24 w dniu 18.07.1998 Sejm nie odrzucił poprawek Senatu, ustawa została zaskarżona do TK przez Prezydenta;
- o zmianie niektórych ustaw określających kompetencje organów administracji publicznej w związku z reformą ustrojową państwa – uchw. na pos. nr 23 – 01.07.1998 r. Dz.U. nr 106 poz.688;
- o wejściu w życie ustawy o samorządzie powiatowym, ustawy o samorządzie województwa oraz ustawy o administracji rządowej w województwie – uchw. na pos. nr 22 – 26.06.1998 r., na pos.25 – 24.07.1998 r. Sejm przyjął część poprawek Senatu. D.U. nr 99 poz.631;
- o wprowadzeniu zasadniczego trójstopniowego podziału terytorialnego państwa – uchw. na pos. nr 24 – 18.07.1998 r., na pos.25 – 24.07.1998 r. Sejm przyjął część poprawek Senatu. Dz.U. nr 96 poz.610;
- o zmianie ustawy o finansowaniu Gmin – uchw. na pos. nr 25 – 25.07.1998r. Dz.U. nr 98 poz.611;
- o Prokuraturii Generalnej Rzeczypospolitej Polskiej – uchw. na pos. nr 30 – 30.09.1998 r. Senat wniósł poprawki – druki 682 i 696 z 30.10.1998 r. – chwili sporządzenia wykazu trwała procedura legislacyjna;
- o systemie ubezpieczeń społecznych – uchw. na pos. nr 29 – 22.09.1998 r., na pos. nr 31 – 13.10.1998 r. Sejm przyjął część poprawek Senatu. Dz.U. nr 137 poz.887;
- przepisy wprowadzające ustawy reformujące administrację publiczną –

uchw na pos. nr 30 – 30.09.1998 r., na pos. nr 31 – 13.10.1998 r. Sejm przyjął część poprawek Senatu. Dz.U. nr.133 poz.872;

– o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – uchwalona na pos. nr 29 – 22.09.1998 r. Na pos. nr 34 – 09.11.1998 r. Sejm przyjął część poprawek Senatu. 4 grudnia w druku 770 wpłynęło weto Prezydenta. Odrzucone zostało przez Sejm 18.12.1998r. – już po sporządzeniu opisywanego wykazu;

– o zmianie ustawy o powszechnym ubezpieczeniu zdrowotnym – uchw. na pos. nr 34 – 10.11.1998 r. Dz.U. nr 144 poz.929;

– o zmianie ustawy o samorządzie województwa oraz ustawy – Ordynacja wyborcza do rad gmin, powiatów i sejmików województw – uchw. na pos. nr 34 – 10.11.1998 r. Senat wniósł poprawki – druk 771 z 04.12.1998 r. – do chwili powstania omawianego wykazu nie zakończyła się procedura legislacyjna;

– o dochodach jednostek samorządu terytorialnego w latach 1999 i 2000 – uchw. na pos. nr 34 – 26.11.1998 r. Na pos. nr 36 – 26.11.1998 r. Sejm przyjął część poprawek Senatu. W chwili sporządzania wykazu nie była jeszcze zakończona procedura legislacyjna ;

– o zmianie ustawy o podatkach i opłatach lokalnych – uchw. na pos. nr 37 – 03.12.1998r. – ustawa skierowana do Senatu – na chwilę sporządzania wykazu trwała jeszcze procedura legislacyjna.

Lektura takiego zestawienia może być nużąca, ale kryje ono w sobie, pod suchym opisem zdarzeń legislacyjnych informacje o często dramatycznych okolicznościach uchwalania tych przepisów – żeby dać wyżej przytoczony opis walki o uchwalenie i potem przełamanie weta prezydenckiego do ustawy o IPN.

Podobnie trudną przeprawę mieliśmy z uzyskaniem akceptacji nowego podziału terytorialnego na poziomie wojewódzkim. Pierwotna propozycja rządowa zakładała utworzenie 12 dużych województw, zbliżonych do rangi regionów. To rozwiązanie było krytykowane z wielu stron – od SLD i PSL-u do ROP-u... Nawet w szeregach AWS i UW były silne grupy lokalne, których posłowie walczyli zaciekle o to by ich miasta – dawne stolice wojewódzkie – były stolicami nowych województw. Najskuteczniejsze okazały się m.in. działania

posłów z Kielc i Opola (powstały wcześniej nieprzewidziane w projekcie rządowym województwa Świętokrzyskie i Opolskie) między innymi dzięki determinacji posłów AWS z tych terenów – Mariusza Olszewskiego (Kielce) i Elżbiety Adamskiej – Wedler (Opole), nie udało się środowiskom lokalnym natomiast wywalczenie województwa Koszalińskiego.

W czerwcu 1998 r. rządowy projekt podziału na 12 województw został odrzucony. Konieczne było zawarcie kompromisu – początkowo wydawało się, że zakończy się przyjęciem propozycji Senatu, gdzie AWS miała bezwzględna większość i przeforsowała propozycję 15 województw, ale oczywiście wtrącił się ze swym kolejnym vetem Kwaśniewski, co spowodowało konieczność długich negocjacji z komuchami... Ostatecznie stanęło na kompromisie – 16-tu województwach, które istnieją do dziś...

Ostatecznie na podstawie wyżej powołanych ustaw, z dniem 1 stycznia 1999 r. powołano 16 województw, utworzono 308 powiatów ziemskich i 65 grodzkich, co wraz z istniejącymi już od 1990 roku gminami konstituowało trzystopniowy podział administracyjny naszego kraju.

Wybory samorządowe zostały przeprowadzone w dniu 11 października 1998 roku. Zakończyły się one nieznacznym zwycięstwem AWS, drugim ugrupowaniem mającym najlepszy wynik było SLD. Miałem też swoją małą satysfakcję, gdyż zostałem wybrany z dobrym wynikiem na radnego Sejmiku Mazowieckiego z okręgu warszawskiego.

Moja aktywność poselska w tym czasie bardzo intensywna wynikała także z faktu powołania mnie do składu 2 kolejnych komisji sejmowych – Komisji Nadzwyczajnej do rozpatrzenia projektów ustaw dotyczących ustroju oraz samorządu miasta stołecznego Warszawy (NUW) powołanej 22-05-1998 r. (zakończyła działalności 05-03-1999 r.) oraz Komisji Nadzwyczajnej do rozpatrzenia projektów ustaw dotyczących spółdzielczości (NSM), powołanej 16-07-1998 r. działającej do końca kadencji.

Ta druga komisja powstała z inicjatywy posłów AWS i jej głównym celem była realizacja istotnej części naszego programu powszechnego uwłaszczenia

obywateli, polegającego na przeprowadzeniu takich zmian w prawie spółdzielczym, które pozwoliłyby rzeszy ok.2 milionów Polaków uzyskać prawo własności ich mieszkań. Byłem współautorem projektu ustawy zmieniającej prawo o spółdzielniach mieszkaniowych – o uregulowaniu stosunków własnościowych w spółdzielniach mieszkaniowych.

Zasadnicze rozwiązanie polegało na tym, aby osoby posiadające spółdzielcze własnościowe, a także lokatorskie prawo do lokalu spółdzielczego uzyskały z mocy prawa prawo własności tych lokali.

Oto fragmenty mojego wystąpienia sejmowego w tej sprawie:

„Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Chciałbym przedstawić stanowisko Klubu Parlamentarnego AWS w sprawie projektów ustaw przedstawionych w drukach nr 315, 399, 407. Jako jeden z wnioskodawców projektu AWS-owskiego, projektu z druku nr 399, ze zrozumiałych względów moje wystąpienie przede wszystkim chciałbym odnieść do tego projektu. (...)

Chcę powiedzieć, że zasadniczym celem tego projektu jest w naszym przekonaniu uporządkowanie stosunków własnościowych w spółdzielniach mieszkaniowych. Efektem uporządkowania tych stosunków własnościowych będzie ostateczne rozwiązanie od lat narastającego problemu własności gruntów, na których spółdzielnie wznosiły domy mieszkalne (...).

Proponowany projekt likwiduje wady obecnie istniejącego stanu regulacji prawnej spółdzielni mieszkaniowych lub zmniejsza ich dotkliwość i uciążliwość, w zamian dając poczucie odpowiedzialności i bezpieczeństwa związanego z własną nieruchomością. Równoważny celom porządkującym stosunki własnościowe członków spółdzielni jest efekt uwłaszczeniowy projektu. Jak powiedział pan poseł Tomasz Wójcik, przedstawiciel wnioskodawców projektu z druku nr 399, jest to jeden z elementów programu powszechnego uwłaszczenia. W praktyce zaspokojonyby potrzeby około 2 do 3 mln obywateli w ramach programu powszechnego uwłaszczenia. (...)

Za koniecznością zmian przemawia ustanie przyczyn upowszechnienia się w przyszłości spółdzielczych form korzystania z lokali, czyli po prostu dokonana zmiana ustrojowa. W nowych warunkach nie znajduje żadnego uzasadnienia uprzywilejowanie peerelowskich wyższych form własności, wyższych w cudzystowie,

spółdzielczej. Generalnie, tak zwane stare spółdzielnie mieszkaniowe nie znalazły się na rynku, zajmują się administrowaniem posiadanymi zasobami mieszkaniowymi. Niektóre prowadzą działalność deweloperską, ale niewiele to ma wspólnego z ideą spółdzielczości.(...)

W art. 1 projekt stanowi, że z dniem wejścia w życie ustawy spółdzielcze własnościowe prawo do lokalu mieszkalnego, spółdzielcze lokatorskie prawo do lokalu mieszkalnego i spółdzielcze prawo do lokalu użytkowego, w tym spółdzielcze prawo do garażu, stają się odpowiednio prawem własności lokalu mieszkalnego lub lokalu o innym przeznaczeniu. Trzeba powiedzieć, że z artykułu tego wynika po prostu, iż projekt dokonuje z mocy prawa ustanowienia odrębnej własności lokali na rzecz osób, którym przysługiwały prawa spółdzielcze. Obejmuje on również spółdzielcze lokatorskie prawo do lokalu, stanowiąc widoczne przysporzenie po stronie obywatela.

Propozycji projektu nie można traktować, jako wyłączenia spółdzielni, gdyż każdy ze spółdzielców bądź sam poniósł koszty wykupienia swego lokalu, bądź odbyło się to przy pomocy państwa, między innymi w drodze umarzania kredytów. Nadto wyrażnej treści w związku z tym nabrałby art. 3 Prawa spółdzielczego stanowiący, że majątek spółdzielni jest prywatną własnością jej członków.(...)

Projekt jest odpowiedzią na pytanie, czy efektem koniecznych przekształceń prawnowłasnościowych prywatyzacji będzie utrzymanie i umocnienie kolektywistycznej własności spółdzielni, a w istocie aparatu tychże spółdzielni czy też upodmiotowienie licznej grupy obywateli – członków spółdzielni mieszkaniowych – i uczynienie ich właścicielami, na poczet czego ponieśli już dotąd istotne nakłady.(...)”

Cyt. za archiwum sejmowym: 3 kadencja, 22 posiedzenie, 2 dzień (26.06.1998) 7 punkt porządku dziennego:

Pierwsze czytanie poselskich projektów ustaw o:

- 1) zmianie ustawy Prawo spółdzielcze (druk nr 315),
- 2) uregulowaniu stosunków własnościowych w spółdzielniach mieszkaniowych (druk nr 399),
- 3) spółdzielniach mieszkaniowych (druk nr 407).

Podczas prac w komisji doszło do próby wprowadzenia przez „ekspertów” prawnych związków spółdzielczych poprawek, które choć na pierwszy rzut oka

wyglądały niewinnie, to w istocie swej niweczyły podstawowy cel i sens tej regulacji tj. przekształcenie praw spółdzielczych z mocy prawa we własność. Na szczęście, ekspertem komisji był także mój nauczyciel akademicki, znakomity cywilista – prof. Pietrzykowski. Podzieliłem się z nim moimi wątpliwościami, co do zgłoszonych przez „spółdzielców” poprawek. Profesor potwierdził moje obawy i ... dosłownie w ostatniej chwili debaty, tuż przed głosowaniem komisji w tej sprawie, obaj zabraliśmy głos krytykując poprawki... W efekcie uzyskaliśmy większość na ich odrzucenie.

Muszę dodać, że udało się nam uchwalić tę ustawę mimo bardzo silnego oporu zwłaszcza posłów SLD i części PSL. Jej losy były później dość dramatyczne. W następnej IV kadencji, większość SLD -UP- PSL j te ustawę uchyliła, dopiero pierwszy rząd PiS w latach 2005-2007 główną część naszych regulacji ponownie wprowadził.

Od początku kadencji prowadziłem też wewnątrz naszego klubu parlamentarnego prace nad projektem nowego ustroju Warszawy. Była to prosta kontynuacja moich działań jeszcze z podatku lat 90-tych i pracy nad pierwszą ustawą warszawską.

Nasz projekt zakładał zasadniczą zmianę dysfunkcjonalnego rozwiązania wprowadzonego ustawą z 25 marca 1994 r. gdzie podmiotem dominującym i upośledzającym pozostałe gminy warszawskie, a także nie realizującym właściwie funkcji ogólnomiejskich i stołecznych, była niesławna gmina centrum. Zaprojektowaliśmy, dobrze wpisujący się w realizowaną reformę administracyjno- samorządową wprowadzającą trójszczeblowy samorząd terytorialny – projekt dwuszczeblowego – gminnego i powiatowego ustroju Warszawy, gdzie organy powiatu – Prezydent i Zarząd realizowały oprócz „klasycznych” zadań powiatu, także funkcje ogólnomiejskie dużej metropolii, która jest stolica. Kompetencje, zadania i finansowanie ich były jasno zdefiniowane ustawowo, sama konstrukcja zachowywała podmiotowość gmin warszawskich a jednocześnie scalała miasto w formule powiatu realizującego funkcje ogólnomiejskie i metropolitalne.

Ponieważ zgłoszono do łaski marszałkowskiej kilka projektów dotyczących ustroju Warszawy, Sejm zdecydował o powołaniu Komisji Nadzwyczajnej do rozpatrzenia tych projektów. Zostałem wybrany przewodniczącym komisji,

wiceprzewodniczącymi byli: Joanna Fabisiak (AWS), Danuta Waniek (SLD) i Andrzej Wielowieyski (UW).

Moje przewodniczenie tej komisji stało się początkiem swoistej „warszawskiej epopei” ciągnącej się przez całą kadencję, podczas której musiałem inicjować, zgłaszać i doprowadzić do uchwalenia aż trzykrotnie – kolejnych projektów ustaw regulujących ustroj Warszawy.

W międzyczasie stawałem w tej sprawie dwukrotnie, jako przedstawiciel Sejmu przed Trybunałem Konstytucyjnym z powodu permanentnej obstrukcji Kwaśniewskiego, który najpierw skarżył ustawy do TK, a wobec trzeciej z nich – ustawy z dnia 8 czerwca 2001 r. o zmianie ustawy o ustroju miasta stołecznego Warszawy, po wcześniejszej porażce w sprawie ustroju Warszawy w Trybunale, zastosował veto.

Częścią tej epopei, ściśle związaną też z walką o kształt ustroju stolicy, była historia postulowanego przez nas i wprowadzonego przez premiera Buzka w maju 2000-go roku, zarządu komisarycznego w stolicy. Okoliczności były takie, że po wyborach samorządowych w 1998 r. UW zawarła koalicję z AWS w Warszawie, którą osobiście negocjowałem i podpisałem. Ale ta koalicja po jakimś czasie została zerwana. UW zaczęła rządzić w Warszawie z SLD i łamać przepisy o samorządzie terytorialnym. Przedstawiliśmy wówczas sprawę premierowi Jerzemu Buzkowi, który zdecydował o wprowadzeniu komisarza. Wtedy rozpętało się istne piekło. Słyszeliśmy, że Buzek zgwałcił demokrację, że nie miał prawa wprowadzić zarządu komisarycznego. Sporo później sąd administracyjny potwierdził wszystkie nasze zarzuty i uznał, że decyzja o wprowadzeniu komisarza była uzasadniona. A UW wkrótce po tej awanturze wyszła z koalicji.

Lata 1998 i 1999 to był najlepszy czas AWS i rządu Jerzego Buzka, udało się nam realnie zmienić Polskę i dać impuls i szansę efektywnego rozwoju, zarówno dzięki zmianom wewnętrznym jak i zakorzenieniu Polski w strukturach demokratycznego Zachodu....

O tym, co było dalej opowiem w kolejnej, ostatniej już części moich wspomnień.

Cdn.

An abstract geometric design featuring two large gray triangles. One triangle is in the top-left corner, with its hypotenuse running from the top-left towards the center. The other triangle is in the bottom-right corner, with its hypotenuse running from the bottom-left towards the center. The word "KULTURA" is centered in the white space between the two triangles.

KULTURA



NOBLISTA, CO PATRIOTYZMU NIE MUSIAŁ UDAWAĆ O KSIĄŻCE KRZYSZTOFA KŁOCA „BIAŁORUSIN, KTÓRY UDAJE LITWINA”

Pytanie o patriotyzm Czesława Miłosza da się zbyć zapewne stwierdzeniem, że... można je sobie darować, z powodu chwały, jakiej przysporzył ojczyźnie. Stał się pierwszym po II wojnie światowej polskim laureatem Nobla (poprzednim był ponad pół wieku wcześniej Władysław St. Reymont), a w dodatku nagrodę przyznano mu w ważnym dla polskiej historii roku 1980, a w świecie potraktowano jako premię dla dziesięciomilionowego ruchu społecznego pierwszej Solidarności.

Jakby tego było za mało, słowa Miłosza z wiersza „Który skrzywdziłeś człowieka prostego...” wyryto na odsłoniętym w tym samym roku pomniku stoczniovców Wybrzeża z 1970. Jednak protesty sprzed dwóch dekad przeciwko chowaniu poety na Skalce, nawet jeśli uznać je za wyraz opisywanej przez niego samego anima naturaliter endeciana (autorem formuły o duszy z natury endeckiej był zresztą wcale nie przyszły noblista, co ją spopularyzował, lecz Henryk Dembiński) - dowodzą, że temat nie jest fantasmagorią tylko [1]. Co więcej, w stanie wojennym a ściślej w jego pierwszych dniach, jeśli nie godzinach nawet, masowo pojawiały się na maszynowych przebitkach apokryfy - wiersze podpisane Miłosza nazwiskiem, których nie był on autorem, zanim jeszcze stworzył on słynny tekst «Do Lecha Wałęsy», utwór niewątpliwie patriotyczny a ściślej taki, którego inaczej niż tym przymiotnikiem określić się nie da.

Skoro o symbolach tyle już było mowy, dodajmy jeszcze jeden, dotyczący już nie laureata samego, lecz jego interpretatora. Trud przedstawienia nam sposobu, w jaki poeta pojmował polskość, podjął teraz urodzony w roku 1989 (zapisanym w historii Polski i świata równie mocno jak ten, co Miłoszowi literackiego Nobla przyniósł) - historyk Krzysztof Kloc.

Pochodzący w dodatku z Krakowa, w którym za sprawą przełomu, kojarzonego z tą drugą właśnie datą, laureat osiadł na stare lata, chociaż we wcześniejszych swoich pismach i wypowiedziach trwały powrót do kraju wykluczał. Za sprawą tego, co zdarzyło się w roku urodzenia Kłoca, kłócono się więc o miejsce dla Miłosza na Skalce, a nie Pere Lachaise.

O Miłosza w ogóle spierali się Polacy niemal od zawsze: gdy wybrał wolność na Zachodzie, uciekając ze służby dyplomatycznej, znakomity emigrant Marian Hemar witając go w tej samej roli, tytułował przyszłego noblistę ruskim zausznikiem, w kraju zaś inny świetny poeta Konstanty Ildefons Gałczyński - po prostu zdracą. Jedynym, co w szczerość intencji Miłosza wtedy uwierzył - a jeśli nawet nie, to uznał, że jego twórczy geniusz wart jest kredytu zaufania - okazał się redaktor paryskiej „Kultury” Jerzy Giedroyc. Sprawiedliwie więc właśnie cytował z niego - „Białorusin, który udaje Litwina” - charakteryzujący Miłosza wybrał na tytuł książki o nim traktującej Kłoc [2].

Pamiętam też, *toutes proportions gardees*, dyskusję po przyznaniu Nobla Miłoszowi, czy decyzja wynikała z pobudek literackich czy politycznych, toczoną w gorącym 1980 roku w moim Liceum Batorego, w której pojawiła się też opinia, że wiadomo, iż o politykę chodzi, skoro dostał ten Miłosz przecież Nobla pokojowego właśnie - chociaż szkoła pozostawała elitarna, osoba tę myśl formułująca została po latach cenioną prezenterką telewizyjną prowadzącą również programy o kulturze, a w oficjalnym Polskim Radiu, nie w pełnej trzasków Wolnej Europie przecież, czytano wtedy na okrągło wiersze laureata, co powinno naprowadzić na fakt, że jednak o nagrodę z literatury chodzi.

Najczęściej cytowano wtedy „W mojej ojczyźnie, do której nie wrócę”, napisane na parę lat przed udaniem się na tułaczkę, ale w jej przeczuciu, wpisującym się w klimat katastrofizmu dominujący wtedy w środowisku wileńskich Żagarów, do którego nieco ponad dwudziestoletni Czesław Miłosz przynależał. Proroctwo prawdziwe w czasach, kiedy laureatem został, okazało się fałszywe dopiero w wiele lat po narodzeniu Krzysztofa Kłoca, skupiającego uwagę swoją i czytelników na powikłanych związkach Miłosza z polskością ale również jego identyfikacji litewskiej oraz - chociaż Giedroyc żartował tylko, Białorusinem go nazywając - związkach, jeśli tak rzecz ująć można z tamtejszymi „tutejszymi” bo przecież w ten sposób zawsze spokojni, roztropni i przewidujący Białorusini

zwykli się za życia Miłosza określać w trakcie spisów powszechnych niezależnie od tego, kto je przeprowadzał, w celu dość oczywistym: aby przeżyć do momentu kolejnego liczenia ludności. Realia znamy przecież nie tylko ze „Zniewolonego umysłu” Miłosza ale i powieści Józefa Mackiewicza z „Nie trzeba głośno mówić” na czele.

Od razu warto pochwalić Kłoca za to, że daje nam dużo więcej, niż obiecuje. Podtytuł precyzuje bowiem czas zainteresowania badacza: „Czesław Miłosz i Polska 1918 - 1939”. Z książki dowiadujemy się jednak mnóstwa rzeczy istotnych z czasu innego, niż tylko ograniczony tymi datami.

Grubo po drugiej z nich miała miejsce słynna zakończona kłótnią rozmowa w trakcie kolacji w większym gronie - między Czesławem Miłoszem a Zbigniewem Herbertem. Kloc rozstrzyga wreszcie, że wbrew temu, co utrzymywał później sam Herbert, Miłosz nie opowiedział się wtedy, nawet żartem, za przyłączeniem Polski do Związku Radzieckiego. W ogóle podobne słowa nie padły. Poszło więc o co innego. Admiratorów Herberta rozczaruje także Kloc kategorycznym stwierdzeniem, że nie był on wcale we lwowskiej AK. Zaś ja być może nieco ich udobrucham porównaniem relacji obu XX-wiecznych mistrzów do podobnej wrogości, jaka podzieliła sto pięćdziesiąt lat wcześniej Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego.

Wszystkie wspólnoty Czesława Miłosza

Istotne okazuje się - zanim przejdzie on do charakterystyki postawy Miłosza wobec patriotyzmu - dokonane przez Kłoca doprecyzowanie, czym ona z pewnością... nie jest.

Spór innego mistrza, Witolda Gombrowicza z tradycjonalistyczną, rzec by można pojmowaną w sposób właściwy Henrykowi Sienkiewiczowi polskością, przewija się przez całą jego twórczość: międzywojenne „Ferdydurke” i emigrancki już „Trans-Atlantyk”. Stanowi też główną ośnowę „Dziennika”, zapewne najdoskonalszego jego dzieła. Gdzie znajdujemy ważne podsumowanie: „Dążyłem do tego, żeby Polak mógł z dumą powiedzieć: należę do narodu podrzędnego” [3].

Na to już Kloc przytomnie zauważa, że Czesław Miłosz by się pod tym

stwierdzeniem jako własnym nie podpisał. „Problemem jest tu bowiem odtrącenie przez Miłosza wspólnoty. Każdej. Także tej, która zaakceptowałaby fakt przynależności do narodu podrzędnego” [4].

Parę wspólnot, całkiem jednak dla Miłosza istotnych, ten sam Kloc trafnie wskazuje. Ważny punkt odniesienia stanowili dla niego „krajowcy”, którym marzyła się na początku XX wieku przyszła restytucja Wielkiego Księstwa Litewskiego, przeciwni wszelkim nacjonalizmom na jego terenie.

„Krajowcy, choć nigdy wielkich szans nie mieli, ostatecznie przegrali wraz z wejściem w życie kończącego w 1921 r. wojnę polsko-sowiecką traktatu ryskiego, a następnie wraz z oficjalnym przyłączeniem Wileńszczyzny do Polski. Ludwik Abramowicz, Tadeusz Wróblewski, Zygmunt Jundziłł, Roman Skirmunt, Jan Piłsudski, Kazimierz Okulicz, Michał Roemer, środowisko „Przeglądu Wileńskiego”, byli i pozostali dla Miłosza do końca jego życia symbolami. „Byli to spadkobiercy szerokiego myślenia - stwierdzi- na miarę ludzi oświeconych w osiemnastowiecznej dawnej Rzeczypospolitej”” [5]. Oczywiście Miłosz w latach 30. nie stawiał utopijnych postulatów, dotyczących polityki narodowościowej. Przystawał na polonizację chłopów białoruskich, jeśli tylko miałyby się wiązać z awansem cywilizacyjnym. Dostrzegał też różnice pomiędzy losem mniejszości nawet uciskanych w międzywojennej Polsce a piekłem, jakie tym samym narodom za kordonem zgotowała w postaci masowych represji i wywózek Rosja sowiecka. Silnie to akcentował i rozgraniczał na długo przed rokiem 1939.

Spore znaczenie ma dla Czesława Miłosza wspólnota nie tyle rodzinna, co rodowa. Wielki wpływ wyrze na niego Oskar Miłosz, pisujący po francusku znakomity poeta symbolista, z którym paryskie spotkanie opisze sugestywnie w „Rodzinnej Europie” nie ukrywając, jak silnie go uformowało. Czesław był potomkiem brata pradziadka Oskara - uff, cóż to za pokrewieństwo, chciałoby się dodać, ale chodzi przecież o niepośledniego formatu postaci, więc rechotać z tego powodu, że „dziesiąta woda po kisielu” nie wypada. Nazwisko jednak to samo. Co wiele znaczy.

Nazwisko to samo, ale wybór inny. Oskar, wtedy ceniony poeta francuski - tak trzeba jego wyjściową tożsamość określić - podczas wojny światowej nazwanej później pierwszą postanowił zadeklarować się jako Litwin. I zaangażował

się do tego stopnia, że stał się oficjalnym przedstawicielem państwa litewskiego w Paryżu i na konferencji, która zaowocowała Traktatem Wersalskim.

Nie była też z pewnością Czesławowi Miłoszowi obojętna wspólnota pochodzących z Litwy Polaków, wyodrębniona ponad epokami i barierami wydarzeń, które je dzieli. Składają się na nią Adam Mickiewicz i Andrzej Towiański, po ich zaś śmierci Józef Piłsudski, wreszcie Józef Mackiewicz, którego Miłosz rozumiał doskonale, chociaż ten pozostawał nieprzejednany wobec komunizmu, któremu z kolei on sam, późniejszy autor „Zniewolonego umysłu” wiernie służył przez całe sześć powojennych lat. Z rzadkim u niego uznaniem jednak zauważał: „Józef Mackiewicz widział groby katyńskie i napisał, co zobaczył. Przypadkiem był też świadkiem, jak odbywało się mordowanie Żydów przez Niemców w Ponarach i też zostawił rzeczowy raport. I dopóki będzie istnieć polskie piśmiennictwo, te dwa zapisy grozy dwudziestego wieku powinny być stale przypominane, po to, żeby dostarczyć miary wtedy, kiedy literatura zbyt oddala się od rzeczywistości” [6]. Miłosz poczuwał się także do „mocnej solidarności wileńczuków” z J. Mackiewiczem [7], chociaż oczywiście nie z tego powodu bronił go przed zarzutami kolaboracji z Niemcami [8]. Wszystko to Kloc wyłapuje bezbłędnie, choć zaprzecza to dobitnie jego własnej tezie o braku predylekcji Miłosza do wspólnot i identyfikacji z nimi. Chociaż - jeśli wypada tak rzec o nobliście - instynktu stadnego rzeczywiście Miłosz nie przejawiał. Zabawne, że biograf nadmienia, że jego bohater nawet harcerstwa nie znośił, gdy był mały, chociaż do niego należał. Co nie musi oznaczać wykożenia, poza tym oczywistym, bo przymusowym i wynikającym z wyroków historii. Przewidzianego przed laty w pamiętnym wierszu „W mojej ojczyźnie, do której nie wrócę”.

Ojczyzna mała i większa

Pojęcie „małej ojczyzny”, znane dziś każdemu z polskich samorządowców, a stanowią oni wybieraną bezpośrednio przez mieszkańców zbiorowość liczącą kilkadziesiąt tysięcy, zaś gdy rachuje się wraz z ich podwładnymi nawet kilkadziesiąt tysięcy osób - nie tyle likwiduje co czyni nieważnym dylemat, czy pisząc o ojczyźnie miał Miłosz na myśli Litwę czy Polskę.

I czy nie popełniłem błędu w pierwszej części mojego z kolei skromnego szkicu, wnosząc, że żagarystowskie jeszcze fatum Miłosza nie dopełniło się do końca, bo przecież do kraju powrócił, chociaż akurat na krakowski Stradom a nie nad jezioro w litewskiej kniei.

Nie ma nawet sensu toporne przywoływanie niemieckiego rozgraniczenia między „Heimatem” a „Vaterlandem”. Skoro mowa o sprawach - dla pokolenia Kłoca przynajmniej - już oczywistych. W nowej Polsce Donald Tusk nie tylko z tego powodu, że jest premierem, może mieć świadomość zarówno polską jak kaszubską i jedna drugiej nie przeszkadza, a zawdzięczamy to również Jerzemu Buzkowi, mężowi stanu o tożsamości przynajmniej potrójnej (polskiej, śląskiej i ewangelickiej) oraz posłom Akcji Wyborczej Solidarność, co przed ponad ćwierćwieczem roztropnie zagłosowali za taką reformą samorządową, która wzmocniła regionalne odrębności i patriotyzmy, nie prowadząc zarazem do nowego rozbicia dzielnicowego a tym bardziej „landyzacji” Polski, czego zasadnie obawiał się wtedy tak nie lubiany do końca przez Miłosza rodzimiy żywioł chrześcijańsko-narodowy.

Widzieć jasno w zachwyceniu

Widzieć jasno w zachwyceniu, maksyma genialnego francuskiego prozaika Marcela Prousta, w Polsce spopularyzowana za sprawą tytułu szkiców autorstwa jego admiratora Jana Błońskiego, zresztą wieloletniego korespondenta naszego literackiego noblisty i też krakowianina, całkiem jak autor recenzowanej przeze mnie książki i sam Miłosz odkąd wraz z żoną Carol osiadł w kamienicy przy Bogusławskiego na Stradomiu - wyznacza pole poszukiwań Krzysztofa Kłoca jako „miłoszologa” [9]. Wbrew tej znanej z „Ferdydurki” Gombrowiczowskiej: jak to zachwyca, skoro nie zachwyca. Co stanowi argument, że nie musimy przyjmować wszystkiego, co na wiarę nam on podaje. Nietrudno o przykłady, co ten sceptycyzm uzasadniają.

„Miłosz patriotą się nie czuł. I nie widzę powodu, aby na siłę, wobec niemu, poczucie patriotyzmu mu wmawiać, co przypomina a rebours wysiłki części prawicy, aby z Poety zrobić zaprzańca” [10]. Jak się wydaje, Kloc pada tu ofiarą powszechnie zresztą znanej przekory Miłosza, którą choć perfekcyjny jego

znawca, bierze za dobrą monetę. Zresztą od czasów francuskiego filozofa Paula Ricoeura a ściślej wcześniejszego o dwa stulecia Immanuela Kanta i o jeden już tylko wiek Wilhelma Diltheya wiemy doskonale, że autora wypada rozumieć lepiej, niż on sam siebie rozumiał. Co stanowi dziś proste i standardowe credo zarówno krytyka literackiego (zawód wyuczony autora tej recenzji) jak historyka (profesja praktykowana tak udatnie przez Krzysztofa Kloca).

Nie służy natomiast rzetelnemu pogłębieniu tematu erystyczne - jak mawiamy od czasów Artura Schopenhauera - zestawianie na jednej płaszczyźnie wywodzących się z grona oponentów Miłosza: paszkwilanta Jana Majdy z jednym z najpoczytniejszych polskich autorów (a *vox populi vox Dei*, czyż nie tak?) Waldemarem Łysiakiem, który nie ma obowiązku noblisty kochać, czemu daje wyraz, gdzie popadnie, jego prawo [11].

Przypisać to można pewnemu zacierzwieniu, skoro Kloc o Miłoszu pisze per „Poeta”, wielką literą, co zrozumiałe, acz dla badacza stanowi pewną krępującą nieco ostentację. Jeśli bowiem ja, który własnym nazwiskiem ten tekst sygnuję, w pierwszym jego zdaniu piszę „ojczyzna” literą małą, wysnuwanie z tego domniemania, że Polski nie kocham uznałbym za ryzykowne i prowadzące do nikąd - całkiem jak tytułowa droga u Józefa Mackiewicza. Wynika bowiem z tego tylko tyle, że Perzyna nadmiaru wielkich liter nie lubi, być może od czasów, kiedy w obiegu znajdowały się jeszcze skrótowce PZPR czy ZSRR. I nic więcej.

Skoro zaś o nadmiarze mowa - niełatwo pojąć, dlaczego Krzysztof Kloc cytuje tak gęsto raczej miałkie obserwacje Andrzeja Mencwela i Andrzeja Walickiego, autorów, których celebrycki status przeminął raczej wraz z ustrojem, z którym byli perfekcyjnie poukładani. Zaś nie wspomina ani razu o wydanej również oficjalnie - podobnie jak ich publikacje - za to fenomenalnej książce Andrzeja Zieniewicza, dawnego kolegi Bohdana Urbankowskiego z redakcji „Poezji”, o żagarystach „Idące Wilno”, niezmiernie dla obu tematów Kloca - sygnalizowanego w samym tytule i zawartego w podtytule jego pracy - istotnej. Skoro ponarzekałszy, pora na korzystne dla autora uogólnienie. Okazuje się, że z korzyścią dla drzewostanu w kraju, prawdę o Miłoszu i polskości da się oddać na nieco ponad dwustu stronach (nie licząc bibliografii ani indeksu) i nie potrzeba do tego celu całości tysiącestronicowej i wielkiego formatu, niestety

raczej w sensie dosłownym niż przenośnym, których potrzebował by swój zamiar urzeczywistnić biograf poety Andrzej Franaszek [12]. Zwięzłość badawcza Krzysztofa Kłoca stanowi dobrą wiadomość nie tylko dla miłośników - mam tu na myśli perspektywę jego rodzinnego Krakowa - Puszczy Niepołomickiej, której przy tej okazji zbędnych wyrębów oszczędzono. Za czasów rabunkowej gospodarki pisowskiej i tak zbyt wiele lasów wycięto. .

Z ojca peowiaka, rozczarowany piłsudczyk, późniejszy noblista

Ojciec przyszłego noblisty inżynier Aleksander Miłosz był piłsudczykiem i należał do Polskiej Organizacji Wojskowej. Piętnastoletni Czesław kibicował przewrotowi majowemu (co tym łatwiejsze, że krew lała się wtedy nie w jego rodzinnym Wilnie, lecz odległej o ponad pięćset kilometrów Warszawie), dorosły już uznawał, że wręcz rozpoczął on najlepsze lata międzywojenne, a pierwszy okres sanacji przyniósł wiele nadziei.

„Prędko jednak przyszło rozczarowanie i do samego Piłsudskiego, i do piłsudczyków, a wyraźną cezurę stanowił tutaj będzie wielki kryzys gospodarczy i jego skutki oraz przełom w polskiej polityce spod znaku Brześcia” [13]. Dwudziestoparoletniego Miłosza raziło - jak wylicza dalej Kloc - „sprzeniewierzenie się ideałom Oleandrów 1914 r, czyli Polski prawdziwie ludowej i demokratycznej (..)” [14], pustosławie i zamordyzm czasów sanacji. Cieszyło go za to, że pociągi kursują punktualnie, dumny był też z osiągnięć szkolnictwa.

Za życia Piłsudskiego, Miłosz uznawał Polskę za normalny kraj. Choć ciąż bulwersowała go w Wilnie gorsząca tępota miejscowych elit wojskowych i urzędniczych (mierzili go ludzie, dla których celem życiowym pozostaje każda, nawet marna pensja) oraz ich pokazowa arogancja. Zdawał sobie jednak sprawę z realiów, określających rządzenie krajem. Przybliżył je po latach w „Traktacie poetyckim”, w słowach zapewne najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek o Marszałku napisano:

„Latami będzie chodzić w Belwederze.
Piłsudski nigdy nie uwierzy w trwałość.
I będzie mruczeć: „Oni nas napadną”.

Kto? I pokaże na Zachód, na Wschód.

„Koło historii wstrzymałem na chwilę” [15].

Za kolejną cezurę uzna Miłosz odejście Marszałka na wieczną wartę. Następcy zupełnie nie poradzą sobie ze spuścizną geniusza polityki i wojskowości, z czego inny geniusz - sztuki słowa - zdawać sobie będzie doskonale sprawę. Złości poetę utworzenie w 1937 r. Obozu Zjednoczenia Narodowego jako wyraz uległości środowiska marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza wobec skrajnej prawicy i częściowego przechwycenia jej haseł. Widzi w tym nowy nacjonalistyczny populizm.

Nie są to żadną miarą oceny skrajne ani nawet paradoksalne, lecz jak najbardziej na zdrowym rozsądku oparte. Jak się wydaje, w podobny sposób będą rzecz postrzegać również przyszli historycy. Nie inaczej oceniają schyłek rządów sanacji wybitni współcześni literaci jak Szczepan Twardoch (w „Królu” a wcześniej „Morfinie”).

W Piłsudskim widział Miłosz krajana. Doceniał wpływ, jaki miała na niego literatura romantyczna. Chociaż przeciwny był nobliście koncepcjom fatalizmu urodzenia, zrećtnie dowodząc, że podobne środowiska szlachty z „ziem zabranych” wydały Józefa Piłsudskiego i... Feliksa Dzierżyńskiego, którego genealogia od komendanckiej zanadto się nie różniła.

Słynna metafora obwarzanka, ukuta przez późniejszego Naczelnika Państwa i obrazująca Polskę najbardziej wartościową „po bokach” czyli na Kresach również do Miłosza przemawiała i pozostawała mu bliska, chociaż sam pojęcia Kresów nie używał, nie uznając go za adekwatne ani trafne.

Dopiero, gdy Marszałka zabrakło, Czesław Miłosz - już nie student, lecz pracownik radia - wstydzić się musiał szczególnie, gdy w rozgłosni pisał komunikaty o niesławnym „marszu na Zaolzie”, najbardziej obrzydliwej spośród awantur nieudanych sukcesorów Józefa Piłsudskiego. Przy czym pamiętać należy, że z radia w Wilnie gdzie z powodu braku pokory z czasem go nie chciano, powędrował do Warszawy, bo tam presja polityczna pozostawała mniej dotkliwa.

Kończyła się już ta Polska, która uformowała go jako poetę i intelektualistę. Czas, który K. Kloc, wcześniej autor książek o samym Piłsudskim i jego

towarzyszu walki Michale Sokolnickim, obrał za przedmiot swojego studium.

Intelektualista Miłosz wiedział i do końca życia z tym przekonaniem pozostał, że zapewne inaczej być nie mogło.

Jak to ujmuje Krzysztof Kłoc: „(..) Miłosz co prawda podkreślał, że wobec wielkiego kryzysu gospodarczego a następnie polityki Niemiec i Sowietów nie było właściwie dla Polski żadnego wyjścia. I poszukując środków na to, aby ten beznadziejny węzeł przeciąć, piłsudczycy wybrali rozwiązanie najgorsze z możliwych - „stopniową faszyzację” kraju” [16]. Szczególną do nich pretensję miał poeta o ukrywanie przed opinią publiczną stanu i położenia państwa ale także o burzenie cerkwi na Kresach, niechętną politykę zarówno wobec mniejszości słowiańskich jak ludności żydowskiej, wreszcie trudną do zniesienia tromtadrację. Przy czym filosemitą Miłosz na pewno nie został, o czym świadczą jego słowa o Żydach: „trudno z nimi żyć, a bez nich smutno” [17]. Podobnie niepoprawnie politycznie nabijał się już po wojnie Miłosz w liście do Jerzego Andrzejewskiego z 1948 - roku ukazania się „Popiołu i diamentu” tego wybitnego prozaika - z przebywającego wtedy już na wygnaniu Stanisława Mikołajczyka, najpierw premiera londyńskiego, potem zastępcy szefa rządu w kraju: „Podobno artykuły Mikołajczyka pisał tutaj pewien Murzyn, mieć Murzyna jako murzyna, to już szczyt upadku” [18]. Doceniając poświęcenie uczestników Powstania Warszawskiego, Miłosz w tym samym czasie nie miał litości dla jego wodza: gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego uznawał za mało rozgarniętego, o mentalności oficera kawalerii, co pod jego piórem komplementem nie było, bo do entuzjastów rządzących zwłaszcza tuż przed 1939 rokiem wojskowych Czesław Miłosz nie należał, chociaż wbrew nienawistnikom wcale wtedy nie „komunizował” a gdy po przesunięciu granic znalazł się w ojczyźnie proletariatu, uciekł z niej przez zieloną granicę latem 1940 z Wilna do Warszawy, co opisał w „Rodzinnej Europie”. Co charakterystyczne, podobny kierunek wybrał przedtem w latach 30 jako pracownik radia, szukając normalnych możliwości uprawiania zawodu, bo w stolicy presja polityczna okazała się mniejsza, niż na Kresach, o czym była już tu mowa.

Obywatel, nie skandalista

Żagaryści, do których Miłosz się zaliczał w latach 30. funkcjonowali pod patronatem nie sanacji a tym bardziej oczywiście nie endecji, lecz środowiska konserwatystów wileńskich skupionego wokół Stanisława Cata-Mackiewicza, Póki się z nim nie pokłócili, wydawali dodatek do «Słowa».

Sam Miłosz przyznawał, że miał wtedy zadatki na dobrego obywatela [19]. I tak już zostało, nawet jeśli z wiekiem przekora narastała. Do tego stopnia, że z czasem stał się obywatelem nieistniejącego państwa: Polski w granicach z czasu, który określa podtytuł dysertacji K. Kłoca. Własnej, chociaż nie idealnej. Skoro Miłosz wraz z innymi żagarystami wydawał dodatek literacki do „Słowa” Stanisława Cata-Mackiewicza, wiadomo, jak ocenić musiał osadzenie tego ostatniego w ośrodku odosobnienia w Berezie Kartuskiej za kwestionowanie zdolności obronnych kraju, które jak okazać się miało jeszcze w tym samym 1939 roku, trafnie ocenił właśnie Cat a nie jego sanacyjni prześladowcy.

Żagaryści, wtedy więcej niż sytuacyjna grupa poetycka, nie ograniczająca swoich zainteresowań do samej tylko literatury, pozostawali od początku lat 30. pod patronatem konserwatystów wileńskich. Kto w ślad za najbardziej namiętnymi krytykami noblisty powtarza, że Miłosz w młodości komunizował, zważyć powinien, że był to jego jedyny równie jasny alians polityczny do czasu przystani, jaką w dwadzieścia lat później znalazł po wybraniu wolności w środowisku «Kultury» u Jerzego Giedroycia w Maisons-Laffitte. W lutym 1931 r. po wieczorze Teodora Bujnickiego, Czesława Miłosza, Jerzego Zagórskiego i Kazimierza Hałaburdy w lokalu Związku Literatów, jak opisał w „Idącym Wilnie” Andrzej Zieniewicz, Stanisław Cat-Mackiewicz „zgłasza gotowość wydawania bezpłatnego dodatku do „Słowa” redagowanego przez młodych poetów” [20]. Już w kwietniu tego samego roku ukazuje się „pierwszy numer tegoż dodatku: miesięcznika Żagary” [21]. Wzrastają też ambicje polityczne tworzących jego środowisko postępowych, chociaż korzystających z konserwatywnego parasola, studentów wileńskich, skoro miesiąc wcześniej „koalicja pod przewodnictwem H. Dembińskiego - „Odrodzenie”, ZPMD, LM i koła naukowe - wygrywa wybory w starciu z endecją do Bratniaka. Dembiński zostaje prezesem” [22].

Miłosz wojuje więc z narodową demokracją od najmłodszych lat. Medal ma jednak dwie strony.

Dziewczyną młodego Miłosza była bowiem członkini Obozu Narodowo-Radykalnego Anna Woroncow. Przez pewien czas - chociaż inny niż ten, który spędziła z poetą - również partnerka życiowa Bolesława Piaseckiego. Oenerowcem i sekretarzem samego z kolei Romana Dmowskiego pozostawał zaś Kazimierz Hałaburda, kolega Miłosza z grupy poetyckiej Żagary. Temu ostatniemu wspomniane bliskie relacje nie przeszkadzały w deklarowaniu fizycznego wręcz wstrętu do endeków. Korzystał natomiast z życzliwości bez porównania bardziej roztropnych i umiarkowanych konserwatystów wileńskich.

Za to w maju 1932 r. okaże się, że nic nie jest wieczne, skoro jak ujmował to Zieniewicz „żagaryści, po zakwestionowaniu przez S. Mackiewicza dziewiątego numeru pisma (z marca 1932) zrywają ze „Słowem” i przenoszą się do „Kuriera Wileńskiego””. Przy czym „nazwę swojego dodatku zmieniają na „Piony”. W maju ukazuje się numer 1 z artykułem redakcyjnym pt. *Salutujemy Mackiewicza*” [23]. Niektórzy żagaryści zostali po latach dygnitarzami komunistycznymi jak Stefan Jędrychowski czy Jerzy Putrament, inni pisarzami o orientacji katolickiej jak Antoni Gołubiew. Na tle powikłanych losów kolegów (Teodora Bujnickiego też z Żagarów za współpracę z Sowietami zabiło później polskie podziemie) da się stwierdzić, że Miłosz skrajności się wystrzegał. Zarówno w słowach jak w czynach.

O ile Witolda Gombrowicza, jak wynika z jego „Wspomnień polskich” oburzały pensjonarki podchodzące latem 1920 roku do młodych przechodniów spacerujących po cywilnemu po ulicy z obcesowym pytaniem „A pan czemu nie w wojsku?”, to Miłosz, chociaż sam udziału w walce nigdy nie wziął a „mesjanistyczne uniesienia go przerażały” i podczas okupacji toczył o nie spór ze środowiskiem „Sztuki i Narodu” jak zauważa Kloc [24], pacyfistą jednak nie był. Zaś jego postępowe - jeśli tak rzecz nazwać - przekonania ograniczała jeszcze w czasach Dwudziestolecia świadomość, co dzieje się po drugiej stronie naszej wschodniej granicy. Nie miał co do komunizmu złudzeń, nawet jeśli zdarzyło mu się przez sześć pierwszych powojennych lat temu właśnie ustrojowi służyć. Potem stworzył w „Zniewolonym umyśle” bezkonkurencyjne portrety tych, co zaszli na tej drodze dalej od niego. I zarazem oddał - w osob-

nym tej cennej książeczki rozdziale - hołd męczeństwu Bałtów. Nie dlatego, że Litwina udawał. W międzywojennym Wilnie, jak sam zresztą przyznaje, nie było to nawet możliwe. Przedstawiciele różnych narodowości chodzili bowiem do osobnych szkół. Miłosz do renomowanego polskiego gimnazjum Zygmunta Augusta. Różne nacje spotkać się mogły dopiero na Uniwersytecie Stefana Batorego, co jak wiemy w burzliwych latach 30. przybierało niekiedy postać siłowej konfrontacji i tumultu. Podobnie jak burdy na uczelni Miłosza jednoznacznie mierzyły incydenty uliczne, kiedy rój młodzieży gonił z łaskami za kupcem w chałacie.

Lubował się w paradoksach, jak może nieco mniej zdolny od niego, ale uwielbiający brylować i szokować Gombrowicz, za wszelką cenę gotowy wyjść z anonimowości i nudy cechującej żywot urzędnika bankowego w odległej od centrów cywilizacji Argentynie. Jednak Miłosz - najpierw na łaskawym chlebie w Maisons-Laffitte u Jerzego Giedroycia dezertor ze służby dyplomatycznej, potem wykładowca egzotycznej dla studentów literatury słowiańskiej nad Zatoką San Francisco, wreszcie spełniony poeta *laureatus* grzejący się w blasku mitu pokojowej walki Solidarności, którą niewątpliwie rzetelnie i z sercem wspierał - to zupełnie inny casus.

Czesław Miłosz z polskością bowiem się nie zмага. Tylko jej współczesny wymiar współtworzy. Trudny w odbiorze poeta stał się u schyłku życia celebrytą.

Nie zaszkodziło to zresztą jego wierszom ani esejom, podobnie jak powszechne uznanie nie obniżyło jakości filmów Andrzeja Wajdy nawet jeśli Złotą Palmę, wcześniej nieosiągalną dla wybitnego „Kanału” (najlepszy z obrazów o Powstaniu Warszawskim miał pecha rywalizować na fali szoku posputnikowego i podziwu dla chruszczowowskiej odwilży z rzeczywiście genialnym „Lecą żurawie” Michaiła Kałotozowa o cenie, jaką zapłaciło radzieckie społeczeństwo za zwycięstwo w II wojnie światowej) otrzymał po latach za najgorsze ze wszystkich swoich dzieł: „Człowieka z żelaza”. W jakimś sensie jako uzasadnioną rekompensatę za to, że wcześniej świetnego „Człowieka z marmuru” nie dopuszczono do konkursu oscarowego.

Skoro mowa była o zacnych w intencjach apokryfach, falsyfikatach w noc stanu wojennego mniej lub bardziej udolnie poezje Miłosza udających - pora

skupić się na tekście, który rzeczywiście wtedy, chociaż nieco później napisał, jedynym jego wierszu politycznym z tamtego czasu, datowanym na marzec 1982 „Do Lecha Wałęsy”, w którym przewodniczącego zepchniętej do podziemia Solidarności porównuje on do Tadeusza Kościuszki, wprowadzie bez użycia nazwiska tego drugiego, ale w dobitnych i jednoznacznych słowach „zostałeś naczelnikiem polskiego ludu”:

„(..) Gorzko jest wiedzieć, co wiemy, Lechu Wałęso
Ofiara wymagana w każdym pokoleniu,
Groby bohaterów bezimienne.
Triumf zdrajców i oprawców,
Których synom i córkom trzeba będzie przebaczyć (...)

Nie wiem, czy ma prawo, Lechu Wałęso,
Zwracać się do ciebie, kto wybrał obczyznę
I odmawia myślenia codzień o niewoli.
Choć rozumie, że myśleć powinien” [25]

Jeśli ten wiersz nie zaświadcza o patriotyzmie Miłosza, to co o nim zaświadczać powinno, można by trochę w stylu jego rywala Gombrowicza spytać...

Pozy przybierane przez Miłosza, aby pozostać oryginalnym - warto odróżnić od przesłania jego twórczości. Postawę życiową od słownych zabaw. Stefan Kisielewski zaświadczał, jak Miłosz „wygadywał, że jest Litwinem i ma „warszawską” Polskę gdzieś” [26]. Użyty przez mistrza publicystyki czasownik wydaje się uzasadniony. My zaś mamy prawo Czesława Miłosza oceniać nie za to, co „wygadywał”, bo nie był przecież komikiem estradowym - lecz za to, co pisał i robił. Zwłaszcza, że sam nam to ułatwiał, wdając się w wywiady-rzeki o własnej twórczości (z Renatą Górczyńską, także partnerką życiową, oraz Aleksandrem Fiutem) zaś w ocenach postaw życiowych siebie nie oszczędzając, skoro służbę w dyplomacji powojennej już Polski podsumował krótkim i dobitnym: «Prostytuowałem się» [27].

Pochopne uznanie Miłosza za obrazoburcę to lekkomyślność równoznaczna z przyznaniem monopolu na polskość autorom jej wykładni narodowo-

-demokratycznej. Nawet nie dominującej a przy tym intelektualnie ubogiej, skoro nawet w międzywojniu, gdy endecja dominowała w parlamencie i rządziła choćby w latach 1923-26 zanim rozgonił ją z poparciem obu Miłoszów - ojca peowiaka i piętnastoletniego gimnazjalisty Czesława - Komendant Piłsudski, wyższe standardy myśli politycznej wypełniali w tym obozie wyłącznie Stanisław Stroński autor krzywdzącego dla Piłsudskiego ale publicystycznie skutecznego pojęcia cudu nad Wisłą - i w wymiarze historycznym Władysław Konopczyński (dla którego wielką estymę żywi wywodzący się z przeciwległej tradycji prof. Tomasz Nałęcz), zaś w latach kolejnych... dorobek z górnej półki tejże formacji okazał się niemal zerowy. Chyba, że za myśliciela uznamy wymienianego tu już Łysiaka, z którego zresztą - w odróżnieniu od Kłoca - nie kpię wcale a i innym nie radzę, skoro ludzie chcą go czytać w trudnych czasach, co przecież o czymś świadczy. Na Nobla to jednak za mało. Z niego zresztą płyną same kłopoty.

Polskim noblistom z literatury, co wynika z zawiści kolegów po piórze mniej sprawnie nim władających - przypisywano wszystko, co najgorsze.

Wyliczmy zresztą po kolei:

Henrykowi Sienkiewiczowi (Nobel 1905) - rasizm, co stanowi dowód, że autorzy tego oskarżenia przeczytali „Timura i jego drużynę” Arkadija Gajdara zamiast „W pustyni i w puszczy”, bo gdyby sobie trud lektury opowieści o Stasiu i Nel zadali i zrobili to ze zrozumieniem - pozostałaby w ich pamięci scena, jak spragniony na pustyni Murzyn skarży się Mei: „Kali umierać”, zaś czarno-skóra dziewczyna odpowiada: „Mea chce umrzeć razem z Kalim”. Na próżno to jednak przytaczać, skoro opluwający autora „Quo Vadis” i „Trylogii” publicyści nie znają jego dzieł, bo wystarcza im „Gazeta Wyborcza”. Pozostają przy tym w przekonaniu, że „Trylogia” składa się z dwóch części: „Krzyżaków” oraz „Ogniem i Mieczem”, zaś „W pustyni” i „W puszczy” to dwie osobne książki, jak pawała kiedyś komisji kwalifikacyjnej kandydatka na wydział polonistyki, przyjęta tam ostatecznie z odwołania dzięki punktom za pochodzenie, które do końca poprzedniego ustroju istniały.

Władysławowi Stanisławowi Reymontowi (Nobel 1924) - antysemityzm, gminne zajęcia (był krawcem, kolejarzem, a jeśli nawet aktorem to wędrowniej

trupcy, coś okropnego) i alkoholizm, jakby abstynentami pozostawiali swego czasu Francis Scott Fitzgerald albo nasz Jerzy Andrzejewski

O **Czesławie Miłoszu** (Nobel **1980**) traktuje zarówno ten tekst jak recenzowana w nim książka. Passim, piszą w takich razach skrupulatni bibliografowie... Miłosz wcześniej zauważył, że „jest ONR-u spadkobiercą Partia” („Traktat poetycki”) i w obu tych formacjach liczyć mógł zaprzysięgłych wrogów.

Wisławie Szymborskiej (Nobel **1996**) bez końca wypominano wiersze z czasów stalinowskich, chociaż podobne albo i gorsze pisała większość polskich literatów. Zaś uzasadnione oburzenie okrucieństwem amerykańskiej interwencji w Korei podzielało wtedy wielu intelektualistów wolnego świata, z Pablem Picassem i Jean-Paulem Sartrem włącznie.

Olga Tokarczuk (Nobel w **2019** chociaż formalnie za rok poprzedzający tę datę) spotyka się z podobnymi jak Miłosz zarzutami braku patriotyzmu, chociaż jego instynktem wykazała perfekcyjnie co najmniej dwa razy:

- tuż po otrzymaniu nagrody, kiedy to odwiedziła marszałka Senatu ze strony demokratycznej Tomasza Grodzkiego a nawet nie pomyślała o zaszczytaniu wizytą jego pisowskiej odpowiedniczki w Sejmie.

- I wtedy, kiedy odważnie, nie bacząc na bluzgi internetowych nienawistników, wsparła strajk nauczycieli, domagających się uczciwych warunków pracy i godnych płac. Dodatkowo insynuuje się noblistce feminizm, genderyzm i lewactwo, cokolwiek to wszystko miałoby znaczyć. Wystarczy?

Porzućmy mity i stereotypy. Zwłaszcza te zbyt zgrabne, żeby mogły być prawdziwe. Bo przecież jak przekonywał ziomek Miłosza, broniony przez niego przed zarzutem wysługiwaniania się nazistom Józef Mackiewicz, autor „Buntu rojstów” pokazującego wielobarwność ale i krzywdę Kresów - jedynie prawda jest ciekawa.

Wybrał wolność na 30 lat przed Kuklińskim

Skandalista Czesław Miłosz w poważnym dyskursie nie istnieje. Chyba, że w wyobrażeniu potrzebujących na gwałt archetypu wroga polskości redaktorów „Naszego Dziennika”, których myśl ciężko i niekiedy daremnie

przebija się przez desperackie zmagania z materią współczesnej poprawnej polszczyzny. Pamiętamy z „Generała Barcza” Juliusza Kadena-Bandrowskiego jak szpetnie kaleczy rusycyzmami mowę ojczystą wciąż tam do patriotyzmu się odwołujący niedawny generał wschodniej armii Krywult. Na psa urok, powiedzmy w stylu tegoż Krywulta.

Gdy w latach 80. powieść Miłosza - wtedy już noblisty - „Dolina Issy” pięknie zekranizował Tadeusz Konwicki, to ówczesny przewodniczący wyrastającego z kolaboracji po 13 grudnia Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego marny literat Jan Dobraczyński utyskiwał publicznie, że film promuje pogaństwo, więc powinien zostać z kin wycofany. Trudno o bardziej przekonujący dowód, że anima naturaliter endeciana wcale nie stanowiła wymysłu Miłosza lecz stan świadomości, który objawił się w pół wieku po wileńskich czasach w rządzącym Polską stanu wojennego obozie komunistycznym. Dusza z natury endecka stała się całkiem sowiecka - rymował po dużej wódce w tamtych czasach jeden z moich kolegów czytany w twórczości obu pisarzy, o których w poprzednim zdaniu była mowa. Dziś Dobraczyńskiego nikt już nie pamięta (ostatnim, co chciał go do łask, a ściślej na listy lektur przywracać, był w swoim poprzednim wcieleniu Roman Giertych), za to nazwisko Miłosza zna każde dziecko.

W tym sensie historia okazała się sprawiedliwa. Napisali ją zresztą zwycięzcy Zimnej Wojny, w której dyplomata Czesław Miłosz przeszedł na właściwą stronę na trzydzieści lat przed pułkownikiem Ryszardem Kuklińskim.

**Wpierw się jest człowiekiem, a dopiero później Polakiem.
Przy wódce, koniaku i małej czarnej**

Co nie zmienia faktu, że jak zasadnie zauważa Krzysztof Kloc: „Miłosz nade wszystko wierzył, że wpierw się jest człowiekiem, a dopiero później Polakiem. Chciał być najpierw człowiekiem (...). Z przekąsem zauważył: „ci, którzy próbowali Polaków z „opętania Polską” wyzwolić, zostaną przez naród wypłuci” [28]. Do cytowania noblisty nasz autor się nie ogranicza, swoje własne refleksje snuje zaś w całkiem bliskim Miłoszowi stylu, o czym już była mowa: „(..) przy

wódce, koniaku, czy małej czarnej w kawiarni i tak dogania nas Polska. I niekończąca się dyskusja o niej. I, niezależnie od pory dnia, Polaków rozmowy” [29]. Trafna to uwaga i zawarta w niej kategoryzacja. Tak jak Majda z „Naszego Dziennika” rozprawia o Miłoszu jak przy wódce, po której dawce wrogiem staje się nawet gość zza sąsiedniego stolika, a Łysiak przy koniaku, co emocje nie tylko dobre podsyca a krytycyzm zmaga - Kloc czyni to samo ale jak po dobrej kawie właśnie, wyostrającej wrażliwość i potęgującej przenikliwość.

Wiarygodność badacza wzmacnia też sceptycyzm, jaki sam deklaruje wobec ostatecznego zgłębienia tematu, jaki bierze na warsztat. Pięknie to zresztą uzasadnia, znów w stylu, którego sam Miłosz jako autor eseistycznej „Ziemi Ulro” ale i „Ogrodu nauk” wcale by się nie powstydził. Oddajmy więc znowu głos drowi Klocowi: „Lew Szestow zapytał kiedyś lekarza, który prosił go o zreferowanie w kilku zdaniach założeń jego filozofii, czy potrafiłby w taki sam krótki sposób przedstawić założenia np. geometrii. I z refleksji Miłosza trudno nam wybrać jedną myśl, uwagę, spostrzeżenie, które stanowiłoby kwintesencję jego rozważań o polskim Dwudziestoleciu” - przyznaje autor recenzowanej dysertacji nieco w stylu sokratejskiego „wiem, że nic nie wiem” [30]. Bogactwo materiału wcale przy tym pracy nie ułatwia. Badać przychodzi bowiem zarówno wiersze znane niemal każdemu Polakowi i funkcjonujący przez lata niemal jak agitka „Zniewolony umysł”, jak wysublimowane eseje („Ziemia Ulro”, „Widzenia nad Zatoką San Francisco”, „Ogród nauk”) ale też i te w odbiorze łatwiejsze („Rodzinna Europa”), artykuły prasowe autorstwa noblisty, wywiady-rzeki i świadectwa innych. Nie obfitość materii stanowi główny problem lecz wrażenie pozornej być może sprzeczności uderzające przy pobieżnej lekturze nawet a co dopiero studiowaniu tych wszystkich świadectw.

Nierzadko Miłosz szokował, gdy pisał i mówił o ojczyźnie: Polska go przeraża, bo bezustanne ofiary, powstania, konspiracje to nonsens [31]. Czuje się wyobcowany ze społeczności polskiej. Polacy to nie tylko tragiczny ale znienawidzony przez wszystkich naród. „Polonii w Ameryce mnóstwo i ma się wstyd pochodzenia, (..) Murzynem już nawet lepiej teraz być” [32]. Pisarz zwierza się więc: „(..) mam fizyczny niemal wstręt do Polaków (których połowa zresztą w Polsce, za granicą, jest łapsami) i na pewno w Polsce mieszkać bym nie mógł” [33]. Wtręt o łapsach choć strasznie brzmi nie wydaje się pozbawiony

podstaw, skoro po wyborze wolności przez Miłosza jeden z rodaków, przedwojenny dwójkarz, donosił na niego Francuzom, że to agent radziecki, który prawa pobytu nie powinien dostać.

Wiadomo też, że Czesław Miłosz na parę lat przed Noblem w trakcie paryskiego spotkania z Adamem Michnikiem rozplakał się, kiedy gość z kraju wyrecytował mu z pamięci jego wiersz. Sam nie wierzył bowiem, że jego utwory są w kraju czytane. Nie był wtedy skłonny do wzruszeń staruszkim, lecz zażywnym 65-latkim w doskonałej kondycji. Pozostała w nim bez wątpienia dusza Latarnika, choć tak bardzo Henryka Sienkiewicza nie trawił, a nie wyłącznie instynkt Zoila jako krytyka złośliwego i tendencyjnego.

Najtrudniej zapewne połączyć odkrycia badacza z tezami oczywistymi i utrwalonymi w świadomości zbiorowej. Skoro „Pan Tadeusz” Adama Mickiewicza, zgodnie uznany za polski poemat narodowy, zaczyna się od słów „Litwo, ojczyzno moja”, co nader trudno pojąć cudzoziemcom - być może trudności, jakie znawca napotyka przy opisie złożonych relacji między twórczością Miłosza a jego polskością, stanowią bardziej wyraz rozmaitych powikłań Polski niż tych osobistych poety.

Wiersz „Campo di Fiori”, najbardziej krytyczny wobec postaw Polaków z powszechnie znanych utworów Miłosza nie znajduje i nie szuka usprawiedliwień dla karuzeli z rozbawioną publicznością tuż przy murze płonącego getta warszawskiego. Ale wiemy też, jak Miłosza oburzało w USA przypisywanie Polakom domniemanej odpowiedzialności za Holocaust, zwłaszcza jeśli wiązało się z rozgrzeszaniem jego jedynych sprawców - Niemców. U schyłku życia poeta nie dołączył, choć mógłby to zrobić, do grona chwalców takich znawców stosunków polsko-żydowskich jak Jan Gross, Anna Bikont czy „naukowczyni” Barbara Engelking, co z pewnością też istotne.

Nie wszystkie poglądy Miłosza dotyczące polskiej historii i współczesności uda się oczywiście obronić jako sensowne i uprawnione, nawet jeśli uzasadniać je zamiłowaniem do paradoksu czy artystyczną prowokacją. Jak bardzo czasem się mylił i przy tym upierał, świadczy najpoważniejszy przez lata współpracy spór z Jerzym Giedroyciem, w końcu niezawodnym promotorem osoby i twórczości przyszłego noblisty wokół Aleksandra Wata, którego „pamiętnik mówiony” przygotował i zamierzał wydać w Paryżu Miłosz.

Efekt relacjonował w rozmowie z Krzysztofem Pomianem sam Książę: „(..) nastąpiło między nami starcie w związku z jego książką. Wat zwrócił się do mnie za pośrednictwem Miłosza z propozycją wydania „Mojego wieku”. Po przeczytaniu odmówiłem, bo roi się tam od błędów, nie mówiąc już o rzeczach dość obrzydliwych, jak to, co Wat pisał o Drugim Korpusie: „banda faszystów”. Nie miał o tym zielonego pojęcia, a Miłosz nie wiedział o tym wiele więcej. Nie mogłem tego puścić” [34]. Nie ulega raczej wątpliwości, że Jerzy Giedroyc pozostawał się w kwestii armii gen. Władysława Andersa bardziej kompetentny. Nie tylko dlatego, że w niej służył. „Pamiętnik mówiony” opublikowało ostatecznie zamiast paryskiego Instytutu Literackiego londyńskie wydawnictwo Polonia Book Fund.

Jeśli zaś wrócić do międzywojnia jako przedmiotu badań Kłoca i tematu jego książki - to z kolei katastrofizm Czesława Miłosza miał wymiar szerszy niż przewidywanie wojny oraz końca polskiego Dwudziestolecia i naszego ówczesnego państwa. „Chodziło o koniec pewnego świata”, o czym mowa w rozmowie poety z Renatą Gorczyńską [35]. Nie dokonał się on zresztą w pełnym wymiarze, chociaż w znacznej mierze spełniła się wówczas znana z „Nienasycenia” wizja Stanisława Ignacego Witkiewicza. „To całe zgłajszachtowanie, ta szarość, nastąpiło. Natomiast do końca religii, filozofii, sztuki, jest jeszcze daleko” [36].

Dyskusję, być może jałową a na pewno akademicką, czy Czesław Miłosz był patriotą - a o tym, że nim zawsze pozostawał wiedzą wszyscy, co cieszyli się z jego Nobla i przeczytali przynajmniej „Zniewolony umysł” w formie „bibuły”, skoro „Zdobycie władzy” pozostawało trudniej dostępne i bez porównania bardziej wymagające jako lektura - zastąpić dzisiaj może bardziej rzeczowa. W jakim stopniu wzorzec patriotyzmu zawarty w jego twórczości okazać się może przydatny w obecnych czasach, gdy znów, jak w okresie Żagarów, zagrożenie nadchodzi ze Wschodu, a zza zachodniej granicy również rozlegają się groźne pomruki i pohukiwania rosnącego w siłę nacjonalistycznego ruchu totalnego. Książka Krzysztofa Kłoca staje się doskonałą okazją, żeby ten problem rozważyć. Za co cześć i chwala jej autorowi. Nawet jeśli jego intencje pozostawały dalece skromniejsze. Dał nam jednak do myślenia nie tylko w kwestii przeszłości.

Czesław Miłosz to nie wróg, lecz współtwórca nowoczesnej polskości, zapewne po Janie Pawle II i Andrzeju Wajdzie najważniejszy. Wadzący się

z jej licznymi starszymi odmianami, tak endecką, jak po PRL-owsku realistyczną uosobioną przez bohaterów „Zniewolonego umysłu”, co oczywiste. Również jeśli o tym wiedzieliśmy, lektura książki K. Kłoca w nas to przekonanie ugruntuje. Nawet jeśli nie po to została ona napisana. A jeśli się z tym poglądem nie zgodzimy, zapewne i tak przyznamy, że to opowieść ciekawa i niebanalna.

Nie chodzi bowiem o przekorę geniusza ani o jego niewątpliwe zamięłowanie do budowania paradoksów, dotyczących również spraw przez innych zaliczanych do sfery sacrum lub przynajmniej tej odświętnej. Lecz o rzeczywistą rolę, jaką Czesław Miłosz odegrał w najnowszej polskiej historii, a nie tylko literaturze, gdzie zresztą zapewne od czasów Stefana Żeromskiego (sam autor „Zdobycia władzy” cenił bardzo „Przedwiośnie” i uznawał, że obrazuje impas, w jakim znalazła się z czasem pełna zapału do odbudowy państwa inteligencja) próżno by szukać postaci swoją rangą dającej się z nim porównać.

[1] por. Marta Makuch. Pogrzeb Czesława Miłosza w 2004 roku jako dramat społeczny. Uniwersytet Warszawski, Wydział Polonistyki, Warszawa 2015, icm.edu.pl.

[2] Krzysztof Kloc. „Białorusin, który udaje Litwina”. Czesław Miłosz i Polska 1918–1939. Wyd. Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2024.

[3] Witold Gombrowicz. Dziennik (1957-1961). Instytut Literacki, Paryż 1971, s. 22.

[4] K. Kloc. „Białorusin, który udaje Litwina”... op. cit, s. 67.

[5] ibidem, s. 47; Czesław Miłosz, Tomas Venclova. Dialog o Wilnie. „Kultura” Paryż 1979, nr. 1-2, s. 8.

[6] Czesław Miłosz. Rok myśliwego. Znak, Kraków 1991, s. 210-211.

[7] por. K. Kloc, op. cit, s. 42.

[8] ibidem.

[9] Jan Błoński. Widzieć jasno w zachwyceniu. Szkic literacki o twórczości Prousta. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1965.

[10] K. Kloc, op. cit, s. 38.

- [11] ibidem, s. 23.
- [12] por. Andrzej Franaszek. Miłosz. Biografia. Wydawnictwo Znak, Kraków 2011. Liczba stron: 959.
- [13] K. Kloc. „Białorusin, który udaje Litwiną”, op.cit, s. 115.
- [14] ibidem.
- [15] Czesław Miłosz. Traktat poetycki [w:] Wiersze wybrane. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980, s. 69.
- [16] K. Kloc. „Białorusin, który udaje Litwiną”, op. cit, s. 116; por. Czesław Miłosz. O podróżach w czasie. Wybór, opracowanie i wstęp J. Groniek, Znak, Kraków 2004, s. 80.
- [17] Agnieszka Kosińska. Miłosz w Krakowie. Kraków 2015, s. 391.
- [18] Jerzy Andrzejewski, Czesław Miłosz. Listy 1944 - 1981, oprac. Barbara Riss, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2011, s. 85.
- [19] por. Czesław Miłosz. Inne abecadło. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998, s. 48.
- [20] Andrzej Zieniewicz. Idące Wilno. Szkice o Żagarach. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987, s. 234.
- [21] ibidem.
- [22] A. Zieniewicz. Idące Wilno... op. cit, s. 234.
- [23] ibidem, s. 235.
- [24] K. Kloc. „Białorusin, który udaje Litwiną”, op. cit. s. 132.
- [25] Czesław Miłosz. Do Lecha Wałęsy [w:] Poeta pamięta. Antologia poezji świadectwa i sprzeciwu 1944-1984. Puls, Londyn 1985, s. 123-124.
- [26] Stefan Kisielewski. Dzienniki. Iskry, Warszawa 2001, s. 765-766.
- [27] Czesław Miłosz. Rok myśliwego. Znak, Kraków 1991, s. 136.
- [28] K. Kloc. „Białorusin, który udaje Litwiną”, op. cit, s. 68; Czesław Miłosz. Duże cienie. „Kultura”, Paryż 1972, nr 10, s. 33.
- [29] K. Kloc. „Białorusin...”, op. cit, s. 68-69.
- [30] ibidem, s. 126.
- [31] ibidem, s. 32; Czesław Miłosz. Rok myśliwego, op. cit, s. 268.
- [32] list Czesława Miłosza do Zygmunta Hertza z 25 września 1968, cyt wg. K. Kloc. „Białorusin...”, op. cit, s. 31.

[33] list do Jana Błońskiego, ibidem.

[34] Jerzy Giedroyc. Autobiografia na cztery ręce. Opr. Krzysztof Pomian. Czytelnik, Warszawa 1994, s. 136.

[35] Renata Gorczyńska. Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem. Komentarze. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1992, s. 40.

[36] ibidem.

Letarg Narkozy

Rzeki krwawe smugi przeganiają,
Jak w filmie „Austeria”.
Na oślep, byle dalej, jakby to był kłaczek kurzu,
Szloch wysyłają w bure chmury,
Bijąc niezdarnie kikutami fal
W skały i urwiska.

Skomlą o litość ryby bez żrenic,
W piekle czerni uwięzione,
Skazane wciąż na groźne pomruki –
Na litość wody i wichru;
Jak odłupane skały od sędziwej góry.
Oczodoły ryb wieczną karą straszą.

Ziemia huczy furia,
Ogień wszystko niszczy,
Do bram niesie się lament
Zwierząt i ptaków – wróżbitów.

Nieme ciało.
Gotowość na sen bez majaków -
Wędrówkę w coraz wyższe góry.

Styczeń 2025

Włodzimierz Kuligowski – RESET
Uli Łepkowskiej-Wasilewskiej

1

Czym jest chęć wygrania bakterii planety,
Grabieżców energii, nadziei i tlenu,
Do obcego gwiazdozbioru Karnej Kolonii –
Szaleństwem czy rewoltą
Wobec życia jak huba czy chwast,
Co pnie się do słońca
W ruinach miasta Inków?

2

Czyje to głosy i twarze
Rozpałyły wrzenie,
Co rozsadza głowę
I namawia do odwetu -
Przypomina kadry w sepii;
Lalka bez głowy, zdeptana butem,
Bezbronne ubrania,
Listy, zdjęcia, książki.
W takie noce płoną rezydencje,
Jak w Los Angeles i Paryżu;
Ślady uciech i niepamięci o karze.
W takie noce, czas bezsenny,
Sięgasz po Biblię,
Ale też szukasz miecza.

3

Ranek trucizną się toczy.
Bez słońca, nadziei,

Okryty brudem i gryzmołami barbarii
Na ponurych domach.
Ten ranek jest niby głodny robak,
Co podstępnie, jak bezczelny szpicel,
Udając szamana od energii,
Chce się wedrzeć w myśli i pamięć.

4

Szept natrętny jak miotanie się muchy
W lodówce prosektorium:
- Nie wstawaj. Skocz w ciemność...
Febra rąk i głowy.
Czy było warto? Dla lepszego życia?
A może tylko dla odbicia w lustrze?

5

Czas pyzatego księżycu.
Kto to przeżył, nie zraniony,
Stale te chwile wspomina;
Jak uciekinier przed tsunami
W noc wigilijną,
Albo ten co zmylił pogoń,
Żądną bogactwa, niewolników i krwi,
Płynącej ulicami zamiast deszczu.

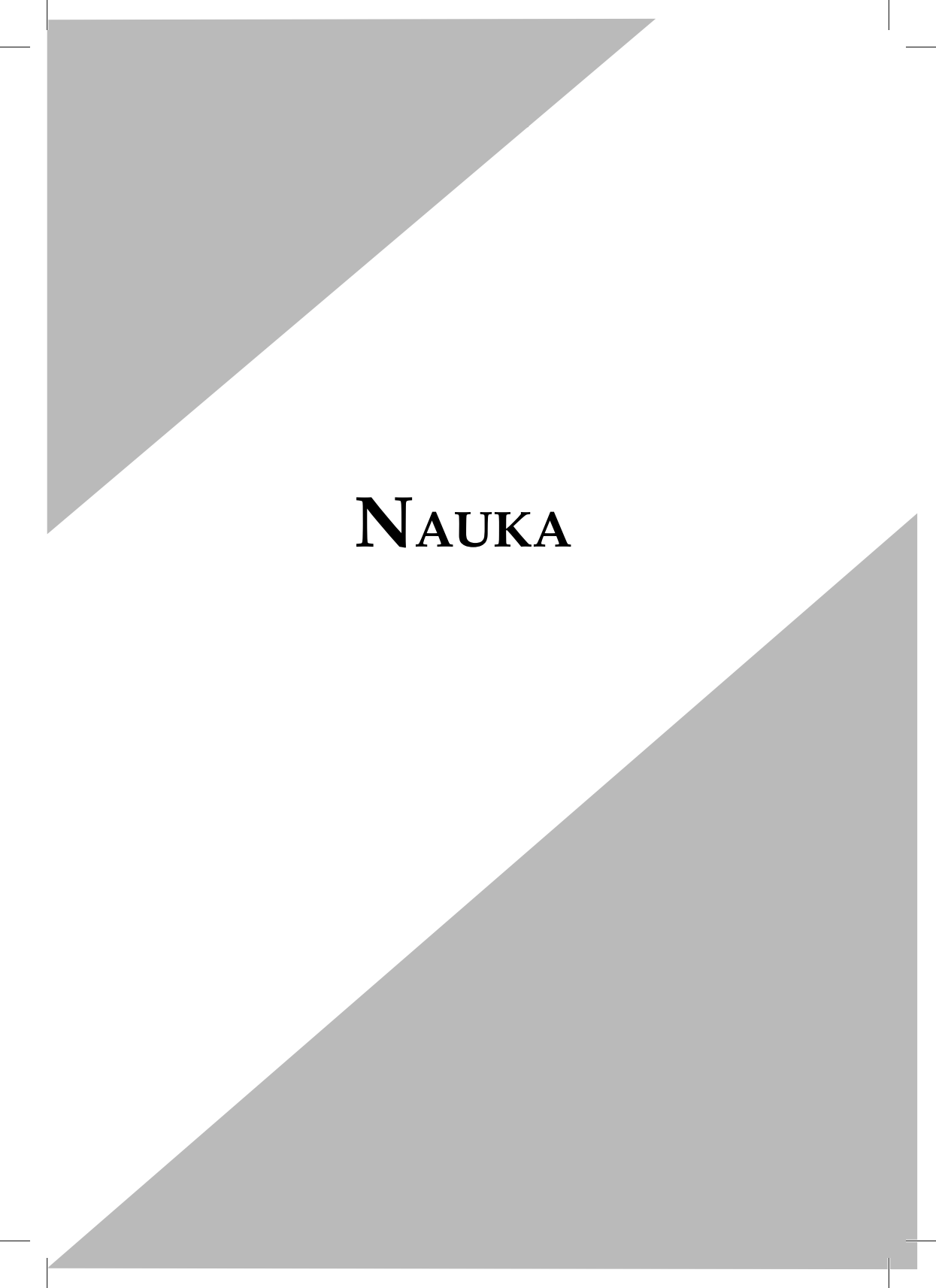
6

Wszędzie biel szpitalna,
Życie na krawędzi...
Jesteś tylko oddechem maszynerii,
Trybikiem i jej kaprysem.

WIERSE

Nie zmienisz kresu na początek,
Choć wędrujesz tyle lat,
Niczym uparty księżyc.
Niczego nie zmienisz...
To banał; jak latynoska piosenka o miłości
Albo zachwyt nad kolorem morza
Przed ucieczką słońca.
Jeśli kochasz, to mów ciągle:
Nie umarł, tylko zmienił wygląd.





NAUKA



INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

W grudniu 2021 roku Minister Edukacji Narodowej przydzielił Kwartalnikowi Nurtu Niepodległościowego „OPINIA” 40 punktów naukowych.

Lp.	Unikatowy Identyfikator Czasopisma	Tytuł, numer ISSN/numer eISSN	Liczba punktów	Przypisane dyscypliny naukowe
32650	201466	Opinia 2352-5725	40	historia

Zapraszamy do współpracy.

Instrukcja wydawnicza pisma „Opinia”

1. Redakcja „Opinii” przyjmuje teksty w języku polskim nadesłane wyłącznie drogą elektroniczną, zgodne z instrukcją wydawniczą „Opinii”, w formatach *.doc, *.docx lub *.rtf. W przypadkach szczególnych, po uprzednim uzgodnieniu z redakcją, mogą być dopuszczone inne formy dostarczenia tekstu.

Przesłanie artykułu oznacza, że autor poświadcza, że zapoznał się z zasadami etycznymi obowiązującymi w „Opinii”, a jego tekst spełnia normy w nich zawarte.

Preferowaną objętością dla artykułu naukowego jest 60 tys. znaków, a objętość maksymalna wynosi 80 tys. znaków. Preferowana objętość dla recenzji to 25 tys. znaków, a maksymalna 40 tys. znaków. Objętość liczona jest z włączy-

niem przypisów i spacji, znaków w tabelach, bez bibliografii, streszczeń i podpisów pod fotografiami.

Wiadomość z elektroniczną wersją tekstu powinna zawierać ponadto podpisane skany oświadczeń o oryginalności tekstu i o „ghostwritingu” i „guest authorship”. Papierowe wersje oświadczeń należy przesłać na adres redakcji. Podpisanie oświadczeń oznacza, że autor zapoznał się z klauzulą informacyjną dotyczącą zbierania i przetwarzania danych osobowych oraz dobrowolnie przekazuje dane osobowe i zgadza się na ich przetwarzanie.

Plik zawierający artykuł powinien zostać nazwany według następującego wzoru: nazwisko autora, inicjał imienia, pełny tytuł artykułu (np. Kowalski J., Polska sztuka wojenna w dobie średniowiecza). Plik z artykułem nie powinien w metadanych być podpisany nazwiskiem autora lub innym podpisem pozwalającym na identyfikację autora.

Tekst powinien zostać wykonany z zachowaniem stylu normalnego programu MS Word – bez użycia stylów nagłówkowych, podziałów stron i sekcji – czcionką Times New Roman pkt. 12 w tekście głównym i pkt. 10 w przypisach. Stosujemy przypisy dolne. Interlinia tekstu głównego pkt. 1,5, przypisów pkt. 1.

2. W pliku z artykułem powinny znajdować się w lewym górnym rogu następujące informacje:

pełne imię i nazwisko autora, numer orcid i afiliacja, adres do korespondencji tradycyjnej, adres e-mailowy, numer telefonu. Pod tekstem artykułu powinna znaleźć się bibliografia wykonana zgodnie z modelem bibliografii zawartym w instrukcji wydawniczej „Opinii”.

W osobnym pliku Autor powinien dostarczyć streszczenie artykułu (Nazwa pliku powinna być zgodna z przykładem: Streszczenie i nota, Polska sztuka wojenna w dobie średniowiecza).

Streszczenie w języku polskim powinno mieć objętość do 1,5 tys. znaków. Opcjonalnie Autor może dostarczyć streszczenia w języku angielskim i rosyjskim o objętości do 1,5 tys. znaków każde.

Autor zobowiązany jest również do przygotowania abstraktu o objętości do 500 znaków w jęz. polskim lub angielskim. W pliku powinna znaleźć się również krótka notka dotycząca autora o objętości do 500 znaków oraz słowa kluczowe w języku polskim i angielskim, opcjonalnie rosyjskim.

INSTRUKCJA WYDAWNICZA PISMA „OPINIA”

Niezamawianych tekstów redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów.

Tekst główny:

Zasady opracowania maszynopisu wydawniczego dla wydawnictwa „Opinia”

Część I. Zasady ogólne

A. Tekst główny, wstęp, zakończenie

I. Daty

1. Rozwijamy nazwy miesięcy, skracamy natomiast słowo „rok”:
 - 10 kwietnia 1945 r.; 10 maja br.; w lipcu tr.
2. Stosujemy zapis:
 - w latach dziewięćdziesiątych (nie: w latach 90., w l. 90.)
 - w XX w. (nie: w dwudziestym wieku, w 20. wieku)
 - w drugiej połowie XIX w. (nie: w 2 poł. XIX w.).
3. Dаты łączymy pauzą łączącą (półpauzą): 1945–1947. Nie stosujemy tu dywizu (-).

II. Miary, stopnie, tytuły

- Stosujemy skróty słownikowe, takie jak: godz., kg, ha, km, km kw., m sześć., proc., gen., płk, kpt., prof., doc., mgr, dr hab., m.in., tzw., tj., np., itd., itp.
- W przypadkach zależnych stosujemy zapis: płk (= pułkownika), dr (= doktora).
- Piszemy: II Rzeczpospolita Polska, III Rzesza, p.o. delegat

III. Nazwy własne

1. Organizacje i instytucje

- Przy pierwszym wystąpieniu podajemy pełną nazwę, dalej – ewentualnie skrót. W przypadku nazw powszechnie znanych (np. PRL, ZSRR, PPR, PZPR) dopuszcza się stosowanie skrótów bez ich rozwijania przy pierwszym wystąpieniu.

2. Osoby

- Przy pierwszym wystąpieniu podajemy pełne imię i nazwisko, dalej – samo nazwisko bez inicjału imienia lub imię i nazwisko (dopuszczalne jest stosowanie inicjału, jeśli nie znamy pełnego imienia); nie podajemy otczestwa.

IV. Cytaty i tytuły

- Cytaty ze źródeł i literatury przedmiotu podajemy w cudzysłowie, antykwą.
- Tytuły prac naukowych, utworów literackich, muzycznych, dramatycznych, obrazów wyróżniamy kursywą. Nazwy ustaw podajemy bez cudzysłowu, antykwą.
- Tytuły wystaw, konferencji, sesji naukowych, konkursów podajemy w cudzysłowie, antykwą.

V. Liczebniki

- Piszemy słownie, gdy możemy zapisać jednym słowem, zwłaszcza w odniesieniu do osób. Przy wyliczeniach – cyframi.
- Stosujemy skróty: mld, mln, tys. (jeżeli występują pełne tysiące, w innym wypadku cyframi: 75 345, 43 009).

VI. Wyrażenia obcojęzyczne

- Słowa i wyrażenia obcojęzyczne użyte w tekście polskim zapisujemy kursywą, np.: *sui generis*, *last but not least*, *ancien régime*.

B. Przypisy

I. Stosujemy oznaczenia: *ibidem*, *idem* (*eadem*), *passim*, *op. cit.*, *loc. cit.* (kursywą). W bardzo obszernych publikacjach zamiast oznaczenia *op. cit.* można stosować zapis: inicjał i nazwisko, skrót tytułu..., s. X.

II. Stosujemy skróty: t., cz., z., nr, R., a także pozostałe, jak w punkcie A II.

III. Daty

- Jeśli data jest pełna, miesiąc zapisujemy cyframi rzymskimi: 25 VI 1999 r., jeśli data jest niepełna miesiąc zapisujemy słownie: 25 czerwca, w czerwcu 1999 r.

IV. Odsyłacze

- Używamy skrótów: zob., por., cyt. za:
- Odsyłacze do innych fragmentów tekstu, np.:

zob. dok. nr 24, przyp. 7;

zob. rozdz. II, przyp. 8;

por. s. 38; por. dok. nr 12 i 17.

V. Liczebniki – jak w tekście głównym

VI. Informacje biograficzne

1. Informacje biograficzne zamieszczamy w przypisach. Biogram powinien być zwięzły. W szczególnych przypadkach można biogramy umieścić osobno, np. w części nazwanej „Biogramy”.

2. Kolejność elementów biogramu:

- Imię i nazwisko
- Pseudonimy, przybrane nazwiska, przydomki
- Daty życia
- Pozostałe informacje życiorysowe

3. Przykłady:

Julian Bartuś „Bojko”, „Julek”, „Zbyszek”, „Romański”, „Krajewski” (1922–1962), żołnierz AK i działacz WiN. Kierownik Rady WiN Przeworsk, kierownik informacji (wywiadu i kontrwywiadu) krakowskiego Wydziału i p.o. kierownik łączności krakowskiego Wydziału. 3Mieczysław Kawalec „Kałuski”, „Żbik”, „Iza”, „Psarski” (1916–1951), oficer AK i działacz WiN. Komendant Obwodu AK Rzeszów, kierownik informacji (wywiadu i kontrwywiadu) Wydziału WiN Rzeszów, zastępca prezesa krakowskiego Wydziału, kierownik Wydziału Wywiadu w IV ZG WiN i p.o. prezes ostatniego zarządu. Aresztowany 1 II 1948 r., skazany na karę śmierci, stracony 1 III 1951 r.

VII. Cytowanie źródeł i literatury przedmiotu

1. Kolejność elementów w opisie cytowanej pozycji bibliograficznej:

- Inicjał imienia i nazwisko,
- Dalej jak w opisie bibliograficznym, zob. D. Bibliografia ,
- Numer cytowanej strony (pomijamy w wypadku dzienników i tygodników); stosujemy skrót s., nie ss.

Przykłady:

J. Kochanowski, W polskiej niewoli. Niemieccy jeńcy wojenni w Polsce 1945–1950, Warszawa 2001, s. 285.

A. Grajewski, Oskarżony ks. Franciszek Blachnicki, „Więź” 2001, nr 5, s. 94.

W. Władyka, Robotnicy wyszli na ulice, „Polityka” 2001, nr 26.

A. Kaczyński, Oczyszczanie pamięci, „Rzeczpospolita”, 19 V 2000.

2. Kolejność elementów w opisie materiału archiwalnego (poszczególne elementy oddzielamy przecinkami):

- Nazwa archiwum (skrót),
- Nazwa zespołu archiwalnego (ewentualnie skrót); stosowanie skrótu zesp. dopuszcza się tylko wtedy, kiedy nazwa zespołu jest zapisana cyframi lub symbolami,
- Sygnatura jednostki archiwalnej; jeśli sygnatura jednostki archiwalnej składa się z kilku symboli, dopuszcza się stosowanie skrótu sygn., wtedy jednak skrót należy stosować konsekwentnie w całej pracy,
- Opis dokumentu pozwalający na jego identyfikację – rodzaj dokumentu, kto, do kogo (jeśli tytuł dokumentu zawiera te informacje, można się nim posłużyć). Należy podawać pełne imiona nadawców i adresatów, nie inicjał.

Opis dokumentu (lub przytaczanej relacji) podawany jest antykwą,

- Data powstania dokumentu po przecinku lub data przybliżona w nawiasie kwadratowym; jeśli nie można ustalić daty, stosujemy skrót b.d.
- Numer karty (gdy przywoływany jest fragment dokumentu, numer karty, na której znajduje się ten fragment). Jeżeli jednostka archiwalna nie jest spaginowana, używamy skrótu b.p.

UWAGA 1. Jeżeli dokument był opublikowany, powołujemy się na wersję opublikowaną, a nie archiwalną.

UWAGA 2. Cytując dokumenty z Archiwum IPN (i archiwów oddziałów IPN), stosujemy skróty: AIPN, AIPN Bi, AIPN Gd, AIPN Ka, AIPN Kr, AIPN 4 Lu, AIPN Łd, AIPN Po, AIPN Rz, AIPN Wr. W wykazie skrótów rozwijamy je następująco: AIPN – Archiwum IPN w Warszawie; AIPN Bi – Archiwum

IPN Oddział w Białymstoku itd. Nie stosujemy zapisów typu BUiAD IPN, OBUiAD, OBUiAD Kat, OBUiAD IPN-Wr, AIPN Kraków, OBUiAD Lublin, OBUiAD IPN w Poznaniu, Archiwum IPN Warszawa itd.

Przykłady:

AAN, KC PZPR, XI A/102, List Nikity Chruszczowa do Bolesława Bieruta w sprawie redukcji sił zbrojnych PRL, 12 VIII 1955 r., k. 3.

AAN, KC PZPR, 237/V-757, Notatka dotycząca analizy aparatu partyjnego KW, KP/KM, KD/KZ, [sierpień 1968 r.], k. 10–20.

AIPN Kr, Akta operacyjne, 010/12061, Analiza materiałów sprawy operacyjnego rozpracowania kryptonim „Naprawiacz”, 8 VI 1978 r., k. 37.

AIPN, MSW II, 4183, Notatka ze spotkania wiceministra Franciszka Szlachcica z aktywnym SB KW MO w Białymstoku, 13 XI 1962 r., k. 18.

Archiwum MSZ, Zesp. 12, w. 14, t. 331, Raport polityczny poselstwa PRL w Tel Awiwie, 28 III 1956 r., k. 36.

3. Jeżeli w przypisie podajemy kilka źródeł, ich opisy rozdzielamy średnikiem.

C. Wykaz skrótów

1. W wykazie umieszczamy skróty występujące w tekście głównym i przypisach.
2. Podajemy jedynie skróty „rzeczowe” (instytucji, organizacji itp.).

D. Bibliografia

1. Tytuły dzieł obcych podajemy w języku oryginału (z cyrylicy w transkrypcji na łacinkę); opis (red., oprac., t., cz.) w języku polskim; miejsce wydania w tym języku, w jakim zostało podane na karcie tytułowej.
2. Kolejność elementów w zapisie bibliograficznym. UWAGA: kolejność powinna być zachowana bez względu na to, ile elementów zawiera opis.
 - a) Wydawnictwa zwarte (jedno- lub wielotomowe; dzieło jednego, dwóch lub trzech autorów; dzieło zbiorowe, tj. więcej niż trzech autorów):
 - Nazwisko i inicjał imienia,
 - Tytuł. Podtytuł (kursywą),
 - Numer tomu i części (z dwukropkiem – t. 1:):
 - Tytuł tomu i części (kursywą),
 - Przekład (tłum.),
 - Współpracownicy (red., oprac.),
 - Które wydanie (jeśli jest istotne),
 - Miejsce i rok wydania (b.m.w., b.d.w., umieszczamy po przecinku),
 - Nazwa serii wydawniczej w cudzysłowie, numer tomu w serii (zapisane w nawiasie),

- Informacje dodatkowe (np. rkps, mps).5
- b) Artykuły w pracach zbiorowych:
- Nazwisko i inicjał imienia,
 - Tytuł (kursywą)
 - [w:] (bez poprzedzającego przecinka)
 - Dalej jak w opisie bibliograficznym wydawnictwa zwartego.
- c) Czasopisma:
- Nazwisko i inicjał imienia,
 - Tytuł artykułu. Podtytuł (kursywą),
 - Tytuł czasopisma (antykwą, w cudzysłowie)
 - Rok wydania czasopisma (można poprzedzić miejscem wydania, jeżeli jest to konieczne do zidentyfikowania publikacji),
 - Część rocznika (numer, zeszyt; numer podwójny: 1/2 , numery kolejne: 1–2),
- d) Prasa codzienna:
- Nazwisko i inicjał imienia,
 - Tytuł artykułu. Podtytuł (kursywą),
 - Tytuł czasopisma (antykwą, w cudzysłowie),
 - Data wydania (a nie numer).

Przykłady:

– Kochanowski J., W polskiej niewoli. Niemieccy jeńcy wojenni w Polsce 1945–1950, Warszawa 2001.

– The Kissinger Transcripts. The Top Secret Talks with Beijing and Moscow, oprac. W. Burr, New York 1998.

– Anderson S., A Cold War in the Soviet Bloc. Polish-East German Relations, 1945–1962, Boulder 2001.

– Wołkogonow D., Stalin, t. 2, tłum. M. Antosiewicz, Warszawa 1998.

– Albert A. [Roszkowski W.], Najnowsza historia Polski 1918–1980, wyd. 2, Londyn 1989.

– Dąbrowska M., Dzienniki powojenne, t. 2: 1950–1954, oprac. T. Drewnowski, Warszawa 1996.

– Zakrzewska J., Mołdawa T., Historia sejmu polskiego, t. 3: Polska Ludo-

wa, red. A. Ajnenkiel, Warszawa 1989.

– Dzierzgowska A. i in., Supliki do najwyższej władzy, red. M. Kula, Warszawa 1996.

– Centrum władzy. Protokoły posiedzeń kierownictwa PZPR. Wybór z lat 1949–1970, oprac. A. Dudek, A. Kochański, K. Persak, Warszawa 2000 („Dokumenty do dziejów PRL”, z. 13).

– Gluchowski L., Nalepa E., The Soviet-Polish Confrontation of October 1956. The Situation in the Polish Internal Security Corps, Washington D.C. 1997 („Cold War International History Project Working Paper”, nr 17).6

– Wrzeński W., Postawy i nastroje Polaków po klęsce wrześniowej na terenie okupacji sowieckiej [w:] Komunizm. Ideologia, system, ludzie, red. T. Szarota, Warszawa 2001.

– Romek Z., Droga Leszka Kołakowskiego ku antykomunistycznej opozycji. Od ortodoksyjnej ideologii ku wolności myślenia, „Dzieje Najnowsze” 1999, nr 4.

– Grajewski A., Oskarżony ks. Franciszek Blachnicki, „Więź” 2001, nr 5.

– Matis J. [Kozłowski M.], Dżuma, „Kultura” (Paryż) 1969, nr 3.

– Władyka W., Robotnicy wyszli na ulice, „Polityka” 2001, nr 26.

– Kaczyński A., Oczyszczanie pamięci, „Rzeczpospolita”, 19 V 2000.

– Nowak M., Wspomnienia z mojej młodości, Kraków 1962, mps w zbiorach Jana Kowalskiego.

– Lityński A., O prawie i sądach początków Polski Ludowej, Białystok, b.d.w.

E. Indeksy

1. W indeksie osób zamieszczamy tylko nazwiska występujące w tekście głównym i przypisach (bez karty tytułowej, spisu treści, bibliografii). Nie indeksujemy nazwisk występujących w tytułach książek i nazwach własnych.

2. Od pseudonimów i nazwisk przybranych odsyłamy do właściwego nazwiska za pomocą skrótu: zob. „Mietek” zob. Podhorodecki Tadeusz Szwarc Czesław zob. Naleziński Czesław

3. W indeksie nazw geograficznych zamieszczamy tylko nazwy występu-

jące w tekście głównym i przypisach (bez karty tytułowej, spisu treści, bibliografii). Nie indeksujemy nazw występujących w tytułach książek i nazwach własnych, miejsc wydania publikacji, nazw państw oraz nazw typu Europa Środkowo-Wschodnia.

Część II. Opracowanie tekstów źródłowych

1. Numer dokumentu

Wyśrodkowany, kursywa, czcionka wytłuszczona.

2. Nagłówek dokumentu

Kursywa, obustronnie wyjustowany.

Nagłówek składa się z daty powstania dokumentu, miejsca powstania dokumentu oraz – po myślniku – regestu dokumentu.

Data powstania dokumentu ma następujący zapis: rok, miesiąc (słownie), dzień.

Brakujące elementy daty należy uzupełnić w nawiasie kwadratowym.

3. Ogólne zasady edycji dokumentu

- Uwspółcześniamy ortografię i interpunkcję tekstu. Odstępstwa od tej reguły wymagają przekonującego uzasadnienia.
- Stosowane w dokumentach różne sposoby zapisu daty (np. 12.08.1946, 12/8 1946, 12.VIII.1946, 12/8/1946) ujednolicamy następująco: 12 VIII 1946;
nie zamieniamy na liczbę rzymską nazw miesięcy pisanych słownie.⁷
- Wszelkie wyróżnienia w oryginalnym tekście dokumentu, dokonane przez jego twórcę (s p a c j o w a n i e ; WERSALIKI; podkreślenia) oddajemy za pomocą czcionki wytłuszczonej. W uzasadnionych przypadkach dopuszcza się pomijanie wyróżnień (np. nazwisk zapisanych wersalikami w dokumentach proveniencji policyjnej) i zapisywanie tych fragmentów tekstu czcionką podstawową.
- Nawiasy ukośne // zamieniamy na nawiasy półokrągłe ().
- Skróty słownikowe (ob., np., wg, ww., tj., ...) pozostawiamy bez rozwinięcia.
- Skróty niekonwencjonalne rozwijamy w nawiasach kwadratowych antykwą

- Towarzyszące nazwiskom inicjały imion rozwijamy w nawiasach kwadratowych antykwą. Dopuszczalne jest pozostawienie inicjału, jeśli nie znamy pełnego imienia.
- Należy ograniczyć do minimum użycie znaku [sic!]; kwestie wymagające komentarza omawiać w przypisach.
- Opuśczenia pochodzące od wydawcy zaznaczamy trzema kropkami w nawiasie kwadratowym i opatrujemy przypisem tekstowym, na przykład:
[...] e

4. Układ tekstu dokumentu

W edycji dokumentu nie odtwarzamy układu graficznego oryginału.

- a) miejsce i data powstania dokumentu – wyjustowane do prawego marginesu
- b) nagłówek nadawcy – wyjustowany do lewego marginesu
- c) nazwa adresata dokumentu – wcięta i wyjustowana do prawego marginesu
- d) tytuł dokumentu – wyśrodkowany
- e) treść dokumentu – obustronnie wyjustowany, akapity zaznaczone wcięciem pierwszego wiersza
- f) podpis pod dokumentem – wyjustowany do prawego marginesu; w wypadku dwóch podpisów – lewy podpis wyjustowany do lewego marginesu, a prawy do prawego.

5. Informacja o miejscu przechowywania dokumentu

Kursywa, czcionka o 1 pkt mniejsza od tekstu dokumentu, od akapitu. Po słowie „Źródło” i dwukropku podajemy: skrót nazwy archiwum, nazwę zespołu archiwalnego (lub jej skrót), sygnaturę jednostki archiwalnej, numer karty oraz informację o formie dokumentu będącego podstawą edycji (oryginał/kopia; rkps/mps).

W przypadku przedruku zamiast adresu archiwalnego podajemy opis bibliograficzny pierwodruku.

6. Przypisy tekstowe

Oznaczone literami. Do części odredakcyjnej przypisu stosujemy kursywę, do tekstu źródłowego – antykwę. Numerację przypisów tekstowych

rozpoczynamy od nowa dla każdego dokumentu.

Przypisami tekstowymi opatrujemy:

- lekcję wątpliwą;
- lekcję błędną – do tekstu wprowadzamy lekcję poprawną, a niepoprawną umieszczamy w przypisie tekstowym. W wypadku błędu powtarzającego się w całym tekście lub jego większym fragmencie, przypisem tekstowym oznaczamy tylko pierwsze wystąpienie tego błędu. Błędy maszynowe korygujemy bez zaznaczenia;
- brakujące bądź nieczytelne fragmenty tekstu – przypis tekstowy należy ująć w nawias kwadratowy, na przykład: [d];
- niejasności tekstu, błędy składniowe i gramatyczne;
- treść pieczęci, podpisów, rękopiśmienne adnotacje w tekście;
- dopiski, nadpisanie, przekreślenia;
- podkreślenia tekstu dokonane przez odbiorcę.

7. Przypisy rzeczowe

Numerowane cyframi arabskimi; antykwa. Umieszczone pod stroną, poniżej przypisów tekstowych. Numerację rozpoczynamy od nowa dla każdego dokumentu.

W przypisach rzeczowych umieszczamy wszelkie merytoryczne komentarze i wyjaśnienia do dokumentu. W razie konieczności opatrzenia lekcji błędnej komentarzem merytorycznym, umieszczamy go – wyjątkowo – w dotyczącym jej przypisie tekstowym.

8. Przykład

Nr 8

1945 luty 27, Białystok – Pismo naczelnika Wydziału Śledczego KW MO w Białymstoku do wojewody białostockiego w sprawie konieczności wzmocnienia posterunku MO w Milejczycach, pow. Bielsk Podlaski

Wydział Śledczy Białystok, dnia 27 II 1945 r.

Wojew[ódzkiej] Kom[endy]

Mil[icji] Obyw[atelskiej]

Do Ob. Wojewody Białostockiego w Białymstoku

Stosownie do polecenia Komendy Głównej [MO] z dnia 16 XII 1944 r. za L. 652 S/44, melduję, że dnia 24 II 1945 r. wieczorem zgłosił się do po-

sterunku MO w Milejczycach leśniczy i jego zastępca z leśnictwa Milejczyce i oświadczyli, że są posłuchy od rodz[*in*] Małasz^ków i Korzeniowskich, mieszk[*ańców*] wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk, że wkrótce ma być napad przez bandę na Pow[*iatową*] Kom[*endę*] MO w Bielsku i więzienie w Białymstoku. Również oświadczyli, że przechodząc, czy też przejeżdżając w okolicach wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk, trzeba być ostrożnym, gdyż ta wieś [f] jest zagrożona. Wobec czego komendant posterunku MO Milejczyce prosi o zwiększenie siły oraz większy przydział broni i amunicji, aby można zapobiec wypadkom i zlikwidować bandę, której jest we wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk.

Nacz[*elnik*] Urz[*ędu*] Śled[*czego*]

chor. S[*tefan*] Kufer

Źródło: APB, Urząd Wojewódzki w Białymstoku, 285, k. 12, oryginał, mps.

a Poniżej pieczęć prostokątna Urząd Wojewódzki w Białymstoku. Wpłynęło 28 II 1945 r. (data wpisana odręcznie).

b Poniżej odręcznie wpisana sygnatura pisma Nr S. 49/45.

c Tak w tekście.

d Korzeniewskich?

e W oryginale tu i dalej Libiejki. Niewątpliwie mowa o Lubiejkach w pow. bielskopodlaskim, nie zaś o Libiejkach w pow. zambrowskim.

f W maszynopisie dwa słowa przekreślone, niemożliwe do odczytania.

g–g Fragment napisany odręcznie.

h–h Fragment podkreślony odręcznie czerwonym ołówkiem.

i Tak w tekście.

j Powyżej nieczytelny podpis odręczny.

Tu i dalej mowa o Bielsku Podlaskim.

Chodzi o Wydział Śledczy KW MO w Białymstoku.

Podstawą powyższego przykładu jest autentyczny dokument ze zbioru Białostoczczyzna 1944–1945 w dokumentach podziemia i oficjalnych władz, pod red. J. Kułaka (Warszawa 1998), który na potrzeby niniejszej instrukcji został odpowiednio spreparowany.

9. Uwagi techniczne

Poniższe porady mają ułatwić użytkownikom edytora MS Word stosowanie w praktyce zasad edycji dokumentów źródłowych. Ponieważ edytor tekstu nie powinien udawać mądrzejszego od swego użytkownika, przed przystąpieniem do pracy warto wyłączyć następujące opcje:

- Narzędzia→Autokorekta→Autoformatowanie podczas pisania→Stosuj w trakcie pisania oraz W trakcie pisania automatycznie (wszystkie opcje)
- Narzędzia→Opcje→Edycja→Dokonywanie wcięć z lewej klawiszami Tab i Backspace

1) Wstawianie przypisów rzeczowych

- Uruchomić polecenie Wstaw→Przypis10
- W otwartym oknie dialogowym zaznaczyć opcje: Wstaw: Przypis dolny oraz Numerowanie: Automatyczne (lub Autonumerowanie)
- Wcisnąć klawisz OK

2) Wstawianie przypisów tekstowych

- Uruchomić polecenie Wstaw→Przypis
- W otwartym oknie dialogowym zaznaczyć opcje: Wstaw: przypis dolny oraz Numerowanie: Znak niestandardowy
- W sąsiednim okienku wpisać odpowiednią literę, którą zostanie oznaczony przypis tekstowy
- Wcisnąć klawisz OK

W razie konieczności zastosowania „podwójnego” przypisu, obejmującego fragment tekstu (typu: axxxxxa), przypis zamykający należy wstawić zgodnie z powyższą instrukcją, zaś przypis otwierający zamarkować odpowiednią literą we frakcji górnej (polecenie: Format→Czcionka→Indeks górny). Analogicznie za pomocą litery i myślnika we frakcji górnej należy zamarkować część oznaczenia przypisu pod stroną (np. a–a).

3) Prawidłowa numeracja przypisów

Numeracja przypisów rzeczowych i tekstowych powinna się rozpoczynać od nowa dla każdego dokumentu. Aby to zrobić, należy:

- Przed przystąpieniem do edycji dokumentów uruchomić polecenie Wstaw→Przypis→Opcje, następnie w otwartym oknie dialogowym na karcie Wszystkie przypisy dolne wybrać opcję Numerowanie: Każda sekcja od nowa. Następnie wcisnąć klawisze OK oraz Zamknij.

- Po każdym zakończonym dokumencie wstawić znak końca sekcji od nowej strony (polecenie: Wstaw→Znak podziału→Typy podziału sekcji:

Następna strona→OK).

Uwaga: Ponieważ edytor MS Word nie umożliwia rozdzielenia przypisów tekstowych od rzeczowych, pozostaną one „przemieszane”. Zasada umieszczania przypisów tekstowych pod stroną powyżej przypisów rzeczowych będzie mogła zostać spełniona dopiero na etapie łamania tekstu w profesjonalnym programie do składu komputerowego.

4) Wcięcia tekstu

Wszelkich wcięć w tekście (zarówno wcięć pierwszego wiersza akapitu, jak i całych akapitów) należy dokonywać za pomocą tabulatorów, a nie spacji.

OCHOTNICY Z AMERYKI W I BRYGADZIE LEGIONÓW POLSKICH

Idealy głoszone przez Józefa Piłsudskiego w pierwszej dekadzie XX wieku spotkały się z żywym odzewem środowiska polskiego, które osiedliło się w Stanach Zjednoczonych. Na ich podstawie została utworzona organizacja, która była ściśle związana z tym kierunkiem myślenia. Był to Komitet Obrony Narodowej, który został powołany oficjalnie do życia w dniu 16 grudnia 1912 r. w trakcie zwołanego przez środowisko polonijne t.zw. wiecu narodowego w miejscowości Pittsburgh w Pensylwanii. Byli na nim obecni przedstawiciele reprezentujący kilka istniejących już w tym okresie na terenie Ameryki Północnej organizacji. Do powstania tej pierwszej w historii polskiego uchodźstwa organizacji politycznej doszło dzięki skutecznemu połączeniu dwóch odłamów działającego na terenie Stanów Zjednoczonych skonfliktowanego do tego czasu „Sokolstwa Polskiego”. W upublicznionej rezolucji stwierdzono, że „Uznając obowiązek współdziałania z krajem ojczystym we wszelkiej akcji, mającej na celu przywrócenie niepodległości politycznej Polsce, [...] Oddaleni o tysiące mil od Ojczyzny, nie mogąc brać czynnego udziału w polityce narodowej, poddajemy się pod bezwzględną dyrektywę Zjednoczonych Niepodległościowych Partii w Polsce reprezentowanych przez swoich delegatów na zjeździe w Zakopanem, jesienią 1912 r., i tworzących obecnie Polski Skarb Wojskowy. Stosownie do orientacji politycznej dokonanej już w kraju przez powyższe partie, postanawiamy wszelkimi środkami ruch powstańczy przeciw Rosji, największemu wrogowi Polski, przedstawicielce ucisku, barbarzyństwa, ciemnoty i odwiecznemu żandarmowi absolutyzmu w Europie, [...] Niech żyje walka

zbrojna, niech żyje wolność, Niech żyje niepodległa Rzeczpospolita Polska”¹.

Następnie powołano w ramach nowej organizacji Komitet Tymczasowy, w którego skład weszło 15 członków. Wśród nich znaleźli się m.in. prof. Tomasz Siemiradzki, Jan M. Sienkiewicz, Aleksander Dębski i inni. Byli oni przedstawicielami najbardziej znaczących organizacji polonijnych, jakimi były Związek Narodowy Polski, Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie i Związek Socjalistów Polskich w Ameryce². Działacze Komitetu opierali swoją działalność przede wszystkim na istniejącym na tym terenie środowisku socjalistyczno-niepodległościowym, który był popularny w większych ośrodkach przemysłowych, jak: Detroit, Chicago i Nowy Jork. W pierwszej kolejności swojej działalności Komitet był ściśle podporządkowany Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Narodowych i uważany był za jego zaoceaniczną filię. W okresie późniejszym podporządkował się kolejno Naczelnemu Komitetowi Narodowemu, Tymczasowej Radzie Narodowej i Radzie Regencyjnej³.

Pomimo zjednoczenia się ruchu Sokolego w Stanach Zjednoczonych i powstania KON w kierowniczych środowiskach obydwu stron istniał jednakże w dalszym ciągu konflikt. Wyraźnie może świadczyć o tym fakcie notatka zamieszczona na krótko przed wybuchem wojny na łamach prasy, w której pisało m.in.: „Organ urzędowy Związku Młodzieży Polskiej w Ameryce »Pobudka« podał w ostatnim numerze uwagę tej treści: Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych przeznaczyła 2000 dol[arów] na kurs skautowo-wojskowy dla organizacji wojskowych w Ameryce, stojących przy KON. Kurs ten powierzono do przeprowadzenia Sokolstwu. Przewodnictwo Związku Sokółów uważało jednak za stosowne członków ZMP na kurs nie przyjąć”⁴.

Po rozpoczęciu działań wojennych w sierpniu 1914 r. działacze KON skupili się przede wszystkim na gromadzeniu funduszy, które były przesyła-

¹ IJPA w NY, AOg, Komitet Obrony Narodowej, Konstytucja Obrony Narodowej, Chicago 1913, zesp. 15, sygn. 3.

² *Ibidem*, „Dziennik Narodowy”, Chicago 1913, s. 1.

³ K. Langowski, *Organizacje pilsudczykowskie w Nowym Jorku i miejsca z nimi związane* [w:] *Polonijny Nowy Jork*, oprac. D. Piątkowska, Nowy Jork-Opole 2010, s. 178.

⁴ AIPNBU 3960/10, *Nieuzasadniona pretensja* [w:] *Sokół Polski w Ameryce*, nr 22, 28.V.1914 r., s. 2.

ne następnie w celu prowadzenia skutecznej organizacji i działalności bojowej oddziałów legionowych. Starano się także, aż do wiosny 1916 r., pomimo zorganizowanej przez angielską marynarkę wojenną blokady kontynentalnej wysłać kilkuset polskich ochotników na tereny Galicji, gdzie stacjonowały oddziały wchodzące w skład I Brygady Legionów. Od początku działacze skupieni w KON wspierali kierowniczą rolę jaką w polskim ruchu niepodległościowym realizował Józef Piłsudski. Komitet utrzymywał bezpośredni kontakt z brygadierem przez swoich wysłanników. Informacje na ten temat możemy znaleźć w wydanej przez KON „Instrukcji poufnej”, w której treści pisano, że organizacja popiera materialnie polskie wojsko, a głównym zadaniem Polaków konieczne było dążenie do wzrostu jego stanu liczebnego, które mogło z kolei zdecydowanie zaważyć „na szali podczas układów pokojowych bez względu na to, która strona odniesie zwycięstwo”. Zwrócono także uwagę, że wysłano do kraju przedstawiciela KON-u, którym był Aleksander Dębski, to dzięki „jemu tylko wiadomymi drogami przesyła od czasu do czasu pieniądze na ręce NKN dla użytku ich na Wojsko Polskie. Od czasu wybuchu wojny dokonano tego trzykrotnie”⁵. Niewątpliwym dowodem na poparcie przez Komitet Piłsudskiego i dowodzonych przez niego oddziałów legionowych było wręczenie przez Aleksandra Dębskiego w dniu 9 czerwca 1915 r. na froncie pod Konarami daru od KON-u dla Legionów i ich komendanta. Był nim ufundowany przez Polki z Chicago sztandar, a także złoty zegarek dla Józefa Piłsudskiego i 7500 dolarów na cele wojskowe. Wymienione dary zostały przekazane w obecności piętego batalionu piechoty, w którym służyła większość ochotników, którzy dotarli z Ameryki⁶.

Systematycznie prowadzona przez KON działalność doprowadziła do ostatecznego zerwania stosunków ze Związkiem Sokolstwa Polskiego w Ameryce. Jak jednak oświadczyli oficjalnie działacze Sokolstwa, że dawniejszy ich stosunek do KON został odrzucony z powodu przeprowadzenia reorganizacji wewnętrznej przez Komitet na „organizację opartą na [wyłącznie] swoich zwolennikach. Do Zjazdu obowiązywało zalecone stanowisko przez poprzednią

⁵ IJPA w NY, AOg, Komitet Obrony Narodowej, zesp. 15, sygn. 3.

⁶ List do KON w Ameryce od Józefa Piłsudskiego, *Pisma Zbiorowe*, t. 4, Warszawa 1937, s. 38

ustawę t[o] j[est], że w Zarządzie Kom[itetu] było czterech przedstawicieli Sokolstwa. Ich mandaty obowiązywały do Zjazdu w Buffalo i tamże automatycznie przestały tvczże reprezentantów obowiązywać, a że Izba po wysłuchaniu godzinnej dysputy nie powzięła uchwały nadal w KON mieć swoich reprezentantów tym samym dawniejsze stosunki zostały zerwane. Co zaś do współżycia Sokolstwa z Kom[itetem] O[brony] N[arodowej] na przyszłość to obowiązek Sokoli jest jasny »wobec jej kardynalnej zasady bezpartyjności«, a tym samym popierać będziemy pracę tegoż Komitetu, tak jak to Sokolstwo spełnia wobec drugih organizacyi”⁷.

Podróż ochotników z miejscowości Amsterdam w stanie Nowy Jork do Galicji

Na nieszczęście dla badaczy zajmujących się dziejami związanymi z działalnością Polonii Amerykańskiej na niwie niepodległościowej w okresie tuż przed wybuchem działań wojennych jak też i w czasie toczących się walk w Europie w latach 1914-1918 nie przetrwało zbyt wiele dokumentów. Skromne informacje dotyczące działalności osób powiązanych z działalnością prowadzoną przez Józefa Piłsudskiego, czyli w ramach Komitetu Obrony Narodowej jest obecnie przechowywane w zbiorach Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce z siedzibą w Nowym Jorku. Dlatego też przyjemnym zaskoczeniem stało się obecnie odnalezienie przeze mnie interesujących dokumentów dotyczących tego właśnie tematu w przejętych niedawno przez Archiwum Akt Nowych w Warszawie Akt zgromadzonych przez Artura Leopolda Waldo-Stefańskiego⁸. Wśród dokumentów zachowała się także pisemna relacja sporządzona przez jednego z ochotników, który dotarł po wybuchu działań wojennych pierwszym statkiem płynącym z Nowego Jorku do Europy, a następnie na tereny Galicji i wstąpił do szeregów I Brygady Legionów Polskich dowodzonych przez Józefa Piłsudskiego. Autorem relacji związanej z tą eskapadą i późniejszą jego trzyletnią służbą w oddziałach legionowych, a także podróżą powrotną do Ameryki

⁷ AIPNBU 3960/10, Uwagi [w:] *Sokół Polski w Ameryce*, nr 40, 8.X.1914, s. 5

⁸ Artur Leonard Waldo-Stefański (1896-1985); ur. w Radomiu, zmarł w Phoenix w Arizonie, USA; aktor, żołnierz, oficer, dziennikarz, pisarz, historyk; działacz polonijny i niepodległościowy.

w 1917 r. był mieszkający w znajdującej się na terenie stanu Nowy Jork miejscowości Amsterdam Juliusz Mieczysław Zieliński. Niestety jak wspominała po latach jego małżonka Józefa pisząc na temat treści zachowanych wspomnień w liście do Artura Waldey, że: „Wysyłam Panu pamiętnik jak obiecałam, może Pan coś w nim natrafi, że się Panu przyda. Zniszczony jest i kilku kartek brakuje, bo nieraz był czytany”⁹. Dokumenty te zostały przez Juliusza Zielińskiego spisane częściowo na maszynie, a także odręcznie na papierze firmowym „Grand Hotel Commons Hoodseeg 12/a-b Amsterdam”, w którym najprawdopodobniej w tym czasie był zatrudniony po powrocie z Europy i później w 1941 r. zostały udostępnione do badań historycznych prowadzonych przez Artura Waldę przez małżonkę Juliusza Zielińskiego Józefę¹⁰, która była także znaną w środowisku polonijnym działaczką społeczną. Pomimo wyrażonej wyraźnie prośby przez żonę zmarłego o zwrot wypożyczonych materiałów przez Artura Waldę po ich wykorzystaniu w pracy poświęconej ruchowi Sokoła Polskiego w Ameryce rodzinie zmarłego legionisty, nigdy tak się jednak nie stało¹¹. Wśród zachowanych materiałów archiwalnych znalazła się także relacja praso-

⁹ AAN, Akta A.L. Waldo, Aneks nr 2

¹⁰ AAN, Akta A.L. Waldo, Na temat działalności Józefy Zielińskiej pisał m.in. Ludwik Palczak, który w rubryce poświęconej wiadomościom z Amsterdam stwierdził m.in.: „W niedzielę 16 lutego o 3-ej po południu w sali Domu Gminy 113 ZNP [Związku Narodowego Polskiego] odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Komitetu Ratunkowego, połączony z Komitetem Złączonych Towarzystw Polskich, na którym stawili się licznie delegaci poszczególnych towarzystw. [...] Pomiędzy innymi uchwalono wysyłanie paczek dla żołnierzy internowanych w obozach niemieckich, za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Szwajcarii. [...] W skład komitetu, który zajmie się pakowaniem paczek wchodzi: Leon Wyżykowski, przewodniczący., Jan Tokarczyk, Jan Woźniak, Józefa Zielińska”, zob.: AAN, Akta A.L. Waldo, *Z posiedzenia Komitetu Ratunkowego* [w:] *Nowy Świat*, 21.02.1941., sygn. 64, s. 8; W tej samej rubryce znajduje się także inna informacja dotycząca działalności społecznej Józefy Zielińskiej w Stowarzyszeniu Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, gdzie była członkiem placówki istniejącej w tej miejscowości. W treści notatki zapisano: „Dnia 22 marca Korpus Pomocniczy Pań urządza wieczorek Józefów i Józefinek. Koleżanki przygotowują smaczną kolację. Prezeska Pani Józefa Zielińska zaprasza koleżanki i kolegów weteranów na ten miły wieczorek. Początek o 8-ej wieczorem w Sali Związkowej”. zob. *ibidem*.

¹¹ Na podstawie posiadanej przeze mnie wiedzy na temat opublikowanych przez Artura Waldę materiałów dotyczących działalności środowiska niepodległościowego w Stanach Zjednoczonych informacje uzyskane przez niego od Józefy Zielińskiej nigdy nie zostały wykorzystane w jego pracy dziennikarskiej i pisarskiej.

wa z uroczystości pogrzebowych Juliusza Zielińskiego, który zmarł w kwietniu 1940 r. jak też i korespondencja pomiędzy Józefą Zielińską i Arturem Waldą.

W rzeczywistości na podstawie zachowanych materiałów wiemy bardzo mało na temat Juliusza Mieczysława Zielińskiego. Urodził się on i wychował w Złoczowie. Dotarł do Stanów Zjednoczonych w 1906 r. i zamieszkał w miejscowości Amsterdam w stanie Nowy Jork. Jak się szybko okazało w miejscowości tej jak też i innych okolicznych zamieszkiwało liczne środowisko Polaków, którzy znaleźli zatrudnienie w działających tam zakładach przemysłowych. Na podstawie zachowanego tekstu odręcznych wspomnień spisanych przez Juliusza Zielińskiego, a także stanowiska kierowniczego, które zajmował w Sokole Polskim w Ameryce można wnioskować, że był dobrze wykształcony. Po przybyciu szybko związał się z działalnością istniejącego w Amsterdam Gniazda nr 129 Związku Sokołów Polskich w Ameryce, które wchodziło w skład VIII Okręgu tej organizacji. Pierwszą informację na temat istnienia tego Gniazda znalazłem w notatce zamieszczonej w urzędowym organie wydawanym przez Związek Sokołów Polskich w Ameryce pt. „Sokół Polski”. W rubryce „Z życia Gniazd”, gdzie napisano: „Gn[iazdo] 129 Amsterdam, NY – Na prezesa W. Krzyżak, wice prezesa F. Lisak; K. Więzak na sekr[etarla] prot[okołowego], P.Z. Rapczyński kasyer, F. Kadtkę; naczelnik J. Wojciechowicz i sekr[etarz] fin[ansowy] Fr. Boliński, PO, box 156”¹². O dużym zainteresowaniu działalnością organizacji w środowisku Polskim na tym terenie i jednocześnie chęci wzięcia udziału w propagowanych przez tę organizację ćwiczeniach wojskowych świadczy wyraźnie kolejna informacja, która znalazła się w czerwcowym wydaniu pisma. Stwierdzono wtedy, że: „Amsterdam, NY, Czołem drużynie Sokolej składa braterskie pozdrowienie Batalion Wojsk Ochotniczych Polskich w Amsterdam, NY, deklarując niniejszym przystąpienie do drużyn wojskowych 59-ciu swych członków. Jest nas w Batalionie przeszło dwustu, mamy więc nadzieję, że drużyna nasza szybko wzrastać w liczbę będzie aż nas wszystkich w mundur polowy ustroi i pod karabin postawi. Na czele drużyny stanęli nasz ukochany pułkownik ks[iądz] A. Górski i major F. Sajta jako komen-

¹² AIPNBU 3960/9, *Z życia Gniazd* [w:] *Sokół Polski w Ameryce*, nr 14, Pittsburgh, Pennsylvania, 15.V.1913, s. 5.

danci, a na sekretarza powołali niżej podpisanego. Czołem Jan Muszyński, 49 Milton Avenue, Amsterdam, NY¹³. Kilka miesięcy później dzięki wsparciu kolegów z Amsterdam powstało Gniazdo nr 489 organizacji Sokoła w Ameryce w pobliskiej miejscowości Schenectady, z którą w kolejnych latach był także czynnie związany Juliusz Zieliński¹⁴.

O zaangażowaniu w działalność społeczną i niepodległościową Juliusza Zielińskiego wyraźnie świadczy jego awans w środowisku organizacji Sokolstwa Polskiego w Ameryce. Już w grudniu 1913 r. w relacji z działalności Gniazda w Amsterdam znalazła się informacja, że zajmował on już stanowisko prezesa. W relacji z uroczystej wieczornicy poświęconej uczczeniu setnej rocznicy śmierci księcia Józefa Poniatowskiego i jednocześnie kolejnej rocznicy wybuchu Powstania Listopadowego w 1830 r. „Sokoli w porozumieniu z miejscowym [oddziałem] KON postanowili uczcić bohaterów, zaś dochód przeznaczono dla powodziń w Galicji. Obchód rozpoczął się nieszporemi, na których były obecne wszystkie tow[arzystwa] wojskowe i cywilne. Wielebny ks[iądz] A. Górski wygłaszając patriotyczne kazanie pobudzając do łez obecnych w kościele.[...] Należy również nadmienić, że wiel[ebny] ks[iądz] A. Górski [jest] przewodniczący[m] [miejscowego lokalu] KON podczas nieszpórów zajął się kolektą na głodnych w Galicji. Dobrowolna składka przyniosła \$81,30. Nieszpory zakończono pieśnią *Boże coś Polskę*. O godz. 7-ej wieczorem na hali Colonia odbyła się wieczornica z następującym programem: Zagajenie przez druha M. Krzyżak. Odczyt wygłosił druha M. Zieliński¹⁵. W kolejnym numerze dwutygodnika zapisano: Amsterdam, NY, Prezes Gniazda 129 d[ru]h M.J. Zieliński donosi, że w wykonaniu rozkazu Zarządu odnośnie zbierania ofiar na dotkniętych głodem w Galicji, wobec warunków miejscowych i bardzo słabych zarobków w fabrykach, Gniazdo uchwaliło nie zbierać ofiar na listy, ale urządzić ruchome obrazy co przyniosło kilkadziesiąt dolarów, z których już 60 zostały do biura Zarządu nadesłane. Sokoli nałożyli na siebie 5 centowy podatek na sześć miesięcy, co razem z zebranymi na Obchodzie 49 dolarami

¹³ *Ibidem*, nr 18, Pittsburgh, Pennsylvania, 12.VI.1913, s. 4.

¹⁴ *Ibidem*, nr 19, Pittsburgh, Pennsylvania, 16.X.1913, s. 5; zob. także.: *ibidem*, nr 40, Pittsburgh, Pennsylvania, 13 XI. 1913.

¹⁵ *Ibidem*, nr 42, 13.XII.1913, s. 5.

i 6 centami daje prawo drużynie w Amsterdam być dumną z uczciwie spełnionego obowiązku wobec Ojczyzny”¹⁶.

Działania KON podejmowane w celu rekrutacji i wysyłania ochotników do Legionów Polskich

Wraz z wybuchem działań wojennych w sierpniu 1914 r. KON zachęcał w swoich deklaracjach i wydawanych do Polaków w Ameryce do ochotniczego wyjazdu i wstępowania w szeregi stacjonujących na terenie Galicji Legionów Polskich. Wskazywała na to już cała realizowana przez tę organizację wcześniej na terenie Ameryki działalność propagandowa jak też i prowadzone szkolenia wojskowe. Akcja ta była jednak utrudniona, ponieważ komunikacja z terenami znajdującymi się pod panowaniem Cesarstwa Austro-Węgierskiego jak też i Pruskiego poddane były od strony Atlantyku brytyjskiej blokadzie morskiej. Z powodu neutralności ogłoszonej przez Stany Zjednoczone, działalność taka jako nielegalna musiała być prowadzona w pełnej konspiracji. Dlatego też wprowadzono urzędowe restrykcje umożliwiające podróże dla osób chcących udać się w podróż do Europy w celu wzięcia osobistego udziału w walkach. Restrykcjom tym mającym na celu dokładne sprawdzanie podróży zostały przede wszystkim poddane linie okrętowe, które jako jedyne umożliwiały pasażerski kontakt z Europą. W tym celu wydane zostały także odpowiednie zarządzenia przez władze amerykańskie. Świadczy o tym wyraźnie treść notatki poświęconej komunikatowi opublikowanemu w tym czasie przez kierownictwo i właścicieli linii żeglugowej „Holland-American” na łamach polskiego pisma, które brzmiało: „Od jednego z Polaków prowadzących sprzedaż kart okrętowych otrzymaliśmy do opublikowania jako ostrzeżenie tej treści komunikat Kompanii Holland-America Line: Ważne! Prosimy zapamiętać, że do dalszego zawiadomienia, żadni rezerwiści wojujących państw nie mogą być akceptowani jako pasażerowie do Europy. Poddani niewojujących państw mogą być zapisywani na listy pasażerów. W niepewnych wypadkach zaprzysiężenia będą żądane aby udowodnić, że dany pasażer nie jest rezerwistą. S.S.

¹⁶ *Ibidem*, nr 44, 18.XII.1913, s. 5.

Nordham odjeżdża we wtorek, 1 września o godz. 10-ej rano z Nowego Yorku. Oczekując wiele raportów. Pozostajemy. Holland America Line¹⁷. Pierwsze wyjazdy były prowadzone w rzeczywistości spontanicznie przez aktywniejsze osoby, które wyruszały w podróż samodzielnie. Jako pierwsi popłynęli już najbliższym rejsem statku linii „Holland-America”, który udawał się z Nowego Jorku do Europy w dniu 1 września 1914 r. Jak wspominał jeden z ochotników, którym był właśnie Juliusz Zieliński, że: „wsiadłem na okręt linii „Holland-America”...¹⁸ NORDAM¹⁹...Towarzyszów z Amsterdam miałem pięciu. W. Wierzbowski, ²⁰LEON RAKIC²¹, Modest Lisiewski²², Jan Kosiński, Jan Mazurek. Na pokładzie drugiej klasy poznaliśmy towarzyszy dążących w tę samą stronę. Witold Rylski lat 44 ex-naczelnym z ZSP [Związku Sokołów Polskich] Zygmunt Rowiński, Kazimierz Głuchowski, Maryan Zawadzki, Janusz Ostrowski, Ferdynand Bernaczyk, Władysław Krenzel²³. Witold Ścibor Rylski, który był jednym z naczelników Sokoła i pełnił jednocześnie funkcję

¹⁷ *Ibidem*, nr 36, 3.IX.1914, s. 6.; Ciekawostką w tym miejscu jest niewątpliwie fakt, że wspomniana informacja ostrzegająca przed wyjazdami ukazała się w druku na łamach wspomnianego pisma już po wypłynięciu statku z pierwszymi ochotnikami do Galicji.

¹⁸

¹⁹ eZapisane literami drukowanymi.

²⁰

²¹

²² Artur Leonard Waldo pomylił się w dwóch nazwiskach pisząc na temat wyjazdu ochotników z Ameryki do Legionów we fragmencie pt. „Grupa z Detroit do Legionów. Z Detroit odjechali także Zygmunt Rowiński, Marian Zawadzki i Bar. Z Amsterdam, NY, odjechali Marucek, Kosiński i Liciecki. Nie wszystkie nazwiska są znane, ponieważ wyjeżdżali po kryjomu”. Uczyniona przez niego pomyłka i sugestia dotycząca o jego nieznaności nazwisk osób wyruszających w daleką podróż do Europy jest tym bardziej zastanawiająca, że już od 1941 r. był w posiadaniu relacji jednego z bohaterów tej właśnie niebezpiecznej eskapady. Takie postępowanie wyraźnie świadczy o korzystaniu przez niego w trakcie swojej pracy jedynie z prasy wydawanej w tym okresie przez Sokolstwo Polskie w Ameryce. zob. A.L. Waldo, *Sokolstwo przednia straż narodu: dzieje idei i organizacji w Ameryce*. t. 4, 1974 r., s. 208.; zob. także: AIPNBU 3960/10, *Z życia Gniazd* [w:] *Sokół Polski w Ameryce*, nr nr 39, Pittsburgh, Pennsylvania 1.X.1914, s. 5

²³ AAN, Arch. A.L. Waldo, Relacja z podróży do Legionów Juliusza Mieczysława Zielińskiego, *Aneks 1*, s. 1.; zob także: IJPA, NY, AO, Teczka Aleksandra Dubińskiego, relacja z pobytu w Legionach pt. *Ochotnicy z Ameryki do Legionów 1914-1918*. A. Dubiński, ochotnik z Ameryki, służył w 1. Pułku Artylerii Legionów, członek POW; w 1917 r. internowany przez Niemców; w okresie międzywojennym służył w stopniu sierżanta sztabowego w 29. Pułku Strzelców Kaniowskich, członek IJP w Nowym Jorku.

instruktora w założonej przez Związek Młodzieży Polskiej szkole wojskowej w Congres pod Nowym Jorkiem²⁴. Po dotarciu do Legionów Ryłski dowodził w późniejszym okresie 6. Pułkiem Piechoty w I Brygadzie. Już na początku października 1914 r. na łamach Sokoła Polskiego ukazała się krótka relacja dotycząca podróży wspomnianych powyżej ochotników, która miała być jednocześnie swoistym ostrzeżeniem dla innych chętnych pragnących pójść także w ich ślady do legionowych szeregów. Jak pisano, że: „nadeszła wiadomość od byłego druha Głuchowskiego, który wraz z czternastoma towarzyszami wyjechał do kraju stanąć do walki. Otóż z liczby tej sześciu zatrzymano i internowano na czas wojny w Irlandyi, a są to obywatele Rowiński, Zawadzki i Bar z Detroit i Marucek [Mazurek], Kosiński i Liciecki [Lisiewski] z Amsterdam. Taki oto rezultat przykryj tej afery, która tyle szkody przyniosła Sokolstwu [...] Powyższe jest dopiero pierwszym etapem, pozostaje jeszcze przedarcie się przez Niemcy do Austrii i Krakowa. A no czekajmy na dalsze wieści”²⁵.

W podróż na tereny Galicji starali się jednak w okresie późniejszym pójść także pomimo czekających ich trudności inni chętni. Próbę jednego z nich wspomina w swojej relacji w listopadzie nowojorski dziennikarz Jakub Vorzimmer, który prowadził własną księgarnię przy 2 Alei na nowojorskim Manhattanie: „Piszę w sprawie Grabowskiego. Chłop bezwarunkowo chce jechać i nic go wstrzymać nie może [...] Grabowski jest zapaleniec, strasznie twardo stoi przy Strzelcu i niejeden raz miał już spory z przeciwnikami Legionów [...] Jakkolwiek wobec tego, co się słyszy o Królestwie, ja nie jestem za tym, by wysyłać teraz ludzi do boju, to jednak w tym wypadku, zdaje się, że nic nie pomoże. Opanowała Grabowskiego żądza pojechania [...] Może tedy lepiej

²⁴ Z powodu wyjazdu do Legionów został na nadzwyczajnym posiedzeniu odbytym w dniu 4 sierpnia 1914 r. Wydziału Związku Sokołów Polskich oficjalnie wykreślony karnie z grona członków tej organizacji. Oficjalnie stwierdzono także w treści specjalnie w tym celu wydanego komunikatu, że: „Po odczytaniu [...] listów do d[ru]ha prezesa przez byłego naczelnika Zw[iązku] d[uh]ha W.S. Ryłskiego, jednogłośnie przyjęto wniosek wykreślenia tegoż druha z Zespołu Sokolego i polecono redakcji dosłownie podać ów komunikat i wyjątki z listu i omówić tą przykrą sprawę w Sokole”. zob. *Ibidem*, nr 39, Pittsburgh, Pennsylvania 1.X.1914, s. 5

²⁵ *Ibidem*, nr 39, Pittsburgh, Pennsylvania 1.X.1914, s. 5; Z treści tekstu wynika wyrażnie, że wszyscy ochotnicy, którzy popłynęli do Galicji zostali usunięci karnie z szeregów Związku Sokolstwa Polskiego w Ameryce.

dać mu zasilek na podróż”²⁶. Można stąd wysnuć wniosek, że już w listopadzie 1914 r. Komitet finansował wyjazdy ochotników do Legionów. W rzeczywistości w pełni akcja mająca na celu wspieranie wyjazdów ochotników została jednak zorganizowana dopiero w połowie 1915 r. Wtedy to w każdym większym ośrodku na terenie którego działał KON, wybrano zaufane osoby, które się tym zajmowały. Dokonywały one werbunku spośród znanych sobie osobiście ludzi, informując je jednocześnie na temat istniejących możliwości podróży na teren Królestwa. W dalszej kolejności wytypowani ochotnicy zwracali się listownie o wsparcie do władz KON, które sprawę ostatecznie rozstrzygały i decydowały o przyznaniu pewnej sumy pieniędzy na podróż, a także udzielały dokładnych instrukcji związanych z podróżą. Wydany został także w tej sprawie specjalny okólnik Komitetu przeznaczony dla poszczególnych komisarzy terenowych, którego treść informowała, że osoba starająca się na wyjazd powinna złożyć dwie fotografie, z których jedna miała być zwrócona przed odplynięciem. W czasie podróży fotografie powinno się ukryć, a po dopłynięciu do Kopenhagi miała ona służyć jako dowód dla zaufanego pracownika ambasady Austrii, którym był Polak Zdzisław Narcyz Okęcki. Na terenie Nowego Jorku z kolei pomagał działaczom Komitetu w działającej tam placówce dyplomatycznej Austrii zatrudniony w niej Polak Eugeniusz Rozwadowski. Okęcki po załatwieniu koniecznych formalności kierował podróżującą osobę po minięciu około dwóch tygodni do Galicji²⁷. W treści instrukcji została zawarta także informacja o konieczności posiadania przez ochotnika 100 dolarów, które były niezbędne w celu pokrycia kosztów podróży, a także legitymowania się paszportami rosyjskim lub amerykańskim. Obywatele Austrii lub Niemiec nie mieli w tym okresie możliwości swobodnego podróżowania po terenie Europy. Zainteresowani ochotnicy zostali zobligowani dodatkowo przed wyjazdem do Europy wykazania posiadanych kwalifikacji wojskowych, a także informacji o stanie zdrowia²⁸. Biuro KON każdorazowo po rozpatrzeniu indywidualnego przypadku przysyłało otrzymane od ochotnika fotografie do Nowego Jorku,

²⁶ IJPA, NY, AOs, Teczka Jakuba Vorzimmera, list J. Vorzimmera do S. Rayzachera, Nowy Jork, 11 listopada 1914.

²⁷ M. Francić, *Komitet Obrony Narodowej w Ameryce 1912-1918*, Warszawa 1983, s. 135.

²⁸ IJPA, NY, AOG, Komitet Obrony Narodowej. *Dwie instrukcje*, zesp. 15, sygn. 2.

do mieszkającej tam Rozalii Dębskiej, do której także kierowano ostatecznie zainteresowanych przed ich zaokrętowaniem się na statek w działającym tam porcie. Taką właśnie informację znajdujemy w liście skierowanym do J. Paprockiego, w którym pisano: „Komisja Poufna przyznała wam na drogę zasiłek 60.00 dol[arów], które przesyłam z prośbą o nad[e]ślanie nam pokwitowania z odebranej sumy i pilnego przestrzegania wszelkich wskazówek udzielanych wam przez nas i przez ob[ywatela] [Mikołaja] Gmernickiego. Po fotografię należy się zgłosić do Pani dr R[ozalii] Dębskiej [...] Otrzymacie ją opatrzoną poleceniem, które ułatwi wam przejazd przez Niemcy do kraju. Należy pilnować tej fotografii przed rewizją angielską, a na statku nie wdawać się z nikim w rozmowy - nawet z Polakami²⁹.”

Z kolei w listach kierowanych bezpośrednio do Rozalii Dębskiej Komitet informował m.in.: „W załączeniu przesyłamy fotografie obywateli: G. Romera, W. Ledwońskiego, S. Kulczyckiego, Kalbucha, J. Kułcza, wszystkich mnie osobście dobrze znanych i w zupełności zasługujących na poparcie którego zechce im Sz[anowa] Pani nie odmówić³⁰.”

W rzeczywistości krąg osób wspierających akcję związaną z wysyłaniem ochotników do szeregów legionowych zaangażowanych był dużo większy. Brała w nim udział także znana w środowisku polonijnym w Chicago, Buffalo, Detroit i Niagary aktorka działających na terenie Stanów Zjednoczonych Teatrów Polskich Stefania Eminowicz. Zachował się rękopis sztuki teatralnej napisanej przez Artura Leonarda Waldo pt. „Piłsudski wśród ludu”. W środku Waldo złożył także osobistą dedykację o treści „Pani Stefanii Eminowicz niestrudzonej pracowniczce przy wysyłaniu ochotników z ramienia KON do Legionów Piłsudskiego w roku 1914 i później poświęca, Esserville, Mich[igan]

²⁹ *Ibidem*, List z Komitetu do J. Paprockiego z Komitetu z 12 sierpnia 1915 r.; a także w liście z Komitetu do K. Kamińskiego z 12 sierpnia 1915 r., zesp. 15, sygn. 2, nr 6829; a także w liście do dr A. Stawskiego z 26 lipca 1915, zesp. 15, sygn. 2, nr 6569, w którym pisano m.in. „O ile załatwiliście wszelkie formalności transportowe, data wyjazdu Waszego i ob[ywatela] Tajster zależy wyłącznie od waszej woli. Po przesłaniu przez Was fotografii i wiadomości, ile posiadacie pieniędzy, prześlemy Wam potrzebną resztę do New Yorku, a zarazem podamy adres, w którym macie się zgłosić po dalsze instrukcje. To samo stosuje się do ob[ywatela] Żółtowskiego, do którego dziś w tej sprawie piszę”.

³⁰ *Ibidem*, List Komitetu do Rozalii Dębskiej z 3 sierpnia 1915 r., zesp. 15, sygn. 2, nr 6713

w lipcu, 1922 roku”³¹.

Obecnie historykom trudno jest doprowadzić do dokładnego ustalenia, ile osób w rzeczywistości udało się pomyślnie wysłać do Legionów drogą morską. Artur Hausner podał w jednym ze swoich raportów, pisanych z pewnością na początku 1916 r. liczbę czterystu osób. I tę właśnie ilość można uznać za wiarygodną w całym okresie trwania tej akcji. Jako ostatnia odpłynęła do Europy grupa 34 wychowanków szkoły oficerskiej zorganizowanej przez Związek Młodzieży Polskiej w Congres, którzy w okresie szkolenia zostali dofinansowani przez KON³².

ANEKS 1

^{33a}Dnia 1 września 1914 r. wsiadłem na okręt linii „Holland-America”...
...^{34e}NORDAM^{35e}...Towarzyszów z Amsterdam miałem pięciu. W. Wierbowski, ^{36e}LEON RAKIC^{37e}, Modest Lisiewski, Jan Kosiński, Jan Mazurek. Na pokładzie drugiej klasy poznaliśmy towarzyszków dążących w tę samą stronę. Witold Rylski lat 44 ex-naczelnik z Z.S.P. Zygmunt Rowiński, Kazimierz Głuchowski, Maryan Zawadzki, Janusz Ostrowski, Ferdynand Bernaczyk, Władysław Krenzel. Po dwóch godzinach wyruszenia z portu, okręt został zatrzymany przez angielski statek wojenny; kapitan po przegłównięciu papierów puścił nasz okręt dalej. Czas na okręcie spędzaliśmy dość wesoło z urozmaicheniem. W jadalni zajęliśmy krzesła przy dwóch stołach, zaś wieczory spędzaliśmy na pokładzie okrętu na pogadance, przy szachach lub preferansie. Piątego dnia podróży zatrzymał nas ponownie krążownik angielski. Kapitan holenderskiego okrętu

³¹ AAN, Akta A.L. Waldo, sygn. 82. Za swoją działalność niepodległościową Stefania Waldo została uhonorowana w okresie późniejszym przez polskie władze Krzyżem Legionowym. zob.: Francis Bolek [w:] *Who's Who in Polish America*, New York, 1943.

³² M. Francić, *op. cit.*, s. 138.

³³ ^azapisane maszynopisowo

³⁴ ^ezapisane literami drukowanymi

³⁵

³⁶

³⁷

po wymianie sygnałów chciał ruszyć pełną parą i wyminąć krążownik, ale Anglicy huknęli dwa razy z armat na znak, by stać w miejscu. Zajęczały śruby okrętowe i okręt momentalnie zatrzymał się na falach oceanu. Spuszczono łódź z przeciwnika okrętu zrobiono rewizję na naszym, uznano okręt jako wiozący kontrabandę i jako takowy aresztowano. Kapitan dostał rozkaz skierowania okrętów do brzegów Irlandii do portu Qweenstown. Kapitan tłumaczył się, że ma maszyny popsute i nie dojedzie, lecz po zapewnieniu, że pošlą okręt na dno morskie w razie nieposłuszeństwa, kapitan zgodził się. Pod opieką „Anioła stróża” płynęliśmy dwa dni, be żadnych zmian, dopiero przy brzegach ^{38e}ZIE-LONEJ WYSPY^{39e} krążownik wojenny objął dowództwo nad naszym. Dnia 11 września wpłynęliśmy do portu Qwenstown. Nastąpiła ponowna indagacja pasażerów i bez żadnych pewnych, co do naszej przyszłości urzędnicy opuścili nasz okręt. Bez żadnych zmian upłynęło 24 godzin, a że byliśmy wprost jakby więźniami, więc kilkunastu obywateli wysłało protest do konsula. W kilka godzin później zjawił się tenże i zapewnił nas, że wkrótce opuścimy okręt. Minęło pięć dni, lecz żadnych zmian nie było. Wówczas energicznie zażądaliśmy wolności, a nawet postanowiono zawiadomić Washington telegraficznie. Na takie wystąpienie konsul w kilka godzin wystarał się o pozwolenie wyjazdu lądem przez Irlandyę, Anglię do Holandyi. Dnia 18 września opuściłem okręt w towarzystwie Ryłskiego żegnając się z kolegami, którzy niepewni losu zostali na okręcie. Zaznaczyć należy, że w dniu tym zabrano [ze statku] 150 jeńców, między nimi 6 naszych towarzyszków. Podróż przez Irlandyę odbyliśmy w nocy, więc nic nie mogę zaznaczyć z położenia, jako też okolicy. Z dworca kolejowego udaliśmy się do portu na dziwnej konstrukcyi wózku; jako też zauważyłem, że wszelki dowóz odbywa się za pomocą psów. Podczas podróży przez zatokę Irlandzką sprzyjała nam piękna pogoda, tego samego dnia dobiłem do brzegów Anglii, a następnie do ^{40e}LONDYNU^{41e}. Nie będę opisywał jak wiele trudności mieliśmy w podróży, dość, że po jakich dziesięciu rewizjach dostaliśmy się do

38

39

40

41

Holandyi; jakież było nasze zdziwienie, gdy ujrzeliśmy okręt „^{42c}NORDAM^{43e}” na kotwicy. Następnego dnia znów 8-miu uściśnęło wspólnie dłonie, szczęśliwi, że przedostaliśmy się przez wody. Lecz obecnie rozpoczynają się trudy przedostania się przez Holandję, Niemcy do Austrii. Podróż tę ułatwiły nam konsulatory. Holandya zmobilizowana – ruch wojenny okropny – zapytany Holender w tej sprawie oświadczył, że Holandya była pierwszą na stopie wojennej, jedynie w roli defensywnej. Mamy dobrego sprzymierzeńca z uśmiechem rzekł, a tym jest woda. Wjeżdżając w granice ^{44e}NIEMIEC^{45e} z podziwem zauważyliśmy spokój i ciszę, jak gdyby nic. Ponieważ zmuszeni byliśmy, zatrzymać się trzy dni w Berlinie, więc miałem sposobność zwiedzić piękne miejsca, jak muzea „Pod Lipami”. Widziałem zdobyte armaty rosyjskie, francuskie i belgijskie. W stolicy nastrój uroczysty. Na pochwałę zasługuje ^{46e}CZERWONY KRZYŻ^{47e} w Niemczech. Nikomu z podróżujących żołnierzy nie brakuje nic do jedzenia i picia. Dnia 29 września stanąłem na ziemi Krakowskiej.

Z gazet niemieckich dowiaduję się, że rzeczywiście istnieją Legiony polskie. Przechodząc przez ulicę „Pod Lipami” spotykam automobil, wewnątrz wojskowych kilku, na czapach ich widnieją orzełki polskie „To nasi” – radość bezgraniczna serce napawa. A więc zbliża się chwila tak uprawniona, orzeł do lotu skrzydła rozpościera, kończy się okres skarg i prośb a rozpoczyna okres czynu. – budzi się ten olbrzym, budzi się naród do czynu – budzi się silny, zjednoczony z jedną myślą, z jedną myślą, z jednym celem – „do wolności” – a hasłem „śmierć Moskwie”. A więc spełnią się marzenia naszych przodków, opadną więzy niewoli. Lecz mimowoli nasuwają się pytania. Kto nasi sprzymierzeńcy? Z kim idziemy? Kto prowadzi? Ilu nas? Doprawdy trudna orientacja podczas wojny tyle tylko się wie prawdy, ile okiem osiągnąć można. Zewsząd brzmia nawoływania – chodźcie z nami! Będzie wolna Polska. – Woła Austria – Wołają Rosya, Francya i Anglia. – Z kim iść? I przeciw komu? Je-

42

43

44

45

46

47

stem w Berlinie – wpada w dzielnicę polską. Zostaję mile przyjmowany przez rodaków – Krzyżują się różne pytania i odpowiedzi, nic dziwnego, wszak morze rozdziela nas. Oszołomiony ideą wolności opowiadam po co przyjechałem i w najwyższym uniesieniu, zapale wołam „Jeszcze Polska nie zginęła”. I wraz cichnie, niknie wesołość, a miejsce jej zajmuje zajmuje zaambarasowanie. Zdumiony rzucam pytanie „Cóż Poznańskie?” Dostaję lakoniczną odpowiedź: „My nic – Czekamy!” – Oburzony chwytam za kapelusz za kapelusz, żegnam się zimno i opuszczam sale z żalem do Poznańczyków i postanawiam wyjechać najbliższym pociągiem. –

Nie mając żadnej legitymacji wojskowej zostałem przetrzymany i odesłany do asenterunku austriackiego, lecz po paru godzinach łączę w asystencji policjanta udało mi się udowodnić, że jako obywatel ^{48c}STANÓW ZJEDNOCZONYCH^{49c} nie podlegam wojskowości Austrii. Następstwem tego było, że miałem opuścić Kraków w 24 godzinach, lecz już w godzinę byłem przyjęty do IV Pułku ^{50c}LEGIONU POLSKIEGO^{51c}, gdzie znów złączyłem się z kolegami podróży. Następnego dnia spotkałem Niteckiego, który przejechał szczęśliwie przez Francję. Podróż swą tak opowiada:

Jechało nas 5-ć osób: Waleryan Feliks Nitecki, Mieczysław Nitecki, Władysław Sarnecki, Zygmund Szafranowski i Karol Klimowicz, Zajechaliliśmy do Havru i postaraliśmy się o paszport z prawem pobytu lub opuszczenia granic Francji. Po otrzymaniu takowych paszportów udaliśmy się natychmiast do Paryża na zaś dzień udaliśmy się do „Komitetów Polskich Ochotników” gdzie zastaliśmy grupę sympatycznych ludzi lecz wszystko zwolenników orjentacji anty-niemieckiej. Po wylegitymowaniu się naszym zajął się nami bardzo energicznie Czesław Łukaszewicz literat i był to jedynie jeden wśród Polonii Paryskiej, który się nami szczerze i serdecznie zajmował. Przekonawszy się, iż żaden Legion Polski we Francji się nie tworzy, że tylko przyjmują Polaków do Legionu Cudzoziemskiego jako ochotników, to jest tylko na czas wojny, napisaliśmy zaraz w raporcie do Ameryki o tem. Komitetowi zaś zakomuni-

48

49

50

51

kowaliśmy, że gdyby Polacy z Ameryki mieli przyjechać, to tylko jako samodzielny legion z polską komendą i polskimi oficerami. Dowiedzieliśmy się też, że Francja żadnych gwarancyi co do Niepodległości Polski dać nie mogła, nie dała i nie da. Informacje jakimi nas zasypali mogły zachwiać nawet najsilniejszego człowieka. Powiedziano nam, że ob[watel] [Wacław] Sieroszewski, I[gnący] Daszyński, [Michał] Sokolnicki i [Józef] Piłsudski są aresztowani przez moskali. A Wł[odzimierz] Tetmajer się zastrzelił, na dowód czego pokazano nam w Musze wierszyk pośmiertny Wł[odzimierza] Tetmajera i „Gazetę Warszawską”, a nawet prywatne listy. Organizacja ^{52e}STRZELECKA^{53e} miała być rozwiązana, a armia austriacka zupełnie pobita. Wszystkie wiadomości zachwiały i nami i gotowiśmy byli w pewnym momencie do rozpaczliwych kroków. Lecz jak na szczęście otrzymaliśmy paczkę z kilkoma egzemplarzami „Gazety Warszawskiej”, w jednej zaś z nich artykuł pod tytułem „w ^{54e}PAWICH PIÓRACH^{55e}”, który zamiast źle nas usposobić, uczynił odwrotnie, bo nas poinformował o rzeczach, których byliśmy nieświadomi, najgłówniejszy zaś, że polskie wojska są i z dnia na dzień rosną. Było to bodźcem do natychmiastowego wyjazdu. Przed samym wyjazdem odwiedziliśmy koszary i dowiedzieliśmy się, iż Polacy-ochotnicy we francuskiej armii są wprost zrozpaczeni a głównego twórcę Komitetu Ochotników [Polskich] p[ana] W[acława] Gąsiorowskiego nazywają handlarzem krwi polskiej. Sam zaś pan [Wacław] Gąsiorowski uciekł z Paryża nie wiadomo gdzie, bo bez pożegnania się nawet z najlepszymi przyjaciółmi. Przy samym wyjeździe dowiedzieliśmy się o upadku i rozwiązaniu Komitetu Ochotników Polskich. Ochotników zaś wysłano do Marsylii; my zaś opuściliśmy Paryż udając się do Krakowa, gdzie po włożeniu munduru zostaliśmy wysłani do Dąbrowy Górniczej i Częstochowy. M[ieczysław] Nitecki.

^{56b}Przez wstąpienie do Legionu zwolennikiem anty-rosyjskim nieświadomy jaką nam jaką nam dają gwarancję nasi sprzymierzeńcy, z jaką siłą, czy i naprawdę myślą o naszej Ojczyźnie o odbudowaniu Polski. Nie wiedziałem, kto

52

53

54

55

56

stać na czele ruchu. Śledziłem więc i nabierałem świadomości rzeczy. Dziwny fakt wzbudził we mnie [zaniepokojenie] co jednej z nich co do obietnic [kierowanych ze strony] naszych sprzymierzeńców. Otrzymaliśmy rozkaz włożenia opasek żółto-czarnych, w przeciwnym zaś razie podlegało się aresztowaniu; oraz poinformowano mię, iż jako żołnierzowi przyszłej Wolnej Polski, muszę złożyć przysięgę na wierność Austrii^{57b}.

Przydzieleni do IV pułku dopiero organizującego się. Postanowiliśmy więc starać się o przeniesienie do I pułku Piłsudskiego, by prędzej dostać się na linię. Dnia 9 października [1915 r.] przydzielono nas do I pułku; zaznajomiliśmy się z grupą Polaków przybyłych z Belgii i wkrótce zawiązała się między nami zażyłość. Dnia 12 października dostaliśmy rozkaz wyjazdu. O godzinie 10 wieczór, w wagonach po 40 ludzi zdążaliśmy przez 20 godzin w stronę Kielc. Kilka stacyi od Kielc na otrzymany świeży rozkaz zwróciliśmy do ^{58e}SOSNOWCA^{59e}, do Prus (podróż trwała 12) godzin). Następnie dowiedziałem się, że mamy jechać do Częstochowy; po 10 godzinach stanęliśmy u celu. Wyruszyliśmy w porządku na ulice miasta, lecz w drodze zostaliśmy zatrzymani świeżym rozkazem udania się w dalszą podróż do ^{60e}PIOTRKOWA^{61e}. ^{62b}Na organizację –^{63b} Chcę nadmienić, że z towarzyszków, z którymi przyjechałem do Krakowa, redaktor [Kazimierz] Głuchowski został współpracownikiem prasy NKN [Naczelnego Komitetu Narodowego] zaś [Leon] Wasilewski z powodu braku zdrowia został kuryerem w NKN, inni wyruszyli w pole.^{64g} Legionistów ^{65b}było^{66b} około 500; wszystko przeważnie ochotnicy z Królestwa^{67g}. Byłem w tym dniu na służbie. O godz[inie] 10 rano przy dźwiękach muzyki opuszczają 2 kompanie legionowe miasto Piotrków udając się do Łodzi. Wyruszano z sztandarem polskim

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67 ^g Przekreślone odręcznie

przy dźwiękach muzyki „^{68e}JESZCZE POLSKA NIE ZGINEŁA^{69e}! Serce każdego Polaka zaczęła bić mocniej nastąpiła ^{70e}DEFILADA^{71e} i przy takcie marsza strzeleckiego wyruszone w kierunku Łodzi. Tego dnia dowiedziałem się, że Rakic i Wierzbowski wstąpił do żandarmerii. Dnie mijały dość szybko na ćwiczeniu ochotnika.

W gimnazjum męskim staliśmy jako garnizon Piotrkowa. Rozmawiałem z pewnym studentem szkoły technicznej, którego później widziałem w Legionach i oznajmiłem mu, że zrzuciliśmy orła rosyjskiego z Gimnazjum z obawą zrobił mi wyrzut po co to było robić, wszak [słowo poprawione odręcznie] z tego wynikną wielkie nieprzyjemności; widać, że niewola zgubiła lub może tylko przyćmiła ducha rycerskiego przyszłość o tem pokaże. Niedziela 18 października w Piotrkowie.

Dnia 20 października spotkałem nadspodziewanie [Kazimierza] Głuchowskiego, który przyjechał objąć biuro prasowe w Piotrkowie. Dnia 24 ruch wielki panuje na ulicach Piotrkowa; tabor austriacko-niemiecki wracał z pod Warszawy – ruch zwiększa się w dniach następnych. Ukazują się pułki piechoty niemieckiej i austriackiej, jako też artyleria i kawaleria. Miałem właśnie sposobność przypatrzeć się artylerii niemieckiej w pochodzie; byłem bowiem wysłany z żandarmerią na 4 mili od Piotrkowa dla schwytania szpiega. Na całej tej przestrzeni spotkałem sznur piechoty, zaś w powietrzu niczym ptaki szybowały aeroplany. Nasze wozy również spakowano, rozdano amunicję i kazano być gotowym każdej chwili do odwrotu. Tymczasem pełniliśmy służbę w mieście. Pluton, w którym byłem, nosił nazwę podoficerskiego, gdyż równocześnie przy służbie przygotowano do egzaminu podoficerskiego, gdyż tych miano użyć dla świeżo utworzonych plutonów; byłem sekcyjnym w tym plutonie. Dnia 26 października rozkaz odwrotu i złączenia się z I pułkiem. Posuwaliśmy się na tyłach cofając się armii. [Józef] ^{72e}PIŁSUDSKI^{73e} był wówczas pod ^{74e}IWAN-

68

69

70

71

72

73

74

GRODEM^{75e76}. Trudno opisać marsz, który z powodu niszczenia mostów był bardzo utrudniony; również i teren Królestwa [Polskiego] piaszczysty wiele dawał się odczuć. Zwykle dziennie robiliśmy czterdzieści i kilka wiorst, kołując na Wieluń do Częstochowy. Następnie zaś do Dąbrowy Górniczej. Serce się ściska na widok zniszczenia po wsiach ludność już obojętnie przyjmuje każdy nowy cios. Wsie są wprost оголоcone ze wszystkich wiktuałów żywności jako też paszy dla bydła. Chleba ludność nie widzi już w tych okolicach, a jedyne pożywienie to kartofle i kapusta. Wszelkie koni[e] zostały zabrane; tysiące ich leżą w rowach na ternie objętym wojną. Wszelkie bydło i drób zabrane dla wojsk; w wielu miejscach widać tylko zgłiszczą chat. Nie młócone zboża z braku słomy użyto na podściółkę dla koni. Widziałem, jak jedyną krowę wyprawdzono z obory. Przez te piękne niegdyś wioski, a dziś pustkowia przesuwają się armia, jak po raz szósty, rosyjska i sprzymierzona na przemian. Odsłaniając tyły stanęły dnia 11 listopada 2 bataliony ^{77e}WYRWY [Tadeusza Furgalskiego] i [Albina Satyra] FLESZARA^{78e} pod Krzywopłotami; również dwie baterie naszej artylerii pod komendą ^{79e}[Ottokara Wincentego] BRZOZY^{80e}. Mimo olbrzymiego znużenia i wyczerpania walkami toczonymi w odwrocie, mimo głodu i chłodu, honor był jak najlepszy, ochota do boju wielka. Artyleria zwłaszcza gorąco pragnęła wypróbować swe stare górskie armatki, które nie miały dotychczas sposobności brania udziału w walce. Przez kilka dni stały bataliony w okopach. Dnia 15 listopada nadeszła pierwsza wiadomość zbliżania się nieprzyjaciela. Wyśłani do Wolbromia po żywność i owies, przywieźli wiadomość od naszych patroli, że zbliża się podjazd kozacki. Wojska rosyjskie zbliżyły się do Maniowic i poczęły się okopywać w lasku, na południe od Załęża, równocześnie artyleria rosyjska poczęła ostrzeliwać cały front bojowy wojsk austriackich i Legionów. Nasi leżeli w okopach między Krzywopłotami a Załężem; część naszych okopała się na skraju lasu, inni na pagórkach. Po południu

⁷⁵

⁷⁶ Rosyjska nazwa miasta Dęblin.

⁷⁷

⁷⁸

⁷⁹

⁸⁰

przyniesiono rozkaz ogólnego ataku. Jedna bateria artylerii naszej okopała się między górą klasztorną a laskiem, druga zajęła pozycję na samej górze klasztornej. Podjęty atak na całym froncie nie zdołał posunąć się więcej nad 400 kroków przed okopem. Przy tym ataku został ranny komendant [Mieczysław Ryś] Trojanowski, wskutek czego komendę objął Brzoza. Następnego dnia wydano rozkaz ponownego ataku wczesnym rankiem. Atak rozpoczęto o godzinie 9-tej. Do ataku poszedł batalion VI z lasku popierany ogniem karabinowym dwu kompanii batalionu VI. Inne dwie kompanie batalionu tego stanęły jako rezerwa w lasku. Posuwanie się całego frontu szło początkowo zupełnie dobrze, pomimo bardzo silnego ognia rosyjskich karabinów maszynowych. Batalion VI posuwał się naprzód sprawnie, spokojnie i w porządku i okopał się, aby nie stracić zdobytego terenu, lecz nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności padły na nasze pozycje szrapnele z pozycji austriackich armat. Komendant Brzoza, widząc ciężką sytuację, wydał rozkaz odwrotu. ^{81e}NIE^{82e} można jednak było ani marzyć o wykonaniu rozkazu, nie byłby bowiem wyszedł stamtąd ani jeden człowiek z życiem, gdyż nieprzyjaciół poczał silnie ostrzeliwać nasze pozycje. Dla ratowania batalionu postanowił ^{83e}BRZOZA^{84e} poświęcić obydwie swoje baterie; rozkazał silnie ostrzeliwać okopy nieprzyjacielskie, zmusić je do milczenia, a tem samem dać możliwość, batalion Fleszara wycofał się w porządku. W walce pod ^{85e}KRZYWOPŁOTAMI^{86e} brało około 1300 polskich żołnierzy, wśród nich 500 świeżych ochotników z ^{87e}KRÓLESTWA^{88e} [Polskiego]. Wojsko nasze schodzące z pozycji nadmiernie utrudzone z żalem opuszczało we pozycje.

Z powodu nadwyrężenia nóg i małych kontuzji zostałem odesłany do

81

82

83

84

85

86

87

88

szpitala na ^{89e}MORAWĘ^{90e} do miasta Göding, gdzie odbyłem pięciodniową kwarantannę od osób zakaźnych, zaś następnie do szpitala w ^{91e}BZENCU^{92e} (Bisenz). Tam poznałem się z kilku Legionistami i wspólnie odpowiadaliśmy sobie swoje przygody.

Dnia 3 grudnia zostałem odesłany do Komendy Placu w Jabłonkowie na Szlążku. Po zbadaniu Komisji lekarskiej zostałem uwolniony z Legionów. Z tem przybyła mi świeża troska starania się grosiwo na powrót do domu. Spodziewając się pieniędzy z domu, postanowił[em] wstrzymać się do świąt w Jabłonkowie. W międzyczasie pracowałem w Biurze Sanitarnym Departamentu Wojskowego NKN [Naczelnego Komitetu Narodowego] przy transportacjami chorych i rannych Legionistów do szpitali.-----

Sypiałem w biurze. Nadszedł dzień 24 grudnia; biuro opróżniało się i wieczorem zostałem sam z memi myślami; wszyscy współpracownicy, by spędzić w gronie rodziny lub znajomych święta postarali się o urlopy. Zostałem również zaproszony, by uczestniczyć w wigilii w kole ^{93e}LEGIONISTÓW^{94e}, ale byłem w tym nastroju, że wolałem zostać sam. Myślą sięgałem w ubiegłe lata, kiedy spędzałem wigilię w domu rodziców, były to chwile błogie! Przypominam sobie ową wigilię ostatnią przed mym wyjazdem, siedziało nas osób ośm przy stole. Dziś jeśli życie może również siedzieć przy stole. Ojciec... tyś smutny. Pewnie myślisz o Staszku.... czy żyje on? może myśl twoja za oceanem, gdzie drugi syn twój przebywa... Sądzisz, że on tam spokojny... Nie przeczuwasz, że on bliżej ciebie, niż żony i dzieci⁹⁵. Może bolejesz nad utratą innych osób z rodziny. Dzisiejszy dzień nie jest dniem radości, lecz dniem smutku dla nas ^{96e}POLAKÓW^{97e}; Nasza Ojczyzna jęczy w kajdanach. Polska

89

90

91

92

93

94

⁹⁵ Stwierdzenie dotyczące synów, którzy pozostali w amerykańskiej miejscowości Amsterdam wskazuje na fakt, że Juliusz Zieliński zanim podążył we wrześniu 1914 r. do oddziałów legionowych pozostawił ich właśnie pod opieką żony Józefy.

⁹⁶

⁹⁷

zroszona krwią braci.... Tysiące braci legło osierocając żonę, dzieci, rodzinę.... tysiące braci dziś w niewoli.... Tysiące braci rannych jęczy w szpitalach.... setki tysięcy krwawy bój toczą.... Miliony cierpią głód i nędzę.... Myślę mą błędę w zamorskiej krainie, do najdroższych sercu memu. Widzę cię smutną.... wszak Polką jesteś..... nie płacz z łez POLSKICH płynie strumień szeroką wstęgą.... dziś krew obficie płynie w rzekach POLSKICH miast wody.... a naszymi przyjaciółmi jedynie ^{98c}GŁÓD, ZARAŻA, POWIETRZE, OGIEŃ, NIEWOLA^{99c}^{100a}

^{101b}Oddając pułki polskie Aus[trii] na usługę N[aczelnym] K[omitet] N[arodowy] żądał jakąś gwarancję. Manifestu sprzymierzonych do Polaków jakiejś pewnej obietnicy lecz otrzymano odpowiedź „Wpierw żądamy czynu”. Poszły więc pułki polskie na krwawy bój z Rosją. Oręż polski szerzy sprawę imienia polskiego niesie śmierć odwiecznemu wrogowi. Zwrócono na siebie uwagę we Wiedniu posypały się pochwały... Lecz równocześnie poczęto płacić dług za męstwo... Pułki polskie uznano Równem pierwszej linii (dotychczas było wliczone do drugiej krajowej) wypłacono żołd... posypały się awansy... [Józef] Piłsudski mianowany brygadierem. Rozdano medale z waleczność i nic więcej.... [Józef] Piłsudski był na audyencji we Wiedniu pozwolono mu tworzyć więcej pułków rozpocząć werbunek na zajętych terytorium Królestwa, lecz jednocześnie z[a]broniono w Austrii. NKN zapewniono iż z Galicji i Królestwa Polskiego utworzona będzie wolna Polska (z wyjątkiem części Zagłębia i guberni piotrkowskiej aż poza Łódź, którą dziś już twierdzi, że chce zatrzymać) w ogóle obiecano to co dziś jest w rękach Rosji. Obiecano wydać manifest do Polaków (wiadomość zaczerpnięta od dr [Stanisława] Kota szefa Biura prasowego [ego] NKN) wiarygodna!

Liczbę Legionów podawano przeszło 50.000, a niektórzy nawet do 150.000. Urządzano tryumfalne wchody oddziałów L[egionów] do miast. Manifestami NKN oznajmiał, że zajęte miasta tworzą wolną i niepodległą Polskę (W skład NKN wchodzi li sami socjaliści z Galicji jako też P[olska] O[rga-

98

99

100

101

nizacja] W[ojskowa] z Królestwa, zaś ogólna cyfra legionistów, będzie przesadzoną, gdy określe na 15.000). Lecz wszystkie wysiłki NKN chybiły celu. Królestw[o] pozostało zimne na wszystkie odczyty a nawet wprost przeciwnie Legionów. Przypadkiem dostałem egzemplarz broszury pt. „Pod sąd” anonimowy. Przyznać należy, iż nikt z NKN nie śmiał opracować podobnej broszury i potrzeba było by tę hańbę przyjął na siebie Polak z Ameryki. Zwracano się do ciebie, pisano broszury, wzywasz pod sąd narodowy tych, którzy uznali za hańbę dla żołnierza wolnej Polski składać przysięgę Austrii dlaczego przeoczyłeś tych którzy podali myśl uzgodnień powyższej przysięgi i dlaczego nie karcisz dr [Franciszka Juliusza] Leo z Krakowa za złożenie urzędów w NKN. Jeśli był opiekunem Legionów powinien jako żołnierz wytrwać do końca. Nadmienić należy, że hrabia [Aleksander] Skarbek był więziony przez Austrię, lecz obecnie znajduje się na wolności i mieszka we Wiedniu. – Przyznać należy, że są ludzie w Legionach stojący u steru jako też Legiony z małymi wyjątkami, którym należy się cześć i uznanie, którzy jako żołnierze chwycili za broń, by podjąć walkę z odwiecznym naszym wrogiem Rosją i życie i mienie złożyli na ołtarzu ojczyzny. Kilka słów chcę skreślić z których organizacji Legionów w Królestwie oraz postępowaniem ich z ludnością Królestwa. Do organizacji użyto przeważnie tych, którzy usuwali się [ze] służenia w linii. Ludzi goniących za swawolą. W koszary wkradł się nieład z wzrastania [liczby] oficerów, wzrastała również i służba damska. Z braku pieniędzy zaprowiantowanie zdobywano wystawiając kwity bezwartościowe, zabierano wszystko, co tylko mogło przydać się. W razie najmniejszego oporu brano siłą. W pochodzie podobną „rekwizycję” uprawiano po wsiach, zabierano konie, paszę i żywność, w ogóle ostatki pozostałe w chatach polskich. Przejście przez wieś było podobne do dawnych przejść hordy tatarskiej. Ludność z płaczem rzucała przekleństwa na pożegnanie. Do tego bezprawia posuwali się nawet bez rozkazu oficerów niżsi rangą i żołnierze. of. N..... te gęsi kradzione przez ciebie kradzione przez ciebie wieśniakom przynoszą ci hańbę, tyś [swoim] przykładem pchnął innych do rabunków. Widziałem jak wysłany do wsi za podwodą podoficer, strzelał ostrymi nabojami za chłopem uciekającym z końmi w las, widziałem wystawiane kwity wieśniakom podpisem – „oddam jak będę miał, jak będę chciał, jak Bóg pozwoli” of N to uderzenie w twarz niewinnego wieśniaka starego, który by śmiało

mógł być twoim ojcem przynosi hańbę twojemu imieniu jak również i tobie oficerowi za płużowanie szablą chorych legionistów w lazarecie Dąbrowa Górnicza i tobie of. N. Tynano za uderzenie zadane szeregowcowi choremu na zapalenie płuc; on zginął w najbliższej bitwie, lecz ja za niego szlę ci przekleństwo. Lecz są to jednostki, szumowiny, który wkradły się do Legionów. Opisy staczanych walk przez Legiony pomnażają sławę imienia polskiego i świadczą o patriotyzmie i męstwie więc należy się bohaterom Polakom. – Zajmowane miasta Królestwa pod sprężystą ręką Niemiec przybierały inny wygląd.

Królewiacy niechętnym okiem spoglądają na Niemców, a tem samem na Legiony. Smutny ale prawdziwy fakt w Kielcach dobitnie zdradza zmiany tychże. Po drugiem zajęciu Kielc przez Niemców, obywatelstwo tamtejsze zwróciło się o pozwolenie otwarcia szkoły handlowej w tem mieście. Władze niemieckie pozwoliły, jednak z zastrzeżeniem, że język wykładowy będzie niemiecki. Zbombardowanie kilku miast jako też rzucanie bomb z aeroplanów na Warszawę usposabia pesymistycznie królewaków dochodzą pogłoski o tworzeniu się Legionu Grunwaldzkiego. Organizacya w Królestwie postępowała wolno i przyznać trzeba, że używano wszelkich sposobów, dla zdobycia ochotników, nawet organizatorzy bezszczerne okłamywali, że tworzące się obecnie pułki polskie będą w przyszłości zwrócone przeciwko germanizacji. Żonatym obiecywano zajęcie się rodziną oraz stałą pensję jako ogólną. Nowo sformowany oddział, który składał się przeważnie z młodzieży od lat 16-19. Star[alem] się wybać z jakich powodów wstąpili do Legionów, – będąc prawie pewny, że patriotyzm gra główną rolę, ale niestety spotkał mię gruby zawód. Były to ostatki ochotnika z Galicyi, większa część łobuzeryi krakowskiej, którą głód i nędza zmusiły szukać przytułku przy Legionach. Po krótkim pobycie w tym otoczeniu zaczęły się wkradać niezadowolenie i niesmak, lecz pocieszałem się myślą, że gdzie indziej są inne stosunki, że inne mają zapatrywania starsi przypuścmy w moim wieku. Między świeżo przybyłymi ochotnikami dnia tego poznałem obywatela lat 30. Wygląd zewnętrzny wskazywał, [że] pochodzi z inteligencji. Zawiązałem z nim rozmowę, w trakcie której wybać, że przed wojną świetnie miał powodzenie jako generalny agent, lecz z rozpoczęciem wojny wszelkie dochody obcięły się, w dodatku choroba i śmierć jednego dziecka wyczerpały wszelkie posiadane funduszy. Widmo głodu pchnęło go do

Legionu. Również rozmowy z oficerami przynosiły ten sam rezultat dopełniały czarę goryczy. Często spotykałem się z zapytaniem, czy brak zaję[cia] spowodował mój przyjazd [z Ameryki] i wstąpienie do Legionu?

Tworząc Legiony myślano o wolnej Polsce ludowej. Zniesiono wszystkie przestarzałe tytuły, a przyjęto ogólnie „Obywatel”. Pułk I jako też sam komendant [Józef] Piłsudski nie zna innych tytułów, lecz już w pułku II i III słów „obywatel zatarło się. Dziś wraca znów stara moda!, a szczególnie daje się odczuć w urzędach.... Potrzebuję pieczęcie na pewnym świadectwie. Duże instancje już zatwierdziły rozchodzi się jedynie o pieczęć N[aczelnego] K[omitetu] N[arodowego]. Wchodzę do budynku NKN pułku I w Nausiu – za drzwiami na których widnieje napis „Prezydium” siedzi inżynier [Władysław] Sikorski – obecnie pułkownik, pani Radlińska – główny doradca, sekr[tarz] Lewicki inni. Przed progiem prezydium trzeba wystać swoją godzinkę, wreszcie słyszy się „pułkownik [Władysław] Sikorski dziś nie przyjmuje”. Powtarza się to i dnia następnego. Doradzono mi by prosić panią Radlińską o protekcję, by dostać się przed oblicze prezydium. Próbuje – skutkuje. Z pokorną miną z niskim ukłonem zanoszę prośbę tytułując „Panie pułkowniku”, „Nie wyrażać się tak hardo. Nie zapominać, że się rozmawia z[e] swoim przełożonym”.

Przepraszam bardzo, nie wiedząc czym go obraziłem. (Nie wiedziałem, iż trzeba tytułować J[aśnie] W[ielmożny] P[anie] Pułkow[niku] prośba moja zostaje odrzucona, a dokument skonfiskowany. Mija 48 godzin, wreszcie za protekcją pani Radlińskiej dostaję zwrot dokumentu z pieczęcią. Trudne to do uwierzenia ale prawdziwe.

Przyjeżdżam do Jabłonkowa na Szlasku Aust[riackim], gdzie znajduje się Komanda Główna Pułku I. Jabłonków wraz z okolicą jest kolonią dla ozdrowieńców i maruderów. Wszyscy są pod opieką lekarzy. Dostaję kwaterę nr 40. Dostaję towarzyszków 18, którzy na brudnej słomie, bez okrycia, mimo iż był to miesiąc grudzień, [trzęsąc się w nieopalanej izbie z zimna – przekreślone słowa]. Bolesne to, gdyż dzieje się to pod okiem Komendy Placu; tem boleśniejsze, że zdrowi pracownicy biur śpią wygodnie w ciepłych kwaterach i łóżkach. Oprócz opieki lekarskiej są ci chorzy również pod opieką Komendy Wojsk[owej], która za małe wykroczenie „przykładnie” karze --- Patrol chwyta po godz[inie] 9-tej wieczorem marudera na ulicy „bez przepustki”. Natych-

miast prowadzi go do więzienia. Więzienie jest wąskie i mokre bez opalania; na stęchłej słomie leżą jeden obok drugiego, grzejąc się swem własnem ciepłem. Wchodzący oficer inspekcyjny trzyma latarkę elektryczną w jednej, zaś rewolwer nabity w drugiej: Wtem więzieniu dla chorych stosowane są kary „o chlebie i wodzie”, „szpangi”, „przywiązywanie do słupa za ręce” i inne. Również znęcanie się żandarmerii nad więzionymi. W kilka dni więzie[ń], przed Bożym Narodzeniem w Nausiu chciał odebrać sobie życie legionista, odbierając nabity karabin, stojącemu na warcie. Desperat roztrzaskał sobie obie szczęki, lecz był przy życiu; powodem było nieludzkie postępowanie żandarmerii. Lekarzowi go opatrującemu pokazywał ślady od uderzeń płazem pałasz. Przypadkiem czytałem list (raport) pisany do dr. [Emila] Bobrowskiego, dotyczący rannych drugiego i trzeciego Pułku na Węgrzech. Stosunki są wprost okropne; komisya orzekła, że znaleziono wiele trupa na pobojowisku, których rany nie były śmiertelne, jednak śmierć nastąpiła z przemarznięcia i upływu krwi. Przed bramą szpitala znaleziono trupy dwóch, których nie przyjęto do szpitali. „Faktem jak służba sanitarna spełnia swe obowiązki jest to, że komendant [Karol Trazaska-]Durski kazał wychłostać 40 sanitariuszy, że „zwiali” z pola walki. – Stosunki obecnie w Jabłonkowie dzięki dr [Emilowi] Bobrowskiemu i innym lekarzom całkiem poprawiają się.

Po świętach postanowiłem wracać do domu. Posiadałem K[oron] 20. Po kilkudniowych przygotowaniach opuściłem Jabłonków. Nareszcie, udając się do Wiednia dnia 2 stycznia [1917 r.]. Po dwudniowym pobycie w hotelu zostałem bez centa w kieszeni. Udałem się do Komendy Legionów, gdzie pracuje w Biurze Janusz Ostrowski, prosząc o kilka dniowe przenocowanie. – Spodziewanych pieniędzy wcale w banku nie było; postanowiłem więc opuścić Wiedeń i udać się do Berlina i poszukać zajęcia. W Komendzie pozwolono mi korzystać z kwatery, również przyobiecano mi wyrobienie „marszruty” do granic Holandyi. Tego samego dnia udałem się do N[aczelnego] K[omitetu] N[arodowego] we Wiedniu, prosząc o pożyczkę. Po krótkich staraniach otrzymałem K[oron] 50, również opłacony bilet jazdy prawie do granicy Holandyi. Podróż swą musiałem odbywać pospiesznym pociągiem przez Pragę i Berlin do Holandyi. W Berlinie zatrzymałem się przez kilka godzin, następnie wyruszyłem dalej; przy granicy Holandyi musiałem zapłacić M[arek] 2. 20 pf[enigów]

za kartę do granicy lecz posiadałem tylko M[arek] 2 – w kieszeni. Pieniądze wymieniałem na olandzkie jeszcze w Berlinie. –

Przy kasie odmówiono mi biletu. Ponieważ miałem 20 GL [guldenów]. Banknot holenderski, więc nie chciałem znów wymieniać go na pruskie pieniądze, a następnie znów byłbym zmuszony wymienić na Holandzkie i przy tej wymianie straciłbym jakie K[oron] 8. – Postanowiłem, choćby przyszło mi sprzedać pióro atramentowe, nie mieniać banknotu, tem bardziej iż każdy cent był dla mnie drogi. Udałem się do poczekalni III kl[asy]. Wkrótce przysiadł się do mnie facet porządnie dość ubrany i rozpoczął rozmowę. Ponieważ zbyt był ciekawy, więc opowiedziałem mu swe kłopoty z powodu braku 20 pf[enigów], a że i on rzekomo miał jechać do Holandii więc prosiłem go o pożyczkę, równocześnie pokazując mu banknot Gd[guldenów] 20. Ów jegomość okazał się nader grzeczny, pożyczył 20 [pf[enigów] i prosił, by mu jeszcze raz pokazać banknot, gdyż takich pieniędzy nie widział jeszcze. Uczyniłem zadość jego prośbie. Następnie począł opowiadać o sobie, że nigdy jeszcze nic nie ukradł i inne rzeczy ofiarowałby zapłacić obiad,... by tylko z nim. Na tem urywają się opisy^{102b}

Źródło: AAN, Arch. A.J. Waldy, sygn. 3.

ANEKS 2

List żony Zielińskiego Józefy do Waldy (rkps)

^{103b} June 3/1941

Szanowny Panie Waldo

Wysyłam Panu pamiętnik jak obiecałam, może Pan coś w nim natrafi, że się Panu przyda. Zniszczony jest i kilku kartek brakuje, bo nieraz był czytany. Jednak proszę, kiedy już Panu nie będzie potrzebny o zwróceniu takowego. Zeszlą niedzielę był u nas w Amsterdam P[an] Tepa. Z wielką wdzięcznością odnosi się względem Pana za tyle pomocy danej jemu. Słyszałam również o nieszczęściu

¹⁰² b Zapisane odręcznie

¹⁰³ b Zapisane odręcznie

Pańskiej żony¹⁰⁴ proszę przyjąć wyrazy współczucia. Wczoraj na posiedzeniu uchwaliliśmy wysłać 100.00 [dolarów] P[anu] [Stefanowi Piotrowi] Mierzwie na fundusz pomocy innym uczonym i będziemy prosić Panią [Zofię Jadwigę] Arciszewską albo P[anią] Paryską do nas na parę miesięcy. Z wojną coraz gorzej granda. Zsyłam pozdrowienia. J[ózefa] Zielińska^{105b}

Źródło: AAN, Arch. A.J. Waldy, sygn. 3.

ANEKS 3

List Artura Leonarda Waldo do Józefy Zielińskiej (mps)

Dnia 5 czerwca 1941 roku

^{106a}W[aszmóść] Pani Józefa Zielińska

17 Jay Street

Amsterdam, NY

Droga Pani:

Bardzo Pani Dziękuję za przysłanie rękopisów swego Małżonka. Przejrzę je bardzo starannie i zobaczę, o można będzie zrobić i w jaki sposób te pamiątki uwiecznić. Zdawało mi się już dawno, że wielki jest brak wspomnień legjonowych naszych ochotników amerykańskich, lecz nigdzie nie mogłem natrafić na kogoś, ktoby wspomnienia jakieś posiadał. Zbieg okoliczności naprowadził mnie na drogę Pani i oto już coś mam. W Hartford jest Pan [Władysław] Mażnicki, od którego również spodziewam się pomocy w tym względzie. Ma on znaczny zbiór fotografii.

Będzie mi jeszcze potrzebna fotografia Małżonka Pani, gdyby w mundurze Legionowym, o tyle byłoby lepiej. Nie wiem, czy pamiątnik zawiera ten szczegół, że Pan Zieliński wstąpił do Legionów będąc już żonatym. Możeby

¹⁰⁴ Stefania Haręska, I voto Eminowicz, II voto Waldo (1895-), aktorka, śpiewaczka, działaczka polonijna i niepodległościowa; wyjechała do Stanów Zjednoczonych (1908).

¹⁰⁵

¹⁰⁶

Pani łaskawie zechciała spisać własne wspomnienia, w jaki sposób i gdzie męża poznała, jakie wówczas panowały nastroje, dlaczego on postanowił jechać i zostawić żonę, jeśli wyjechał po ślubie Państwa. Proszę również, że ja nic o tych rzeczach nie wiem, dlaczego piszę. Być może, że pobraliście się Państwo, już po powrocie męża z wojny.

O ile rzeczy te są poruszone w pominięciu, to je znajdę. Mimo to prosiłbym, ażeby Pani zechciała coś o dawnych onych dniach napisać, co się działo, jak dojrzewała idea wyjazdu do Legionów. Czy otrzymał wezwanie, jak się porozumiewano itd., o ile rzeczy te są Pani znane.

Bardzo się ucieszyłem, gdy Panią ujrzałem w Schenectady, gdyż na to spotkanie w sprawie służby Legionowej męża Pani bardzo liczyłem. Miałem już pisać list do Pani po odczycie w Amsterdam, lecz z braku czasu, postanowiłem odłożyć wszystko do wizyty w Schenectady, licząc, że jednak może Panią i tam spotkam. Okazało się, że patriotyczna działaczka społeczna nie zawiodła. Wszędzie jest i spotkać Panią łatwo tam, gdzie obowiązek Polska i Polkę wyzywa.

Nie zmarnuję rękopisów i jestem pewny, że będą przyczynkiem do wydawnictw tego rodzaju, a teraz na to wielka jest pora.

Łączę serdeczne pozdrowienia i liczę, że jeszcze kiedy będę miał przyjemność Panią spotkać i pomówić^{107a}.

Artur L[Leonard] Waldo¹⁰⁸

Źródło: AAN, Arch. A.J. Waldy, sygn. 3.

¹⁰⁷

¹⁰⁸ Maszynopis.

ANEKS 4

^{109c}Śpij wojaku w ciemnym grobie

Niech się Polska przyśni tobie...

Echa z pogrzebu ś.p. Juljusza Zielińskiego byłego Legionisty I Brygady Legionów Polskich, 4 płk. Piechoty

Napisał kolega z szeregu

Gdy ktokolwiek mnie lub śp. Julkowi Zielińskiemu powiedział w roku 1915, że za siedemnaście lat będę pisał o nim nekrolog... uśmiełybyśmy się serdecznie oboje... A jednak życie to stwarza nam różne koleje... jedni padli od kuli wroga... drudzy nie byli w stanie wytrzymać niedoli żołnierskiej, legli w cichej mogile spełniwszy swój obowiązek, do ostatniej chwili swego poświęcenia żywota... a jeszcze inni straciwszy zdrowie i siły opuścili szeregi aby wstąpić w drugie szeregi, ludzi pracy i poświęcenia na polu organizowania pracy dla ojczyzny i jej przyszłości. Do tych ostatnich należał śp. Juliusz Zieliński, który jak każde gorące miłujące ojczyznę serce stanął pierwszy do apelu wraz z sześcioma innymi i pomimo trudów i ciężkich warunków stosunkowo w krótkim czasie przywdział mundur legionisty I Brygady Legionów Polskich i stał się jednym z tych, którzy śmieli myśleć o wolnej Polsce wtedy gdy inni zwątpili... stał się jednym z tych, który wierzył, że wolność bronią i krwią wydarta, musi być tą samą bronią odebrana!

Przestało bić serce gorące patrioty... i nie zadrga ono więcej na echo pobudki, ani nie zbudzą go strzały... leży w cichej mogile usłanej kwiatami... kwiatami miłości i poświęcenia dla tej którą tak wielce ukochał... dla tej której przepłynął ocean ażeby stanąć w jej obronie.

Leży cicho spokojnie, a twarz rozpromieniona z jakąś dziwną radością spogląda w stronę ojczyzny... tej która dziś wolna i potężna wyciąga błogosławiące ręce ku swemu dziecku co w obcej spoczęło ziemi.

Żegnaj kolego... kto wie co jutro przyniesie... może znów w jednym staniemy szeregu tym razem już na wieki...

Cześć... kolega

Pogrzeb śp. Juliusza Zielińskiego odbył się w ubiegłą sobotę rano z zakładu pogrzebowego W. Dylong, 65 Reid ul., do kościoła św. Stanisława, gdzie wiel[ebny] ks[iądz] prob[oszcz] A. Górski odprawił żałobne nabożeństwo, podczas którego, pani M. McCready i Stanisław Pawłowski, prezes chóru Paderewskiego wykonał „Libera Me” pod dyрекcją p[ana] A. Niemczura. W czasie nabożeństwa, Placówka No. 18 Weteranów Polskiej Armii z Schenectady [chodzi o placówkę nr 18 Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej – przyp. KL] , pełniła straż honorową¹¹⁰.

¹¹⁰ Na temat placówki SWAP w Schenectady i jej działalności zwrócił się listownie autor niniejszego tekstu z zapytaniem do zatrudnionego w Placówce nr 21/201 SWAP na nowojorskim Manhattanie dr Teofila Lachowicza: „Witaj Tolek, Mam do Ciebie pytanie związane z działalnością SWAP. Otóż, czy w dalszym ciągu istnieje placówka nr 18 w Schenectady. Członkowie SWAP z twojej placówki wzięli udział w pogrzebie najprawdopodobniej członka tej placówki Juliusza Zielińskiego na cmentarzu należącym do kościoła św. Stanisława w Amsterdam w stanie Nowy Jork w 1941 r. Mam więc do Ciebie pytanie, czy Juliusz albo Mieczysław Juliusz Zieliński był członkiem placówki SWAP a Schenectady (tak zapisywano wtedy imię przez „j”) albo być może w istniejącej innej placówce SWAP na terenie Amsterdam? Macie swoją zachowaną kartotekę. Może w niej zachowała się karteczka z nazwiskiem właśnie pana Zielińskiego zamieszkałego w Amsterdam albo w Schenectady (mieszkał i pracował w obydwu miejscach.) Mam do Ciebie także prośbę i sprawdzenie w starych numerach „Weterana”, który posiadacie oprawiony w szafie ustawionej w sali muzealnej, czy zachowała się relacja z tego pogrzebu, który odbył się w pierwszej połowie kwietnia 1941 r. właśnie w asyście członków SWAP z placówki nr 18? Były także obecne panie z Korpusu Pomocniczego Pań. Pozdrawiam Ciebie i zdrowia życzę jak najwięcej, Krzysiek”. Zob. List Krzysztofa Langowskiego do dr Teofila Lachowicza, Warszawa 11.VI.2024 r.; W odpowiedzi autor otrzymał informację o następującej treści: „Serwus Krzysiek, sprawdziłem. Nie mamy tej osoby w kartotece SWAP, czyli nie był członkiem tej organizacji. Z tego też powodu nie ma jego nekrologu w „Weteranie”. Pozdr[awiam]. Tolek”. zob.: List Teofila Lachowicza do Krzysztofa Langowskiego, Nowy Jork, 13.VI. 2024 r.; zob. także: „Dziękuję Tolku, Pozostaje tylko jeszcze pytanie, czy istnieje w dalszym ciągu Placówka SWAP nr 18 w Schenectady? Kto jest obecnie jej komendantem? Czy istnieje jakiś kontakt telefoniczny, a najlepiej e-mailowy z nimi, czy też osobą zajmującą się opracowywaniem działalności tej placówki w przeszłości i obecnie na miejscu? Może coś wiesz na ten temat? Dziękuję Tobie jeszcze raz za szybką odpowiedź na moje zapytanie do Ciebie. Pozdrawiam serdecznie. Krzysiek”. zob.: List Krzysztofa Langowskiego do dr Teofila Lachowicza, Warszawa 21.VI.2024 r.; zob. także: „Placówka ta dawno już nie istnieje, przynajmniej za mojej kadencji w SWAP, Pozdr[awiam]”. zob.: List dr Teofila Lachowicza do Krzysztofa Langowskiego, 21.VI.2024 r. [Teofil Lachowicz został zatrudniony w SWAP w 1997 r. – przyp. K.L.]

Poza współpracą z działaczami polonijnymi zgrupowanymi we wspomnianym SWAP Juliusz Zieliński niewątpliwie utrzymywał także ścisły kontakt z działającymi na terenie Amsterdam byłymi kolegami służącymi wcześniej w oddziałach legionowych. Skupili się oni w działają-

Śp. Juliusz Mieczysław Zieliński urodził się w Złoczowie, w Polsce, przybywając do Ameryki w 1906 r. i pracując przez krótki czas w fabryce. W roku 1909, objął posadę jako asystent menadżera przy kompanii asekuracyjnej Metropolitan, gdzie pracował do 1914 r., w którym to czasie założył gniazdo sokołów w Amsterdam. Gdy wybuchła wojna światowa był on pierwszym, który wraz z sześcioma kolegami wyjechał do Polski, gdzie śp. Zieliński wstąpił do Pierwszego Legjonu Polskiego w Krakowie. Po dłuższej służbie w Legjonach, został honorowo zwolniony ze służby wojskowej z powodu wątłego zdrowia, poczem powrócił z Polski do Amsterdam. Czując się zdrowszym, objął swą dawniejszą posadę pracując do roku 1919-go, kiedy znowu podupał na zdrowiu, udając się z całą rodziną do Zakopanego, na poratowanie zdrowia, gdzie zabawił jeden rok. Po powrocie do Amsterdam, po trzech latach wyjechał do Schenectady, gdzie zamieszkiwał do śmierci.

Trumnę nieśli Józef Kosik, E.J. Gallagher, L. Kozłowski, Alexander Stolarczyk, Wojciech Wójcik i Fr. Litwa, członkowie posterunku Wyszomirskiego No. 701 Legjon Amerykański. Zwłoki złożono na cmentarzu św. Stanisława¹¹¹, którym towarzyszyli członkowie placówki No. 18 Weteranów Armii Polskiej, jak również i panie korpusu pomocniczego tejże placówki z Schenectady.

Członkowie Stanowej Milicji kompanii 105th Inf[antry] składający się z [miejscowości] Landsberg, Edward Szczepanik, J. Sowizdzał, J. Słezak, J. Bubniak, M. Jackoby, A. Foltman, J. Skoczylas i A. Kosiński oddali salwę. James Harrison z posterunku Wyszomirskiego Amerykański Legion, oddał sygnał (taps) pożegnalny na trąbce. Wśród tych spoza miasta, którzy przybyli złożyć ostatnią przysługę żołnierzowi byli panna Emilia Mszańska i Stan. Mszański z Westfield. Polonia z Amsterdam i okolicy z gorącym żalem poze-

cej na terenie Amsterdam organizacji pt. „Związek Obrony Narodowej im. Józefa Piłsudskiego, 311 Vroomon Avenue, Amsterdam, NY, założonej 15 lutego, 1925 r. [...] Celem organizacji jest służba Ojczyźnie w myśl ideologii Marszałka Piłsudskiego przez popieranie i szerzenie pracy oświatowej wśród Wychodźstwa”. zob.: AAN, *Ilustrowany Kalendarz i Skorowidz handlowy Nowego Świata na rok 1942* [w:] *Nowy Świat*, 380 Second Avenue, New York, NY, s. 184.

¹¹¹ Niestety po minięciu ponad osiemdziesięciu lat od uroczystości pogrzebowej został on w międzyczasie zlikwidowany przez zarząd cmentarza. Wskazuje na to wyraźnie brak informacji na temat miejsca pochówku Juliusza Zielińskiego na stronie internetowej nekropolii. zob.: dostęp poczyniony przez Krzysztofa Langowskiego w dniu 3.II.2025 r.

gnała swego wojaka, a pamięć o nim na wieki pozostanie wśród tych, którzy oceniają zasługi żołnierza polskiego, którego krwią i zasługą Polska powstała wolna.¹¹² Na tej samej stronie zawierającej relację z uroczystości pogrzebowej zamieszczone zostało podziękowanie od rodziny pod którym wymienieni zostali oprócz małżonki Mieczysława Juliusza Zielińskiego – Józefy także trzej ich synowie: Alfred, Eugeniusz i Władysław^{113c}.

Źródło: AAN, Arch. A.J. Waldy, sygn. 3.

STRESZCZENIE

Ideale głoszone przez Józefa Piłsudskiego w pierwszej dekadzie XX wieku spotkały się z żywym odzewem środowiska polskiego, które osiadło w Stanach Zjednoczonych. Na ich podstawie została utworzona organizacja, która była ściśle związana z tym kierunkiem myślenia. Był to Komitet Obrony Narodowej, który został powołany oficjalnie do życia w dniu 16 grudnia 1912 r. podczas zwołanego przez środowisko polonijne t.zw. wiecu narodowego w miejscowości Pittsburgh w Pensylwii. Byli na nim obecni przedstawiciele reprezentujący kilka istniejących w tym okresie organizacji. Do powstania tej pierwszej w historii polskiego uchodźstwa organizacji politycznej doszło dzięki połączeniu dwóch odłamów działającego na terenie Stanów Zjednoczonych skonfliktowanego do tego czasu „Sokolstwa Polskiego”. W upublicznionej rezolucji stwierdzono, że „Uznając obowiązek współdziałania z krajem ojczystym we wszelkiej akcji, mającej na celu przywrócenie niepodległości politycznej Polsce, [...] Oddaleni o tysiące mil od Ojczyzny, nie mogąc brać czynnego udziału w polityce narodowej, poddajemy się pod bezwzględną dyrektywę Zjednoczonych niepodległościowych Partii w Polsce reprezentowanych przez

¹¹² AAN, A.L. Waldo, sygn. 3, Relacja prasowa: *Echa z pogrzebu ś.p. Juliusza Zielińskiego* w tygodniku „Słowo Polskie”, Utica, 15 IV 1941, s. 8. zob.: „*Słowo Polskie* w Utica za[łożone] w r. 1908, pismo lokalne. Redaktorem jest L.K. Bieńkowski [w:] S. Osada, *Prasa i publicystyka Polska w Ameryce*, Pittsburgh, Pennsylvania, 1930, s. 34.

¹¹³ c Zapisane pismem drukowanym

swoich delegatów na zjeździe w Zakopanem, jesienią 1912, i tworzących obecnie Polski Skarb Wojskowy. Stosownie do orientacji politycznej dokonanej już w kraju przez powyższe partie, postanawiamy wszelkimi środkami ruch powstańczy przeciw Rosji, największemu wrogowi Polski, przedstawicielce ucisku, barbarzyństwa i ciemnoty i odwiecznemu żandarmowi absolutyzmu w Europie, [...] Niech żyje walka zbrojna, niech żyje wolność, Niech żyje niepodległa Rzeczpospolita Polska”.

SKRÓTY

AAN – Archiwum Akt Nowych

AIPNBU – Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Biuro Udostępnienia

IJPA – Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce

ARz – Archiwum Rzeczowe

AOs – Archiwum Osobowe

SŁOWA KLUCZE

Józef Piłsudski

Juliusz Zieliński

Artur Waldo

Galicja

Polski Skarb Wojskowy

Amsterdam

Schenectady

Legiony

Batalion

Witold Ryłski